

KONSPEKT

■ Gość Konspektu

Generał brygady
Kazimierz Jaklewicz
Komendant-rektor
Wyższej Szkoły
Oficerskiej
we Wrocławiu

■ Beletrystyka

Bogusław Wołoszański

■ Historia wojskowości

Meksykańskie Termopile
Najmniejsza i najstarsza
armia świata

■ Edukacja obronna

Problem bezpieczeństwa
człowieka
w edukacji nauczycielskiej

■ Wiersze

Anna Kajtochowa

■ Z Konspektem w plecaku

Twierdza Kraków
nadal walczy!

■ Wspomnienia

Gdy bój nad Bzurą
wrzał...

■ Galeria Konspektu

Jerzy Kędziora





Jerzy Kędziora

Woj wschodni II

Głównym wątkiem niniejszego numeru „Konspektu” jest wojskowość i edukacja obronna. My, Polacy lubimy często wracać do wspaniałych kart historii Wojska Polskiego, rozważać wspaniałe posunięcia taktyczne dowódców, analizować błędy, zastanawiać się „co by było gdyby...” i narzekać z powodu niedotrzymania obietnic przez naszych sojuszników. Na rynku księgarskim w ostatnich latach ukazało się wiele wartościowych pozycji napisanych przez zagranicznych autorów, które rzucają nowe światło na niektóre fakty z historii II wojny światowej, nas Polaków mogą satysfakcjonować, ponieważ podkreślają m.in. fakt ogromnego wkładu naszego narodu w pokonanie nazizmu. Wobec tak bogatej literatury nt. dziejów polskiego oręża postanowiliśmy szczególnie zaakcentować współczesne problemy związane m.in. z zapewnieniem społeczeństwu bezpieczeństwa w XXI w.

Zapraszamy więc do lektury wywiadu z „Gościem «Konspektu»” – generałem brygady Kazimierzem Jaklewiczem, rektorem-komendantem Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych we Wrocławiu, który zwraca m.in. uwagę na wzrastającą liczbę kobiet w polskiej armii, a także na dużą odporność psychiczną „slabej płci” w sytuacjach stresowych. O zagadnieniach bezpieczeństwa w edukacji obronnej pisze Zbigniew Kwiasowski. Problem bezpieczeństwa – istotną potrzebę w życiu człowieka – opisują także Zbigniew Kopa i Jan Ostojski. Ryzyko zespołu wypalenia w zawodowej służbie wojskowej jest przedmiotem artykułu Romana Krawczyńskiego, w którym autor, oprócz analizy charakterystycznych cech tego zjawiska, wymienia sposoby zapobiegania jego występowaniu. W kategorii tekstów historycznych polecamy m.in. artykuły nt. historii polskiego lotnictwa w czasach pierwszej i drugiej wojny światowej autorstwa wybitnego specjalisty z tej dziedziny – Andrzeja Olejki, zaś Roman Marcinek opisuje epizod z dziejów francuskiej Legii Cudzoziemskiej – bitwę pod Cameron. Temat Legii pojawia się również w artykule Marcina Kani. Najmniejszą, lecz elitarną armię świata – Gwardię Szwajcarską – przedstawia Czesław Michalski. W numerze gościmy również Bogusława Wołoszańskiego, który w pasjonujący sposób omawia tło polityczne Europy w przeddzień wybuchu drugiej wojny światowej. Nasza redakcja dotarła do pana Józefa Wątroby – ułana z 6 Pułku Ułanów Kaniowskich i żołnierza Września 1939, który podzielił się z nami wspomnieniami z tamtego okresu. Po fortach dawnej Twierdzy Kraków oprowadza nas Piotr Pacholarz. To tylko niektóre pozycje związane z tematem niniejszego numeru, zachęcamy do zapoznania się ze wszystkimi tekstami. Jak zwykle proponujemy również lekturę stałych działów „Konspektu”. W naszej galerii przedstawiamy sylwetkę artysty-rzeźbiarza Jerzego Kędziory, autora m.in. znanych na całym świecie rzeźb balansujących. Swoje wiersze prezentuje znana krakowska poetka Anna Kajtochowa. Czytelnik znajdzie też sporo informacji z życia Uczelni oraz recenzji książek.

Redakcja dziękuje wszystkim Autorom, szczególnie zaś prof. Zbigniewowi Kwiasowskiemu – kierownikowi Katedry Edukacji Obronnej oraz jej Pracownikom za współpracę przy redakcji bieżącego numeru. Życzymy przyjemnej lektury.

2/2007 (29)



REDAKCJA

Stanisław Skórka
(redaktor naczelny)
Marcin Kania
(sekretarz redakcji)
Michał Grzeszczuk
Dorota Kamińska

PRZEWODNICZĄCY
RADY PROGRAMOWEJ
prof. Tadeusz Budrewicz

WSPÓŁPRACA

Iwona Tomasiak
Elżbieta Sionko
Marek Karwala
Czesław Michalski
Jerzy S. Ossowski
Piotr Pacholacz

ZDJĘCIA

Marian Pasternak
Mieczysław Węclawek

SKŁAD

Krzysztof Porosło

PROJEKT OKŁADKI

Jadwiga Burek

WSKAZÓWKI DLA AUTORÓW

Artykuły do 5 str. A4
(ok. 13 000 znaków)

Sprawozdania do 3 str. A4
(ok. 7800 znaków)

Wysokość tekstu 12 pt; 1,5 wiersza
interlinii; Times New Roman

Materiały ilustracyjne w formacie
TIFF, JPEG o rozdzielczości
ponad 300 dpi.

Redakcja zastrzega sobie prawo
do skracania tekstów i zmian
redakcyjnych.

Propozycje reklam i ogłoszeń pro-
simy przekazywać na adres
redakcji

Pismo Akademii Pedagogicznej
im. Komisji Edukacji Narodowej
<http://www.ap.krakow.pl/konspekt>
30-084 Kraków

ul. Podchorążych 2, pok. 7p
tel. (0-12) 662 61 28

fax: (0-12) 635 88 85

e-mail: konspekt@ap.krakow.pl

5 Gość „Konspektu”

Wzmocnienie szkolnictwa wojskowego w Polsce w oparciu o projekt stworzenia szkoły wyższej, która będzie mogła się liczyć nie tylko w ramach szkół wojskowych w Europie, ale również na świecie, jest pomysłem dobrym i wiele obiecującym – o kształceniu w Wyższej Szkole Oficerskiej we Wrocławiu opowiada jej rektor gen. brygady **Kazimierz Jaklewicz**



10 Edukacja obronna

*W obowiązujących standardach kształcenia nauczycieli oraz standardach kształcenia na kierunku pedagogika, znalazły się już treści dotyczące bezpieczeństwa. Jak sądzę jest to również dobry zwia-
stun, wskazujący na rosnącą rolę i miejsce bezpie-
czeństwa człowieka w edukacji nauczycielskiej* – **Zbigniew Kwiasowski** o problemach bezpieczeństwa człowieka

22 Psychologia

*Wypalenie jest syndromem, który dotyka ludzi pracujących w zawodach społecznych, gdzie poddani są oni licznym obciążeniom prowadzącym do emo-
cjonalnego wyczerpania. Jednym z pierwszych
objawów wypalenia sił jest niezadowolenie
i utrata motywacji do pracy*
– twierdzi **Roman Krawczyński**

Systemy bezpieczeństwa

Zbigniew Kopa – istota terminu bezpieczeństwa **30**

Jan Ostojski – bezpieczeństwo narodowe **33**

Lotnictwo

Andrzej Olejko – lotnictwo w Galicji w latach 1914–1915 **42**

O pierwszym zestrzale
kpt. Witolda „Lanny” Łanowskiego **52**

57 z „Konspektem” w plecaku

Po fortach twierdzy Kraków oprowadza Piotr Pacholarz



64

Czesław Michalski, *Najmniejsza i najstarsza armia świata*

67 Pamiętnikarstwo

Podróż do Indochin na podstawie żołnierskiego pamiętnika Władysława Jagniątkowskiego opisuje Marcin Kania

74 Historia wojskowości

Bonaparte nie jest nikim ważnym dla służących w szeregach Legii Cudzoziemskiej Kenijczyków, Marokańczyków czy przybyszów ze Sri Lanki. Oficerowie wychowawczy muszą wpajać rekrutom coś zupełnie innego – wiedzę o 160-letniej tradycji formacji. Szczególnie zatem ważna w życiu Legii Cudzoziemskiej jest data 30 kwietnia, kiedy obchodzone jest święto formacji – Dzień Cameron – o meksykańskim epizodzie wojennym pisze Roman Marcinek

86 Beletrystyka

Minister Beck jednak, zamiast rozgrywać niemiecką kartę, zamiast robić wszystko, aby storpedować możliwość zbliżenia Niemiec ze Związkiem Radzieckim, zaufał angielskim gwarancjom. Uwierzył, że Anglicy, choć mieli słabą, nieliczną armię i jeszcze słabsze lotnictwo, wyślą je do walki o Gdańsk, choć nie istniały żadne możliwości przetrwania nawet tych słabych wojsk

- Bogusław Wołoszański opowiada o straconych szansach w 1939 r.



89 Wrzesień '39

Wspomnienia Józefa Wątroby

- ułana 6 Pułku Ułanów Kaniowskich

103 Galeria „Konspektu”

Twórczość Jerzego Kędziory przedstawia Marek Karwala

130 Wiersze

Anna Kajtochowa

Spis treści

- 5 O WARTOŚĆ ABSOLWENTA... ROZMOWA Z GENERAŁEM BRYGADY KAZIMIERZEM JAKLEWICZEM, REKTOREM-KOMENDANTEM WYŻSZEJ SZKOŁY OFICERSKIEJ WOJSK LĄDOWYCH WE WROCŁAWIU
- 10 Zbigniew Kwiasowski, PROBLEM BEZPIECZEŃSTWA CZŁOWIEKA W EDUKACJI NAUCZYCIELSKIEJ
- 14 Janusz Wojtycza, DZIAŁALNOŚĆ ZAKŁADU WYCHOWANIA OBRONNEGO I KATEDRY EDUKACJI OBRONNEJ W LATACH 1974–2007
- 19 Klaudia Cenda-Cwer, KATEDRA EDUKACJI OBRONNEJ WOBEC WSPÓŁCZESNYCH WYZWAŃ EDUKACYJNYCH
- 22 Roman Krawczyński, RYZYKO ZESPOŁU WYPALEŃ W WARUNKACH ZAWODOWEJ SŁUŻBY WOJSKOWEJ
- 30 Zbigniew Kopa, ISTOTA TERMINU BEZPIECZEŃSTWO
- 33 Jan Ostojki, BEZPIECZEŃSTWO NARODOWE
- 37 Pelagia Szybka, KSZTAŁCENIE UMIEJĘTNOŚCI Z ZAKRESU PIERWSZEJ POMOCY W POLSKIEJ EDUKACJI
- 42 Andrzej Olejko, GALICYJSKIE NIEBO 1914–1915
- 50 Andrzej Olejko, PIOTR NIKOŁAJEWICZ NIESTIEROW
- 52 Andrzej Olejko, PIERWSZY ZESTRZAŁ KPT. WITOLDA „LANNY” ŁANOWSKIEGO
- 57 Piotr Pacholarz, TWIERDZA KRAKÓW NADAŁ WALCZY!
- 64 Czesław Michalski, NAJMNIEJSZA I NAJSTARSZA ARMIA ŚWIATA
- 67 Roman Marcinek, MEKSYKAŃSKIE TERMOPILE
- 74 Marcin Kania, W DRODZE DO INDOCHIN
- 81 Agnieszka Bał, WOJNA JAKO PRZEDMIOT OBRAZOWANIA W POEZJI JÓZEFA BOHDANA ZALESKIEGO
- 86 Bogusław Wołoszański, STRACONA SZANSA
- 89 GDY BÓJ NAD BZURĄ WRZAŁ... WSPOMNIENIA JÓZEFA WĄTROBY – UŁANA 6. PUŁKU UŁANÓW KANIOWSKICH
- 94 MUZEUM BITWY NAD BZURĄ W KUTNIE
- 95 Katarzyna Pabis, ZAŁAGA ŻYDÓW W CZASIE DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ – TEMAT WIECZNIE ŻYWY?
- 98 BALANSUJĄC. ROZMOWA Z JERZYM KĘDZIORĄ
- 103 Marek Karwala, JERZEGO KĘDZIORY POSZUKIWANIA UNIVERSUM
- 106 Marcin Kania, ANTONI EUZEBIUSZ BALICKI – WYKŁADOWCA KRAKOWSKIEJ PWSP
- 111 Zbigniew Janczulewicz, JERZY KUBICZ (1947–1998)
- 112 Józef Liszka, Władysław JASTRZEBSKI – BOLESŁAWSKI ARTYSTA
- 117 Kazimierz Kochman, PROFESOR MARIAN JUTISZ
- 122 Dorota Oramus, JEZUICI – NIESAMOWITY ZAKON I JEGO ZBIORY
- 126 Szczęsny Wroński, POP-POEZJA
- 128 Radosław Tarkowski, GEOLOGIA W INSTYTUCIE GEOGRAFII AKADEMII PEDAGOGICZNEJ W KRAKOWIE (1946–2007)
- 130 Anna Kajtochowa, WIERSZE
- 132 DEBIUT – EMILIA KOWALSKA
- 133 Iwona Tomasiak, ŚWIĘTO UCZELNI
- 135 Adam Mikrut, KRÓLESTWO „ENERGII”. AKADEMIA PEDAGOGICZNA NA FESTIWALU NAUKI 2007
- 141 Michał Zięba, SŁUCHAJĄC DIALOGÓW GALCZYŃSKOLOGÓW
- 144 Jerzy Stefan Ossowski, PROMOCJA KSIĄŻKI CZESŁAWA MICHAŁSKIEGO
- 146 Teresa Wildhardt, DR PETER GLANZNER GOŚCIEM BIBLIOTEKI GŁÓWNEJ AP
- 147 Marek Karwala, WYSTAWA PLASTYCZNA W CZCHOWIE
- 148 Joanna A. Wnęk, DZIECKO W KRYZYSIE
- 151 Magdalena Roszczynialska, POŻYTKI Z FIKCJI. MANIOWY 2007
- 154 Iwona Jarno-Kurach, II BUKOWIEŃSKIE SPOTKANIA NAUKOWE
- 156 Sebastian Dusza, MOTYWACJA W DYDAKTYCE JĘZYKÓW OBCYCH
- 158 Marzena Błach, PRZYSZŁOŚĆ JEST TERAZ...? O BIBLIOTEKACH PRZYSZŁOŚCI
- 161 Marian Śnieżyński, AUTORYTET NAUCZYCIELA AKADEMICKIEGO W OPINII STUDENTÓW
- 166 Łukasz Tomasz Sroka, WIELCY I WIELKOLUDY. PAMIĘCI PIOTRA KUNCEWICZA
- 170 Czesław Michalski, SPORT WOJSKOWY W KRAKOWIE
- 175 Elżbieta Sionko, NARTY. JAK SPĘDZIĆ CZAS MIŁO I BEZPIECZNIE?
- 178 Ludmiła Suzdańska, CENTRUM KULTURY POLSKIEJ. DOM POLSKI W TOMSKU
- 182 Jerzy Stefan Ossowski, »POLSKA SWOŁOZC«. OSTATNIA OKUPACJA WILNA 1944–1945
- 185 Magdalena Roszczynialska, ...Z PODRÓŻY BOLESŁAWA FARONA
- 189 Mirela Rubin-Lorek, RANDEZ-VOUS Z POETĄ. TOMIK POETYCKI JERZEGO PIĄTKOWSKIEGO
- 191 Marek Karwala, IMPERATYWY KRYSYNY SZLAGI
- 195 Marek Karwala, PROROK NA SKALE
- 198 Janina Sarnacka, JĘZYK POLSKI? NIE TAKI TRUDNY!
- 200 Dominika Betka, ŚWIAT KOBIET-TERRORYSTEK
- 203 Barbara Głogowska-Gryziecka, PROBLEMY „PISANIA O SOBIE”
- 206 NOWOŚCI WYDAWNICTWA NAUKOWEGO AKADEMII PEDAGOGICZNEJ PRZEDSTAWIA JOLANTA GRZEGORZEK

O wartość absolwenta...

Rozmowa z generałem brygady Kazimierzem Jaklewiczem, rektorem-komendantem Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych we Wrocławiu

„Konspekt”: – *Panie Generale, co znaczy „być żołnierzem” w XXI wieku?*

Gen. bryg. Kazimierz Jaklewicz: – Odpowiem krótko, bez zbędnego patosu. Być żołnierzem, to według mnie być osobą merytorycznie i fizycznie dobrze przygotowaną do realizacji zadań, jakie w każdym demokratycznym społeczeństwie mają do spełnienia siły zbrojne.

Jeżeli jednak chciałbym rozwinąć tę myśl, powiedziałbym w ten sposób: z punktu widzenia żołnierza zawodowego oznacza to prawidłowe przygotowanie do wykonywania konkretnych obowiązków w zhierarchizowanej strukturze armii. A zatem, być żołnierzem zawodowym, to – po pierwsze – być rzeczowo przygotowanym do swojego stanowiska pracy, po drugie zaś – posiadać wiedzę i umiejętności kształcenia oraz wychowywania podwładnych.

Wojsko jednakże to nie tylko zawód. Zawsze mocno akcentuję fakt, iż chcąc być żołnierzem, należy przede wszystkim czuć, że się nim jest i że podstawowym obowiązkiem jest przede wszystkim służba. Różnica pomiędzy pracą a służbą jest dosyć istotna, chociażby z punktu widzenia administracyjnego. Każdy rodzaj aktywności zawodowej posiada regulacje prawne, od pewnego czasu obecne również i w służbie wojskowej. Jednakże gdyby jakaś osoba w armii, w stosunku do poruczonych jej obowiązków chciała się tylko opierać na wytycznych kodeksu pracy, byłoby to za mało. Nie da się bowiem rzetelnie pełnić służby wojskowej pracując tylko i wyłącznie osiem godzin dziennie. Analogiczną sytuację



Fot. B. Ochoński

Gen. bryg. Kazimierz Jaklewicz

Ur. 2.04.1952 r. we Wrocławiu, jest absolwentem Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Zmechanizowanych we Wrocławiu (1975), Wyższego Kursu Doskonalenia Oficerów – dowódców batalionów piechoty zmotoryzowanej (1981), Akademii Wojskowej w Niemczech (1987), Kursu Operacyjno-Taktycznego Wojsk Lądowych w Akademii Obrony Narodowej (1990), Podyplomowego Studium Obronno-Strategicznego w Akademii Dowodzenia Bundeswehry (1995) oraz podyplomowych studiów z zakresu polityki obronnej w Instytucie Marshalla (USA) w Garmish-Partenkirchen w Niemczech. W latach 1991–1995 pełnił służbę w Sztabie Śląskiego Okręgu Wojskowego, gdzie był starszym oficerem i starszym specjalistą Oddziału Rozpoznania i Walki Radioelektronicznej. W listopadzie 2002 roku został wyznaczony na stanowisko dowódcy 17. Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej im. gen. broni Józefa Dowbora Muśnickiego w Międzyrzecz.

02.09.2005 r. objął obowiązki Komendanta-Rektora Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych im. Generała Tadeusza Kościuszki we Wrocławiu.

znajdujemy zresztą w innych zawodach, choćby w dziennikarstwie. Redaktor, by wypracować sukces, musi przejawiać całodobową gotowość dyspozycyjną. W wojsku jest tak samo – jeśli ktoś liczy tu na minimum wysiłku, niczego nie osiągnie.

– Jest Pan rektorem-komendantem najstarszej w Polsce uczelni kształcącej kadry oficerskie. Uczelni, której historia sięga roku 1765, kiedy to edyktem króla Stanisława Augusta Poniatowskiego została powołana do życia Szkoła Rycerska. Czym charakteryzuje się Wyższa Szkoła Oficerska współcześnie, szczególnie na tle analogicznych placówek w Zjednoczonej Europie?

– Jeżeli chodzi o status, Wyższa Szkoła Oficerska Wojsk Lądowych we Wrocławiu od 1 września

Być żołnierzem zawodowym, to – po pierwsze – być rzeczowo przygotowanym do swojego stanowiska pracy, po drugie zaś – posiadać wiedzę i umiejętności kształcenia oraz wychowywania podwładnych

2005 r. stała się uczelnią publiczną, a dokładnie: publiczną uczelnią zawodową. Oznacza to, że mamy teraz możliwość ubiegania się o uzyskanie uprawnień do realizacji studiów II stopnia – magisterskich, bądź III stopnia – doktoranckich.

Szkolnictwo wojskowe od dłuższego czasu poddawane jest procesowi intensywnej restrukturyzacji. W ostatnich miesiącach minister obrony narodowej, w porozumieniu z ministrem nauki i szkolnictwa wyższego, podjął długofalowe decyzje o ukształtowaniu statusu uczelni wojskowych – akademii i wyższych szkół oficerskich. W związku z tym mamy w tej chwili jasno sprecyzowaną drogę, którą powinniśmy iść, aby spełnić postawione sobie cele rozwojowe. Droga jest następująca: na dzień dzisiejszy Wyższa Szkoła Oficerska, jako publiczna uczelnia zawodowa, kształci słuchaczy studiów dziennych na trzyletnich kursach licencjackich, a także konty-

nuuje – we współpracy z Politechniką Wrocławską – studia dzienne magisterskie. Kierunek studiów, który w tej chwili jest realizowany w mojej uczelni, to zarządzanie. Dodatkowo prowadzimy Studium Oficerskie – czyli roczne szkolenie dla absolwentów cywilnych uczelni z tytułem zawodowym magistra. Są oni przyjmowani po ukończeniu studiów kierunkowych oraz zdaniu egzaminów z języka angielskiego i testów sprawności fizycznej. W profilu ogólnodowodczym w okresie dwunastu miesięcy podchorążowie ci realizują program szkolenia wojskowego, przygotowujący ich do promocji na pierwszy stopień oficerski, tj. podporucznika WP. Dodatkowo, w ramach WSO kształcą się również studenci na tzw. „stanowiska szczególne”. To słuchacze, którzy są także absolwentami uczelni cywilnych z tytułem magistra określonego kierunku studiów,

np. prawa, teologii, administracji, logistyki lub finansów. Przychodzą do WSOWL na okres trzech miesięcy i w ciągu tego czasu odbywają szkolenie wojskowe w celu uzyskania ogólnej wiedzy niezbędnej dla podporucznika WP. Różnica w stosun-

ku do kierunku ogólnowojskowego polega na tym, że ci absolwenci obejmują stanowiska w jednostkach organizacyjnych WP całkowicie zbieżne z ukończeniem kierunku cywilnego. Oznacza to, że jeżeli prawnik zostaje podporucznikiem, to idzie na stanowisko radcy prawnego, ksiądz na stanowisko kapelana wojskowego itp. Pozostali zaś kształcący się tutaj dwanaście miesięcy podchorążowie, obejmują przysługujące im ustawowo pierwsze stanowisko służbowe, jakim jest stanowisko dowódcy plutonu.

Powiedziałem o specjalnościach wojskowych, pragnę jednak nadmienić, że dzisiejsze struktury wojskowe już od najniższego szczebla organizacyjnego działają w tzw. *joincie*, czyli połączeniu. Nie może być sytuacji, że oficer jest tylko i wyłącznie dowódcą plutonu zmechanizowanego i tylko z tego zakresu posiada wiedzę. Przecież w warunkach bojowych obok siebie ma

artylerię i wsparcie lotnicze. Musi więc wiedzieć, jak współdziałać, jak wykorzystać rezultaty ich działania. To wymaga dłuższego szkolenia, stąd różnica: dwanaście i trzy miesiące.

Dodatkowo Szkoła zajmuje się także przygotowaniem żołnierzy i oficerów do misji poza granicami kraju. Zanim nasi żołnierze wyjadą do Iraku, Afganistanu czy Libanu szkolimy ich w ramach odpowiednich kursów do pełnienia różnego rodzaju zadań.

– Zgodnie z zamierzeniami byłego szefa MON Radostawa Sikorskiego, trwają zaawansowane prace nad utworzeniem Uniwersytetu Obrony Narodowej, uczelni powołanej na bazie Akademii Obrony Narodowej, Wojskowej Akademii Technicznej, Akademii Marynarki Wojennej w Gdyni, Wyższej Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych w Dęblinie oraz Wyższej Szkoły Oficerskiej we Wrocławiu. Projekt ten od samego początku wzbudzał i wciąż wzbudza wiele kontrowersji, nawet w środowiskach studenckich. Pana zdanie dotyczące UON było niezwykle ostrożne...

– Nie byłem wrogiem powołania Uniwersytetu i dalej twierdzę, że z punktu widzenia znaczenia wyższych uczelni na rynkach edukacyjnych Polski i Europy panuje tendencja do wzmacniania placówek edukacyjnych zarówno pod względem jakości kształcenia, jak i ich organizacji. Tylko mocne placówki edukacyjne będą posiadały znaczenie w Polsce i Europie – to według mnie sprawa, która nie ulega podważeniu. Wychodząc zatem z tego punktu widzenia uważałem, że słusznym jest utworzenie w ramach szkolnictwa wojskowego jednej mocnej uczelni – uczelni, która stałaby się konkurencyjna dla innych szkół wojskowych w Europie i na świecie. Problem polegał na czymś innym. Moje zastrzeżenia budził sposób powołania tej placówki. Był, delikatnie mówiąc, po prostu nie do przyjęcia. Projekt zakładał bowiem likwidację wszystkich dotychczas istnieją-

cych uczelni wojskowych przed powołaniem Uniwersytetu. To mogłoby spowodować wielkie zagrożenie dla szkolnictwa wojskowego. Zlikwidować jest łatwo, utworzyć coś, biorąc pod uwagę wszystkie uwarunkowania i kryteria, jakie należy wcześniej spełnić – to proces, którego nie da się wykonać w jeden dzień. To właśnie wzbudziło i wzbudza nadal moje największe zastrzeżenia.

Musimy tak przygotowywać wychowanków, by dobrze pełnili swoje obowiązki w armii, a po odejściu z niej, umieli odnaleźć się w cywilnym życiu zawodowym

Wciąż jednak uważam, że wzmocnienie szkolnictwa wojskowego w Polsce w oparciu o projekt stworzenia szkoły wyższej, która będzie mogła się liczyć nie tylko w ramach szkół wojskowych w Europie, ale również na świecie, jest pomysłem dobrym i wiele obiecującym.

– Jaka jest przyszłość absolwentów Wyższej Szkoły Oficerskiej? Czy dzielą oni taki sam przykry los bezrobotnych, jak ich koledzy z uczelni cywilnych?

– Nie mamy tego problemu. Jest to zasługą procesu dydaktycznego, ale także uwarunkowań formalno-prawnych. W odróżnieniu od uczelni cywilnych ja, jako komendant-rektor, jestem zobowiązany zapewnić moim absolwentom pracę. W WSOWL nie ma takiej sytuacji, że student kończy uczelnię, wychodzi za bramę i zaczyna szukać sobie miejsca zatrudnienia. Nie. Tu przyjeżdżają oficerowie z dowództwa wojsk lądowych lub sztabu generalnego, z gotowymi ofertami pracy. Nowomianowany podporucznik najpierw idzie na miesięczny urlop, a następnie stawia się w wybranej jednostce wojskowej bądź jednostce organizacyjnej WP w celu objęcia konkretnego stanowiska.

– Czy polskie siły zbrojne stają się – wzorem zachodnich struktur wojskowych – coraz bardziej otwarte na obecność kobiet w ich szeregach?

– Odsetek kobiet w polskiej armii oraz szkołach oficerskich jest coraz większy. W chwili obecnej mam ok. 80 % mężczyzn i 20% kobiet. Pragnę zaznaczyć, że liczba kobiet w wojsku stale się zwiększa. A to z prostej przyczyny. Kryteria przyjęć, jakie obowiązują dla obu płci, są takie same. Do WSOWL przychodzą ludzie młodzi, absolwenci wyższych uczelni bądź maturzyści. I muszę powiedzieć, że w tym przedziale wiekowym

Nie może być sytuacji, że oficer jest tylko i wyłącznie dowódcą plutonu zmechanizowanego i tylko z tego zakresu posiada wiedzę. Przecież w warunkach bojowych obok siebie ma artylerię i wsparcie lotnicze. Musi więc wiedzieć, jak współdziałać, jak wykorzystać rezultaty ich działania

wyniki w nauce osiągane przez kobiety są zdecydowanie lepsze. Posiadają one często wyższe oceny na swoich świadectwach i dyplomach niż mężczyźni. Jeżeli do tego dodać większe ambicje, które są widoczne u kobiet, a także większą motywację, to wolalbym nie być złym prorokiem, ale ten procent może jeszcze wzrosnąć. Oczywiście oby nie był zbyt wysoki, bo wtedy zatracimy ideę tego, czym ma być armia. Nie chciałbym bowiem dożyć czasów, gdzie w armii byłoby 80% kobiet i 20% mężczyzn. Zdecydowanie jednak nie mam nic przeciwko służbie kobiet w armii. Z własnych doświadczeń zauważyłem, że między mężczyzną-żołnierzem a kobietą-żołnierzem nie ma dużej różnicy, zaś w niektórych przypadkach lepiej pracuje się z kobietami niż z mężczyznami. Przede wszystkim dlatego, że dysponują one większą odpornością psychiczną niż mężczyźni i łatwiej radzą sobie w sytuacjach stresowych.

– *Dydaktyka przez rokiem 1989 i po. Jakie zmiany zaszły – jeśli zaszły – w procesie nauczania*

przedmiotów wojskowych w szkołach oficerskich?

– Proces dydaktyczny zależy przede wszystkim od nauczycieli akademickich – tak było przed rokiem 1989, tak jest teraz i tak będzie zawsze. Przekształceniu uległy natomiast uwarunkowania związane z poszerzaniem horyzontów myślowych wychowanków, a to poprzez dodanie

do procesu edukacyjnego pewnych przedmiotów, które z różnych powodów w poprzednich okresach nie były obecne. Nasi słuchacze mają wykłady z zakresu np. prawa międzynarodowego lub prawa konfliktów zbrojnych, komunikacji społecznej, technolo-

gii informacyjnych itp. To dosyć istotny zasób wiedzy, którą oficer musi posiadać, aby właściwie realizować powierzone mu zadania. Zwiększona została także ilość przedmiotów oraz liczba przysługujących im godzin: zwłaszcza w zakresie psychologii, socjologii, pedagogiki. Dużą uwagę przywiązujemy również do nauki języków obcych.

Przed wszystkim jednak, to co różni dzisiaj dydaktykę od tej sprzed roku 1989, to możliwość wykorzystania nowoczesnych technologii dydaktycznych, które wtedy albo nie były dostępne, albo po prostu jeszcze nie istniały.

– *Na zakończenie pytanie podsumowujące. Jakich przeobrażeń spodziewa się, mo-*

Nie mam nic przeciwko służbie kobiet w armii. Z własnych doświadczeń zauważyłem, że między mężczyzną-żołnierzem a kobietą-żołnierzem nie ma dużej różnicy, zaś w niektórych przypadkach lepiej pracuje się z kobietami niż z mężczyznami. Przede wszystkim, dlatego, że dysponują one większą odpornością psychiczną niż mężczyźni i łatwiej radzą sobie w sytuacjach stresowych

że się spodziewać lub spodziewać się powinna Wyższa Szkoła Oficerska Wojsk Lądowych we Wrocławiu?

– Uważam, że dla dobra obecnych i przyszłych absolwentów każdej uczelni – w tym wojskowej – lepszym rozwiązaniem na pewno jest ukończenie szkoły, której dyplom daje równe prawa każdemu z jej absolwentów. Nieważne, czy to jest Wyższa Oficerska Szkoła Pożarnicza w Warszawie, czy Wyższa Oficerska Szkoła Policji w Szczycie, czy wreszcie Uniwersytet Jagielloński lub Politechnika Wrocławska. Dla mnie wartością, która ma być oceną danej uczelni, jest wartość jej absolwenta, tzn. to, jak szkoła wykształciła i wyszkoliła młodego człowieka. Jeżeli dzisiaj absolwentów Uniwersytetu Yale każdy pracodawca bierze „na pniu”, to nie dlatego, że ów człowiek ukończył uczelnię o takiej nazwie, zlokalizowaną w takim a takim mieście, ale dlatego, że poziom i jakość kształcenia dają gwarancję dobrego przygotowania młodego człowieka do pracy zawodowej.

Na dzisiaj mogę powiedzieć, że decyzje i akty prawne, które są wydawane odnośnie bieżącej działalności uczelni idą w tym kierunku. I byłoby dobrze, aby się to nie zmieniało. Ja patrzę kategoriami przyszłej służby wojskowej i tu mogę śmiało powiedzieć, nawiązując do pierwszego pytania, że chyba skończyły się czasy, kiedy zawód oficera czy pobyt w armii był zagwarantowany od wstąpienia do niej do emerytury. Na pewno z punktu widzenia tych, którzy są w mundurach, byłoby to dobre. Ale ten czas się kończy. Trzeba będzie planować swoje „mundurowe” życie zawodowe na czas określony. A potem przygotować się do tego, żeby resztę życia zawodowego spędzić na stanowisku cywilnym. I to też obliuguje mnie do stwierdzenia, że my – wykładowcy uczelni wojskowych – musimy tak przygotowywać swoich wychowanków, by dobrze pełnili swoje obowiązki w armii, a po odejściu z niej, umieli odnaleźć się w cywilnym życiu zawodowym.

– *Serdecznie dziękuję za rozmowę.*

Rozmawiał Marcin Kania

Rozmowa została przeprowadzona w lipcu 2007 r.

Zbigniew Kwiasowski

Problem bezpieczeństwa człowieka w edukacji nauczycielskiej

*Przetrawianie na progu XXI wieku wymaga
czegoś więcej niż tylko instynktu.*

H. Toffler

Katedra Edukacji Obronnej (KEO) jest jedną z sześciu jednostek naukowo-dydaktycznych w Polsce, które kształcą nauczycieli przedmiotu przysposobienie obronne (PO) oraz prowadzą badania naukowe w obszarach szeroko pojętego bezpieczeństwa i obronności narodowej. Poniższe rozważania są próbą odpowiedzi na pytanie: jakie jest miejsce i rola bezpieczeństwa człowieka w edukacji nauczycielskiej?

By próbować zrozumieć świat trzeciego tysiąclecia, nauczyciel winien przede wszystkim dostrzegać trzy dominujące jego cechy. Po pierwsze: współczesny świat ulega coraz większemu skurczeniu, zaś jego problemy nie tylko rozszerzają się przestrzennie, ale również intensyfikują. Po drugie: postępuje uniwersalizacja (globalizacja) dotychczasowych problemów, z którymi boryka się człowiek. Po trzecie zaś: obecne zagrożenia oraz te przewidywane na najbliższą przyszłość, mają głównie charakter „cywilizacyjny”. Są one przede wszystkim wytworem działalności człowieka i dlatego człowiek powinien być w stanie znaleźć ich rozwiązanie.

Obok rozumienia współczesnych zjawisk i próby ich interpretacji, koniecznym staje się odnalezienie w nich tego, co ludzkie. Uczenie młodzieży definiowania zarówno dobra, jak i zła oraz rozróżniania tego, co jest dobrem a co złem to nieustające, olbrzymie wyzwanie dla nauczyciela, które w realiach XXI w. nabiera szczegól-

nego znaczenia. Zjawiska okresu przełomu – zarówno w skali makro, jak i mikro – to zjawiska mające zupełnie inne niż dotychczasowe oblicze. I tak np. terroryzm nowej generacji to już nie walka słabych z silnymi, lecz wojna silnych z bardzo silnymi. To także nowe kategorie broni i sprzętu. Mówiąc językiem klasyków literatury problemu – współczesna wojna to nie walka człowieka z człowiekiem, ale maszyny z maszyną.

Dokonując analizy wybranych problemów bezpieczeństwa społecznego, zauważa się olbrzymią złożoność podejmowanych kwestii i bardzo szerokie spektrum analizowanych zagadnień. A oto kilka wybranych przykładów.

Trzecie tysiąclecie przywitało nas wojną z terroryzmem. Ale jest to wojna inna niż te, o których uczymy się z podręczników historii.

Terroryzm nowej generacji to już nie walka słabych z silnymi, lecz wojna silnych z bardzo silnymi

W dwóch ostatnich wielkich konfliktach zbrojnych większość obszaru ziemskiego nie została wszakże dotknięta pożogą i zniszczeniem. Tego

nie można powiedzieć o wojnie z terroryzmem i zapewne nie będzie można powiedzieć o skutkach ewentualnej wojny nuklearnej.

Specjaliści na łamach literatury problemu podają oszałamiające przykłady najnowszych możliwości w zakresie cyberterroryzmu, superterroryzmu czy bioterroryzmu. Klasyczne zasady prowadzenia działań zbrojnych mają coraz mniejsze zastosowanie, a współczesna wojna przypomina raczej biznes. Prywatyzacja wojny, co widać choćby na przykładzie Iraku, staje się obecnie czymś normalnym i powszechnym. W roku 1991 w wojnie o Kuwejt na 50 żołnierzy przypadał jeden najemnik. Obecnie w Iraku jest już około 40 000 najemników, w tym co tydzień ginie ich około 80.

Współczesny terroryzm coraz częściej traktuje i najprawdopodobniej nadal traktować będzie człowieka przedmiotowo, jako sprzęt. Obserwując akcje samobójcze nietrudno sobie wyobrazić człowieka-kamikadze, który staje się nosicielem głowicy nuklearnej (np. umieszczonej na plecach). Po odpaleniu ładunku mamy powtórkę z Hiroszimy, ze wszystkimi natychmiastowymi i późniejszymi efektami. W kolejnych aktach terroryzmu nowej generacji może dojść do innych niż dotychczas znane wydarzenia. Przykładem mogą być wielogodzinne przerwy w dostawie energii elektrycznej w wielkich aglomeracjach miejskich, użycie w przesyłkach pocztowych bakterii węglików czy innych środków z szerokiej gamy broni masowej zagłady, możliwość zastosowania „deszczu”, który kruszy wszelkie metale, substancji, z pomocą której uzyskuje się śliskość powierzchni na dużych przestrzeniach (kroku nie zrobi wtedy żaden człowiek, nie wystartuje żaden samolot, nie ruszy żaden pojazd) czy wreszcie generatorów infradźwiękowych, które rozpraszają tłumy powodując masową utratę kontroli nad jelitami.

A terroryzm w skali mikro? Wychodząc z definicji terroru, pewne zjawiska noszące znamio-

na przemocy, jakie obserwujemy np. w szkole, w domu, a także w środowiskach zamkniętych (jak np. wojsko, więźniowie, kibice sportowi) zdecydowanie można nazwać zjawiskami o charakterze terrorystycznym. Bo kimże jest starszy kolega szkolny (grupa kolegów) żądający od młodszego, słabszego ucznia pieniędzy, w zamian za nietykalność osobistą? Kimże jest pijany ojciec znęcający się nad rodziną? W jakim kontekście komentowano zachowanie pseudokibiców Legii na meczu w Wilnie 8 lipca 2007 r.? Czyż to nie terroryści? Dlaczego Minister Edukacji Narodowej od pierwszego września 2007 r. wprowadził do każdej szkoły w Polsce *koordynatora ds. bezpieczeństwa*?

W dynamicznie rozwijającym się świecie mediów XXI w. dominującą rolę odgrywa globalna sieć internetowa, która na zawsze zmieniła oblicze współczesnego świata. Internet z jednej strony jest obecnie najpotężniejszym źródłem i nośnikiem informacji, z drugiej zaś kształtuje system wartości i postawy człowieka. Publikowane w ostatnich latach badania dotyczące roli mediów dokumentują, że w Polsce spędzamy przed telewizorem dziennie średnio około trzy i pół,

Prywatyzacja wojny, co widać choćby na przykładzie Iraku, staje się obecnie czymś normalnym i powszechnym. W roku 1991 w wojnie o Kuwejt na 50 żołnierzy przypadał jeden najemnik. Obecnie w Iraku jest już około 40 000 najemników, w tym co tydzień ginie ich około 80

a przed monitorem komputera około cztery godziny. Dotyczy to zarówno młodzieży, jak i osób dorosłych. Analizując problem z uwzględnieniem emitowanych treści, trudno nie zgodzić się z tezą o toksycznej roli mediów w wielu aspektach ich działalności.

Z analizy prowadzonych badań oraz doświadczeń nauczycieli i psychologów wynika, że podstawowy, narastający problem, o którego rozwiązanie ciągle trudno, to agresja, gniew i przemoc społeczna – zjawisko, które z więk-

szym lub mniejszym nasileniem notuje większość państw świata. W USA w ostatnich latach młodzież w szkołach użyła broni co najmniej sześć razy. Jak podaje Państwowy Instytut Edukacji (National Institute of Education), co miesiąc 3 miliony uczniów i nauczycieli pada ofiarami przemocy w amerykańskich szkołach średnich. Polska szkoła także nie jest wolna od negatywnie postrzeganych zjawisk, które w swej ekstremalnej formie często prowadzą do tragedii. Subkultury młodzieżowe, mobbing, uzależnienia, agresja oraz wszelkiego rodzaju konflikty szkolne są zjawiskami ulegającymi zatrważającej intensyfikacji. W marcu 2006 r. Centrum Badań Opinii Społecznej przeprowadziło na zlecenie dzienników regionalnych ogólnopolskie badanie socjologiczne na próbie uczniów, nauczycieli i rodziców, celem którego stała się wszechstronna diagnoza zjawiska przemocy w szkołach. W roku szkolnym 2005/2006 ponad połowa badanych uczniów weszła co najmniej

gami. Jak wynika z analizy przeprowadzonych badań, największe problemy pojawiają się w gimnazjach. Ponieważ zjawisko przemocy w polskiej szkole rośnie z roku na rok, przeciwdziałanie mu stało się jednym z priorytetów Ministerstwa Edukacji Narodowej. Najbardziej znane programy profilaktyczne to: *Stop przemocy*, *Zero tolerancji dla przemocy w szkole* oraz *Ochronić dziecko przed przemocą*.

Dla nauczyciela XXI w., bez względu na jego specjalność i miejsce zamieszkania, ważne staje się rozumienie wagi problemów bezpieczeństwa człowieka. Przy czym o ile postrzeganie bezpieczeństwa, jako jednej z fundamentalnych potrzeb człowieka, jest kwestią powszechnie znaną i uznaną, o tyle subiektywne postrzeganie przez niego tej potrzeby przejawiające się w postaci poczucia bezpieczeństwa indywidualnego a także społecznego jest materią często bardzo kontrowersyjną i dla nauczyciela trudną. A przecież zdecydowana większość ludzi chce być bezpiecz-

W obowiązujących standardach kształcenia nauczycieli oraz standardach kształcenia na kierunku pedagogika, znalazły się już treści dotyczące bezpieczeństwa. Jak sądzą jest to również dobry zwiastun, wskazujący na rosnącą rolę i miejsce bezpieczeństwa człowieka w edukacji nauczycielskiej

raz w konflikt z innymi uczniami. Natężenie konfliktów wzrasta szczególnie w gimnazjum. Wśród badanych 32% uczniów i 34% nauczycieli uważa, że w ich szkole przemoc jest problemem poważnym, wciąż źle rozwiązywanym. Najwyższy procent takich odpowiedzi notuje się w gimnazjach. Według 29% uczniów w ich szkole zdarza się, że uczniowie są agresywni wobec nauczycieli i 27% uczniów twierdzi, że „w mojej szkole jest dużo agresji i przemocy między uczniami”. W roku szkolnym 2005/2006 blisko połowa (47%) uczniów miała przynajmniej jeden konflikt z nauczycielami (w tym 15% kilka lub wiele razy), a 69% uczniów miało w tym roku szkolnym przynajmniej jeden konflikt z kole-

na i chce czuć się bezpiecznie. Na wszystkich etapach edukacyjnych w nauczanych przedmiotach zawarte są treści bezpieczeństwa. Nie ma jednak uniwersalnej metody odpowiadającej na pytania: „w jaki sposób uczyć poczucia bezpieczeństwa?” oraz: „co zrobić by po prostu być bezpiecznym?” Bardzo istotnym

przełożeniem na praktykę pedagogiczną w tym zakresie jest tworzenie (także przez pracowników KEO) tematycznych programów i scenariuszy lekcji z tego obszaru wiedzy. Za przykład mogą służyć scenariusze lekcji będące treścią opracowania pod tytułem *Jestem bezpieczny*, wydanego jako pokłosie ogólnopolskiego konkursu dla nauczycieli i wychowawców na scenariusz lekcji z zakresu powszechnego bezpieczeństwa dzieci i młodzieży. Nauczyciel-pedagog, ucząc jak żyć bezpiecznie musi, obok dostarczania uczniom podstawowej wiedzy z zakresu bezpieczeństwa, dokonać oceny i diagnozy środowiska oraz spróbować sformułować prognozę, a także środki zaradcze. Inaczej mówiąc, musi odpowie-

dzień na pytania: jak funkcjonować w różnych obszarach bezpieczeństwa: (zdrowotnego, komunikacyjnego, szkolnego, lokalnego itd.) oraz co złego może się stać, jak często może się to stać, jakie mogą być tego skutki i jak sobie z tym poradzić?

Katedra Edukacji Obronnej aktualizując i dostosowując od kilku lat programy kształcenia nauczycieli i pedagogów, zgodnie z ogólnosiątkową tendencją, eksponuje problematykę bezpieczeństwa. Opracowywane na podstawie prowadzonych badań programy, w zależności od specjalności dotyczą: *Edukacji dla bezpieczeństwa, Bezpieczeństwa narodowego, Bezpieczeństwa człowieka, Bezpieczeństwa w edukacji, Problemów bezpieczeństwa współczesnego świata, Zagrożeń cywilizacyjnych* itd. Realizowane w KEO tematy badawcze, wspólnie z innymi ośrodkami naukowo – dydaktycznymi

w Polsce oraz korzystanie z rozwiązań Unii Europejskiej dotyczących form i treści edukacyjnych w obszarze bezpieczeństwa, pozwalają wypracować programy mieszczące się w aktualnym nurcie potrzeb kształcenia nauczycieli. Obok wymieniowych programów, w obowiązujących standardach kształcenia nauczycieli oraz standardach kształcenia na kierunku pedagogika, znalazły się już treści dotyczące bezpieczeństwa. Jak sądzę, jest to również dobry zwiastun, wskazujący na rosnącą rolę i miejsce bezpieczeństwa człowieka w edukacji nauczycielskiej.

W prezentowanych rozważaniach nie dokonuję kategoriycznych odpowiedzi na zadane pytania, bowiem moim celem było sprowokowanie wszystkich zainteresowanych do głębszych refleksji nad poruszonym problemem.

Zbigniew Kwiasowski

Janusz Wojtycza

Działalność Zakładu Wychowania Obronnego i Katedry Edukacji Obronnej w latach 1974–2007

Na początku lat pięćdziesiątych do programów nauczania w szkołach średnich zostało wprowadzone przysposobienie wojskowe, które w roku 1967 zostało przekształcone w przysposobienie obronne. Początkowo nauczycieli przysposobienia wojskowego rekrutowano spośród nauczycieli-oficerów rezerwy. Organizowano również krótkie kursy doskonalące, pracę w zespołach metodycznych i samokształcenie. W 1955 r. powołano na szczeblu Ministerstwa Oświaty komisję kwalifikacyjno-egzaminacyjną dla nauczycieli przysposobienia wojskowego. Komisja ta pracowała do roku 1960 w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie. Większość kursów tego typu była organizowana przez Studium Wojskowe WSP w Krakowie. Przed wymienioną komisją egzamin dyplomowy złożyło 713 nauczycieli z całej Polski.

1 X 1968 r. w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie powołano Roczne Studium Przysposobienia Obronnego dla nauczycielek – absolwentek kierunków nauczycielskich wyższych uczelni. W latach 1968–1970 ukończyły je łącznie 84 słuchaczki, które uzyskały tytuł podchorążego i stopień kaprała oraz uprawnienia instruktora Powszechnej Samobrony I stopnia i instruktora PCK III stopnia. Od roku 1969 równolegle otwarto kierunek studiów geografii z przysposobieniem obronnym. Były to trzyletnie studia zawodowe (WSN). W kształceniu studentów tego kierunku brali udział prawie wszyscy oficerowie Studium Wojskowego WSP, a w roku 1970 został wydzielony zespół oficerów pod kierun-

kiem ppłk mgr Zdzisława Ogonowskiego, zajmujący się kształceniem studentów tego kierunku. Równocześnie Studium Wojskowe WSP zostało uznane przez Ministerstwo Oświaty i Szkolnictwa Wyższego za przodujące i wiodące w tej dziedzinie. Łącznie studia dzienne zawodowe w zakresie geografii z wychowaniem obronnym, prowadzone w latach 1969/70–1974/75 ukończyło 207 absolwentów.

Zakład Wychowania Obronnego

Od roku 1973 nastąpił powrót do jednolitych studiów magisterskich czteroletnich dziennych i zaocznych. Było to związane z planowanym wprowadzeniem powszechnej szkoły średniej w Polsce. W roku akademickim 1973/74 Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Krakowie rozpoczęła kształcenie na kierunku pedagogika w zakresie wychowania obronnego. W związku z tym powołano Zakład Wychowania Obronnego wchodzący w skład Instytutu Nauk Pedagogicznych z kierownikiem płk mgr Bolesławem Smętkiem. W skład kadry ZWO weszli obok kierownika płk. mgr. Zdzisława Ogonowskiego oraz szeregu oficerów Studium Wojskowego pracownicy cywilni: dr Irena Isterewicz, dr Marian Śnieżyński i mgr Oktawian Berezowski. Ogółem czteroletnie studia dzienne magisterskie na kierunku pedagogiki w zakresie wychowania obronnego, prowadzone do roku 1986, ukończyło 294 absolwentów.

W 1973 r. powołano także dwuletnie studia dzienne i zaoczne magisterskie na kierunku peda-

gogika w zakresie wychowania obronnego dla absolwentów studiów pierwszego stopnia, ukończonych na kierunkach dwuprzedmiotowych oraz czteroletnie studia magisterskie zaoczne na kierunku pedagogika w zakresie wychowania obronnego dla nauczycieli przysposobienia obronnego nie posiadających wykształcenia akademickiego. W 1975 r. powierzono Zakładowi prowadzenie Studium Fakultatywnego Metodyki Wychowania Harcerskiego, które było prowadzone do roku 1987/88.

Zdecydowaną większość studiujących na studiach czteroletnich, zwłaszcza po 1977 r., stanowili czynni nauczyciele przysposobienia obronnego o co najmniej kilkuletnim stażu pracy w zawodzie i nauczający wyłącznie lub głównie przysposobienia obronnego w szkołach ponadpodstawowych. Ich liczba wynosiła ponad 80%. W późniejszych latach liczba ta uległa zmniejszeniu. Pozostałą część studentów stanowili oficerowie zawodowi, głównie wykładowcy studiów wojskowych na uczel-

niach, pracownicy zespołów ds. obronnych w kulatoriach oraz pracownicy instytucji paramilitarnych. Później, pod koniec lat siedemdziesiątych, coraz więcej było nauczycieli szkół podstawowych, uzupełniających jedynie pensum godzinami przysposobienia obronnego. Na studiach dwuletnich dominowali absolwenci kierunku geografii z przysposobieniem obronnym, ludzie młodzi, głównie kobiety. Łącznie studia czteroletnie zaoczne na kierunku pedagogika w zakresie wychowania obronnego do roku 1986 ukończyło 412 osób.

Na układzie i treściach programów studiów dwuletnich zaważyło związanie specjalizacji z pedagogiką. Uznano, że słuchacze mają gruntowną wiedzę merytoryczną, uzyskaną na studiach pierwszego stopnia. W związku z tym tematykę tę ograniczono do minimum, a po dwóch latach w ogóle skreślono z programu studiów przedmioty kierunkowe. Było to niekorzystne, zwłaszcza, że słuchaczami byli ludzie



Rektor AP oraz pracownicy Katedry Edukacji Obronnej

młodzi, bez praktyki w zawodzie nauczycielskim. Studia te organizacyjnie włączono do Instytutu Nauk Pedagogicznych i kadra Zakładu Wychowania Obronnego nie miała wpływu na organizację procesu kształcenia. Łącznie, dwuletnie studia magisterskie na kierunku pedagogika w zakresie wychowania obronnego do roku 1986 ukończyło 277 absolwentów, w tym 63 w trybie dziennym i 214 w trybie zaocznym.

W kwietniu 1980 r. kierownikiem Zakładu Wychowania Obronnego mianowany został ppłk dr Stefan Zabdyrski.

W roku 1981/82 uruchomiono studia podyplomowe dla absolwentów kierunku pedagogiki w zakresie wychowania obronnego. Stwierdzono, że ok. 60% treści programowych uległo zmianie, dlatego na studia te rekrutowano absolwentów, którzy ukończyli studia przed kilku laty.

W styczniu 1982 r. został rozwiązany Instytut Nauk Pedagogicznych, w jego miejsce powstały samodzielne jednostki, a wśród nich Samodzielny Zakład Pedagogiki z Wychowaniem Obronnym pod kierunkiem ppłk. dr. Stefana Zabdyrskiego. Jeszcze w październiku tego samego roku została przywrócona poprzednia nazwa zakładu – Zakład Wychowania Obronnego.

W dniach 14–15 maja 1982 r. Zakład Wychowania Obronnego był organizatorem pierwszej konferencji naukowej nt. modyfikacji studiów dla nauczycieli przysposobienia obronnego. W obradach uczestniczyli przedstawiciele Rady Naukowej MON, ministerstw Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki oraz Oświaty i Wychowania, Zespołu Wychowania Obronnego Komisji Nauk Pedagogicznych PAN oraz przedstawiciele licznych środowisk naukowych z całego kraju.

Od roku 1982/83 wprowadzono pięcioletnie magisterskie studia stacjonarne na kierunku wychowanie obronne. Równocześnie były prowadzone studia podyplomowe dwusemestralne, a w latach następnych trzyletnie dla nauczycieli wychowania obronnego. W roku 1983/84 rozpoczęto także pięcioletnie magisterskie studia zaoczne na kierunku wychowanie obronne. Studia te zastąpiły czteroletnie studia na kie-

runku pedagogika w zakresie wychowania obronnego.

Studia podyplomowe wychowania obronnego, trwające trzy semestry, były przeznaczone dla czynnych nauczycieli z wyższym wykształceniem, nauczających przysposobienia obronnego w szkołach ponadpodstawowych, a nie posiadających przygotowania specjalistycznego, uzyskanego poprzez ukończenie studiów wyższych na kierunku pedagogiki w zakresie wychowania obronnego lub wychowania obronnego. W wyjątkowych przypadkach mogli być na nie przyjmowani również wykładowcy przedmiotów obronnych studiów wojskowych szkół wyższych. Studia te do roku 1986 ukończyło 75 osób.

W roku 1987 zmieniono nazwę kierunku studiów na: pedagogika w zakresie specjalności wychowanie obronne. W latach 1986–1990 w ramach Centralnego Ośrodka Metodycznego Studiów Nauczycielskich funkcjonował również Zespół Kierunkowy Pedagogiki Obronnej skupiający 23 osoby, w tym 3 profesorów, 2 docentów, 9 doktorów i 9 magistrów.

W dniach 23–24 września 1988 r. odbyła się konferencja naukowa nt. *Stan i przyszłość kształcenia w zakresie przysposobienia obronnego*, zorganizowana przez Zakład Wychowania Obronnego. W konferencji uczestniczyło 120 osób. Wygłoszono 6 referatów w sesji plenarnej, a w sekcjach problemowych przedstawiono 27 referatów, komunikatów i sprawozdań.

Od września 1989 do czerwca 1991 r. Zakładem Wychowania Obronnego kierował płk dr hab. Paweł Tyrała, a od czerwca 1991 r. ppłk dr hab. Sławomir Mazur.

Z dniem 1 VII 1991 r. uległ likwidacji Samodzielny Zakład Wychowania Obronnego, a w jego miejsce został utworzony Zakład Wychowania Obronnego w Katedrze Pedagogiki. Zakład prowadził w tym czasie pięcioletnie studia dzienne i zaoczne o kierunku pedagogika w zakresie specjalności wychowanie obronne. W związku z przeobrażeniami oświatowymi i społeczno-politycznymi w kraju oraz brakiem unormowań prawnych funkcjonowania na terenie szkół

przedmiotu przysposobienie obronne od roku 1991/92 została wstrzymana rekrutacja na ten kierunek. Ostatni absolwenci opuścili uczelnię w czerwcu 1995 r.

16 I 1992 r. Minister Edukacji Narodowej podjął decyzję o utworzeniu w strukturze WSP w Krakowie Wydziału Pedagogicznego, w skład którego weszła Katedra Pedagogiki, w tym Zakład Wychowania Obronnego.

W roku 1993/94 otwarto trzyletnie zaoczne studia zawodowe o kierunku pedagogika w zakresie specjalności wychowanie obronne. Następnie w lutym 1994 r. zorganizowano 2,5-letnie studia magisterskie w zakresie pedagogiki z wychowaniem obronnym dla oficerów wojska polskiego i straży pożarnej. Ponowne otwarcie pięcioletnich studiów dziennych na kierunku pedagogiki z wychowaniem obronnym nastąpiło w roku akademickim 1994/95. Od roku 1997/98 otwarto dwuletnie magisterskie zaoczne studia uzupełniające.

Od września 1994 r. Zakładem Wychowania Obronnego, a następnie Katedrą Edukacji Obronnej, kierował dr inż. Waldemar Kozaczyński.

Od roku 1995/96 siedzibą Wydziału Pedagogicznego stał się budynek przy ul. Ingardena 4, gdzie również znalazł się Zakład Wychowania Obronnego. Wpłynęło to na znaczną poprawę warunków nauczania.

W roku 1995/96 zostały utworzone Studia Podyplomowe „Wychowanie Obronne”, noszące od roku 2001/2002 nazwę „Edukacja dla bezpieczeństwa”. Studia trwające początkowo trzy semestry, a od roku 1999/2000 dwa semestry, miały na celu przygotowanie czynnych nauczycieli posiadających stopień magistra innych specjalności do prowadzenia wychowania obronnego jako drugiego przedmiotu nauczania. Początkowo kierownikiem Studiów był dr Ryszard Wroński, a obecnie kieruje nimi dr hab. prof. AP Tomasz Biedroń.

W dniach 29–30 września obradowała Ogólnopolska Konferencja Naukowa *Edukacja obronna na przełomie wieków* zorganizowana w ramach podsumowania badań statutowych, prowadzonych pod kierownictwem dr. Ryszarda

Wrońskiego. Dorobek konferencji został opublikowany w formie książkowej.

Od roku 1999/2000 wprowadzono pięcioletnie stacjonarne studia magisterskie na kierunku pedagogika z wychowaniem obronnym i wychowaniem fizycznym. W roku 2001/2002 nie było naboru na te studia. W roku 2002/2003 zakończyli studia ostatni absolwenci studiów stacjonarnych pięcioletnich pedagogiki – specjalność wychowanie obronne (łącznie 309 absolwentów) oraz 2,5-letnich studiów magisterskich dla absolwentów wyższych szkół oficerskich (łącznie 177 absolwentów).

Katedra Edukacji Obronnej

Z dniem 1 IX 2000 r. dotychczasowa Katedra Pedagogiki została przekształcona w Instytut Nauk o Wychowaniu, a Zakład Wychowania Obronnego w wchodzącą w jego skład Katedrę Edukacji Obronnej.

Od grudnia 2001 r. funkcję kierownika Katedry Edukacji Obronnej pełni dr hab. prof. AP Zbigniew Kwiasowski. Od roku 2002/2003 pracę w Katedrze Edukacji Obronnej podjął dr hab. (obecnie prof. zw.) Stanisław Sterkowicz, prof. AWF w Krakowie. Z dniem 2 XI 2003 r. Rektor Akademii Pedagogicznej powierzył Katedrze Edukacji Obronnej prowadzenie szkolenia studentów w zakresie przysposobienia obronnego.

W dniu 27 XI 2003 r. odbyła się uroczysta sesja naukowa z okazji 30-lecia kształcenia nauczycieli przysposobienia obronnego w Akademii Pedagogicznej im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie, a w dniach 17 i 18 XI 2005 r. zorganizowana przez Katedrę V Ogólnopolska Konferencja Naukowa nt. *Kształcenie nauczycieli przysposobienia obronnego w polskich uczelniach – stan obecny i perspektywy*, której dorobek został opublikowany w formie książki.

Z dniem 1 września 2005 r. Katedra stała się samodzielną jednostką organizacyjną Wydziału Pedagogicznego składającą się z dwóch zakładów: Zakładu Wychowania Obronnego, kierowanego

przez dr hab. prof. AP Tomasza Biedronia oraz Zakładu Bezpieczeństwa Narodowego kierowanego przez dr. hab. prof. AP Bogdana Tarasiuka.

W roku akademickim 2006/2007 powołano do życia Studia Podyplomowe „Bezpieczeństwo Publiczne i Zarządzanie Kryzysowe”, kierowane przez dr. Janusza Wojtycę.

* * *

Na przestrzeni blisko półwiecza kształcenia nauczycieli przysposobienia wojskowego i przysposobienia obronne go w Wyższej Szkole Pedagogicznej, a obecnie Akademii Pedagogicznej nastąpiły znaczne zmiany. Wykształcił się samodzielny kierunek studiów, przygotowujący nauczycieli do prowadzenia zajęć w tym zakresie na studiach stacjonarnych, zaocznych i podyplomowych. Zmiany te były wynikiem ewolucji systemu szkolnego, a potem także przemian społeczno-politycznych, mających miejsce w naszym kraju. Absolwenci kierunku, których łączna liczba znacznie przekroczyła dwa tysiące, zasilili kadry resortu oświaty, obejmując nie tylko stanowiska nauczycieli przysposobienia obronnego, ale często także dyrektorów szkół. Inni podjęli pracę w służbach mundurowych. Wreszcie liczna

grupa absolwentów studiów zaocznych i podyplomowych uzyskała dodatkowe kwalifikacje i poszerzyła swoją wiedzę w trakcie odbytych studiów. Proces doskonalenia form i metod kształcenia trwa nadal, co świadczy o żywotności kierunku i tym, że jego absolwenci są nadal potrzebni i oczekiwani w szkołach i instytucjach związanych z obronnością państwa. Potwierdza to liczba kandydatów i studentów odbywających studia na kierunku.

Równolegle do rozwoju studiów nastąpił rozwój jednostki prowadzącej kierunek. Z powołanego w 1974 r. zakładu, rozwinęła się Katedra Edukacji Obronnej z dwoma zakładami, zatrudniającą czterech samodzielnych pracowników nauki. Ponadto pracownikami Zakładu Wychowania Obronnego byli w przeszłości m.in. prof. dr hab. Bronisław Siemienicki i prof. dr hab. Marian Śnieżyński, a kierownikami seminariów magisterskich także prof. dr hab. Zygmunt Ruta, prof. dr hab. Michał Śliwa i prof. dr hab. Władysław Wic. Pracownicy katedry prowadzą badania, przygotowują i publikują rozprawy naukowe, a potencjał naukowy katedry uzasadnia plany dalszego rozwoju jednostki.

Janusz Wojtycza

Klaudia Cenda-Cwer

Katedra Edukacji Obronnej wobec współczesnych wyzwań edukacyjnych

Horatius pisał:

*Nam tua res ágitur, páries cum próxímus ardet**- Przecież o twoją sprawę chodzi, gdy pali się dom sąsiada.*

Z niwelowanie odległości czasowych i przestrzennych dzięki technice spolarizowało ludzką kondycję, wyzwalając niektóre jednostki z więzów terytorialnych i nadając im sens eksterytorialny. Pociągnęło to za sobą zwolnienie ludzi z konieczności tworzenia więzów społecznych, pozbycie się odpowiedzialności za konsekwencje swoich działań i – co najgorsze – rozpad wspólnoty już utworzonej przez jej mieszkańców. W czasach, kiedy społeczność międzynarodową nurtują takie kwestie jak: terroryzm i bioterroryzm, konflikty zbrojne, napięcia etniczne, kataklizmy i katastrofy, wzrost przestępczości zorganizowanej, restartyfikacja społeczna, w toku której ustanowiona jest hierarchia społeczno-kulturalna na skalę światową, nadmierna eksploatacja środowiska naturalnego, choroby, patologia społeczna – to świadomość przynależności społecznej i poczucie bezpieczeństwa stanowi wartość i potrzebę każdego człowieka. Współczesne postrzeganie bezpieczeństwa nie ogranicza się tylko i wyłącznie do płaszczyzny militarnej i politycznej np.: braku zagrożenia konfliktem zbrojnym, zdolności narodu do obrony przed wrogiem i destrukcyjnym działaniem innych narodów. Powszechną tendencją jest rozszerzenie znaczenia bezpieczeństwa o płaszczyznę: kulturową, społeczną, ekologiczną, ideologiczną, ekonomiczną (w tym również bezpieczeństwo energetyczne), naukowo-technologiczną.

Wyzwania cywilizacyjne i szeroko pojmowane bezpieczeństwo nakładają na Katedrę Edukacji Obronnej konieczność dostosowania treści kształ-

cenia do współczesnych strategii edukacyjnych organizacji międzynarodowych, które w swoich programach uwzględniają powyższe. W związku z tym, oprócz m.in. szkolenia obronnego i paramilitarnego, wyposażenia studentów w wiedzę z zakresu obronności, ochrony cywilnej, historii wojen i wojskowości, terenoznawstwa, Katedra buduje również siłę ratowniczą, intelektualną, kulturalną i moralną słuchaczy. Zwraca szczególną uwagę na problematykę międzynarodowego prawa humanitarnego, operacje niesienia pomocy humanitarnej, bezpieczeństwo i porządek publiczny, monitoring zagrożeń, ochronę środowiska naturalnego i dóbr kultury, a także na ochronę bytu i więzi społecznej.

Nie rezygnując ze swej podstawowej misji, jaką jest kształcenie w zakresie edukacji obronnej – edukacji dla bezpieczeństwa, Katedra dąży do nadania edukacji wymiaru europejskiego. Przyjmując wykładnię europejskiego wymiaru edukacji, zawartą w Rezolucji UE z 1988 r. i dokumentach Rady Europy, jest on „utożsamiany z fundamentalnymi wartościami życia politycznego, społecznego i indywidualnego, które winny przenikać procesy edukacyjne i obejmować szeroką wspólnotę narodów i państw”. Oznacza to promowanie m.in.:

- woli zrozumienia, wyzbycia się uprzedzeń, uznanie wspólnoty interesów oraz poszanowanie różnorodności europejskiej;
- otwarcie się na inne kultury, działanie na rzecz podnoszenia świadomości i rozwoju tożsamości kulturowej i różnorodności w Europie;

- przełamywanie stereotypów narodowych i etnicznych;

- wzmacnianie u młodzieży poczucia tożsamości europejskiej i wzajemnego zrozumienia między społecznościami reprezentującymi różne kultury poprzez przybliżanie ich wartości, znajdujących odbicie w ich dziedzictwie kulturowym;

- wolę harmonijnego współistnienia i akceptacji kompromisów, godzących różne interesy w Europie;

- przestrzeganie sprawiedliwości społecznej, poszanowania praw człowieka;

- obronę wolności, demokracji;

- przygotowanie młodych ludzi do aktywnego, świadomego obywatelstwa, uczestnictwa w rozwoju gospodarczym i społecznym Wspólnoty oraz wnoszenia wkładu w procesy integracyjne;

- troskę o zachowanie ekologicznej równowagi w Europie i w świecie;

- uświadamianie korzyści, jakie stwarza Wspólnota, lecz i wyzwań, jakie niesie ze sobą szersze otwarcie się obszaru gospodarczego i społecznego;

- wzbogacanie wiedzy młodych ludzi o aspekty historyczne, kulturalne, gospodarcze i społeczne Wspólnoty i jej państw członkowskich oraz uświadamianie znaczenia współpracy tych państw z innymi krajami Europy i Świata;

- wyposażenie obywateli UE w określony kanon wartości: wolność, prawda, dobro, sprawiedliwość, równość, odpowiedzialność - czyli wartości, które współcześnie nie są doceniane.

W preambule do Aktu Konstytucyjnego powołującego UNESCO – multilateralną organizację koordynującą działania służące rozwojowi międzynarodowej współpracy kulturalnej, oświatowej i naukowej czytamy: *ponieważ wojny rodzą się w umysłach ludzi, również w ich umysłach powinny być zwalczane*. Dla pokolenia wychowanego w I połowie XX wieku jest oczywiste, że ideologia polityczna powiązana a hasłami antysemitycznymi i mitologią rasowo-narodową podporządkowaną wizji ustroju totalitarnego jest zagrożeniem dla pokoju. Katedra Edukacji Obronnej przychylając się do stanowiska szefów państw i rządów państw członkowskich Rady Europy, którzy na konferencji na szczycie w Wiedniu (1993 r.) wystosowali apel do narodów, grup i obywateli Europy, a szczególnie do młodzieży, ażeby *z determinacją zwalczali wszelkie formy nietole-*

rancji i aktywnie uczestniczyli w budowaniu europejskiego społeczeństwa opartego na wspólnych wartościach, charakteryzującego się demokracją, tolerancją i solidarnością, kładzie duży nacisk na podstawę kształtowania idei pluralistycznego i tolerancyjnego społeczeństwa. Mając na uwadze Deklarację Wiedeńską, podkreśla konieczność zwalczania ideologii, polityk i praktyk, które pobudzają nienawiść rasową, przemoc i dyskryminację, jak również wszelkich działań i wypowiedzi mogących wzbudzać obawy i napięcia pomiędzy grupami o różnym pochodzeniu rasowym, etnicznym, narodowym, religijnym lub społecznym. Przeciwwstawienie się formule państwa totalitarnego, przygotowanie młodzieży do nowych demokracji i życia w poszanowaniu praw człowieka jest możliwe m.in. dzięki kantowskiej zdolności do refleksji, samostanowieniu i autoodpowiedzialności, a także niewspółuczestniczeniu w uprzedmiotawianiu innych. Dlatego też aksjologia wychowania koncentruje się na wolności, samorealizacji, prawie do odmienności i szacunku, tolerancji, umiejętności krytyki, dojrzałości, empatii, wrażliwości, otwartości, solidarności, braterstwie, twórczości. Współczesna pedagogika to pedagogika miłości i tolerancji, przeciwstawiająca się pedagogice przemocy i przedmiotowego traktowania; to pedagogika otwartości przeciwstawiająca się antysemityzmowi, ksenofobii, etnocentryzmowi, rasizmowi.

Edukacja podlega transformacji. Z wielokrotnością się możliwości uczenia jakie oferuje społeczeństwo. Katedra Edukacji Obronnej przywiązuje dużą wagę do innowacji w zakresie dydaktyki i treści kształcenia. Nie zapomina również o podstawowej **misji edukacji**, która organizuje się wokół czterech aspektów kształcenia, będących filarami wiedzy każdej jednostki. Są to:

- uczyć się, aby wiedzieć – czyli uczyć się uczyć, by móc skorzystać z możliwości jakie daje edukacja ustawiczna;

- uczyć się, aby działać – czyli zdobywać kompetencje, które umożliwią działanie w określonych sytuacjach i pracę w zespole;

- uczyć się, aby żyć wspólnie – zrozumieć i dostrzec współzależności, realizować wspólne projekty, rozwiązywać konflikty na drodze pokojowej z poszanowaniem wartości pluralizmu i godności człowieka;

– uczyć się, aby być – osiągnąć rozwój swojej osobowości tak, by móc działać, mieć zdolność do krytycznej autorefleksji, autonomii;

Bardzo często zapomina się jaką siłę posiadają słowa, stąd też jeszcze jednym wyzwaniem stojącym przed Katedrą Edukacji Obronnej jest **promowanie kultury pokoju i niestosowania przemocy**. Kultura pokoju definiowana jest w odniesieniu m.in. do promowania wartości, postaw, zachowań opartych na poszanowaniu praw człowieka i jego wolności; kształtowania społeczeństwa dbającego o swoich obywateli - społeczeństwa, które nie dąży do subordynacji grup słabszych ani ich wyzysku; propagowania zrozumienia i tolerancji między kulturami, co pociąga za sobą danie możliwości wyboru i bycia Innym; promowania równości prawa kobiet; dzielenia się informacją i swobody jej przepływu. Zgromadzenie Organizacji Narodów Zjednoczonych stoi na stanowisku, iż głównym zadaniem ONZ jest uchronienie przyszłych pokoleń od plagi wojen, przejścia do kultury pokoju odrzucającej przemoc, dążącej do zapobiegania konfliktom, usuwaniu ich przyczyn na drodze negocjacji i dialogu. Demokracja, poszanowanie praw człowieka, odmienności i państwa prawa, tolerancja, sprawiedliwość społeczna sprzyjają zastąpieniu kultury wojny. Wolę dążenia do kultury pokoju deklarują także Organizacja Państw Amerykańskich, Organizacja Jedności Afrykańskiej, Stowarzyszenie Narodów Azji Południowo-Wschodniej, Sekretariat Generalny Frankonii oraz Commonwealth. Biorąc pod uwagę, iż obowiązkiem każdej jednostki jest wcielanie w życie wartości, postaw i zachowań, które inspirują kulturę pokoju, Katedra Edukacji Obronnej stara się wcielać w życie hasła ujęte w **Manifeście 2000 na rzecz kultury pokoju i niestosowania przemocy**. Oznacza to aktywizację w celu poszanowania życia i godności każdego człowieka, czynne występowanie przeciw przemocy fizycznej, psychologicznej, ekonomicznej, społecznej i seksualnej, obrona wolności wypowiedzi i różnorodności kulturowej, przeciwdziałanie wykluczeniu i niesprawiedliwości, popieranie odpowiedzialnej konsumpcji troszcząc się tym samym o zachowanie naturalnych zasobów planety. Ponad to Katedra dąży do rozwoju społeczności z udziałem kobiet, w poszanowaniu demokratycznych zasad, by tworzyć wspólnie nowe formy solidarności.

Katedra Edukacji Obronnej podkreśla znaczenie **edukacji globalnej** mającej na celu wyposażenie młodego pokolenia w świadomość globalną. Oznacza to (warto przytoczyć za L. Andersonem):

„ – Przekazanie uczniom zdolności postrzegania siebie i innych, jako członków jednego gatunku biologicznego i swojej grupy społecznej, całej ludzkości jako części ekosystemu ziemskiego.

– Wyposażenie uczniów w umiejętność rozpatrywania siebie i własnej grupy jako uczestników życia międzynarodowego. (dostrzeganie: powiązań sieci ekonomicznych, militarnych, społecznych, współzależność państw, działalność w grupach)

– Wyształcenie umiejętności i nawyku rozpatrywania siebie, społeczeństwa, narodu jako kulturowych dłużników i twórców kultury.

– Uświadomienie, że żyjący w różnych kulturach odbierają i wartościują problemy światowe w oparciu o inne założenia.”

Promowanie ideałów edukacji globalnej nie oznacza jednak eliminacji **wychowania patriotycznego i obywatelskiego**. Katedra Edukacji Obronnej kształtuje tożsamość narodową, omawia założenia polityki i strategii bezpieczeństwa narodowego, jak również rolę Polski w europejskim systemie bezpieczeństwa i wspólnocie obronnej NATO.

Troska o przyszłość świata winna stać się naszą drugą naturą. To od nas zależy czy ludzkość przetrwa XXI w., czy zastosowanie nowych technologii i globalizacja pogłębią przepaść między bogatymi i biednymi, a przede wszystkim to – czy nadchodzące stulecie będzie miało ludzkie oblicze. Z tego też względu antycypacja nie jest jedynie możliwością, stanowi wręcz obowiązek i imperatyw moralny nas wszystkich. **Kreowanie etyki zorientowanej na przyszłość** oznacza ochronę tego, co kruche i nietrwałe. Jesteśmy odpowiedzialni nie tylko za spuściznę materialną (dziedzictwo kulturalne i naturalne), ale również za ochronę dziedzictwa symbolicznego i nie materialnego. Innymi słowy jesteśmy **odpowiedzialni za nas samych – za naszą ludzką naturę**, co podkreśla Międzynarodowy Komitet Bioetyki w powszechnej Deklaracji o Genomie Ludzkim i Prawach Człowieka.

Klaudia Cenda-Cwer

Roman Krawczyński

Ryzyko zespołu wypalenia w warunkach zawodowej służby wojskowej

Aktualność problemu wypalenia sił wynika z faktu, że praca zawodowa stanowi nieodłączną część ludzkiego życia i jest jedną z najważniejszych dziedzin ludzkiej aktywności. Może przynosić satysfakcję i zadowolenie, ale może również być groźnym stresorem, którego długotrwałe działanie wywołuje poważne skutki zdrowotne, zauważalne między innymi w statystykach zachorowalności na choroby psychosomatyczne. Zjawisko wypalenia od wielu lat jest przedmiotem badań empirycznych i rozważań teoretycznych. Wiadomo, że jest to zagadnienie złożone, mające swoje źródło w oddziaływaniu różnorodnych czynników. Wielu przedstawicieli nauk medycznych i behawioralnych zaobserwowało, że zagrożenie stresem wzrasta w sposób epidemiczny, a jego ujemne konsekwencje są niezwykle kosztowne ekonomicznie.

Termin „wypalenie zawodowe” został wprowadzony do nauk społecznych przez Herberta Freudenbergera (1974), który obserwując pracę wolontariuszy w nowojorskim ośrodku dla narkomanów dostrzegł zjawisko stopniowej utraty energii, motywacji i zaangażowania w podjętą działalność charytatywną oraz pogorszenie stanu zdrowia. Wypalenie jest syndromem, który dotyka ludzi pracujących w zawodach społecznych, gdzie poddani są oni licznym obciążeniom prowadzącym do emocjonalnego wyczerpania. Jednym z pierwszych objawów wypalenia sił jest niezadowolony i utrata motywacji do pracy.

Podkreśla się, że każdy człowiek nieco inaczej postrzega poziom obciążenia zawodowego, nawet przy tych samych warunkach zewnętrznych. Rola tej oceny jest bardzo istotna z uwagi na fakt, iż subiektywne poczucie obciążenia pracą ma istotny wpływ na powstawanie zespołu wypalenia sił¹.

Chociaż zjawisko wypalenia zawodowego ujawniono dopiero w latach siedemdziesiątych XX w., istniało ono prawdopodobnie znacznie wcześniej. Można sądzić, że przemiany cywilizacyjne i wzrastające wymagania stawiane poszczególnym zawodom spowodowały, że koszty psychologiczne, zdrowotne i ekonomiczne jego występowania są coraz poważniejsze. Reprezentanci różnych zawodów doświadczają coraz więcej stresu, z jakim muszą sobie poradzić, wyczerpują się, są chronicznie zmęczeni i coraz mniej zadowoleni z pracy. Próbuąc sobie radzić z tymi obciążeniami, coraz bardziej dystansują się od osób, którymi kierują, z którymi współpracują, których leczą, uczą itd. Z czasem tracą zaangażowanie w zawód, zmieniają go lub przechodzą na przedwczesną rentę. W toku wypalania obniża się satysfakcja zawodowa i pojawia się utrata zaangażowania zawodowego. Te zjawiska i procesy od czasów pionierskiego artykułu Freudenbergera nieustannie przyciągają uwagę badaczy oraz osób profesjonalnie zajmujących się różnymi formami niesienia pomocy. Do Polski problematyka ta dotarła pod koniec lat osiemdziesią-

tych². Używa się też sformułowania „wypalenie sił”. Warto podkreślić, że wypalenie sił jest nie tyle konstruktem akademickim, co poważnym problemem społecznym, któremu należy zapobiegać.

Interesujące podejście do procesu wypalenia prezentuje Alyala M. Pines, która przedstawia argumenty za tym, że najbardziej obciążającym emocjonalnie aspektem sytuacji pracy jest cechujący ją brak egzystencjalnego znaczenia i sensu. Kiedy osoby o wysokim poziomie motywacji znajdują się we wspierającym je środowisku pracy, mogą zwykle lepiej osiągnąć swoje cele oraz trafniej spełniać oczekiwania. Wspierające środowisko pracy jest to środowisko posiadające maksimum pozytywnych cech, które umożliwiają profesjonalistom osiągnięcie ich celów przez zapewnienie niezbędnej autonomii, środków i wsparcia. Ma ono także minimum cech negatywnych, które mogą przeszkadzać w osiąganiu celów. Z kolei wynikiem długotrwałego borykania się z negatywnymi cechami pracy jest często subiektywne doświadczenie porażki. Dla ludzi, którzy własną wartość łączą z rezultatami swego działania, i którzy czerpią z pracy poczucie egzystencjalnego znaczenia, porażka może być druzgocącym doświadczeniem i potężnym czynnikiem sprzyjającym wystąpieniu syndromu wypalenia. Warto pamiętać, że czynnikiem powodującym wypalenie nie musi być i nie zawsze jest obiektywne niepowodzenie, lecz raczej subiektywne poczucie, że bez względu na to, jak ciężko się pracuje, nigdy nie osiąga się upragnionych celów. Podstawowym czynnikiem decydującym o tym, czy osoby o wysokim poziomie motywacji osiągną poczucie sukcesu i znaczenia, czy też będą miały poczucie porażki i wypalą się, jest sposób postrzegania środowiska pracy. To samo środowisko może być różnie odbierane przez różne osoby. Chociaż jest prawdą, że ludzie czasem mogą mieć poczucie sukcesu nawet w stresującym otoczeniu (i odwrotnie – poczucie klęski w otoczeniu wspierającym), to jednak nie jest to reguła. Wyjątki te można wyjaśnić niezwykle wysokimi lub niskimi indywidualnymi

celami i oczekiwaniami. W większości przypadków warunki środowiskowe w znacznym stopniu przesądzają o tym, czy osoby o wysokim poziomie motywacji wypalą się, czy też nie³.

Służba wojskowa należy do tych rodzajów aktywności zawodowej, które stwarzają szczególnie duże ryzyko powstania zespołu wypalenia. Istnieje dość znaczna liczba stanowisk, które wymagają: sporego zaangażowania w interakcje personalne, kształtowania odpowiedniego poziomu postaw, ponoszenia odpowiedzialności za atmosferę wśród podwładnych, niesienia pomocy w rozwiązywaniu trudnych problemów, wpływania na motywację i poziom gotowości do efektywnego realizowania zadań. Cechą każdej instytucji z założenia totalitarnej (np. wojsko, policja) jest pewne ograniczenie wolności osobistej (warunki jednostek wojskowych, konieczność postępowania zgodnie z regulaminem itd.), wymóg działania na rozkaz i częste sytuacje przymusu. Służba wojskowa to najczęściej praca z ludźmi. Praca ta na wielu stanowiskach wymaga między innymi umiejętności dowodzenia i kierowania personelem, pełnienia funkcji wychowawczych i szkoleniowych, umiejętności kształtowania motywacji i budowania właściwej atmosfery wśród podwładnych, konieczności podejmowania trudnych decyzji dotyczących podopiecznych i współpracowników. Od powodzenia tej pracy zależy osiąganie celów i realizowanie zadań. W systemach państw demokratycznych człowiek jest wartością nadrzędną, a wymogiem stawianym dowódcom wojskowym jest efektywna praca dowódczo-wychowawcza. Efektywność ta wyraża się między innymi w dobrym samopoczuciu podwładnych i ich wewnętrznej aprobachie dla zasad funkcjonowania systemu. Każdy żołnierz pełniący funkcję dowódczą posiada dwa rodzaje „władzy”: formalną – wynikającą z racji objęcia określonego stanowiska, oraz nieformalną – opartą na wewnętrznym przekonaniu podwładnych o słuszności działań i decyzji dowodzącego. Szczególnie ważnym wyznacznikiem dowódczej skuteczności jest zyskanie wewnętrznej aprobaty podwład-

nych. Zyskanie jej łączy się jednak często nie tylko ze znacznym wysiłkiem i zaangażowaniem ze strony dowódców, ale również z ryzykiem wypalenia sił. Służba wojskowa, jak każda inna praca o ile ma być efektywna, wymaga zaangażowania, które łączy się z mobilizacją fizycznych i psychicznych sił jednostki oraz ich stałym wydatkowaniem i koniecznością uzupełniania.

Charakterystyczną cechą zawodowej służby wojskowej jest pozostawanie w sytuacji długotrwałego przeciążenia psychofizycznego, wynikającego z konieczności rozwiązywania coraz to nowych zadań o różnym, często nieprzewidywalnym stopniu trudności i wymykającej się spod kontroli możliwości sterowania sytuacją. Jest oczywiste, że codzienna służba na większości stanowisk pracy może stwarzać ryzyko wypalenia sił.

Fakt, że główną konsekwencją zespołu wypalenia jest zmiana stosunku do ludzi, czyli utrata troski o człowieka, stwarza dla dowódców wojskowych i ich podwładnych szczególnie niebezpieczeństwo. Wyraźne przesunięcie relacji podmiotowo-podmiotowej na rzecz przedmiotowego, bezosobowego, emocjonalnie niezaangażowanego kontaktowania się z ludźmi, w warunkach bojowych może mieć tragiczne konsekwencje. Prowadzić to może do błędnych decyzji i zmniejszenia skuteczności osiągania celów wraz ze wszystkimi tego konsekwencjami. Dowódcy wojskowi, którzy cierpią na zespół wypalenia sił nawet w warunkach codziennej służby negatywnie wpływają na poziom zdolności swoich podwładnych do efektywnej służby i powodują pogorszenie ich stanu zdrowia. Richard K. James i Burl E. Gilliland podkreślają, że wypalenie jest zaraźliwe i wywołuje dodatkowy stres u innych pracowników⁴.

Problematyka związana z zespołem wypalenia wywodzi się w znacznej mierze z badań prowadzonych nad stresem zawodowym i stresem w środowisku pracy. Mathias Burisch twierdzi, że odpowiedni kontekst dla analiz na temat zespołu wypalenia zawodowego stanowią następujące teorie: stresu psychologicznego i radze-

nia sobie z nim, kryzysu psychologicznego, frustracji i agresji, motywacji, konfliktu, reakcji i wyuczonej bezradności oraz psychosomatyki⁵.

W środowisku pracy ma swoje źródła wiele stresorów. Ich przyczyną może być charakter i treść pracy, warunki jej wykonywania, interakcje społeczne, struktura organizacyjna oraz formy i metody zarządzania⁶.

Do najbardziej znanych definicji zespołu wypalenia należy definicja Maslach, według której „wypalenie jest syndromem emocjonalnego wyczerpania, depersonalizacji i braku satysfakcji zawodowej, które może wystąpić u osób wykonujących zawody oparte na kontaktach z innymi ludźmi”. Trójwymiarowy model przeciążenia i wypalenia zawodowego obejmuje: wyczerpanie emocjonalne, depersonalizację i brak satysfakcji zawodowej.

Elementy modelu można scharakteryzować następująco:

Wyczerpanie emocjonalne – cechuje się poczuciem nadmiernego zmęczenia oraz wyczerpania zasobów emocjonalnych. Charakterystyczne dla tego wymiaru są: poczucie ogólnego zmęczenia, brak naturalnej energii i zapału do działania oraz radości życia, zwiększona drażliwość i impulsywność. Zaznacza się potrzeba większego wysiłku do pełnienia zawodowych ról. Dołączają się do tego liczne objawy psychosomatyczne.

Depersonalizacja – określa specyficzny stosunek do innych ludzi, który wyraża się negatywnym, cynicznym, nadmiernym dystansowaniem się w kontaktach interpersonalnych, a często utratą idealizmu. Relacje z innymi tracą swój dotychczasowy, podmiotowy charakter. Depersonalizacja może być postrzegana jako forma samoobrony – emocjonalnego buforu obojętności chroniącego przed kontaktami.

Brak satysfakcji zawodowej – przejawia się spadkiem poczucia własnej kompetencji i wydajności pracy. Obniżenie poczucia własnej skuteczności i efektywności działania może wiązać się z represyjnością i trudnościami w radzeniu sobie z wymaganiami, jakie stawiane są w pracy, i zawodowym stresem⁷.

Dynamika syndromu wypalenia w przeważającej liczbie przypadków wydaje się rządzić pewnymi prawidłowościami. Interesujący jest model dynamiki zespołu wypalenia sił opracowany przez Oklę i Steuden (1999). Model konstytuuje pięć czynników wypalenia: obniżenie kontroli emocjonalnej, utratę podmiotowego zaangażowania, obniżenie efektywności działania, zawężenie kontaktów interpersonalnych, zmęczenie fizyczne.

Dwa pierwsze czynniki odnoszą się do utraty zdolności emocjonalnego radzenia sobie z zadaniami oraz podmiotowości w podejmowanych decyzjach. Kolejne trzy czynniki dotyczą obszaru zawężania się możliwości skutecznego radzenia sobie z zadaniami, niewiary w swoje możliwości i poczucia zmęczenia fizycznego. W sytuacji nasilenia cech konstytuujących dwa pierwsze czynniki człowiek staje się niezdolny do skutecznych działań. W trzech pozostałych natomiast działa jedynie mniej efektywnie w obszarze społecznym i zawodowym⁸.

Na podstawie wyodrębnionych czynników możliwa jest prezentacja dynamiki zespołu wypalenia sił. Jako pierwsze pojawia się zmęczenie fizyczne, które wynika z nierozwiązanego, narastającego stresu. Wraz ze wzrostem wyczerpania fizycznego pojawia się niedomoga w sferze motywacyjnej. Następstwem tych doświadczeń jest niechęć do podtrzymywania kontaktów interpersonalnych, w których mogą manifestować się wrogość i agresja. Kolejnym etapem tak rozwijającego się zespołu wypalenia sił jest utrata emocjonalnego zaangażowania, wypływająca z zaprzeczania własnym kompetencjom. Stąd już bardzo blisko do stanu, w którym jednostka odczuwa deficyty w zakresie własnej podmiotowości i związane z nimi poczucie braku własnej sprawczości w wykonywanej pracy. Ostatnim etapem zespołu wypalenia zawodowego jest utrata kontroli emocjonalnej, która może prowadzić do dezorganizacji jednostki na różnych poziomach jej funkcjonowania – somatycznym, psychicznym czy relacyjnym. Wpływa także negatywnie na inne obszary aktywności: deforma-

je obraz siebie, realną ocenę swoich możliwości i zdolności radzenia sobie z trudnościami⁹.

Zgodnie z definicją Pines i Aronsona wypalenie jest stanem fizycznego, emocjonalnego i psychicznego wyczerpania, spowodowanym przez długotrwale zaangażowanie w sytuacje, które są obciążające pod względem emocjonalnym. Edelwich i Brodsky scharakteryzowali ten zespół jako stopniową utratę ideałów, energii, celu, doświadczaną przez ludzi w rezultacie specyficznych, bardzo stresujących warunków pracy¹⁰.

Rozpoznawanie zespołu wypalenia sił wymaga znajomości jego przejawów. Podkreśla się, że wypalenie jest zjawiskiem wielowymiarowym, złożonym z elementów behawioralnych, symptomów fizycznych, problemów interpersonalnych i leżących w sferze postaw. Wśród wielu możliwych objawów behawioralnych wymienić można obniżoną wydajność, zwiększoną absencję, popełnianie błędów, lęk przed pracą i nadużywanie alkoholu. Do często występujących symptomów fizycznych można zaliczyć między innymi poczucie zmęczenia i wyczerpania, zmniejszoną odporność na infekcje, występowanie dolegliwości somatycznych, np. wrzodów żołądka, migreny. W wymiarze interpersonalnym często obserwowanym objawem jest wycofanie się z życia rodzinnego, zerwanie dotychczasowych kontaktów, nieufność i potrzeba dystansu w stosunku do innych, unikanie bliskich kontaktów interpersonalnych lub nadmierne zacieśnianie więzi z personelem, nasilona ekspresja gniewu. W sferze postaw osoby dotknięte wypaleniem mogą przejawiać cynizm, bezduszość, pesymizm, nasilony krytycyzm oraz uwikłanie w konflikty zarówno w pracy, jak i w związkach osobistych¹¹.

Rozpoznanie wypalenia nie zawsze jest łatwe, ponieważ jego przyczyny i objawy nie są natury wyjątkowej. Do tej pory nie opracowano też żadnej prostej formuły na zdiagnozowanie początku procesu wypalania i jego leczenia.

W literaturze przedmiotu istnieje zgodność poglądów co do tego, iż przyczyny pojawienia się zespołu wypalenia dzieli się na dwie grupy:

wewnętrzne (podmiotowe, osobowościowe) i zewnętrzne (związane z warunkami i wymaganiami pracy). Do przyczyn wewnętrznych zaliczyć można takie cechy osobowości jak: bierność, brak pewności siebie, niską samoocenę, brak akceptacji siebie, submisyjność (prowadzą do małej operatywności i niepełnych relacji interpersonalnych), oraz cechy przeciwstawne: dominację, brak opanowania i kontroli emocjonalnej, agresywność, nadmierną ambicję, tendencje manipulacyjne. Grupę przyczyn zewnętrznych stanowi określona sytuacja pracy, do której zalicza się między innymi rodzaj i warunki pracy, pełnienie określonych ról społecznych, konieczność mniejszego czy większego zaangażowania, konflikt ról, niejasność sytuacji, wieloznaczność lub obciążenie rolą zawodową.

Prawdopodobieństwo wystąpienia zespołu wypalenia sił zwiększa się, gdy człowiek ujawnia: słabo wypracowane sposoby radzenia sobie z sytuacją trudną i stresem; niski poziom samoakceptacji.

W publikacjach dotyczących tematu wypalenia podkreśla się, że wypalenie sił jest nie tyle skutkiem przewlekłego czy silnego stresu, co raczej stresu, który nie jest zmodyfikowany własną aktywnością. Groźne wydaje się zgeneralizowane przekonanie o niskiej skuteczności zawodowej, poczuciu braku kontroli nad sytuacją, nieumiejętności pogodzenia wymagań własnych i otoczenia. Badacze zagadnienia są zgodni, że poczucie skuteczności i kompetencji owocuje większą odpornością na proces wypalenia, ponieważ osoba jest przekonana, że w każdej sytuacji będzie mogła wytworzyć sobie skuteczne strategie radzenia sobie. Podkreśla się, że osoby z silnym poczuciem własnej skuteczności dążą do aktywnego przystosowania się lub zmiany warunków, natomiast osoby o słabym poczuciu skuteczności reagują apatią i cynizmem¹². Tak więc w podobnych warunkach zewnętrznych, przy porównywalnym stopniu obciążenia u jednych osób pojawia się syndrom wypalenia o jedynie niewielkim nasileniu, podczas gdy u in-

nych jest to pełnoobjawowy obraz utraty sił. Częste traumatyczne wydarzenia, narażenie na szeroką, specyficzną dla zawodu gamę sytuacji stresogennych w połączeniu z mało odporną osobowością oraz brakiem wypracowanych metod redukcji stresu zwiększają podatność na pojawienie się syndromu wypalenia sił¹³.

Wewnętrzne czynniki stanowiące źródło wypalenia sił są więc związane ze sprzyjającymi cechami osobowości. Cechy te można określić również jako: 1. niedostateczne przygotowanie kompetencyjne do wykonywanej pracy; 2. nierealistyczna ocena swoich możliwości i ograniczeń; 3. brak dojrzałości i trudności w zakresie kontroli emocjonalnej; 4. własne nieuświadomione i nierozwiązane konflikty; 5. trudności w nawiązywaniu bliskich i otwartych kontaktów interpersonalnych¹⁴.

Wewnętrzne, osobowościowe źródła wypalenia można również analizować odwołując się do wzorców zachowania A i B. Osoby z wzorcem zachowania A uważa się za szczególnie podatne na wypalenie sił. Odnaczają się one nadmierną aktywnością i ambicją, skłonnością do pracy ponad własne możliwości, życiem w ciągłym pośpiechu i napięciu, niechęcią do odpoczynku, nieakceptacją własnych ograniczeń i głębokim przeżywaniem niepowodzeń. U takich osób wysokie ryzyko wypalenia sił i zaburzeń zdrowotnych jest prostą konsekwencją sposobu funkcjonowania. Osoby z wzorcem zachowania typu B w mniejszym stopniu narażone są na pojawienie się objawów wypalenia i dolegliwości wewnętrznych, gdyż ich zachowanie charakteryzuje się większą rozważą, głębszą refleksyjnością i systematycznością. Mają więcej cierpliwości w oczekiwaniu na rezultaty swoich działań i dopuszczają możliwość zarówno sukcesu, jak i porażki przy ich realizacji¹⁵.

Wśród zewnętrznych źródeł zespołu wypalenia sił można wskazać na następujące czynniki: charakter pracy i poziom psychicznego zaangażowania przy jej wykonywaniu; wysokie wymagania względem pracownika powodujące jego maksymalne obciążenie psychiczne i fizyczne;

nadmierny poziom osobistej odpowiedzialności wynikający z zakresu obowiązków przy jednoczesnym braku wpływu na jej organizację i wykonanie; duże tempo pracy i fizyczne obciążenie upośledzające poczucie kontroli przy jej wykonywaniu; złe sposoby zarządzania instytucją, np. ograniczające samodzielność i zaangażowanie; niewłaściwe relacje interpersonalne ujawniające się w niezdrowej konkurencyjności, braku zrozumienia i narastaniu konfliktów; socjalne aspekty pracy, np. niskie zarobki i brak dostatecznych warunków do realizacji pracy¹⁶.

Zespół wypalenia – jako zjawisko strukturalnie złożone i dynamicznie rozwijające się – w różnym też stopniu dezorganizuje zachowanie jednostki i może prowadzić do wystąpienia różnego rodzaju zaburzeń w jej psychofizycznym funkcjonowaniu. Edelwich i Brodsky (1980), analizując zespół wypalenia z punktu widzenia jego dynamiki, wyodrębnili cztery etapy: 1. Etap entuzjazmu z nieefektywnym gospodarowaniem własną energią, nierealistycznymi oczekiwaniami i przecenianiem swojej roli i miejsca w zawodzie; sposobem zapobiegania wypaleniu na tym etapie jest organizowanie programów orientacyjnych i szkoleniowych, które korygują wyidealizowane spojrzenie na pracę; 2. Etap stagnacji – gdy osoba uświadamia sobie, że praca zawodowa całkowicie pochłania jej energię, prowadzi do zaniedbywania osobistych potrzeb i nieharmonijnego wypełniania pozostałych ról życiowych; obecne jest poczucie niezaspokojenia potrzeb osobistych, finansowych i zawodowych; czynnikiem łagodzącym ten etap może być dostarczanie pracownikowi bodźców motywacyjnych, które pozwolą poczuć, że jest się potrzebnym i docenianym; wzmocnienia wewnętrzne i zewnętrzne są na tym etapie bardzo ważne; 3. Etap frustracji – stanowiący jądro procesu wypalenia – gdy osoba zaczyna dostrzegać nieefektywność swojej pracy, kwestionować jej wartość i doświadczać w związku z tym silnych emocji; na tym etapie skutki wypalenia mogą już łatwo wpłynąć na inne osoby w środowisku pracy; jednym ze środków zwalczania frustracji jest profe-

sjonalne organizowanie warsztatów i grup wsparcia; 4. Etap apatii – przejawia się unikaniem i nieefektywnością działań we wszystkich obszarach życia; polega już na uruchomieniu mechanizmów obronnych dla poradzenia sobie nie tyle z zadaniami, co z obciążeniami zawodowymi. Etap apatii jest wypaleniem, stanem kryzysowym i długotrwałym zubożeniem wymagającym podjęcia szczególnej interwencji. Oznacza stan nierównowagi i niezdolności do działania. Dodatkowym czynnikiem obciążającym jest brak obiektywizmu w pojmowaniu tego co się dzieje. Na tym etapie zalecana jest psychoterapia.

Burisch (1988) analizował również zespół wypalenia z uwagi na jego dynamikę. W wyniku podjętych prac wyróżnił kolejne jego symptomy: symptomy ostrzegawcze fazy początkowej, przejawiające się nadmiernym zaangażowaniem; deficyt zaangażowania osobowego i narastające zniechęcenie do pracy z ludźmi; pojawienie się negatywnych reakcji emocjonalnych, tj. agresji, poczucia winy, obniżonego nastroju; obniżenie sprawności poznawczych, motywacyjnych i adekwatnego wartościowania zdarzeń; spłylenie życia emocjonalnego, społecznego i duchowego; liczne reakcje psychosomatyczne i problemy zdrowotne¹⁷.

Analizując przyczyny, mechanizmy i skutki procesu wypalenia sił warto zastanowić się nad sposobami jego unikania i minimalizowania negatywnych skutków w warunkach zawodowej służby wojskowej:

1. Najlepszą i najbardziej skuteczną interwencją w sytuacji ryzyka wypalenia sił jest niewątpliwie prewencja, czyli stwarzanie optymalnych warunków służby oraz troska o osobowościowe dyspozycje żołnierzy do pracy na odpowiednich stanowiskach.

2. Prowadzeniem działań prewencyjnych powinny się zajmować osoby odpowiednio wyszkolone, np. psycholodzy, psychoprofilaktycy oraz inne osoby przygotowane do tego typu pracy.

3. Powszechnie uznaje się, że istnieją dwa rodzaje działań zaradczych: zmiana i modyfikacja

systemu pracy (np. organizacji pracy i czasu jej trwania) oraz zmiana i modyfikacja dyspozycji osobowościowych żołnierzy zawodowych (np. tworzenie systemów wsparcia, trening zachowań relaksacyjnych).

4. Do strategii, które można wykorzystać w ramach działań interwencyjnych zalicza się m.in.:

- organizowanie szkoleń i warsztatów, które mają na celu zwiększenie wiedzy o zespole wypalenia i sprowokowanie grupowej dyskusji na temat rozwiązania problemu; ma to na celu wprowadzenie zmian zarówno w instytucjach, jak i w postawach ludzi;

- wyposażanie żołnierzy w bardziej efektywne strategie radzenia sobie ze stresem;

- organizowanie systemów wsparcia w postaci grup wsparcia prowadzonych przez profesjonalistów, gdzie możliwe byłoby dzielenie się niepowodzeniami i poszukiwanie sposobów rozwiązywania problemów;

- identyfikacja stereotypów, które funkcjonują w środowisku pracy i utrudniają przystosowanie i prawidłowe funkcjonowanie, np. „Moja praca jest moim życiem”;

- kształtowanie realistycznego podejścia do obowiązków zawodowych, ustalania realistycznych celów, poznawanie swoich motywacji, zmiana sposobów postępowania (pozbywanie się rutyny);

- doskonalenie umiejętności pracy zespołowej;

- kształtowanie warunków do podnoszenia poziomu umiejętności zawodowych, uaktualnianie swojego warsztatu pracy;

- unikanie przyjmowania na siebie ciężaru odpowiedzialności, który należy do innych;

5. Prowadząc działania zapobiegawcze i lecznicze warto uświadomić sobie, że odpowiedzialność za wypalenie sił może spoczywać również na zatrudniającej pracownika instytucji i jej niezdolności do rozpoznania lub zaradzenia problemom organizacyjnym, prowadzącym do wypalenia. Do działań ograniczających skalę zjawiska można zaliczyć m.in.:

- jasne definiowanie ról i funkcji służbowych, jasne określanie stawianych zadań i granic odpowiedzialności (jednoznaczność roli);

- zapobieganie sytuacjom, gdy stawiane wymagania są nie do pogodzenia ze sobą, niewłaściwe oraz niespójne z wartościami i etyką (konflikt ról);

- dbałość o dostarczanie skutecznego wsparcia społecznego (zapobieganie izolacji);

- ograniczanie do minimum wykonywania zadań pod presją czasu;

- promowanie dowódców o społecznym stylu dowodzenia;

- zapewnienie pomocy w rozwiązywaniu problemów związanych ze stresem w pracy poprzez zatrudnienie w instytucji osób o wysokich kwalifikacjach zawodowych (psychologów, oficerów wychowawczych, psychoprofilaktyków).

Metody zapobiegania wypaleniu czy też jego leczenia muszą być dobierane indywidualnie, w zależności od nasilenia zjawiska, jego przyczyn i innych cech charakterystycznych dla danej sytuacji.

Zjawisko wypalenia sił można odnieść nie tylko do takich zawodów jak nauczyciele, terapeuci, policjanci, lekarze i pielęgniarki oraz duchowni. Proces ten dotyczy także żołnierzy zawodowych i może być związany z pracą na stanowiskach służbowych, gdzie ogromne znaczenie ma praca i współpraca z ludźmi. Istotne znaczenie ma fakt, że wypalenie sił jest procesem, a więc powstaje stopniowo, na przestrzeni pewnego czasu. Oznacza to, że temu niekorzystnemu zjawisku można zapobiegać, a jeśli już powstanie – to leczyć. Znając uwarunkowania powstawania wypalenia możliwe jest wskazywanie grup ryzyka, do których należy adresować oddziaływania profilaktyczne. Według badaczki zagadnienia H. Sęk, badania pokazują jasno, że należy z dużym wyprzedzeniem inwestować w odpowiednie kształcenie i przygotowanie do zawodu, a wyposażanie w potrzebne zasoby i kompetencje powinno być przedmiotem dobrane zorganizowanych form stałego doskonalenia

nia zawodowego. Także wiedza o samym sobie oraz o istocie i specyfice wybranego świadomie zawodu mogą być podstawą stałej refleksji nad sobą i tendencji do rozwoju osobistego i zawodowego zarazem. Warto też pamiętać, że sama świadomość istnienia wypalenia nie działa zapobiegawczo. Ważne jest, aby profilaktyka wypalenia stała się zadaniem organizatorów edukacji oraz profesjonalnych środowisk wspomagających system edukacji¹⁸. Duże znaczenie ma również świadomość tego, iż pozostawanie żołnierza w stanie wypalenia sił negatywnie wpływa na osoby będące z nim w jakiejkolwiek relacji służbowej. Można stwierdzić, że dowódca wypalony to już nie dowódca, a ktoś, kto potrzebuje specjalistycznej pomocy. W jednostkach wojskowych jest prowadzona intensywna praca dowódcza, wychowawcza i szkoleniowa. Jest też możliwość realizowania programów profilaktycznych mających na celu zapobieganie patologiom. W tej jakże potrzebnej działalności warto uwzględnić propagowanie wiedzy z zakresu procesu wypalenia sił. Rozpowszechnianie wiedzy na ten temat oraz inne przedsięwzięcia, w zależności od potrzeb, mogą mieć podstawowe znaczenie nie tylko dla kształtowania postaw prozdrowotnych, ale również dla utrzymywania szeroko rozumianej sprawności psychofizycznej żołnierzy zawodowych.

Roman Krawczyński

¹ A. Radacki MIC, *Osobowościowe uwarunkowania zespołu wypalenia u formatorów* [w:] W. Okła, S. Tucholska (red.), *Wybrane zagadnienia z psychologii klinicznej i osobowości. Problemy człowieka zdrowego*. Lublin 2005, s. 130.

² H. Sęk, *Wstęp* [w:] H. Sęk (red.), *Wypalenie zawodowe*. Warszawa 2007, s. 7.

³ A. M. Pines, *Wypalenie w perspektywie egzystencjalnej* [w:] H. Sęk (red.), *Wypalenie zawodowe. Przyczyny i zapobieganie*. Warszawa 2007, s. 46–48.

⁴ R. K. James, B. E. Gilliland, *Strategie interwencji kryzysowej*. Warszawa 2006, s. 727.

⁵ M. Burisch, *W poszukiwaniu teorii – przemyslenia na temat natury i etiologii wypalenia* [w:] H. Sęk (red.), *Wypalenie zawodowe*. Warszawa 2007, s. 62.

⁶ J. Borkowski, L. Molska, *Stres zawodowy: przyczyny, objawy oraz radzenie sobie z nim*. Wojsko i Wychowanie. Pismo Żołnierzy Zawodowych WP, nr 5, s. 53.

⁷ J. Kuryłowicz, *Wypalenie sił u lekarzy medycyny weterynaryjnej* [w:] W. Okła, S. Tucholska (red.), *Wybrane zagadnienia z psychologii klinicznej i osobowości*. Lublin 2005, s. 174.

⁸ J. Kuryłowicz, *Poczucie satysfakcji z pracy a wypalenie sił u lekarzy medycyny weterynaryjnej* [w:] W. Okła, S. Tucholska (red.), *Wybrane zagadnienia z psychologii klinicznej i osobowości. Problemy człowieka zdrowego*. Lublin 2005, s. 174–175.

⁹ S. Gajewski, *Obraz siebie a zespół wypalenia zawodowego* [w:] W. Okła, S. Tucholska (red.), *Wybrane zagadnienia z psychologii klinicznej i osobowości*. Lublin 2005, s. 186–187.

¹⁰ A. Radacki MIC, *Zespół wypalenia u formatorów* [w:] W. Okła, S. Tucholska (red.), *Wybrane zagadnienia z psychologii klinicznej i osobowości*. Lublin 2005, s. 132.

¹¹ R. K. James, B. E. Gilliland, *Strategie interwencji kryzysowej*. Warszawa 2006, s. 728–729.

¹² H. Sęk, *Wypalenie zawodowe*. Poznań 1996, s. 16.

¹³ A. Lipowska-Teutsch, *Zagadnienia skutków stresu i metod przeciwdziałania im w pracy służb emergencyjnych* [w:] D. Kubacka-Jasiecka, A. Lipowska-Teutsch (red.), *Oblicza kryzysu psychologicznego i pracy interwencyjnej*. Kraków 1997, s. 213.

¹⁴ W. Okła, *Ryzyko zespołu wypalenia i sposoby jego przezwyciężenia u terapeutów i osób wspierających* [w:] L. Szewczyk, A. Kulik (red.), *Wybrane zagadnienia z psychologii klinicznej i osobowości. Psychosomatyka*. Lublin 2001, s. 136.

¹⁵ Tamże, s. 136–137.

¹⁶ Tamże, s. 136.

¹⁷ W. Okła, *Ryzyko zespołu wypalenia i sposoby jego przezwyciężenia u terapeutów i osób wspierających* [w:] L. Szewczyk, A. Kulik (red.), *Wybrane zagadnienia z psychologii klinicznej i osobowości. Psychosomatyka*. Lublin 2001, s. 138.

¹⁸ H. Sęk, *Wypalenie zawodowe u nauczycieli. Uwarunkowania i możliwości zapobiegania* [w:] H. Sęk (red.), *Wypalenie zawodowe*. Warszawa 2007, s. 166.

Zbigniew Kopa

Istota terminu bezpieczeństwo

Dla właściwego funkcjonowania człowieka niezbędnym jest zapewnienie mu możliwości realizacji jego potrzeb. Według słynnej piramidy teorii hierarchii potrzeb autorstwa wybitnego amerykańskiego psychologa Abrahama Masłowa, najważniejszymi potrzebami człowieka są potrzeby fizjologiczne. Na drugim miejscu znajduje się potrzeba bezpieczeństwa. Spotykając się i rozmawiając z ludźmi doszedłem do wniosku, że wielu z nich nie zdaje sobie sprawy z zakresu znaczeniowego tego terminu. To właśnie skłoniło mnie do napisania artykułu, w którym postaram się przybliżyć jego obszar i istotę

Ludzie od zarania dziejów poszukiwali i nadal poszukują form, metod i sposobów zapewnienia sobie bezpieczeństwa. Bezpieczeństwo oznacza brak zmartwień (strachu) wynikających z różnego rodzaju zagrożeń. Tak użyty termin „bezpieczeństwo” dotyczy zarówno jednostek, jak i całych społeczeństw.

Działalność służąca bezpieczeństwu układa się zwykle w pewien dość skomplikowany system z zależnymi od siebie podsystemami. Oznacza to, że można wyróżnić różne zagrożenia oraz wynikające z nich różnorodne rodzaje bezpieczeństwa. Można także wyodrębnić bezpieczeństwo indywidualne i zbiorowe (narodu, państwa, regionu itp.) lub wewnętrzne i zewnętrzne. Z tego wynika, że bezpieczeństwo może dotyczyć odmiennych dziedzin życia i działalności ludzkiej. W związku z powyższym konieczne wydaje się wyselekcjonowanie wielu różnorodnych rodzajów (systemów) bezpieczeństwa. W każdym jednak wypadku ma to na celu zmniejszenie ludzkich obaw (strachu) przed zagrożeniami, które niesie przyszłość. Warto także zauważyć, że zapewnienie całkowitego bezpieczeństwa jest bardzo trudne, a wręcz niemożliwe. Chodzi więc zwykle o ograniczenie, a nie całkowitą likwidację zagrożeń. Dostrzec także należy, że różne rodzaje (systemy) bezpieczeństwa są ze

sobą ściśle powiązane. Na przykład bezpieczeństwo militarne danego kraju nie zależy tylko i wyłącznie od jego systemu obronnego, przygotowań militarnych i innych tego typu rozwiązań – lecz także od systemów militarnych obcych państw, a także zagrożeń z nimi związanych – sytuacji politycznej w krajach sąsiednich, polityki zagranicznej własnego kraju, kondycji gospodarki, potencjału naukowo-technicznego etc.

System bezpieczeństwa, by spełnić swą rolę, powinien nie tylko dysponować siłą zdolną do podejmowania odpowiednich decyzji, lecz również być dysponentem sił, zdolnych do realizacji tych decyzji. Oznacza to, że musi dysponować nie tylko mocą argumentu, lecz również argumentem siły (politycznej, społecznej, gospodarczej i militarnej). Wszystkie one odgrywają współcześnie bardzo ważną rolę. Bezpieczeństwo wiąże się zarówno z rzeczywistym stanem, jak i poczuciem zagrożenia – obawą (strachem) przed niebezpieczeństwem (zagrożeniem), które nie zawsze musi być odzwierciedleniem obiektywnej rzeczywistości, lecz zawsze ma związek z sytuacją, w której pojawia się zwiększone prawdopodobieństwo powstania stanu niebezpiecznego dla otoczenia. Istota bezpieczeństwa to zapewnienie możliwości przetrwania oraz swobody realizacji własnych interesów

w konkretnych warunkach, poprzez wykorzystywanie szans (okoliczności sprzyjających), podejmowanie wyzwań i przeciwdziałanie zagrożeniom.

Mówiąc o bezpieczeństwie w Polsce i Europie nie można pominąć problemu europejskiej polityki bezpieczeństwa i obrony, która dla rozwoju i stabilizacji naszego kontynentu odgrywa bardzo ważną rolę. Myślę, że Unia Europejska, chcąc w dalszym ciągu rozwijać się oraz zapewnić odpowiednie przeciwdziałanie współczesnym zagrożeniom, musi osiągnąć status mocarstwa. Tylko wówczas będzie mogła, wspólnie z innymi mocarstwami i państwami tego świata zapewnić pokój, dobrobyt i społeczno-polityczne prawa obywateli XXI w.

Bezpieczeństwo międzynarodowe – brak obiektywnie istniejących zagrożeń i subiektywnych obaw oraz zgodne dążenie i działanie społeczności międzynarodowej na rzecz ochrony określonych wartości państwowych i pozapaństwowych (społecznych) za pomocą norm, instytucji i instrumentów zapewniających pokojowe rozstrzyganie sporów oraz tworzenie gospodarczych, społecznych, ekologicznych i innych przesłanek dynamicznej stabilności i eliminowania zagrożeń¹

Stwierdzić należy, że pojęcie „bezpieczeństwo” jest pojęciem wieloznacznym i wieloaspektowym. Brak jego jasnych i jednoznacznych definicji. Dzieje się tak między innymi dlatego, iż jest to raczej „stan i proces”, a nie wartość o stałych i niezmiennych desygnatach. Jest ono inne dzisiaj, niż w przeszłości. Co innego oznacza bezpieczeństwo dla państwa małego, średniego czy supermocarstwa, a co innego stanowi teoretyczny model bezpieczeństwa. Tego stanu nie można skopiować ani przenieść na grunt innego państwa w myśl zasady „gdy dwaj robią to samo, to nie jest to samo” (*duo cum faciunt idem, non est idem*).

Obecnie bezpieczeństwo stało się zasadniczą kategorią, która rodzi szansę na pomyślny roz-

wój Polski i wypracowywanie dobrej pozycji w jednoczącej się Europie. Wejście naszego kraju do euroatlantycznych struktur bezpieczeństwa zlikwidowało polityczno-militarne osamotnienie lat dziewięćdziesiątych i włączyło nas do stabilnego systemu zbiorowego bezpieczeństwa. Jednakże obok zalet członkostwa w NATO i związanego z tym bezpieczeństwa pamiętać należy, iż za bezpieczeństwo naszego państwa w pierwszej kolejności odpowiadamy my sami. Obowiązkiem każdego rządu jest zapewnienie obywatelom podstawowych warunków ochrony przed potencjalnymi i realnymi niebezpieczeństwami związanymi z występowaniem klęsk żywiołowych oraz innymi podobnymi zagrożeniami powodowanymi siłami natury lub działalnością człowieka, a także wynikającymi z działań zbrojnych. Natomiast obowiązkiem każdego obywatela, zakładu pracy, instytucji i organizacji społecznej jest niedopuszczenie do sytuacji zagrażających życiu i zdrowiu ludzi, środowisku oraz mieniu, jak również niesienie pomocy poszkodowanym w wyniku tych zdarzeń. To na nas spocznie podstawowy wysiłek obrony Rzeczypospolitej, gdy zaistnieje taka potrzeba. Pamiętajmy o tym.

Bezpieczeństwo państwa (bezpieczeństwo narodowe): stan uzyskany w wyniku zorganizowanej obrony i ochrony przed zagrożeniami zewnętrznymi i wewnętrznymi, określonym stosunkiem potencjału obronnego do skali zagrożeń

Bezpieczeństwo państwa to rzeczywisty stan stabilności wewnętrznej i suwerenności państwa (w sensie zaspakajania podstawowych potrzeb egzystencjalnych i behawioralnych społeczeństwa oraz traktowania państwa jako suwerennego podmiotu w stosunkach międzynarodowych)²

Należy sobie uświadomić, iż członkostwo w Sojuszu daje nam szansę na stworzenie właściwej organizacji obronnej całego państwa. Wła-

snym wysiłkiem, wspartym przez inne kraje NATO, powinniśmy dążyć do tego, aby zachować ducha obrony, to znaczy obdarzony żywotną siłą instynkt naszej cywilizacji, ponieważ historia skazuje na zagładę tylko te ludy, które nie chcą się bronić³.

Historia oraz nowy wymiar obrony militarnej Polski wskazuje na to, iż nie można opierać się tylko na przesłankach zewnętrznych, czyli sojuszach międzynarodowych, ale także wewnętrznych, czyli narodowym systemie obronności.

Narodowy system bezpieczeństwa państwa – to skoordynowany wewnętrznie zbiór elementów organizacyjnych, ludzkich i materiałowych wzajemnie powiązanych i działających na rzecz zachowania bezpieczeństwa państwa. Bezpieczeństwo narodowe, zgodnie z powszechnie przyjętymi zasadami, rozumiane jest szeroko jako stan uzyskany w rezultacie odpowiednio zorganizowanej obrony i ochrony przed wszelkimi zagrożeniami militarnymi i niemilitarnymi, tak zewnętrznymi, jak i wewnętrznymi, przy użyciu sił i środków pochodzących z różnych dziedzin działalności państwa⁴

Na zakończenie pragnę zacytować marszałka Józefa Piłsudskiego, który między innymi tak oceniał poziom obronności i bezpieczeństwa: „Mamy ogromnie rozwinięte granice, a w stosunku do nich za mało wojska. Przy tym wszystkim mamy do czynienia w społeczeństwie z tak niskim poziomem myślenia o rzeczach wojska i obrony, że mówiąc do ludzi o tych trudnych zagadnieniach, mówi się jak w próżnię – tak trudne zadania stawiając, nie znajduje się odzewu. Jest to jeszcze jedna dziedzina, w której triumf święci u nas specjalnego rodzaju analfabetyzm. O sprawach strategicznych, sprawach obrony, wojska, ogół nasz nie nauczył się jeszcze myśleć, a nawet słuchać”.

Zbigniew Kopa

¹ *Słownik terminów z zakresu bezpieczeństwa narodowego*. Oprac. pod kier. B. Balcerowicza. Wyd. 4, Warszawa 2002.

² S. Dworecki, *Zagrożenia bezpieczeństwa państwa*. Warszawa 1994, s. 16.

³ A. Beaufre, *Wstęp do strategii. Odstraszanie i strategia*. Warszawa 1969, s. 241.

⁴ *Słownik terminów z zakresu bezpieczeństwa narodowego*, AON wewn. 4822/96, s. 93.

Jan Ostojki

Bezpieczeństwo narodowe

Jedną z najważniejszych potrzeb człowieka jest potrzeba bezpieczeństwa szeroko rozumianego, a więc: ekonomicznego, psychicznego, osobistego, militarnego, ekologicznego, energetycznego, informacyjnego i socjalnego. Potrzeba bezpieczeństwa wynika ze skłonności człowieka do życia we wspólnocie

Naród jako wspólnota połączona więzią etniczną, kulturowo-cywilizacyjną charakteryzuje się poczuciem tożsamości grupowej i zdolnością do przekazywania jej kolejnym pokoleniom. Jest efektem wielowiekowego procesu, trwałą wspólnotą historyczną posiadającą własną kulturę, język, wartości, instytucje i terytorium.

Do realizacji swoich celów naród tworzy państwo jako podstawową formę organizacji życia politycznego i społecznego. Państwo to określony obszar terytorialny podporządkowany jednemu suwerennemu ośrodkowi władzy politycznej, która jest władzą państwową. Głównym celem i motywem działania państwa jest zabezpieczenie interesów narodowych. Tworzy ono ramy organizacyjne życia narodu, eksponuje jego wartości, scala rozmaite grupy by współdziałały dla jego dobra. Osłabienie państwa odbija się ujemnie na jego kondycji, a więc na bezpieczeństwie wewnętrznym i zewnętrznym, porządku prawnym, dobru powszechnym (kulturze, sprawiedliwości, moralności), na pracy.

Pojęcie bezpieczeństwa jest najczęstszym ze stosowanych pojęć w organizacji i funkcjonowaniu społeczeństwa oraz w nauce. Bezpieczeństwo narodowe to stan niezagrożonego spokoju. To potrzeba istnienia, przetrwania, pewności, stabilności, tożsamości, niezależności, ochrony poziomu i jakości życia. Było ono utożsamiane przede wszystkim z siłą wojskową według uproszczonego schematu: zagrożenie to agresja,

a bezpieczeństwo to obrona militarna. Współczesne składniki bezpieczeństwa to – obok aspektów wojskowych i politycznych – czynniki gospodarcze technologiczne, zasoby surowcowe oraz polityka w zakresie ekologii, demografii, spraw społecznych i humanitarnych. Bezpieczeństwo narodowe tworzy cały naród, chroniąc swe wartości oraz interesy narodowe, broniąc ich przed zagrożeniem militarnym i niemilitarnym, tworząc sprzyjające warunki w środowisku międzynarodowym.

Jeśli bezpieczeństwo narodowe jest najwyższą wartością i potrzebą narodu oraz głównym celem działań państwa, to obrona narodowa jest jego strukturą realizacyjną, chroniącą go przed zagrożeniem wewnętrznym i zewnętrznym. Obrona narodowa jest organizacją i działalnością państwa w zakresie ochrony i obrony przed zagrożeniami interesów narodowych.

W strukturze naszego państwa obrona narodowa w czasie pokoju obejmuje: obronę państwa oraz Siły Zbrojne RP (SZ). Do narzędzi współczesnej obrony narodowej zalicza się: struktury organizacyjne – organy władzy, służbę zagraniczną, siły zbrojne, służbę wywiadu, policję, straż graniczną, straż pożarną, placówki naukowo-badawcze, obiekty i ośrodki kultury, służby inspekcyjne, stowarzyszenia pozarządowe oraz narzędzia niematerialne – morale narodowe, strategia polityki państwa, prawo państwowe, naukę, edukację i inne.

Środkami obrony narodowej są: środki polityczne i gospodarcze, wojskowe, bezpieczeństwa publicznego i powszechnego, naukowo-techniczne, ekologiczne, normatywne i ideologiczne.

Funkcje państwa w dziedzinie bezpieczeństwa można podzielić na: wewnętrzną, gospodarczo-organizatorską, socjalną, kulturalno-wychowawczą i zewnętrzną.

Funkcja wewnętrzna wiąże się z zapewnieniem bezpieczeństwa i porządku publicznego, ochroną mienia, zdrowia społeczeństwa i środowiska oraz zabezpieczeniem trwałości w wewnętrznej strukturze – właściwych stosunków społecznych. Funkcja gospodarcza polega na organizowaniu życia gospodarczego i stwarzaniu warunków do rozwoju działalności gospodarczej, a w konsekwencji do tworzenia materialnych podstaw bezpieczeństwa narodowego. Funkcja socjalna to działania na rzecz ubezpieczeń społecznych, ochrony zdrowia, pomocy społecznej, wykorzystania zasobów ludzkich. Funkcja kulturalno-wychowawcza polega na wpajaniu wiedzy, rozpowszechnianiu kultury, upowszechnianiu idei i wartości oraz kształtowanie postaw i zachowań obywatelskich. Funkcja zewnętrzna to zapewnienie bezpieczeństwa państwa na zewnątrz, rozwijanie stosunków politycznych, gospodarczych i kulturalnych z innymi państwami, a także kontaktów międzynarodowych.

Polskie prawo i konstytucja dość szeroko ujmują najważniejsze funkcje państwa związane z bezpieczeństwem narodowym i obroną narodową. W konstytucji bezpieczeństwo podniesione zostało do najwyższej rangi i traktowane jest jako główny obszar aktywności państwa. Określa obowiązki obywateli w zakresie obronności (wierność RP, troska o dobro wspólne, przestrzeganie prawa, obrona ojczyzny). Niezwykle ważne dla interesów bezpieczeństwa narodowego i obrony narodowej są stany nadzwyczajne. Stwierdza się, że w sytuacjach szczególnych zagrożeń, jeśli zwykle środki konstytucyjne są niewystarczające, może zostać wprowadzony odpowiedni stan nadzwyczajny: stan wojenny, stan wyjątkowy, stan klęski żywiołowej.

Działania podjęte w wyniku wprowadzenia stanu nadzwyczajnego muszą odpowiadać stopniowi zagrożenia i powinny zmierzać do jak najszybszego przywrócenia normalnego funkcjonowania państwa. Określa się też zakres ograniczeń wolności i praw człowieka i obywatela (godności, ochrony życia, humanitarnego traktowania, ponoszenia odpowiedzialności karnej, dóbr osobistych itp.).

Gotowość obronna państwa rozumiana jest jako stan przygotowania podmiotów obrony narodowej do sytuacji nadzwyczajnych oraz przeciwstawienie się wszelkim zagrożeniom kryzysowym i wojennym. Obejmuje gotowość: obronną i mobilizacyjną SZ, stanowisk kierowania (przygotowanie organów władzy, administracji, gospodarki na wojenny system zarządzania państwem), organizacyjno-mobilizacyjną sektora cywilnego (zadania podmiotów gospodarczych na okres kryzysu i wojny). Wyróżniamy trzy stany gotowości obronnej: stały (realizowane są zadania planistyczne, organizacyjne i szkoleniowe mające na celu przygotowanie obrony państwa), podwyższony (gotowość kryzysowa), pełnej gotowości (uruchomienie części lub całego potencjału obronnego – wojskowego i cywilnego).

Zasady wprowadzania stanów nadzwyczajnych

Stan klęski żywiołowej może być wprowadzony w celu zapobieżenia lub usunięcia skutków katastrof naturalnych lub awarii technicznych. Wprowadza się go na czas określony, nie dłużej jednak jak 30 dni. Organem uprawnionym do jego wprowadzenia jest Rada Ministrów z inicjatywy własnej lub na wniosek wojewody.

Stan wyjątkowy może być wprowadzony w sytuacji szczególnego zagrożenia konstytucyjnego ustroju państwa, bezpieczeństwa obywateli lub porządku publicznego. Rada Ministrów w drodze uchwały kieruje wniosek do prezydenta RP, a on może wydać rozporządzenie o wprowadzeniu stanu wyjątkowego. I w ciągu 48 godzin przedstawia je sejmowi. Stan wyjątkowy

może być wprowadzony na czas nie dłuższy niż 90 dni. W przypadku, gdy nie ustały przyczyny zagrożenia, prezydent może go przedłużyć na czas nie dłuższy niż dalsze 60 dni.

Stan wojenny może być spowodowany działaniami terrorystycznymi lub zbrojną napaścią na terytorium RP. Prezydent na wniosek RM może wówczas wprowadzić stan wojenny na części lub całym terytorium państwa. Zobowiązany jest do przedstawienia sejmowi rozporządzenia o wprowadzeniu stanu wojennego nie później niż przed upływem 48 godzin od jego podpisania. Minister spraw zagranicznych powiadamia sekretarza generalnego ONZ i Radę Europy.

Organa władzy w tworzeniu bezpieczeństwa narodowego

Podstawą organizacji i sprawnego funkcjonowania demokratycznego państwa jest zasada podziału władzy na ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą. Władzę ustawodawczą sprawuje sejm i senat, wykonawczą – prezydent i Rada Ministrów, sądowniczą – sądy i trybunały. W konstytucyjnym systemie ustrojowym prezy-

nistra obrony narodowej, współpracującego z szefem Sztabu Generalnego i dowódcami rodzajów sił zbrojnych.

Prezydent na czas wojny mianuje i odwołuje: szefa Sztabu Generalnego i dowódców rodzajów wojsk; na wniosek prezesa Rady Ministrów Naczelnego Dowódcę SZ; na wniosek MON nadaje stopnie wojskowe. Ponadto: zatwierdza na wniosek prezesa RM strategię bezpieczeństwa narodowego; wydaje Polityczno-Strategiczną Dyrektywę Obronną RP; zatwierdza plany krajowych ćwiczeń systemu obronnego i kieruje ich przebiegiem; wprowadza albo zmienia określony stan gotowości obronnej państwa; inicjuje i patronuje przedsięwzięciom ukierunkowanym na kształtowanie postaw patriotycznych i obronnych społeczeństwa. Określa główne kierunki rozwoju sił zbrojnych oraz ich przygotowanie do obrony państwa.

Rada Ministrów stanowi główne ogniwo władzy wykonawczej. Prowadzi politykę wewnętrzną i zagraniczną, kieruje administracją rządową. Odpowiada za zapewnienie bezpieczeństwa wewnętrznego i porządek publiczny, za bezpieczeństwo zewnętrzne, sprawuje ogólne kierow-

Bezpieczeństwo narodowe to stan niezagrażonego spokoju. To potrzeba istnienia, przetrwania, pewności, stabilności, tożsamości, niezależności, ochrony poziomu i jakości życia. Było ono utożsamiane przede wszystkim z siłą wojskową według uproszczonego schematu: zagrożenie to agresja, a bezpieczeństwo to obrona militarna

dent RP jest ważnym samodzielnym podmiotem, realizującym koncepcję równowagi władzy i gwarantem jej ciągłości, czuwa nad przestrzeganiem konstytucji, stoi na straży suwerenności państwa, bezpieczeństwa oraz nie naruszalności i niepodzielności jego terytorium. Jest zwierzchnikiem sił zbrojnych, obronności i bezpieczeństwa państwa w czasie pokoju i wojny. W czasie pokoju sprawuje zwierzchnictwo nad siłami zbrojnymi za pośrednictwem mi-

nictwo w dziedzinie obronności oraz corocznie określa liczbę obywateli powoływanych do czynnej służby wojskowej. Ponadto zajmuje się: opracowaniem projektów strategii bezpieczeństwa, planowaniem i realizacją przygotowań obronnych państwa w okresie zagrożenia, przygotowaniem systemu

kierowania bezpieczeństwem narodowym, utrzymywaniem stałej gotowości obronnej państwa i jej podwyższaniem i obniżaniem, określaniem obiektów szczególnie ważnych dla bezpieczeństwa państwa, określaniem zasad wykorzystania służby zdrowia, zapewnianiem systemu szkolenia obronnego, kontrolą stanu przygotowań obronnych w państwie.

Wbrew pozorom, bezpieczeństwo państwa nie jest stanem, który można osiągnąć nie sku-

piając się na realizacji innych celów. Jest to jedna z tych wartości, o które należy zabiegać w sposób ciągły – kształtować, modyfikować i adaptować stosownie do zmieniającej się sytuacji zewnętrznej i wewnętrznej. Ów proces ma na celu przede wszystkim zapobieganie zagrożeniom, ale również przygotowywanie kraju do efektywnej egzystencji w warunkach wszelkiego rodzaju kryzysów i wojny, a później efektywnej odbudowy.

Polityka bezpieczeństwa narodowego wolnej i demokratycznej Polski cechuje się niezmiennością celów i zasad. Zapewniła wyjątkowy w naszej historii poziom bezpieczeństwa, oparty m.in. na gwarancjach Sojuszu Północnoatlantyckiego. Sytuacja międzynarodowa ulega wszakże dynamicznym zmianom, pojawiają się nowe wyzwania i zagrożenia, których skalę

uświadomiły tragiczne wydarzenia w USA z 11 września 2001 r.

Podstawowe cele naszej polityki bezpieczeństwa są niezmiennie związane z ochroną suwerenności i niezawisłości Rzeczypospolitej, utrzymaniem nienaruszalności granic i integralności terytorialnej kraju. Polityka państwa służy zapewnieniu bezpieczeństwa obywateli Polski, przestrzegania praw człowieka i podstawowych wolności oraz demokratycznego porządku w kraju, stworzeniu niezakłóconych warunków do cywilizacyjnego i gospodarczego rozwoju Polski oraz wzrostu dobrobytu jej obywateli, ochronie dziedzictwa narodowego i tożsamości narodowej, realizacji zobowiązań sojuszniczych, a także obronie i promowaniu interesów państwa polskiego.

Jan Ostojski

Pelagia Szybka

Kształcenie umiejętności z zakresu pierwszej pomocy w polskiej edukacji

Rozwój współczesnej cywilizacji stawia przed ludźmi coraz większe wymagania w zakresie umiejętności przeciwdziałania różnorodnym zagrożeniom. Pomimo istniejących rozwiniętych technologii i procedur medycznych, obecne czasy wymagają nowego podejścia do działań ratowniczych w stanach nagłego zagrożenia zdrowia i życia. Aby dać szansę na wprowadzenie intensywnych procedur medycznych, na miejscu zdarzenia musi znaleźć się osoba, która wykona działania ratujące życie, w tym podtrzymujące podstawowe funkcje życiowe człowieka. Niestety, umiejętności ratownicze polskiego społeczeństwa są bardzo nikle, pomimo że ratowanie życia jest nie tylko obowiązkiem moralnym ale także prawnym każdego z nas. Według danych Światowej Organizacji Zdrowia co roku na świecie 75 milionów ludzi doznaje urazów. To wypadki i urazy, wynikające między innymi z rozwoju komunikacji oraz bezmyślnych lub celowych działań innych ludzi, powodują rocznie śmierć 3,5 miliona osób, a dziesięciokrotnie więcej staje się z ich przyczyny inwalidami. Według Światowej Organizacji Zdrowia około 20% wszystkich zgonów spowodowana jest wypadkami komunikacyjnymi, a ponoszone koszty ratownicze oceniane są na 500 miliardów dolarów rocznie. Obrażenia ciała z powodu wypadków są w świecie główną przyczyną zgonów mężczyzn do 45 roku życia. Biorąc jednak pod uwagę całą populację ludzką, największą

śmiertelność wśród osób dorosłych nadal powodują choroby układu krążenia. W Polsce według danych GUS, w różnych wypadkach ginie rocznie około 30 tysięcy osób, i tyle samo umiera z powodu zawałów serca. Tylko w wypadkach drogowych zginęło w 2005 r. 5444 osób, a ponad 61 tysięcy zostało rannych, w tym 6097 dzieci. Wskaźnik śmiertelności powypadkowej w Polsce wynosi 12 zabitych na 100 wypadków, a w Europie średnio 4,5 na 100 wypadków. Poziom bezpieczeństwa ruchu drogowego oceniany na podstawie liczby wypadków, ich rozmiarów oraz skutków klasyfikuje nasz kraj na jednym z ostatnich miejsc w Europie. Analiza przyczyn zgonów ofiar nagłych wypadków wykazuje, że możliwe było uratowanie wielu poszkodowanych, pod warunkiem podjęcia właściwych działań na miejscu zdarzenia przez znajdujące się tam osoby. Niestety, nadal jedyną, najczęściej wykonywaną czynnością ratowniczą jest powiadomienie służb ratunkowych. Trudno się więc dziwić, biorąc pod uwagę fakt, iż jesteśmy ignorantami w zakresie umiejętności udzielania pierwszej pomocy, a szczególnie w podtrzymywaniu podstawowych funkcji życiowych. Niski poziom wiadomości z zakresu pierwszej pomocy ratującej życie potwierdziły wyniki badań przeprowadzonych przez TNS OBOP, opracowane przez A. Rasmusa, W. Gaszyńskiego i A. Markiewicza z Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi. Badania na temat przygotowania

społeczeństwa polskiego do działań w zakresie pierwszej pomocy przeprowadzono dwukrotnie, tj. w styczniu 1997 r. i w lipcu 2003 r. Sondaż zrealizowano na ogólnopolskiej, losowej, reprezentatywnej próbie 1005 mieszkańców Polski w wieku 15 i więcej lat. Pytania zastosowane w ankiecie opracowano według obowiązujących w danym okresie wytycznych Polskiej Rady Resuscytacji.

Wyniki pierwszego sondażu potwierdziły u 90% ankietowanych chęć podjęcia działań ratujących zdrowie i życie w sytuacjach jego zagrożenia. Tylko 37% respondentów uznało swoje umiejętności w zakresie pierwszej pomocy jako wystarczające, pomimo że 74% ogółu badanych deklarowało ukończenie odpowiednich szkoleń. Natomiast 59% przebadanych osób oceniła negatywnie swoje umiejętności udzielania pierwszej pomocy ratującej życie. Niestety tylko 1% badanych odpowiedziało poprawnie na wszystkie pytania testu sprawdzającego podstawowe wiadomości z zakresu pierwszej pomocy. Wystąpiła znaczna rozbieżność między deklarowanymi a rzeczywistymi wiadomościami badanych, a jest wysoce prawdopodobne, że byłaby jeszcze większa, gdyby sprawdzono poziom umiejętności praktycznych w podtrzymywaniu podstawowych czynności życiowych.

Wyniki uzyskane w 2003 r. są bardzo zbliżone do uzyskanych sześć lat wcześniej i przedstawiają się następująco:

Zdecydowana większość badanych (84%) deklarowała chęć udzielenia pierwszej pomocy w sytuacji zagrożenia zdrowia i życia.

Ponad połowa Polaków w wieku 15 i więcej lat (56%) negatywnie oceniło swoje umiejętności udzielania pierwszej pomocy ratującej życie.

Dość duża grupa respondentów (41%) stwierdziła, iż ich umiejętności w zakresie pierwszej pomocy są wystarczające.

Niemal wszystkie osoby, które nie wyraziły gotowości udzielenia pierwszej pomocy, były przekonane, iż ich umiejętności są niewystarczające do ratowania życia (94%).

Rozpiętość wyników uzyskanych w teście sprawdzającym wiadomości jest bardzo znaczna; od znajomości przez 74% badanych miejsca ułożenia rąk przy pośrednim masażu serca do wskazania tylko przez 6% respondentów prawidłowego rytmu resuscytacji.

Wiedza o czynnościach ratujących życie jest bardzo niska. Na wszystkie pytania testu sprawdzającego podstawowe wiadomości z pierwszej pomocy ratującej życie odpowiedział nikt odsetek badanych (3%).

W porównaniu z wynikami z roku 1997 wzrósł – choć w niewielkim stopniu, (z 37% do 41%) odsetek osób, które pozytywnie wypowiedziały się na temat swoich umiejętności udzielania pierwszej pomocy. Liczba badanych, którzy oceniali negatywnie swoje umiejętności z zakresu pierwszej pomocy nieznacznie się zmniejszyła – z 59% do 56%. Nadal utrzymał się bardzo niski poziom wiedzy ratowniczej. W porównaniu z wynikami uzyskanymi w 1997 r. nieznacznie wzrósł odsetek osób, z 1% do 3% poprawnie odpowiadających na wszystkie pytania testu.

Niski poziom wiedzy i umiejętności z zakresu resuscytacji krążeniowo-oddechowej potwierdziły także badania przeprowadzone wśród studentów wyższych uczelni Trójmiasta w 2002 r. Tylko niewielki odsetek respondentów (8%) znał zasady podstawowych zabiegów podtrzymujących funkcje życiowe oraz trenował resuscytację na fantomach.

Już te nieliczne istniejące doniesienia z badań diagnozujących wiedzę społeczeństwa w zakresie pierwszej pomocy wskazują na konieczność rewizji aktualnego systemu szkolenia. Istnieje konieczność opracowania spójnego modelu kształcenia w zakresie pierwszej pomocy, uwzględniającego nabywanie i utrwalanie umiejętności ratowniczych.

Sytuacje urazogenne nie omijają także instytucji edukacyjnych, a więc przebywających tam dzieci. Z danych Ministerstwa Edukacji Narodowej wynika, iż tylko w roku szkolnym 2003/2004 w placówkach oświatowych uległo wypadkom 149 494 dzieci, w tym 1248 bardzo

ciężkim a 88 śmiertelnym. Porównanie tych danych z liczbą wypadków w sektorach gospodarki powszechnie uznawanych za niebezpieczne, tj. w górnictwie i transporcie, wypada niestety na niekorzyść zdarzeń w placówkach oświatowych. Na 1000 osób w tym samym czasie wydarzyło się: w górnictwie 17 zdarzeń urazowych, w transporcie 8, natomiast w szkołach 21 wypadków wymagających pomocy medycznej. Poziom umieralności powypadkowej dzieci w wieku 5–14 lat wciąż jest w Polsce wyższy niż w innych krajach wysoko rozwiniętych. Przedstawione dane statystyczne wskazują, iż to nauczyciele, będąc świadkami tych nagłych zdarzeń, w pierwszej kolejności muszą podejmować natychmiastowe czynności ratownicze, udzielając poszkodowanemu dziecku koniecznej pomocy do czasu przyjazdu służb ratowniczych. Ale czy nauczyciele są do tego wystarczająco przygotowani?

Zapowiadając wprowadzenie z dniem 1 stycznia 2007 r. *Ustawy o Państwowym Ratownictwie Medycznym* były premier K. Marcinkiewicz na konferencji prasowej w resorcie zdrowia stwierdził, że: „Sami ratownicy, sami lekarze, a także wszystkie służby nie będą dobrze działać, dobrze funkcjonować i ratować życie, jeśli my wszyscy nie będziemy potrafili tego robić. Stąd tak ważny nacisk, także w tej ustawie, na edukację związaną z ratowaniem ludzkiego życia. Udzielanie pierwszej pomocy zostanie wprowadzone obowiązkowo do programu nauczania w szkołach podstawowych, gimnazjach i szkołach średnich [...] a od nauczycieli wymagane będzie zaświadczenie o ukończeniu kursu i uzyskanie tytułu ratownika”. Po raz pierwszy na tak wysokim szczeblu władzy państwowej podkreślono znaczenie powszechnego kształcenia umiejętności ratowniczych. Mimo dostrzegania konieczności szerokiej społecznej edukacji w zakresie pierwszej pomocy, o której traktuje między innymi *Ustawa o Państwowym Ratownictwie Medycznym*, nie przygotowano powszechnej, jednolitej koncepcji systematycznego kształcenia w zakresie pierwszej pomocy. Jest to więc zadanie priorytetowe, rozwiązaniem którego powinno zająć się Mini-

sterstwo Edukacji Narodowej wspólnie z Ministerstwem Zdrowia, przy współpracy nielicznych jeszcze specjalistów, mających głównie doświadczenia praktyczne w nauczaniu umiejętności udzielania pierwszej pomocy.

Artykuł 8 *Ustawy o Państwowym Ratownictwie Medycznym* nakłada na system oświaty realizację edukacji w zakresie udzielania pierwszej pomocy oraz reguluje, kto będzie uczył dzieci i młodzież tych umiejętności. Kształtowanie umiejętności ratowniczych należy rozpocząć już w przedszkolach i kontynuować w szkołach podstawowych, gimnazjach i szkołach ponadgimnazjalnych. Zajęcia edukacyjne mają być realizowane z udziałem: lekarzy systemu, pielęgniarek systemu i ratowników medycznych; którzy mają otrzymywać wynagrodzenie według stawki godzinowej na podstawie umowy cywilnoprawnej. Ustawa określa także, iż stawki godzinowe dla prowadzących zajęcia lekarzy, pielęgniarek systemu oraz ratowników medycznych ustala dyrektor szkoły, w zależności od posiadanych środków finansowych. Jednak stwierdza się, iż wysokość tych stawek nie może być niższa od stawki godzinowej dla nauczyciela posiadającego stopień nauczyciela kontraktowego oraz tytuł zawodowy magistra z przygotowaniem pedagogicznym. Nasuwa się pytanie: jak pracownicy systemu ratownictwa medycznego powiązają ciężką pracę zawodową z edukacją dzieci i młodzieży? Ustawa dopuszcza prowadzenie edukacji w zakresie udzielania pierwszej pomocy przez nauczycieli posiadających odpowiednie przygotowanie. Zakres wiedzy i umiejętności niezbędnych do prowadzenia zajęć edukacyjnych oraz tryb ich nabywania ma zostać określony w drodze odrębnych rozporządzeń ministrów do spraw zdrowia i oświaty.

W projekcie *Ustawy o Państwowym Ratownictwie Medycznym* znalazł się zapis o wymogu posiadania uprawnień pedagogicznych przez osoby, które w szkołach mają kształcić młodzież w zakresie udzielania pierwszej pomocy. Stanowisko Ministerstwa Edukacji Narodowej było bardzo rygorystyczne w tej sprawie i opierało

się na obowiązujących w resorcie edukacji przepisach. Jednak w uchwalonej już ustawie zrezygnowano z tego zapisu. Fakt ten może spowodować negatywne skutki finansowe, polegające na podwójnym opłaceniu zajęć z pierwszej pomocy. Jeżeli dana szkoła zatrudni pracowników medycznych w ramach umowy-zlecenia, to nauczyciel odpowiadający za bezpieczeństwo i opiekę nad dziećmi i tak będzie musiał uczestniczyć w tych zajęciach. Jest to jeden z argumentów przemawiających za tym, aby to nauczyciele prowadzili zajęcia z pierwszej pomocy. Jednak przy wyborze takiej koncepcji, najważniejszym problemem organizacyjnym i merytorycznym do rozwiązania jest szybkie przeszkolenie bardzo znacznej grupy zawodowej, jaką stanowią nauczyciele. To właśnie w edukowaniu nauczycieli autorka widzi rolę wymienionych w ustawie lekarzy, pielęgniarek i pracowników systemu ratowniczego. Wprowadzenie pod koniec lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku w Austrii powszechnego systemu szkolenia społeczeństwa w zakresie pierwszej pomocy rozpoczęto od pracujących nauczycieli, którzy w ciągu 5 lat mieli obowiązkowo ukończyć 40-godzinny kurs ratowniczy. Zyskano w ten sposób, nie tylko olbrzymią grupę edukatorów pierwszej pomocy, ale także – o czym się często zapomina – grupy osób umiających ratować poszkodowanych w sytuacjach zagrożenia zdrowia i życia. Są to niezwykle ważne umiejętności, zważywszy na to, że tylko w szkołach polskich w ciągu roku szkolnego wypadkom ulega około 145 tysięcy uczniów. Także Polska Rada Resuscytacji popiera edukację w zakresie pierwszej pomocy w szkołach przez osoby nie związane z medycyną. Według przedstawicieli tej organizacji „artykuł 8 jest kluczowy dla niezmiernie ważnego problemu, jakim jest nauczanie pierwszej pomocy w szkołach. Europejska Rada Resuscytacji, a co za tym idzie Polska Rada Resuscytacji, stoi na stanowisku, iż edukację w zakresie pierwszej pomocy mogą prowadzić także osoby nie posiadające wykształcenia medycznego. Organizowane przez Europejską Radę Resuscytacji kursy in-

struktorów podstawowych zabiegów resuscytacyjnych i automatycznej defibrylacji zewnętrznej są dostępne także dla osób bez wykształcenia medycznego. W programach takich kursów nacisk kładzie się na dwa filary. Pierwszy – to wiedza praktyczna i teoretyczna z zakresu udzielania pierwszej pomocy; drugi – to wiedza jak uczyć i skutecznie przekazywać posiadaną przez instruktora wiedzę uczestnikom kursu. Mamy nadzieję, że Ministerstwa opracowując wspomniane w tym artykule rozporządzenie wykorzystają wiedzę i doświadczenia międzynarodowe w edukacji zawarte w Stanowisku Komitetu Łącznikowego ds. Resuscytacji, którego członkami są Europejska i Polska Rada Resuscytacji”.

Dopiero po podjęciu działań edukacyjnych z zakresu pierwszej pomocy można będzie mówić o skutecznej, praktycznej realizacji 11. celu operacyjnego Narodowego Programu Zdrowia, który zakłada: „Zwiększenie sprawności i skuteczności pomocy doraźnej w nagłym zagrożeniu życia”. Jednak problem powiązania kształcenia w zakresie pierwszej pomocy z edukacją szkolną jest zagadnieniem nowym i nie opisanym w literaturze; tak jak i zakres wiedzy, metod i form organizacyjnych, które należy dopiero wypracować. Autorka żywi przekonanie, że edukację z zakresu pierwszej pomocy przedmedycznej, w polskim systemie kształcenia, należy realizować od przedszkola aż do studiów wyższych oraz utrwalać nabyte umiejętności w pracy zawodowej. Uważa także, iż należy właściwie wykorzystać istniejące możliwości systemu i dlatego widzi znaczącą rolę edukacji prozdrowotnej, która formalnie i praktycznie już od kilku lat przeciera szlaki w oświacie. Edukacja prozdrowotna wpisana jest w pedagogikę zdrowia, która wykorzystując teorię, strategię kształcenia, metody badań, projektowanie dydaktyczne i ewaluacyjne współczesnej pedagogiki; daje ukierunkowanie teoretyczne i praktyczne dla kształcenia w zakresie pierwszej pomocy przedmedycznej.

Przeprowadzone w tym artykule rozważania pozwalają sformułować następujące wnioski. Wprowadzona w życie z dniem 1 stycznia

2007 r. *Ustawa o Państwowym Ratownictwie Medycznym* kładzie duży nacisk na powszechną edukację w zakresie pierwszej pomocy w sytuacjach zagrożenia życia. Poziom wiedzy ratowniczej Polaków jest niski, o czym świadczy wiele faktów, między innymi: szczególnie wysoki wskaźnik śmiertelności powypadkowej, poziom bezpieczeństwa ruchu drogowego oceniany na podstawie liczby wypadków, ich rozmiarów oraz skutków, klasyfikuje nasz kraj na jednym z ostatnich miejsc w Europie; przedstawione wyniki nielicznych, dostępnych badań wskazujące na bardzo niski poziom wiadomości i umiejętności społeczeństwa z zakresu pierwszej pomocy. W związku z wymogami WHO, Unii Europejskiej oraz trwającymi w Polsce zmianami ustawowymi jest obecnie odpowiednia koniunktura na opracowanie długofalowej koncepcji kształcenia społeczeństwa w zakresie pierwszej pomocy. Należy w niej uwzględnić szybkie przygotowanie

edukatorów z tego zakresu wiedzy, określić obowiązkowy zakres wiadomości i umiejętności dla poszczególnych grup wiekowych, zabezpieczyć placówki oświatowe w niezbędne środki dydaktyczne, między innymi w fantomy do nauki resuscytacji krążeniowo-oddechowej, zapewnić cykliczność i powtarzalność ćwiczeń praktycznych na wszystkich etapach edukacyjnych. Edukację z zakresu pierwszej pomocy należy rozpocząć już w przedszkolach od kształtowania umiejętności posługiwania się prostym logicznym algorytmem postępowania ratowniczego w sytuacji zagrożenia zdrowia. Kształcenie nauczycieli, którzy edukować będą później swoich wychowanków, jest najbardziej optymalnym sposobem na zapewnienie permanentnego kształtowania i utrwalania umiejętności ratowniczych.

Pelagia Szybka

Andrzej Olejko

Galicyjskie niebo 1914–1915

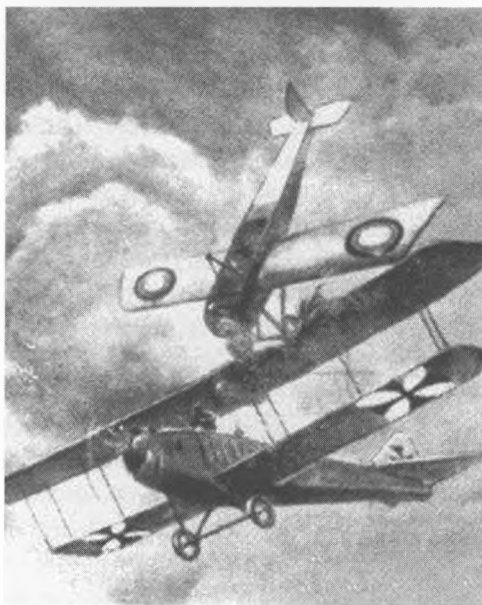
Galicja w czasach c.k. Austro-Węgier była wprost usiana lotniskami. Badacz ich dziejów, krakowski historyk dr Krzysztof Wielgus ustalił, że do 1918 r. w wykazach c.k. administracji widniały informacje o 22 galicyjskich lotniskach. Krakowskie Rakowice były największym obiektem lotniczym w Galicji Zachodniej, lotnicze zaplecze posiadała twierdza Przemyśl, gdzie austriackie samoloty lądowały na polach Hureczka, Buszkowiczek, Żurawicy czy błoniach na Bakończycach. We Wschodniej Galicji prym wiodła lwowska Lewandówka. To tylko kilka nazw lotnisk c.k. Luftfahrtruppen, czyli sił powietrznych Austro-Węgier, kierowanych od 1912 r. przez Oberstleutnanta Emila Uzelača

Lotnisko na Rakowicach to nie tylko pole wzlotów. To także teren Flugparku (parku lotniczego) i popularnego Flik-u, czyli kompanii lotniczej (Fliegerkompanie). Krzysztof Wielgus w swych badaniach ustalił, iż lotniska posiadały także inne galicyjskie miejscowości – Radymno, Brzesko, Bochnia, Pobiedzkie Wielki, Pasternik, Dębica, Rzeszów, Nowy Sącz, Gorlice, Cieszyń, Bielsko i Sanok. Austriackie Flik-i, które tu stacjonowały (nr. 1, 7, 8, 14 i 15) w 1914 r. zastał wybuch I wojny światowej¹. Sporo z lotniczych historii wydarzyło się po raz pierwszy właśnie na galicyjskim niebie.

8 IX 1914 r. nieopodal Żółtkwi pod Lwowem rozegrała się walka powietrzna zakończona pierwszym na świecie powietrznym taranem... Rosyjski pilot – sztabkapitan Piotr Niestierow, samolotem typu Morane-Saulnier G staranował austriacki samolot typu Albatros B.I, którego załoga rozpoznawała rosyjskie zaplecze. W starciu zginęli wszyscy piloci – Rosjanin i dwaj c.k. lotnicy: baron Rosenthal i nawigator unteroffizier Franz Malina².

Inny przykład to starcie z 1 X 1914 r., gdy austriacki pilot odpędził znad Przemyśla rosyjski aeroplan³.

W styczniu 1915 r. u bram Tarnowa stanęły siły armii rosyjskiej. Wówczas to odbyła się pierwsza w dziejach wojen, w pełni udana próba kierowania ogniem baterii artylerii najcięższej właśnie za pomocą lotnictwa. Cztery moździerze Škoda o kalibrze 305 mm, rozłokowane w re-



Taran wykonany przez Piotra Niestierowa

Fot. www.wikipedia.pl

jonie Biadolin Radłowskich, zmasakrowały rosyjskie baterie i ich pozycje obronne, nie widząc nawet swojego nieprzyjaciela. Ich „okiem” był wyposażony w radiotelegraf dwupłatowy Albatros B.I o imieniu *Muzzl*, którego załogę tworzyli: oberleutnant Max Hesse i oberleutnant Ludwig Dumbacher⁴.

W 1914 i 1915 r. przeprowadzono w oparciu o galicyjskie lotniska pierwszą na świecie udaną próbę uruchomienia lotniczej linii pocztowej. Dnia 1 X 1914 r. oberleutnant Aladar Taussig z obserwatorem hauptmannem Raablem, lotem samolotu typu Albatros B.I o imieniu *Steffel* zainicjowali tego rodzaju łączność na linii Przemysł–Nowy Sącz.

W okresie 7 XI 1914–22 III 1915 r. wykonano 33 loty kurierskie do i z obleżonego Przemysła. Przewieziono wówczas wiele cennych dokumentów wojskowych oraz korespondencję cywilną. Gdy 9 XII 1914 r. dwupłatowy samolot typu Lohner C (pilotowany przez feldpilota Hansa Wannecka) startował z Przemysła do kolejnego lotu, nikt nie przypuszczał, że nie dotrze on do Krakowa. Fatalny front atmosferyczny, który stanął na drodze maszyny, uniemożliwił dotarcie do celu. Pilotowi udało się jednak w miarę bezpiecznie przebić przez Karpaty i wylądować w Koszycach na Słowacji, na lotnisku tamtejszej Flik. 14. W liście do przyjaciela w Szwajcarii Wanneck tego dnia napisał: „Dziś przywiozłem z obleżonego Przemysła ok. 5000 listów i kart, lecąc nad Karpatami na wysokości 3200 m przez 5 godzin i lądując łatwo na Węgrzech. Rankiem wracam”⁵.

W czasie tych lotów dochodziło także do zdarzeń niespodziewanych. 12 III 1915 r. czeski pilot Smetana z Flik. 10 zbiegł samolotem pocztowym z Brzeska do zajętego przez Rosjan Tarnowa. Był to na tym obszarze pierwszy przypadek lotniczej dezercji⁶.

Dnia 20 III 1918 r., startem samolotu typu Brandenburg nr 27.28 z lotniska Wiedeń-Aspern otwarta została regularna linia poczty lotniczej do Kijowa o długości 1200 km. W ten sposób ziścił się pomysł inicjatora utworzenia tej linii, rot-

mistrza dr. Augusta von Raft-Marvilla. Stacjami lotniczymi na tej linii były: krakowskie Rakowice, lwowska Lewandówka, Płoskirów i Kijów⁷.

Regularna linia pocztowa ruszyła 31 III 1918 r. Czas przelotu w porze letniej na tej trasie wynosił 11 godz. Przez siedem i pół miesiąca funkcjonowania tej linii na trasie Kraków–Wiedeń i z powrotem dostarczono ponad 14 800 przesyłek i 33 tys. telegramów⁸.

Fliegerkompanie idą na wojnę...

Pierwszą jednostką c.k. lotnictwa operującą z lotniska Żurawica w Twierdzy Przemysł była Flik. 8, która wywodziła swój rodowód z Flugpark 8 utworzonego na wiedeńskim lotnisku Aspern. W lutym 1914 r. dysponował on sześcioma samolotami Lohner Typ B Seria H 2 o imionach: *Bora*, *Butterfly*, *Bela*, *Baldur*, *Bertha*, *Belisar* (pięć z nich dotrwało w służbie do 8 II 1915 r. zaś trzy – *Bela*, *Baldur* i *Belisar* – przebudowano na samoloty szkoleniowe, które służyły długo w c.k. lotnictwie czyli k.u.k. Luftfahrtruppen)⁹.

Jednostka ta formowana była z myślą o potrzebach Twierdzy Przemysł, gdzie już w lutym 1914 r. istniało przygotowane choć nie obsadzone lotnisko w Żurawicy. Stan gotowości mobilizacyjnej Flik. 8 osiągnęła dnia 8 VIII 1914 r. W dniu 22 VIII 1914 r. Flik. 8 dysponowała jednym Lohnerem B.I, jednym niemieckim Aviatikiem P 15 (późniejsze oznaczenie – B.I) oraz dwoma niemieckimi samolotami DFW B.I. Stan personelu nie jest z tego okresu znany, lecz jednym z lotników Flik. 8 był wówczas hrabia Henryk Kostrba-Skalicki, późniejszy as c.k. lotnictwa myśliwskiego¹⁰. Początek szlaku bojowego Flik. 8 tak opisywał dalej w swych wspomnieniach hptm. fp. Rudolf Holek:

„...Po kilku dniach sytuacja zmieniła się. Zostawiliśmy to lotnisko [w Żurawicy opodal Przemysła – przyp. A.O.] dla kolejnych pilotów z Flik 11, a sami przeprowadziliśmy się do Radymna, gdyż byliśmy przydzieleni do armii gen. Auffemberga, mającej ofensywne zadanie w przybliżeniu w kierunku północno – wschodnim. Dnia 9 VIII

1914 r. lecę do Radymna. Po wylądowaniu z naszym teraźniejszym dowódcą czesko-słowackiego lotniczego pułku 3 podpułkownikiem Studennym na pokładzie, samolot się zepsuł, ale tym sobie pomogłem. Dostałem nowy samolot, po który pojechałem 12 VIII 1914 r. do Przemyśla. Był to dwupłatowiec DFW z silnikiem 100 KM firmy Mercedesa. Wówczas był to sprzęt niemiecki. Było normalne, że Niemcy nie dali nam najlepszego sprzętu, ponieważ mieli przeciw sobie dojrzałego przeciwnika na zachodnim froncie, z którym nie było żartów. Austro-Węgry nie były przygotowane do walki lotniczej na taką skalę. Szukano wykorzystując łączność telegraficzną samolotów gdzie to było tylko możliwe – a było to możliwe tylko w Niemczech. Niemcy woleli dać nam gorsze niżeli mieli samoloty by wesprzeć Austriaków. Ponadto Niemcy nastawili się na masową produkcję samolotów. Po dwóch tygodniach samoloty już były u nas. Nasze samoloty w krótkim czasie zamieniliśmy na niemieckie samoloty. Austro-węgierskie fabryki pomału rozwijały lotniczą produkcję i dlatego miałem taki DFW, który latał pomału, system paliwowy był wzmocniony niezwykłą śmigłową pompką która się nie dawała smarować dlatego, że benzyna, albo olej mogłyby to zmyć i niepewnie działała. W celu utrzymania ciśnienia w zbiorniku benzynowym zamontowano pompę ręczną, blisko pilota. Silnik był dobry i to było najważniejsze. Samolot w czasie lotu stale skręcał na lewo, a na drodze z Przemyśla do Radymna byłem już tym zmęczony. Nie mogłem utrzymać samolotu w pozycji horyzontalnej. Moim współtowarzyszem był Oblt. Jindrich Kostrba, którego znałem jako kolegę ze szkoły powszechnej na Smetance, a który był u nas obserwatorem. Nie wróciłem tą maszyną z powrotem do Przemyśla z obawy, że mi ktoś nie zarzucił, że byłem u swojej rodziny oraz że nie mam ochoty do walki i z obawy, że tę maszynę dostałby ktoś inny, a ja bym nie dostał nic lepszego. Pomogłem sam sobie po lądowaniu w Radymnie inaczej. Ster kierunku dostał ciągną gumowe, aby pomogło to wyrównać skręcanie

samolotu w lewą stronę. Ster wysokości dostał gumowe ciągną pomagające mi abym nie musiał sterować sam i kąt skrzydeł zmieniać tak, żeby nie było obawy, że coś pęknie. Podstawowe położenie lotek na końcu nośnych płatów było zrobione tak, że w normalnym położeniu ciągną się na drugą stronę, to znaczy na prawo. Efekt był doskonały. Samolot leciał prawie równo. Przy najmniejszym ruchu nie leciało krzywo, a dawał się lepiej utrzymać w powietrzu. Nie męczyło to¹¹.

W wyniku odwrotu armii cesarskich pod Kraków, Flik. 8 znalazła się pod Bochnią (?), zaś około 20 XII 1914 r. pojawiła się na lotnisku Kraków-Rakowice, gdzie otrzymała kilka nowych samolotów Aviatik B.I (niewykluczone, iż jednostka używała nadal jednego lub kilku wyreperowanych Lohnerów B). Dalszą część jej drogi bojowej stanowiło lotnisko w Bochni, skąd lotnicy Flik. 8 trafili pod Brzesko. Z początkiem stycznia 1915 r. Flik. 8 znalazła się najpierw na lotnisku w Okocimiu położonym w łuku rzeki Uszwicy, skąd po jakimś czasie przeniesiona została na lotnisko do Jasienia Brzeskiego, gdzie stacjonowała do początków maja 1915 r., dowodzona przez obl. ing. Rudolfa Stangera. Później, po 13 V 1915 r. skierowano ją nad Adriatyk, do ostoły bazy morskiej w Poli. Rolę fortecznej Eskadry w Twierdzy Pola lotnicy Flik. 8 pełnili do lipca 1915 r., skąd w następnym miesiącu skierowano ich na front nad Isonzo, gdzie do marca 1916 r. uzyskali jedno zwycięstwo powietrzne. Przeniesieni do Południowego Tyrolu walczyli tam do lipca 1916 r., uzyskując kolejne zwycięstwo. Od sierpnia 1916 r. do 7 XII 1917 r. Flik. 8 znalazła się ponownie na froncie rosyjskim, jako kompania dywizyjna (Flik. 8 D), odnosząc kolejne trzy zwycięstwa. Tutaj dotrwała aż do zawieszenia broni. Od 8 XII 1917 do 3 I 1918 r. wykonywała nieoperacyjne loty w warunkach zawieszenia broni, po czym odesłano ją na front włoski, gdzie walczyła do października 1918 r. (Front Grappa). Ostatnim przydziałem była służba w ramach Grupy Armii Belluno, jako kompania szturmowo-ochronna (Flik. 8 S). Operowała wte-

dy z lotniska Feltre. Kompanię rozformowano w Spittal nad Drawą.

Drugą „przemyską” jednostką był Flik. 11, dowodzony przez Rittermeistera Fp. Georga Edlera von Lehmana. Flik. 11 (z Flugpark 1 z lotniska Wiedeń-Aspern), która po mobilizacji osiągnęła lotnisko Przemyśl-Żurawica i rozpoczęła służbę na rzecz Naczelnego Dowództwa oraz 3 Armii na lotnisku w Stanisławowie, gdzie stacjonowała w dniach 18–21 VIII 1914 r. działając na rzecz 2 Armii. W trakcie wycofywania sił austro-węgierskich w okresie 22 VIII–31 VIII 1914 r. Flik. 11 operowała z lotniska Lwów, by niebawem stać się forteczną kompanią przemyską dowodzoną w 1915 r. przez fp. Rittermeistera Georga Edlera von Lehmana. W czasie pobytu w Twierdzy Przemyśl jednostka operowała z lotniska Hureczko zaś w pierwszych miesiącach 1915 r. przeniesiono ją na lotnisko pod Buszkowiczami.

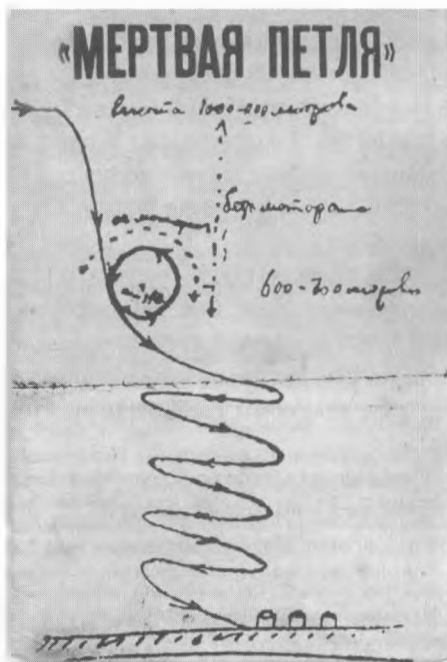
Podczas swego pobytu w Przemyślu Flik. 11 odniosła jedno potwierdzone powietrzne zwycięstwo, lecz już w początku swojej pracy w Przemyślu dnia 26 VIII 1914 r. Flik. 11 poniósł ciężką stratę, ponieważ prekursor *taranu* – rosyjski kapitan sztabowy (sztabskapitan) Piotr Nikołajewicz Niestierow zaatakował klucz trzech austriackich samolotów Albatros B.I, bombardujących carskie polowe lotnisko blisko wsi Szolkiewka koło Halicza w Galicji, niszcząc taranem samolot z załogą w składzie: oblt. Friedrich Baron von Rosental i flzf. Feldfebel Franz Malina.

Z zapomnianego pamiętnika

W latach Wielkiej Wojny Austro-Węgierskie Fliegerkompanie, wyruszając na front ze swych stałych baz, uisały tereny galicyjskie siecią polowych lotnisk, gdzie huczały silniki dwupłatowych Albatrosów i Brandenburgów. W obszarze ziemi sanockiej istniały co najmniej trzy polowe bazy lotnicze, przez które przeszła w latach 1914–1915 c.k. 3 Kompania Lotnicza, która w 1917 r. została zmieniona na myśliwską i walczyła na froncie włoskim. Spośród c.k. jednostek

lotniczych właśnie Fliegerkompanie 3 uznać można za najbardziej spolonizowaną. W jej składzie w latach 1914–1918 latali m.in. Stefan Stec, Stanisław Tomicki, Michał Solksi i Franciszek Peter. Kompania ta należała do najstarszych c.k. jednostek lotniczych, a bojową drogę rozpoczęła w podsanockiej Bażanówce. W swojej lotniczej szufladzie znajduję relację p. Stanisława Żyłki, spisana dzięki pomocy p. Justyny Żebrackiej. Świadek wydarzeń wspominał:

„Polowa baza Austro-Węgierskiej 3 Kompanii Lotniczej rozpoczęła służbę w Bażanówce w październiku 1914 r. [18 X 1914 r. – przyp. A.O.] . Lotnisko znajdowało się na pastwiskach dworskich tzw. Morgach (przysiółek Bażanówki od strony wsi Długie) – przy kapliczce, za ostatnimi domami przysiółka Konary. Wówczas była to własność barona Kazimierza Laskowskiego. Liczba samolotów była różna – od 8 do 12, były to bardzo lekkie dwupłatowce zbudowane z drewna i płótna umalowanego na kolor biały z czerwonymi lub brązowymi elementami. Samoloty stały najpierw same, potem postawiono dla nich duże «celty». Zapalanie ich odbywało



„Martwa pętla” – szkic manewru

się poprzez popularne kręcenie «na śmigło», przy pomocy jednego żołnierza, zaś przy starcie z tego nieutwardzonego lotniska po dwóch żołnierzy pchało samolot aż do chwili, gdy się poderwał. Samoloty z Bażanówki pełniły wyłącznie funkcję zwiadowczą. Latały tylko w dzień, a dwuosobowe załogi ustalały położenie wojsk rosyjskich, po czym wracały do bazy na noc. Żołnierze nocowali w namiotach, a potem wraz z oficerami we dworze i na kwaterach. W większości byli to Czesi, których dowódcą był Niemiec. U mieszkańców Bażanówki te «latające koryta», jak je nazywano, wywoływały zarówno ciekawość jak i strach, gdyż latały po «ich niebie». Z żołnierzami kłopotów nie mieliśmy, a zdarzało się, że co ładniejsze dziewczyny i dzieciaki lotnicy przewozili krótko w powietrzu¹².

Flik. 3 w 1914 r. po rosyjskiej ofensywie cofnięta została pod Kraków, by wiosną 1915 r. powrócić na Podkarpacie. Do dzisiaj u starszych wiekiem mieszkańców Bażanówki w obiegu znajduje się legenda o „latających korytach” Franza Jozefa z czasów c.k. Austro-Węgier, a dawna baza polowa „Na Morgach” jest obecnie zwykłym polem uprawnym. Wiosną 1915 r. ofensywa gorlicka rozerwała rosyjski front i na Podkarpacie, jako lotnicze wsparcie, powróciła w gronie innych austro-węgierskich jednostek lotniczych m.in. Flik. 3. Pierwsze ślady bytności austriackich aeroplanów w Lesku pochodzą z początku Wielkiej Wojny, z jesieni 1914 r. A. Krasic ki wspominał:

„Do 23 września [1914 r. – przyp. A. O.] były tam wojska austriackie. Gen. Böhmoli i arcyksiążę Józef byli w Lesku i na Posadzie stały ich aeroplany. Dla umożliwienia im wzlotu wycięto starą aleję akacjową i część parku na Posadzie.”¹³

W taki oto sposób do podkarpackiego Leska zawitał drogą powietrzną habsburski dziedzic a niewykłuczone, że wymienione aeroplany mogły należeć do stacjonującej w pobliskiej Bażanówce Flik. 3. Na to same pole wzlotów wiosną 1915 r. powróciły samoloty ze znakami K.u. K Luftfahrtruppen z Flik. 3. Obecnie teren dawnego

lotniska jest częściowo własnością Jana Fuksa, miłośnika dziejów starego Leska. Zajęty jest także częściowo przez ogródki działkowe. Polowa baza Flik. 3 usytuowana była na obszernej łące na prawym brzegu Sanu. Świadkowie tamtych dni jak przez mgłę pamiętają obrazy z wiosny 1915 r. Udało mi się ustalić, że na lotnisku ustawione były namiotowe hangary oraz że w polowej bazie były w użyciu samochody jako sprzęt pomocniczy. Teren do startu samolotów nie był utwardzony, a brak zadrzewienia wskutek wycięcia części drzewostanu parku dworskiego idealnie odpowiadał startom i lądowaniom. Flik. 3 wiosną 1915 r. krótko stacjonowała w Lesku, gdyż szybkość ofensywy gorlickiej wymagała stałej współpracy ze strony lotniczej i nadążania za szybko posuwającymi się na wschód wojskami Niemiec i c.k. Austro-Węgier. „Latające koryta” Fliegerkompanie 3 na przełomie wiosny i lata 1915 r. ruszyły dalej na wschód, m.in. do Brodów na Wołyniu¹⁴.

Malowniczo położony w zakolu Sanu sanocki gród ma także w swej historii lotniczy wątek. Wojciech Sołtys, zbierając materiały do pracy poświęconej Sanokowi w okresie I wojny światowej natrafił na szereg pamiątkarskich informacji mówiących o wojennych epizodach lotniczych znad Sanoka:

„Ponownie wojna dała o sobie znać bezpośrednio 26 kwietnia, kiedy miasto zostało bombardowane z powietrza. Samolot austriacki rzucił bomby zamiast na dworzec kolejowy, na sąsiednią Szklaną Górkę, a zamiast na most olchowski prosto do Sanu. Na Szklanej Górcie bomby wzniciły pożar, który szybko rozprzestrzenił się wśród drewnianych zabudowań krytych słomą, tak, że spłonęły 24 domy. Obrona przeciwlotnicza polegała na tym, że na mostku na potoku płowieckim rozłokowany został pluton piechoty, który strzelał salwami do samolotu – bezskutecznie. Bombardowanie nie pociągnęło za sobą ofiar śmiertelnych, ale wiele osób zostało rannych, siali oni panikę, potęgującą się jeszcze przez szybko rozprzestrzeniający się ogień, który trawił cały dobytek. Nie

miał go kto ratować, ponieważ dorośli byli przeważnie zajęci w polu, przy wiosennych pracach.

Tragiczne skutki pierwszego bombardowania na tym terenie miały miejsce w Lesku, gdzie zrzucone bomby spadły na tabor i zabiły kilkadziesiąt osób. Samoloty zaczęły od tego dnia pojawiać się nad Sanokiem coraz częściej, ale go nie bombardowały. Ich warkot wywoływał olbrzymi zamęt, ludzie wynosili z domów spakowane w tobołach rzeczy, głośno zawodzili «wynosić, wynosić». Mieli w pamięci pożar na Szkłanej Górze¹⁵.

Dr Karol Zaleski, który pozostawił pamiętnik z lat 1914–1915, tak oto opisywał lotnicze epizody znad i z Sanoka z okresu Wielkiej Wojny:

„26.04.1915. Poniedziałek... Pierwsze moje wyjście z domu prowadziło mnie przez Sujec na Posadę Olchowską do dziecka chorego. W pobliżu Sanu bronowano na Błoniu zagony Wojciecha Drwięgi już zorane. Z całego serca życzyłem im «Szczęść Boże»! Oglądałem się ku miastu. Wzgórze Zamkowe – w miejscu najbardziej stromem, pod oknami środkowymi – pokryte białymi plamami w szerokim pasie z dołu do góry, myślałbyś wiośniakami usiane, a to tylko wyrzucone papiery, akta starostwa sanockiego. Rudnicki dotrzymał słowa: dwie brzoźki białe przyniósł mi Patała z Królewskiej Studni dla ozdobienia skały Krasiciego. Kiedy po powrocie z miasta w południe (+22° C) zabierałem się z chłopakiem do posadzenia ich, wskazała mi rodzina Jana z zamku latawiec niezmiernie wysoko pod słońcem płynący poczem niebawem rozległ się potężny huk w stronę dworca kolejowego i kłęb ciemnego dymu wznosił się w się w górę a za nim silny płomień... Sądziłem, że to z armatki wypalono do latawca, tymczasem to on «plunął» bombą – ogniem na ziemię, na tę naszą biedną ziemię... Jeszcze im za mało krwi i zniszczenia! W chwili, gdy to piszę, płonie już coś siedem budynków i to malownicze wzgórze Posady Olchowieckiej naprzeciw dworca wygląda jak czynny wulkan – niewyrzucający lawy... Wiatr północno-wschodni rozniecił ten straszliwy pożar na zniszczenie bie-

daków naszych ... a ponadto w koło rozlegają się gęste strzały karabinowe do latawca... Na mostku w dole stoi cały oddział piechoty z oficerem, gotowy do strzału ... Trąbka ich zwołała – «na zbór». Latawiec znikł między chmurkami... Kuba poszedł na pogorzelisko i przyniósł wiadomość, że pierwszy zapalił się dom Mazurka, gdzie zwęglił się koń kozacki, że pokaleczona tam została, jak mi mówiono – jakaś młoda panna Lewandowska i że spaliło się coś 25 chat a ludzie niektórzy podczas wybuchu padali na ziemię z przestachu a teraz chodzili jak lunatycy... Mówili, że jedna bomba spadła do Sanu i nie eksplodowała – zapewne na most celowana, jeśli tak było istotnie. Kubuś mówił, że po wybuchu latawiec kierował się nad nasz dom...

27.04.1915. Wtorek. Cudowny ranek, ale ja zbudziłem się po 6, gdy słońko już było- pracowało... Błachowski mówił Kubie, że o godz. 6 już był jeden latawiec nad Sanokiem... Jeszcze nie oglądałem dobrze chorych, aż tu wbiega zdyszana kobieta z wieścią, że znowu gotowe być nieszczęście, bo nad nami jest aeroplan... Gdy po zaordynowaniu co należało wyszedłem na drogę, ludzie patrzyli w niebo i wskazywali kierunek lotu, ale ja z powodu dość znacznych chmurków już nic nie widziałem i nie słyszałem. I właśnie te chmurki napełniły mnie trochę trwogą, gdy przechodziłem w pobliżu magazynów kolejowych i taboru koło tamy a potem na Sujcu... Późno wieczorem wezwano mnie do właścicielki domu na który wczoraj bomba spadła... 3-letni jej synek nie uległ wypadkowi, gdyż wypatrując aeroplanu odbiegł był nad potoczkiem daleko od domu.

28.04.1915 r. Środa. Chłodny ale śliczny i słoneczny i bez aeroplanu dzień. Na Posadzie Olchowieckiej opowiadała mi matka chorego Piotrusia Mieleckiego, że wczoraj – jak żołdat jakiś naocznie stwierdził – spadła bomba w Lisku na tabor wozów i zabiła coś 60 ludzi rozrywając wozy i konie... Zaprawdę już wczoraj dosyć myślałem, jaki to podły sposób prowadzenia wojny – jak w ogóle podła jest cała wojna – jak mizerna ludzkość, która do wojny uciekać się musi... Że-

byż przynajmniej przyszła konwencja przynajmniej co do bomb z latawców...

29.04.1915 r. Czwartek. Zimna noc – rano białym szronem w jasnym słońku wszystko błyszczący. Ludzie jednak nie drżą od zimna... Spoglądają czy nie płynie nowy aeroplan – uosobie nie «gołębiczy-miłości»... Wczoraj miały być nad Sanokiem aż dwa wedle zapewnienia jednego chłopczyny, ale poleciały dalej... W południe jeździłem moskiewskimi końmi do Zagórza. Sołdat powoził. Córka chorej opuszczonej przed 4 laty przez męża pijaka, panna starsza opowiadała mi, że w czasie pobytu sztabu głównego rosyjskiego w Zagórzu – rzucono z latawca bombę w stację telegrafu bez drutu, ale ta spadła w kupę gnoju koło samego gościńca niedaleko kościoła i nie eksplodowała. Druga rzucona eksplodowała pod lasem ale nic nie uszkodziła. Pokazywała mi odnośne miejsca. Szalone tumany kurzu na gościńcu, nałykałem się też porządnie pyłu i kaslałem potem dobrze...

1.05.1915. Sobota... Całe masy piechoty, amunicji, armat, utajonych gałęziami, konnicy idą na zachód i idą, a nad nimi, przed nimi i za nimi tumany kurzu. Ledwie mogłem przejść przez Posadę z domu samej poczynając. Pod wieczór przez miasto pochód ten trwa dalej. Rynek przemienił się w biwak. Jedzą, palą, czytają gazety a jeden wygrywa na harmonii... Ludzie spoglądają w górę czy aeroplan nie leci. Wczoraj opowiadano, że jakaś Sabatowa przywiozła wieść niezawodną, iż dworzec we Lwowie zbombardowany!

2.05.1915. Niedziela... Moskałe mieli mówić, że spodziewają się bomby na dworcu, obawiają się o baraki, gdzie miały być duże zapasy amunicji, tak że w razie eksplozji poszłoby połowę Posady a więc i miasta.

9.05.1915. Niedziela.... Latawców dzięki Bogu nie było, a armaty odezwały się, nie tak blisko jak wczoraj, dopiero ku wieczorowi i grzmiały do późna, niebo było czerwone po zachodzie. W stronie Sanoczka widziałem duży dym a ludzie mówili, że jeszcze większy obszar widzieli w dymie.

10.05.1915. Poniedziałek.... Gdy słońko zajaśniało i chmury się rozstały wysoko nad nami unosił się latawiec, pomimo dość silnego chwila-mi wiatru. Ledwie przeleciał zjawiał się ks. Witoszyński, zięć ks. Mykieliły z Sanoka abym jechał do jego na tyfus chorego 10-letniego szwagra, obiecując, że mnie sam odwiezie z powrotem i zapewniając, że gościńce są wolne a pozycja jeszcze dobrze odległa od niego. Na chwilę jakby zła mucha zabrzęczała w głowie: ae-ro-pla-ny. I jazda odbyła się rzeczywiście bez wypadku i bez zjawienia choćby jednego latawca."¹⁶

W jednej z pamiętnikarskich relacji W. Soltys natrafił na zapis mówiący, że wiosną 1915 r., gdy przez most na Sanie wojska austriackie szły na wschód „na Błoniach lądowały aeroplany”. Było to w czasie pościgu za pobitymi Rosjanami po gorlickim przełamaniu frontu, zaś wzmiankowane „aeroplany” mogły należeć do Flik. 3, bazującej w odległym tylko o 15 km Lesku. Prawie nieznanym faktem jest funkcjonowanie w Sanoku lotniska z okresu I wojny światowej, założonego w 1915 r. w czasie pościgu c.k. wojsk za pobitymi Rosjanami w okresie tzw. „przełamania gorlickiego”. Wszystkie spekulacje co do miejsca gdzie ono się mieściło czyli jak wówczas mówiono gdzie znajdowała się „stacja lotnicza” w 1915 r. i później rozwiewa precyzyjna i dokładna relacja świadka wydarzeń – dr. Karola Zaleskiego:

„16.05.1915. Niedziela... Rano przeleciał tuż koło nas ponad drzewami zamkowemi, szybując naprawdę jak ptak, latawiec i spuścił się na stację, którą urządzono naprzeciw Zamku za Sanem na polach Nowakowej (Olchowce – dwór). Z drugiej strony na Sujcu jest znowu stacja radiograficzna. Co świat kulturalny najciekawszego ma schodzi się czy zjeżdża do naszego Sanoczka... Przykre wrażenie sprawia do połowy spalony most (6 przęseł wodnych z tej strony zostało).

17.05.1915 r. Poniedziałek Cudowny ranek, ale wstałem już po 6. Podczas gimnastyki powietrznej wlatywał latawiec i poleciał ku Węgrom (?). Później znów warczały w powietrzu... Rynek jest wspaniałym parkiem automobilo-

wym... Telegraf bez drutu jest na Posadzie Sanońskiej poza realnością Artura Bornstedta¹⁷.

Warto więc szukać. Bo tyle jest jeszcze do uzupełnienia...

Andrzej Olejko

¹ *Z galicyjskich pól wzlotów*, tom pod red. K. Wielgusa i R. Panka. Tarnobrzeg 1999, s. 156–178.

² J. Zahalka, *Posledni let z Premysłu*. HPM 2001, nr 1, s. 24–29.

³ *Z galicyjskich...*, s. 96.

⁴ Tamże, s. 74.

⁵ Tamże, s. 107.

⁶ J. Magdoń, *Aeroplany nad Brzeskiem, Wojniczem i Turnowem (1914–1915) – fakty i tradycje*, [w:] *Brzesko – Okocim, lotnicza baza najjaśniejszego pana*, tom pod red. K. Wielgusa i R. Panka, Dębica 2000, s. 150.

⁷ *Z galicyjskich...*, s. 130–138; A. Olejko, *Zapomniane epizody z C. K. Przemysła 1914–1915*, [w:] „Rocznik Przemyski” 2004, z. 1, s. 41–43.

⁸ Tamże.

⁹ K. Wielgus, *Okocimsko...*, s. 66; D. Karnas, *Lotnictwo w twierdzy Przemysł*, [w:] *Lotnicze ślady wielkiej wojny*. Dębica 2002, s. 44–45.

¹⁰ J. Zahalka, *Posledni...*, s. 24–29.

¹¹ Tamże, s. 24–26; A. Olejko, *Krótką rozprawa o Fliegerkompanie 3 czyli rzecz o „Latających Korytach”*, [w:] *Lotnicze ślady wielkiej wojny*, pod red. K. Wielgusa i R. Panka, Dębica 2002, s. 36–37.

¹² A. Krasicki, *Dziennik z kampanii rosyjskiej 1914–1916*. Warszawa 1988, s. 94.

¹³ Tamże; *Z galicyjskich...*, s. 76, 196.

¹⁴ W. Soltys, *Sanockie w okresie I wojny światowej w relacjach pamiętnikarzy i w prasie*, [w:] „Rocznik Sanocki” 1995, s. 60–61; A. Olejko, *Krótką rozprawa o Fliegerkompanie 3 czyli rzecz o „latających korytach” Najjaśniejszego Pana*, „Tygodnik Sanocki”, 2000 r., s. 6.

¹⁵ Pamiętnik dr K. Zaleskiego – zbiory Muzeum Historycznego w Sanoku – kopia fragmentów z zbiorach autora.

¹⁶ Tamże

¹⁷ W. Soltys, *Sanockie...*

Andrzej Olejko

Piotr Nikołajewicz Niestierow

W gronie najbardziej znanych carskich lotników znajdował się sztabkapitan pilot Piotr Niestierow, który należał do grona oficerów propagujących lotnictwo zarówno jako sport, jak i środek walki. Pierwotnie był pilotem balonowym, zaś od 1912 r. zdobył kwalifikacje pilota samolotowego, szkoląc się między innymi na warszawskim lotnisku mokotowskim. Jego instruktorem był jeden z najlepszych pilotów carskiej awiacji – por. pil. inż. N.A. Jacuk, który swojemu podopiecznemu wpoił pewien nowatorski na owe czasy sposób niszczenia wroga w powietrzu – przy pomocy taranowania. W lipcowym numerze pisma „Wiestnik Wazduchnoplawdnija” z 1911 r. inż. N. A. Jacuk pisał: „Możliwe, że w szczególnych przypadkach piloci podejmą decyzję, aby własnym aeroplanem staranować cudzy”. Piotr Niestierow popierał punkt widzenia swojego mistrza, czemu dał wyraz w swej wypowiedzi z 24 V 1912 r. podczas bankietu dla uczczenia swojego rekordowego przelotu na trasie Kijów–Piotrogród. Powiedział wówczas: „Nie opuszcza mnie myśl, aby wykorzystać prędkość i zwrotność samolotu do niszczenia nieprzyjacielskich maszyn przy pomocy taranowania. Na przykład poprzez uderzenie z góry podwoziem swego samolotu we wrogi płatowiec.”

Tuż po wybuchu wojny w sierpniu 1914 r., sztabkapitan Piotr Niestierow dowodząc 11. Oddziałem Lotniczym (Awiaatriadem) znalazł się na lotnisku w okolicy Dubna, gdzie w dniach 5–6 VIII 1914 r. nakazał mechanikom zamontować w tylnej kabine swojego samolotu typu *Morane G* nóż do rozcinania powłok nieprzyjacielskich sterowców, zaś podczas pobytu w Złoczowie nakazał doczepić do ogona swojego samolotu długą linkę z ciężarkiem do wplątywania jej w śmigło wrogiego samolotu po uprzednim przelecieńiu przed nosem przeciwnika. Jako dowódca próbował u swych przełożonych wywalczyć, by samoloty jego jednostki uzbrojono w karabiny maszynowe, lecz powiedziano mu, że 11. Oddział Lotniczy nie jest na liście Awiaatriadów mających zostać w nie uzbrojone. Gdy 11. Oddział Lotniczy przeniósł się na lotnisko

obok Halicza, podwładni sztabkapitana Piotra Niestierowa wykonywali głównie loty rozpoznawcze nad Galicją, ale ze względu na brak broni pokładowej do powietrznych starć z samolotami c.k. lotnictwa nie dochodziło. Również nad



rosyjskim terytorium, m.in. nad Haliczem i Żółkwią regularnie pojawiały się rozpoznawcze samoloty ze znakami c.k. lotnictwa i dowództwo rosyjskiej 3 Armii było tym faktem zaniepokojone. Powierzyło ono dowódcy 11 Awiaatriadu zadanie przerywania tych lotów, gdy 8 IX 1914 r. trzy austriackie samoloty typu Aviatik B.I z Flik. 11 dowodzone przez Oberleutnanta Barona Friedricha von Rosenthala zaatakowały bombami lotnisko położone obok wsi Szolkiewka (Scholkewka) w pobliżu Halicza. W efekcie nalotu hangary rosyjskiej bazy stanęły w ogniu. W tym samym czasie spod lwowskiego lotniska wystartował samolot typu *Morane Saulnier G* nr. 281 pilotowany przez sztabkapitana Piotra Niestierowa, który, mając dużą przewagę wysokości, zaatakował z góry jedną z wrogich maszyn, gdyż austriacki samolot wykonujący dodatkowo powietrzne rozpoznanie pozycji wojsk rosyjskich leciał na dużej wysokości i był poza zasięgiem broni piechoty. Lekki *Morane Saulnier G* nr 281 pilotowany przez rosyjskiego sztabkapitana pojawiwszy się w powietrzu w rejonie wsi Woła Wysocka koło Żółkwi skłonił austriacką załogę do ucieczki, ponieważ pilot wykonywał niebezpieczne figury akrobatyczne tuż obok maszyny przeciwnika. Jednak te manewry nie przyniosły spodziewanego efektu i zdesperowany pilot, nie mogąc dokładnie określić swej szybkości, uderzył własnym samolotem – nie kołami – a silnikiem w stery maszyny przeciwnika, niszcząc je. Obie maszyny runęły na ziemię spadając po prawej stronie szosy łączącej Żółkiew z Rawą Ruską. Rosyjski

pilot wypadł z kabiny około 10-12 metrów od miejsca, gdzie rozbił się jego samolot, ginąc na miejscu. Późniejsze badanie wraku jego samolotu wykazało, że uszkodzenia konstrukcji wskutek uderzenia w austriacki samolot były tak duże, iż nie mógłby on i tak na nim wylądować. Oba samoloty spadły na ziemię w pobliżu wsi Wola Wysocka. We wraku roztrzaskanego austriackiego samolotu Aviatik B.I znaleziono ciała dwu poległych lotników – obserwatora Oberleutnanta Barona Friedricha von Rosenthala i jego pilota kaprała Franza Maliny. Rosjanie zwłoki pilota przewieźli początkowo do Charkowa – tam też do muzeum przekazano śmigło z maszyny sztabkapitana Piotra Niestierowa. Poległych c.k. lotników pochowano zaś na skraju wiejskiego cmentarza usytuowanego przy ww szosie, stawiając na mogile duży drewniany krzyż ze śmigłem.

Piotr Nikolajewicz Niestierow, rocznik 1887, w wieku 10 lat wstąpił do Korpusu Kadetów. Naukę kontynuował następnie w Michałowskiej Szkole Artylerii, skąd młodego podporucznika skierowano do brygady artylerii stacjonującej na Dalekim Wschodzie. Tam zapoznał się z oficerami twierdzy we Władywostoku, służącymi w tamtejszym Oddziale Lotniczym i tam też, na balonie obserwacyjnym, dokonał swych pierwszych startów powietrznych, po których zrodził się pomysł by zostać pilotem-konstrukтором. W 1911 r. powróciwszy do Niżnego Nowogrodu zapoznał się z entuzjastą lotnictwa Petro Sokołowem, wspólnie wybudowali szybowiec, do którego pokrycie pomogła uszyć podtrzymująca pasje syna matka Niestierowa. Szybowiec startował przy pomocy ciągnącego go konia. Sokołow siedział na wozie i trzymał linę przywiązaną do szybowca, a kiedy koń nabrał rozpędu szybowiec odrywał się od ziemi na wysokość 2–3 m. Taki był początek kariery lotniczej Piotra Niestierowa, który szybko wykonał projekt drugiej latającej maszyny. Ośmielony pierwszymi sukcesami 24-letni podporucznik trafił do Szkoły Oficerów Lotnictwa w Petersburgu. Jego pierwszym lotniczym doświadczeniem był 13 godzinny przelot balonem na wysokości 3400 m, po którym postanowił zostać pilotem i po tygodniu rozpoczął szkolenie na pilota wojskowego. Nie tylko konstruktorzy, lecz i koledzy ze szkoły uważali jego pomysły, m.in. wykonanie „martwej pętli”, za nierealne. Ale Niestierow postanowił udowodnić w praktyce, że jego pomysły są możliwe do zrealizowania.

Niebawem przeniesiono go do Kijowa do 5 Parku Lotniczego. Tam znajdowało się też lotnisko kijowskiej fabryki lotniczej, gdzie niebawem pilot wykonał swoją „martwą pętlę”. Dnia 27 VIII 1913 r. samolot typu Nieuport, za sterami którego siedział Piotr Niestierow wystartował z kijowskiego lotniska i na wysokości 1000 m pilot rozpoczął pikowanie z wyłączonym silnikiem. Na wysokości 600 m pilot włączył motor i samolot kierowany wprawną ręką zaczął wykonywać elementy „martwej pętli”, po czym, po udanym eksperymencie samolot z wyłączonym silnikiem wylądował. Świat lotniczy oszalał, rosyjski pilot zasypany został telegramami, pozdrowieniami, otrzymał złoty medal kijowskiego towarzystwa lotniczego i ... wydany przez dowództwo carskiego lotnictwa kategoryczny zakaz ponownego wykorzystywania „martwej pętli”. Rekordy następowały po sobie: pierwszy na świecie atak na samolot przeciwnika podczas wojskowych manewrów czy zastosowanie oświetlenia acetylenowego celem prowadzenia nocnego rozpoznania. Pasma sukcesów przerwał wybuch wojny, ale dla Niestierowa był to czas praktycznego zrealizowania swoich pomysłów. C.k. dowództwo ogłosiło, że lotnik, który zestrzelił samolot Niestierowa otrzyma specjalne ufundowaną nagrodę. Głowę sztabkapitana Niestierowa zaprzętnął pomysł zastosowania z powietrznej walce metody... taranowania. W tym czasie szybkość lotu oceniano się po świeście wiatru w lukach naciągowych skrzydeł, wysokość na oko, a temperaturę silnika po zapachu z niego się wydobywającego.

O jego czynie pisała wówczas cała światowa prasa. Taran Niestierowa odbił się szerokim echem w lotniczym świecie. Niektórzy uważali, że był to wręcz przejaw fanatyzmu, którego nie należy naśladować. W 1951 r. nazwę miasta Żółkiew zmieniono na Niestierow zaś po rozpadzie ZSRR władze niepodległej Ukrainy przywróciły miastu nazwę – obecnie brzmi ona Żółkiew. Sztabkapitan Niestierow jest nadal czczony w Rosji jako bohater, zaś jego imię nosi jedno z miast Kaliningradzkiego Okręgu Wojskowego. Następcą Niestierowa był także Rosjanin. Dnia 1 IV 1915 r. sztabkapitan Aleksander Kazakow również na samolocie typu *Morane* zaatakował skutecznie nad obszarem „Kongresówki” niemiecki samolot typu *Brandenburg* i śmigłem zniszczył jego usterzenie. Maszyna runęła na ziemię.

Andrzej Olejko

Pierwszy zestrzał kpt. Witolda „Lanny” Łanowskiego

Grupa polskich pilotów, którzy w okresie II wojny światowej przewinęli się przez szeregi sojuszniczego lotnictwa USAAF jest niewielka. Niemniej jednak szczególne miejsce zajmuje w niej kpt. pil. Witold Łanowski. Jako pilot Polish Air Force (PAF) dał się poznać swoim przełożonym jako wyjątkowo niepokorny. Ze względu na charakter i chęć do mówienia prawdy prosto w oczy, kpt. pil. Witolda Łanowskiego podczas służby w poznańskim 302 Dywizjonie Myśliwskim, po jednej ze sprzeczek z ważnym przedstawicielem emigracyjnego Rządu Londyńskiego odsunięto od lotów bojowych. W efekcie tej historii na początku marca 1944 r. wojenne losy rzuciły go do 8 Armii Powietrznej Stanów Zjednoczonych (8 USAAF). Był to specyficzny azyl dla krnąbrnych pilotów Polskich Sił Powietrznych (PSP). Na początku 1944 r., Amerykanin Lt. Col. Francis Gabreski odwiedziwszy swych dawnych kolegów z polskich dywizjonów (od grudnia 1942 r. do lutego 1943 r. latał on w dęblńskim 315 Dywizjonie Myśliwskim), zaoferował możliwość przejścia niektórych Polaków do amerykańskiej 56 Grupy Myśliwskiej (56 Fighter Group), wyposażonej w ciężkie myśliwce typu P-47 *Thunderbolt*. Dowództwo PSP zgodziło się na oddelegowanie kilku lotników do lotnictwa amerykańskiego i tym sposobem 2 II 1944 r. jako pierwsi dołączyli do 61 Dywizjonu Myśliwskiego (61 Fighter Squadron) kpt. pil. Bolesław Gładych

i mjr pil. Aleksander Gabszewicz, zaś później do ww. Dywizjonu dotarli jako ochotnicy por. pil. Tadeusz Andersz, kpt. pil. Zbigniew Janicki, por. pil. Witold Łanowski, kpt. pil. Kazimierz Rutkowski i kpt. pil. Tadeusz Sawicz. Pod koniec sierpnia 1944 r. kpt. pil. Witold Łanowski i kpt. pil. Bolesław Gładych byli jednak jedynymi Polakami służącymi w ww. jednostce (kpt. Zbigniew Janicki zginął 16 VI 1944 r. w wypadku myśliwca P-47 *Thunderbolt*; kpt. Tadeusz Sawicz 14 VI 1944 r. awansował na dowódcę 3 Skrzydła Myśliwskiego, a por. Tadeusz Andersz i kpt. Kazimierz Rutkowski w lipcu 1944 r. wrócili do PSP). W tym też okresie także kpt. pil. Witold Łanowski i kpt. pil. Bolesław Gładych powrócili pod dowództwo PSP, lecz w październiku 1944 r. definitywnie zwolnili się z polskiego lotnictwa (!!!)... po czym kontynuowali loty bojowe w jednostkach myśliwskich 8 USAAF. Do chwili uzyskania swego pierwszego zestrzału kpt. pil. Witold



Kpt. pil. Witold Łanowski w kabinie myśliwca „Spitfire”

Witold Łanowski, rocznik 1915 r., urodzony we Lwowie. Po ukończeniu szkoły powszechnej naukę kontynuował w XI Gimnazjum Matematyczno-Przyrodniczym we Lwowie gdzie rozpoczął swoje pierwsze loty. W 1935 r., zauroczony lataniem wstąpił do Szkoły Podchorążych Lotnictwa w Dęblinie, gdzie po promocji w 1938 r. pozostał jako instruktor. W walkach podczas Wojny Obronnej 1939 r. nie brał udziału, choć w obronie Dębłina wykonał jeden lot bojowy. Dnia 17 IX 1939 r., na kilka godzin przed przekroczeniem rumuńskiej granicy, jego oddział został wzięty do niewoli przez radziecką konnicę lecz udało mu się wraz z kilkoma kolegami uciec z kolumny jeńców – 27 IX 1939 r. dotarł do Rumunii, skąd miesiąc później przybył na teren Francji. Podczas pobytu w tym kraju ze względu na to, że odważył się skrytykować dowództwo, w maju 1940 r. został osadzony w więzieniu, lecz wykorzystując chaos powstały w czasie działań wojennych udało mu się jednak zbiec z transportu więźniów i w lipcu 1940 r. znalazł się w Wielkiej Brytanii. Przeszkolenie na angielskim sprzęcie latającym rozpoczął w kwietniu 1941 r., po czym w listopadzie 1941 r. został przydzielony do krakowskiego 308 Dywizjonu Myśliwskiego. W styczniu 1942 został wcielony do wileńskiego 317 Dywizjonu Myśliwskiego, zaś w grudniu 1942 r. trafił do poznańskiego 302 Dywizjonu Myśliwskiego, gdzie z czasem dowodził Eskadrą A. W latach 1944–1945 był pilotem 8 USAAF, a po zakończeniu II wojny światowej służył w brytyjskim Royal Air Force (RAF) w jednostce transportującej samoloty do jednostek (*ferry*). Lotnicze szczęście opuściło go 13 V 1955 r. kiedy to uległ wypadkowi lecąc samolotem „Venom” na lotnisku Fassburg w Niemczech. Po 11 miesiącach leczenia i po przejściu kilku operacji plastycznych powrócił do służby lotniczej by dwa lata później zakończyć służbę w RAF. W 1962 r. znalazł się w gronie biorących udział w walkach w Katandze gdzie lotniczy oddział organizował Jan Zumbach (Mr. Brown). Jako najemnik latał przez dwa lata – został jednak oszukany i za walki w Afryce nie otrzymał pieniędzy, a po zniszczeniu lotnictwa Katangi przez Angolę wrócił do Wielkiej Brytanii gdzie zamieszkał na stałe.

Łanowski wykonał 98 lotów bojowych początkowo latając na samolotach myśliwskich P-51B *Mustang* w 335 Dywizjonie Rozpoznawczym, gdzie ze względu na trudności z wymową jego nazwiska otrzymał od amerykańskich pilotów przydomek „Lanny”. Niebawem jednak – jak zaznaczyłem – został przeniesiony do ww. 61 Fighter Squadron walczącego na samolotach myśliwskich P-47 *Thunderbolt* w składzie 56 Fighter Group, gdzie w 1944 r. uzyskał cztery zwycięstwa powietrzne – pierwsze odniósł 22 V 1944 zestrzelując niemiecki samolot myśliwski FW – 190.

Podczas kwerendy archiwalnej w zbiorach Stowarzyszenia Lotników Polskich w Londynie udało mi się natrafić na pozbawiony sygnatury archiwalnej, pożółkły dokument autorstwa kpt. pil. Witolda Łanowskiego zatytułowany: *Wspomnienia jednego z oficerów pilotów z okresu pobytu w 8 U. S. Air Force. Mój 99 lot bojowy*¹.

Autor opisuje w nim swe pierwsze powietrzne starcie z myśliwcami Luftwaffe. Warto go przybliżyć ze względu na treść i plastyczny opis wydarzenia:

Zdawało mi się, że już chyba nigdy nie będę miał na sumieniu zestrzelonego Niemca, że wojna się skończy, a ja będę mógł powiedzieć, że widziałem samoloty niemieckie



Kpt. pil. Witold Łanowski – z prawej – przy swym myśliwcu P-47 „Thunderbolt”

i słynne Messerschmitty i F.W.190 jedynie z daleka. Doskonale rozumiem każdego pilota, który pomimo największych chęci i marzeń o zwycięstwie miał podobne przeżycie, do pierwszego zwycięstwa. Miałem za sobą już 98 lotów bojowych. Następny miał być 99-tym. Cyfrę 99 lubiłem, bo związana była z okresem miłych wspomnień, kiedy stawiałem pierwsze kroki w Anglii. Pamiętam jak kiedyś obchodząc imieniny przyjaciółki jednego z kolegów, zawędrowaliśmy do nocnego lokalu „99th Club” i jak ktoś z towarzystwa zamówił u kelnera między innymi 99 kanapek. Chyba nigdy nie zapomnę twarzy kelnera. Ale zamówienie wykonał i w rezultacie jedli wszyscy od orkiestry do kelnera włącznie. Tracąc już powoli nadzieję, na okazję zestrzelenia, pomyślałem, że może ta liczba 99 przyniesie mi szczęście. Zdaje się, że to jest normalne, że jak się zaczyna tracić nadzieję, staje się przesadnym. Obudzili nas tego dnia wcześniej, bo jeszcze przed wschodem słońca. Uśmiechnięty Intelligence Officer z latarką w ręku budził nas i zapowiedział ładny dzień. Kilka minut na mycie i ubranie, następnie kilkanaście minut na doskonałe śniadanie jeszcze nie obudziły nas całkowicie. To też jadąc samochodem na odprawę pilotów, każdy jeden drzemał i wcale nie wyczuwało się najmniejszego podniecenia, tak normalnego przed każdym lotem bojowym. Do Sali odpraw weszliśmy razem z pilotami z innych dywizjonów. Na głównej scia-

nie duża mapa Francji i Niemiec, silnie oświetlona. Z prawej strony mapa Anglii z całym systemem obrony. Z lewej duża tablica do podania czasów całej operacji. Bliżej grup krzesel, które zajmowaliśmy dość głośno, przyglądając się głównej mapie, na której umieszczona już była cała operacja. Wszystkie twarze zwrócone były na tę mapę i wzrok śledził poszczególne kolorowe nici, którymi wytyczane były trasy poszczególnych grup. Oczywiście wszystkich najbardziej interesowała czerwona nitka, która jak zwykle oznaczony był nasz lot. Lot zapowiadał się ciekawie. 500 Fortec szło głęboko w centrum Niemiec, a myśmy mieli je oślaniać między Osnabruck [Osnabruck] a Bremen. Odprawę jak zwykle rozpoczął Oficer Meteorolog, zapowiadając piękną pogodę na całej trasie (był to maj 1940 r.) [autor podaje tu błędnie datę był to 29 V 1944 r. – przyp. A.O.J. Następnie Intelligence Officer zapoznał pilotów z ogólną sytuacją, spodziewanym oporem Niemców i innymi szczegółami z jego resortu. Wreszcie D-ca wyprawy płk. Francis Gabreski omówił szyki i szczegóły całego lotu. Tradycyjne „Good luck boys” i oficjalna część odprawy zakończyła się. Z boku, w wolnej części Sali, czekał na nas, katolików, ksiądz z Komunii Świętej. Ukłękliśmy naokoło i po kilku minutach przyjęliśmy Św. Sakrament i błogosławieństwo z rąk kapelana. Mieliśmy jeszcze godzinę czasu do startu. Nareszcie nie trzeba było się spieszyć. Szedłem w kie-



Myśliwski P-47 „Thunderbolt” z godłem kpt. pil. Witolda Łanowskiego

runku swojej maszyny. Słońce wschodziło powoli, zapowiadając ładny dzień. Nad naszym lotniskiem formowały się grupy Fortec, nabierając powoli wysokość, strzelając co chwila rakietą najrozmaitszych kolorów. Sprawdziłem czy mam puste kieszenie i powoli zacząłem ładować w nie mapy, pieniądze, rację żywności, papierosy i czekoladę. Zapiąłem pas z dużym amerykańskim pistoletem, przygotowałem mapę i włożyłem „May West” (kamizelka ratownicza) i właściwie byłem gotowy do lotu. Mechanicy czekali już na mnie. Maszyna jak zwykle świeżo wypróbowana i podgrzana. Wsiadłem do maszyny gwarząc z mechanikami. Zwykle dzieliłem się z nimi szczegółami lotu i zadania. Ciekawe było obserwować z jakim zainteresowaniem słuchali szczegółów. Widziałem i wyczuwałem, że są mi wdzięczni i że w ten sposób biorą do pewnego stopnia udział w locie. Na 10 minut przed startem zapuściłem silnik, jeszcze raz sprawdziłem obroty i powoli jeden za drugim pokołowaliśmy na start. Start takiej grupy (3 dywizjony) myśliwskiej robi naprawdę potężne wrażenie. Lubiłem zawsze obserwować właśnie start. Te największe na świecie myśliwskie samoloty ważące około 7 ton, z silnikiem 2400 H.P. (koni mechanicznych – przyp. A.O.) wyglądały jak nieco niezgrabne ale naprawdę rwące się do boju bestie. Start, zwykle okrążenie lotniska, ostatnie spojrzenie i kurs. Lotnisko, a za kilkanaście minut Anglia, pozostaną za nami. Myśli nasze są już w Niemczech. Pogoda piękna. Zbliżamy się do Holandii. Na wysokości 20 000 (stóp – przyp. A.O.) przechodzimy w szyki bojowe. W czasie przekraczamy granicę Niemiec. Wychodzimy na 24 000 (stóp – przyp. A.O.) aby spokojnie przyjąć „nasze” Fortece (samoloty bombowe B-17 „Flying Fortress” – przyp. A.O.). Czas mija wolno. Po półgodzinnym patrolowaniu opuszczamy Fortece pozostawiając je innym dywizjonom. Wydawało się, że jeszcze jeden lot odbędzie się bez specjalnych wrażeń i przygód. Nagle znudzonemu D-cy przyszło na myśl, że warto zoba-

czyć co się dzieje bliżej ziemi. Nurkujemy na linię kolejową w Bremen. Na głównym torze w Bremen zauważyliśmy pociąg w kierunku płdn.-zach. D-ca wyprawy „Gaby” (płk. Pil. Francis Gabreski – przyp. A.O.) wydał rozkaz przez radio, że moja eskadra ma pozostać jako ubezpieczenie górne. Schodząc z wysokości obserwujemy przestrzeń i czekamy na dalsze rozkazy przez radio. Pod nami cumulusy. Pokrycie 7/10 na wys. około 5000 (stóp – przyp. A.O.). Nagle pod nami z lewej strony błysk ognia i czarna smuga dymu z palącego się samolotu. D-ca musiał zaskoczyć jakąś formację Niemców. Od tej chwili cały szereg czynności było nie zupełnie kontrolowanych i świadomych. Trochę gorączkowo chęć wzięcia udziału w walce była w tej chwili dominująca. Reszta, wszystko musiało być podporządkowane temu dążeniu. Jak zawsze przed atakiem serce przyspieszyło trochę tętno, ścisnąłem mocniej drążek, poprawiłem się i usiadłem mocniej w siedzeniu no i oczywiście dałem pełne obroty silnika. Za chwilę byłem już w środku walki. Przed sobą widziałem czwórkę F.W. (myśliwce Focke Wolf FW-190 – przyp. A.O.) w ostrym zakręcie nabierających wysokość. Kiedy zdawało mi się, że mam dogodną pozycję, otworzyłem ogień ze swoich 8-u karabinów maszynowych, ale cel był za daleki. Już miałem zamiar przeciąć im drogę i zaatakować jeszcze raz, kiedy pomyślałem o tym, że należy się rozglądnąć (jedna z podstaw walki). Podo mną z prawej strony rozgrywała się kołowa walka 2 F.W. i 2 P-47. Tworzyli oni wizerunek starając się dostać na cel jednego. Z jednego P-47 leciały już kawałki blachy po celnej serji F.W. Obejrzałem się jeszcze raz za siebie i rzuciłem się na pomoc koledze. Miałem przewagę wysokości, szybkości i inicjatywę. Mogłem wybierać moment i pozycję ataku. Otworzyłem ogień. Bez rezultatu. Za chwilę zorientowałem się, że odległość jest co najmniej 500 jardów. Ciekawe, jak zawsze w pierwszych chwilach walki nie docenia się odległości. Podeszedłem bliżej, odłożyłem po-

prawkę i seria przeszła przez ogon Niemca. Świetlne pociski ogromnie ułatwiły ocenę gdzie poszła seria. Zbliżyłem się na 200 jardów. Seria przeszła przez kadłub,abinę pilota i silnik. I w tym właśnie momencie nastąpiło coś, czego się nie spodziewałem – samolot pode mną eksplodował i dosłownie rozleciał się w kawałki. Zamknąłem oczy i skuliłem się w kabinie oczekując zderzenia. Podciągnąłem maszynę gwałtownie do góry i za chwilę zacząłem szukać samolotu kolegi, którego ratowałem. Samolot sam piął się jakoś dziwnie do góry, jakby szukając schronienia wśród kolegów, którzy powoli zbierali się po walce wyżej. Ale za chwilę, ku mojemu wielkiemu zmartwieniu samolot ten przeszedł w pionowy lot i szybko straciłem go z oczu. Niestety nie zobaczyłem białego obłoku spadochronu, na który tak czekałem. Na 10 – 12 000 (stóp – przyp. A.O.) zbierały się powoli P-47. Dołączyłem się do srebrnej maszyny D-cy. Pokazywał mi palcami, że ma jednego Niemca na sumieniu. Ja z dumą też podniosłem jeden palec do góry. Mój 99 lot przyniósł mi jednak tak dawno upragnione zwycięstwo. W ogóle lot ten był udany. Po obliczeniu, dywizjon miał 11 zestrzeleń, tracąc tylko 2 pilotów.

Dalsza służba kpt. pil. Witolda Łanowskiego w szeregach 8 USAAF była owocna w sukcesy. Dnia 27 VI 1944 r. kpt. pil. Witold Łanowski lecąc jako skrzydłowy Gabreskiego, zestrzelił myśliwskiego Messerschmitta Bf 109; 5 VII 1944 r. jego ofiarą padł nad Francją kolejny myśliwiec tego typu; 18 XI 1944 r. odniósł kolejny sukces ze-

strzeliwując nad Frankfurtem myśliwskiego FW-190. Ostatni – 179 – lot bojowy podczas wojny wykonał 19 IV 1945 r. Nie wszystkie zwycięstwa powietrzne zostały mu zaliczone przez tzw. „komisję Bajana”, ustalając ranking pilotów RAF posiadających zestrzelenia. W statystykach Polskich Sił Powietrznych kpt. pil. Witold Łanowski ma oficjalnie zaliczone tylko dwa zwycięstwa (!), a wynika to z faktu, że został w 1944 r. wydalony z lotnictwa polskiego – dwa (trzy?) kolejne zestrzelenia uzyskane w ramach USAAF nie zostały mu uwzględnione. Kpt. pil. Witold Łanowski pierwsze trzy zwycięstwa odniósł kolejno na myśliwcach typu P-47 „Thunderbolt” oznaczonych jako HV-E, HV-M, HV-M oraz HV-Z, który stał się jego maszyną osobistą. Z przodu tego samolotu widniało bardzo ciekawe godło osobiste polskiego pilota, mianowicie żelazna pięść miażdżąca niemiecki samolot na tle szachownicy. W ramach uznania za czyny wojenne został odznaczony brytyjskim DFC oraz dwukrotnie Air Medal.

Andrzej Olejko

Fotografie ze zbiorów G. Ślizewskiego; źródło graficzne: A.Jarski, R.Michulec, „P-47 Thunderbolt”, AJ-PRESS, Gdynia.

¹ Zbiory Archiwalne Stowarzyszenia Lotników Polskich w Londynie, Kpt. pil. Witold Łanowski, WSPOMIENIA JEDNEGO Z OFICERÓW PILOTÓW Z OKRESU POBYTU W 8 U.S. AIR FORCE. MÓJ 99 LOT BOJOWY – dokument nie posiada sygnatury archiwalnej.

Piotr Pacholarz

Twierdza Kraków nadal walczy!



Półowa XIX wieku nie nastrajała optymistycznie ówczesnych mieszkańców Krakowa. Skończył się epizod z bardziej symboliczną niż realną niezależnością Rzeczypospolitej Krakowskiej, a zaborca postanowił uczynić z tego miasta wojskową twierdzę. Ze strategicznego punktu widzenia był to pomysł doskonały – Kraków leżał w pobliżu zetknięcia się granic trzech państw zaborczych, niejako w kluczowym miejscu potencjalnego kierunku natarcia na Wiedeń. Tkanka miejska dawnej stolicy Polski miała stać się zatem zapleczem dla fortów, połączonych systemem okopów i szańców w duży, pierwotnie kilkukilometrowej długości wielobok.

Początkowo powstało kilka fortów, tworząc szczelny pierścień fortyfikacji, zespalały zabudowę Krakowa, Kazimierza i Podgórze. Z tego okresu pozostały do dziś: Baszta Maksymiliańska na wzgórzu Lasoty, tzw. Luneta Warszawska ryglująca dostęp do miasta od północy, górujący nad miastem fort zlokalizowany wokół kopca Kościuszki i... Wawel! Trzeba, bowiem pamiętać, że Zamek Królewski – duma i chluba wielu pokoleń Polaków – pełnił wówczas rolę koszarów, natomiast całe wzgórze wawelskie zostało silnie ufortyfikowane.

To był jednak dopiero początek! Zmieniające się sposoby walki i udoskonalenia w sposobach zabijania i niszczenia doprowadzały w ciągu kilkudziesięciu następnych lat do kolejnego rozszerzania się zasięgu twierdzy, która na początku I wojny światowej była jedną z najlepiej ufortyfikowanych w Europie. Powstał koncentryczny, trójpierścieniowy zespół budowli obronnych. Jeśli to było możliwe lokalizowano je na wzniesieniach – stąd forta-

mi otoczone zostały wszystkie kopce krakowskie; w rejonie Skałek Twardowskiego wykuvano forty w wapiennej skale, natomiast w obniżeniach wykorzystywano elementy hydrograficzne, celem utrudnienia dostępu wroga do danego obiektu. Powstały m.in. forty artyleryjskie, pancerne, bastiony, ziemne szańce piechoty. Wykorzystane zostały najlepsze w owych czasach materiały, zwłaszcza popularna konstrukcja żelbetonowa. Poszczególne dzieła obronne połączone zostały solidnie zbudowanymi drogami (wytrzymującymi obciążenie wielotonowych ładunków), z których największą długość miała tzw. droga rokadowa, łącząca forty trzeciego, najbardziej zewnętrznego pierścienia umocnień. Projektanci pomyśleli nawet o dwupoziomowych skrzyżowaniach, tak, aby nie dochodziło do kolizji kolumn transportów wojskowych.

W 1914 roku Twierdza Kraków skutecznie odparła atak wojsk rosyjskich. Notabene w bezpośredniej walce wzięło udział zaledwie kilka fortów, prowadząc i odpierając ostrzał artyleryjski. Prawdopodobnie Rosjanie zdawali sobie sprawę z siły umocnień i – w przeciwieństwie do Twierdzy Przemysł – szybko zrezygnowali z oblężenia. Fakt ten potwierdził niejako sensowność olbrzymich nakładów finansowych związanych z budową i utrzymaniem tego potężnego założenia militarnego.

Jaką rolę odegrała jeszcze Twierdza Kraków? Z jednej strony negatywną, gdyż wprowadzone przez władze austriackie regulacje prawne skutecznie zniechęcały potencjalnych inwestorów do budowy domów mieszkalnych i budynków użyteczności publicznej na zewnątrz fortyfikacji (do około 1,2 km). Obowiązywały tam m.in. tzw. re-

wersy demolacyjne, które zmuszały właścicieli do wyburzenia budynków (na własny koszt!) na każde żądanie wojska. Z drugiej jednak strony ograniczenia budowlane i zakaz wznoszenia trwałych obiektów na bliskim przedpolu fortyfikacji doprowadziły do wzrostu cen gruntów wewnątrz miasta. Zaczęto wznosić wysokie kamienice, co nadało zaniedbanemu dotychczas miastu cechy wielkomiejskości. Budowa kolejnych fortyfikacji napędzała koniunkturę gospodarczą. Powstawały cegielnie, wapienniki, handlowano materiałami budowlanymi. Zaspokajanie potrzeb żołnierzy tutejszego garnizonu stworzyło mnóstwo nowych miejsc pracy.

Zmieniać zaczęła się również przestrzeń miasta. Z czasem, na miejscu pierwotnych fortyfikacji powstała kolej rokadowa, która z kolei ustąpiła miejsca dzisiejszym Alejom Trzech Wieszców. Ulepszono drogi miejskie i pozamiejskie (szczególnie te ważne z wojskowego punktu widzenia), rozbudowano węzeł kolejowy a nawet utworzono lotnisko wojskowe. Oczywiście inwestycje militarne prowadzone były równocześnie z inwestycjami typowo cywilnymi.

W dodatku, po odzyskaniu niepodległości, miasto przejęło wiele budynków użytkowanych wcześniej przez wojsko austriackie. Politechnika, Instytut Stomatologii i Wojewódzka Biblioteka Publiczna mieszczą się obecnie w dawnych c.k. koszarach; ujeżdżalnia przez lata służyła jako Operetka, kasyno oficerskie przy ul. Zybkiewicza, szpital garnizonowy przy ul. Wrocławskiej itd. Część poaustriackich budynków nadal użytkowana jest przez wojsko.

Koniec I wojny światowej to równocześnie zakończenie militarnej roli twierdzy – nie było już potrzeby chronienia kierunku na Wiedeń. Forty przejęte zostały przez m.in. Wojsko Polskie lub całkiem opuszczone. W okresie II wojny światowej obronne właściwości krakowskich umocnień wykorzystano marginalnie – podczas kampanii wrześniowej Wojsko Polskie przez pewien okres czasu bronilo się w jednym z fortów, również w styczniu 1945 r. hitlerowska załoga fortu Rajsko bezskutecznie próbowała odpierać ataki oddziałów Armii Czerwonej. Wśród powojennych decydentów umoc-



Czerwony Most
– bezkolizyjne rozwiązanie komunikacyjne

nienia dawnej Twierdzy Kraków miały (mają?) bardzo „niskie notowania”. Stanowiły raczej kłopot, nie dostrzegano walorów tych budowli, w najlepszym razie traktując je jako pomieszczenia magazynowe, najczęściej zaś jako źródło pozyskiwania... złomu. O ile tę pierwszą funkcję forty pełniły całkiem zadawalająco (system odwodnienia i wentylacji pomieszczeń opracowany został wręcz perfekcyjnie), o tyle jako źródło surowca forty zdecydowanie się nie sprawdziły. Solidność wykonania (w końcu jakość budowli przekładać się miała na odporność na ostrzał i oblężenie) bardzo utrudniała rabunek i rozbiórkę. Oczywiście pomysłowość państwowych i nielegalnych rabusiów rozwiązała wiele z tych problemów...!

Jaki jest obecny stan budowli obronnych tworzących niegdyś Twierdzę Kraków? Po pierwsze należy podkreślić, że do dziś przetrwało ponad sto takich obiektów (!) Część z nich jest dobrze zachowana i wykorzystywana jako hotele i restauracje (Forty Kościuszko i Zielonki), jako pomieszczenia stadniny koni (Forty Olszanica i Grębałów), jako dom kultury (Fort Krzesławice), jako obserwatorium astronomiczne UJ (Fort Skała), jako magazyny lub pomieszczenia wykorzystywane przez Urząd Miasta (np. forty w Kosocicach i Swoszowicach), jako urządzone tereny spacerowe (otoczenie Fortu Batowice) lub jako Piwnice Win Importowanych (Fort Kleparz). Są wreszcie forty nadal służące celom wojskowym (m.in. Fort Pasternik). W ciągu ostatnich kilkunastu lat w całej Polsce zaśląnął jed-

nak wspomniany wyżej Fort Kościuszko, ponieważ w jego obrębie zlokalizowano pierwszą prywatną stację radiową – RMF.

Przedstawione powyżej przykłady sugerowałyby, że sytuacja jest korzystna. Szczególnie, że kilkanaście fortów wpisanych zostało do rejestru zabytków. Utworzono szlak turystyczny (żółto-czerwony), który łączy poszczególne obiekty. Zamontowano szereg drogowskazów ułatwiających ich odnalezienie, na specjalnych tabliczkach umieszczono podstawowe informacje dotyczące konkretnego dzieła obronnego. Ponadto Twierdza Kraków znajduje się w kręgu zainteresowania wielu prawdziwych pasjonatów, którzy penetrują jej części, opisują je i fotografują. Wydanych zostało wiele publikacji książkowych, zaś Internet stanowi prawdziwą kopalnię wiedzy na ten temat.

A jednak rzeczywisty los zdecydowanej większości obiektów należących do dawnej Twierdzy Kraków jest nędzny i żaloszny! Na swój sposób podziwiać można pomysłowość złodziei i wandalów – zdrowo myślący człowiek nie wymyśliłby zapewne, że oplaca się (?) demontować stalowe elementy silnie zespolone z kamiennymi lub wręcz betonowymi częściami umocnień. Teraz zapewne chodzi przede wszystkim o przyjemność niszczenia, jednak w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat zniknęła zdecydowana większość kopuł pancernych, drzwi, bram, furtyn, okablowania, rur, krat i innych elementów, które można było spróbować sprzedać. Podczas adaptacji na cele magazynowe lub produkcyjne (także hodowlane) dokonywano częściowych wyburzeń i przebudowy, porzucając później obiekty jako niespełniające oczekiwań inwestora. Cechą charakterystyczną opuszczonych i zaniedbanych fortów są olbrzymie ilości śmieci, które w szybkim tempie i w dużych ilościach pojawiają się na ich terenie.

Jednakże jeszcze gorszy los spotkał forty, które wyburzono. Albo nie pozostał po nich żaden materialny ślad (np. fort na Krzemionkach, w miejscu, w którym wybudowano później ośrodek telewizyjny), albo przez zaniedbanie burzymurków pozostały jedynie fragmenty wychodzących niekiedy ponad murawę cegieł czy brył betonu (np. Fort Krakus). Oczywiście część dzieł obronnych musiała

ulec zniwelowaniu ze względu na potrzeby rozwijającej się aglomeracji. Interesującym przykładem wydaje się być dawny Fort Mogiła. Choć wyburzony został już kilkadziesiąt lat temu, to jeszcze do niedawna zachował się ruch okružny na Rondzie Mogiłskim, będący odbiciem konieczności obejścia tej budowli. Nawet podczas trwającej nadal przebudowy tego węzła komunikacyjnego planiści i budowniczowie zaskoczeni byli solidnością i rozmiarem fundamentów, jakie zastali podczas zgłębiania potężnego wykopu na tunel tramwajowy.

Osoby zainteresowane historią i współczesnym stanem dawnej Twierdzy Kraków mogą dojechać do wszystkich obiektów (lub przynajmniej w ich pobliżu). Jednak do tego dysponować trzeba dużą ilością czasu. Dlatego poniżej umieszczony został (bardzo subiektywny) wybór obiektów, które pozwolą w ciągu kilku parogodzinnych spacerów poznać najbardziej interesujące fragmenty twierdzy.

Spacer I

Wędrówkę najlepiej rozpocząć na Salwatorze. Ulicą św. Bronisławy i Aleją Waszyngtona będziemy wówczas wspinać się na wzgórze zwieńczone Kopcem Kościuszki. Jednak wcześniej, po pozostawieniu cmentarza Salwatorskiego z lewej strony, przejdziemy przez tzw. Diabelski Mostek. To przykład wspomnianego wyżej, bezkolizyjnego skrzyżowania dróg o wojskowym znaczeniu. Warto



Fragment Fortu Kościuszko

wspomnieć, że osoby zachwycające się starodrzewem Alei Waszyngtona (niektóre z okazji są pomnikami przyrody) powinny pamiętać, że drzewa posadzono tutaj po to, aby w razie potrzeby ściąć je, utrudniając tym samym wrogowi dostęp na przedpole fortu. Idąc dalej, z prawej strony zachowały się ślady po ziemnym szańcu (należałoby wejść na łąkę powyżej drogi). Jednak największe wrażenie robi sam fort, o bardzo urozmaiconej architekturze, która pomimo zastosowania wielu konwencjonalnych rozwiązań, zaskakuje swoim zróżnicowaniem. W sześciobocznym zarysie dostrzec można koszary szyjowe, zwieńczone wieżami obserwacyjnymi. Grube, ceglane mury i ułożone w nich rzędy strzelnic, mury kurtynowe, metalowe elementy wzmocnień, pięcioboczne baszty (tzw. puntone), rozległy dziedziniec wewnętrzny – wszystko to robi wrażenie potężnej, niemożliwej praktycznie do zdobycia, twierdzy.

Warto wybrać się oczywiście na sam Kopiec Kościuszki. Z jego wierzchołka dostrzec możemy m.in. Kopiec Krakusa, (ale już bez fortyfikacji) i wieżę telewizyjną na Krzemionkach (tam również był fort). Doskonale widać też Wawel, ufortyfikowany i przez kilkadziesiąt lat stanowiący ważny element austriackiego systemu wojskowego. Jednak to raczej wszystko, co uda nam się zobaczyć – pozostałe dzieła obronne były tak zaprojektowane, aby celowniczy artyleryjski miał poważne problemy z ich dostrzeżeniem. Ukryte pod grubą warstwą ziemi, zadarnione powyżej stropów, dobrze chroniły swoje obsady. Teraz, co prawda, niejednokrotnie teren fortów pokryty jest starodrzewem, który zdradza znawcom tematu miejsce, w którym znajduje się fort.

Naszą wędrowkę warto zaplanować tak, aby doczekać zmroku. Kopiec i fort są pięknie iluminowane, natomiast widok na oświetlone lampami miasto długo pozostaje w pamięci.

Schodząc w kierunku ul. Królowej Jadwigi (dogodne połączenia do centrum miasta) warto przyrzuć się jeszcze dwóm budowlom, tzw. ostrogom, które ułatwiać miały obronę dostępu do drogi dojazdowej w kierunku Fortu Kościuszko.

Shacunkowy czas wędrowki i zwiedzania: 2–3 godzin.

Spacer II

Zaczynamy od fortu artyleryjskiego Prokocim (nr 50). Dojazd jest bardzo łatwy – należy wysiąść na przystanku w pobliżu Szpitala Dziecięcego UJ i udać się w kierunku wznoszącego się na pobliskim wzgórzu zadrzewienia. Czeką nas spotkanie z koszarami szyjowymi, z lukowato wygiętym schronem głównym, z wałem artyleryjskim i schronami pogotowia (tu zachowały się nawet metalowe wieżaki na broń (?) i stanowiska dział). Głęboka fosa jest flankowana kaponierami z charakterystycznymi strzelnicami (zachował się również system wentylacji odpowiadający okresowi sprzed zastosowania prochu bezdymnego). Dużo emocji dostarczą nam zapewne wędrowka korytarzem, tzw. potajnikiem, przeszywającym wnętrze fortu.

Dalsza wędrowka, w kierunku kościoła w Kosocicach – widocznego na grzbiecie piętrzącego się od południa wzgórza – doprowadzi nas do dwóch fortów. Obydwa reprezentują typ pancerny (oznaczenie 50 i 1/2 O i 50 i 1/2 W, czyli wschód i zachód). W pierwszym z nich, pomimo szczelnego ogrodzenia, dostrzec można blok koszar z kaponierą szyjową a także tzw. kaponierę rewersową. Podobny jest drugi, pobliski fort, przy czym stosunkowo łatwo jest dostać się na jego teren (ogrodzenie jest w złym stanie...). Warto dodać, że kościół w Kosocicach, który ułatwił nam orientację w dotarciu do tego miejsca, wybudowany został dopiero po utracie przez twierdzę walorów bojowych. Wcześniej stanowiłby doskonały znacznik dla artylerii wroga, która mogłaby dzięki temu łatwiej zlokalizować pobliskie forty.

Teraz powinniśmy udać się na zachód, uliczką malowniczo poprowadzoną po osi wzgórza. To fragment drogi rokadowej (nawet taka jest oficjalna nazwa tej ulicy), która doprowadzi nas do kolejnego fortu – tym razem artyleryjskiego – Rajsko nr 51. Zanim jednak obejrzymy tę budowlę warto zatrzymać się, aby podziwiać jeden z piękniejszych widoków na Kraków. Na skraju drogi wznosi się niewielki budynek, stylowo korespondujący z pobliskim fortem. To dawne kasyno oficerskie. Obecnie opiekuje się nim pewien artysta, który tu założył swą pracownię. Można spróbować zapytać go



Fort artyleryjski Rajsko 51

nie tylko o możliwość zajrzenia do wnętrza, ale i o najświeższe informacje na temat aktualnych losów fortu Rajsko. Wprawne oko dostrzec może tu nie tylko koszar i półbastiony ale i tzw. mur Carnota. To przeznaczony do obrony wnętrza fosi chodnik, osłonięty murem przeszzytym strzelnicami.

Wszystkie odwiedzone przez nas fortey odegrały istotną rolę podczas ofensywy wojsk rosyjskich w 1914 r. Obydwie strony prowadziły intensywną wymianę ognia poprzez ostrzał artyleryjski.

Po zwiedzeniu tego fortu można udać się na pobliski przystanek autobusowy, skąd odjedziemy w kierunku Borku Fałęckiego.

Szacunkowy czas wędrówki i zwiedzania: 4–5 godzin.

Spacer III

Tym razem będę namawiał Czytelników do obejrzenia tylko jednego fortu, jednak jego oryginalność warta jest zainteresowania. Fort Lasówka (nr 50a) przeznaczony był dla piechoty i artylerii. Położony przy wiślanym wale miał odgrywać ważną rolę podczas obronie wschodniego podejścia do Twierdzy. Zwany jest także fortem wodnym, gdyż oprócz pobliskiej Wisły, otoczony był rozlewiskami i podmokłościami, które wzmacniały jego obronność.

Aktualny stan fortu Lasówka nie nastraja optymistycznie, jednak bez trudu rozpoznać można piętrowy blok koszar, z niską kaponierą szyjową. Otoczony jest wysokim wałem, który z kolei obrze-

żony jest pozostałością po fosie (dawniej wypełnionej wodą). Spacerując po zadarnionym stropie koszar łatwo dostrzec liczne otwory wentylacyjne. Można przypuszczać, że niektóre z nich nadal częściowo mogą funkcjonować, gdyż wnętrze fortu, mimo bliskości rzeki, nie jest zawilgocone.

Dojazd i powrót z fortu Lasówka – najlepiej autobusami od strony Płaszowa i Rybitw (ul. Goliówka).

Szacunkowy czas wędrówki: 1–2 godzin.

Spacer IV

Czekają nas teraz fortey o kluczowym znaczeniu, jeśli chodzi o spodziewany atak od strony pobliskiej granicy z Rosją. Zaczniemy od artyleryjskiego fortu nr 47 Łysa Góra w Węgrzcach. Zadziwia długość i masywność ścian frontowych koszarów szyjowych z wysuniętymi trochę, flankującymi skrzydłami. Zachowała się metalowa brama wjazdowa. Jednak, ze względów na budowę w pobliżu osiedla mieszkaniowego, fort ten jest nie tylko niedostępny do zwiedzania, ale zgodę na sfotografowanie obiektu (ukończonego w 1885 r.) wydać może (ale nie chce...) sam prezes firmy budowlanej! Przejdźmy zatem w kierunku zachodnim, w stronę sąsiedniego, pancernego fortu Węgrzce 47a. Po drodze trafimy na niewielkie dzieło obronne, tzw. ostróg, którego zadaniem było dodatkowe ryglowanie ogniem z dział i karabinów, drogi prowadzącej w kierunku pobliskiego przejścia granicznego w Michałowicach. Obiekt ten można zwiedzać i fotogra-



Fort pancerny 49 1/4 w Grębałowie

fować. Po przejściu pod wiaduktem drogi E7 bez trudu docieramy do odnowionego fortu. Pomimo,



Fort 47a Węgrzce.
Widoczna rekonstrukcja maskowania

że użytkowany jest przez prywatną firmę, można go z zewnątrz oglądać i fotografować do woli. A warto, gdyż dostrzeżemy m.in. piętrowy blok koszar szyjowych z zachowanymi stalowymi okiennicami. Kaponiera wyposażona została w różnej wielkości strzelnice. W licowanych kamieniem naroznikach mieściły się tradytory, w których umieszczone były 80 mm działa. Fort posiadał wieże pancerne, służące do ostrzału i obserwacji. Interesujące jest również odtworzone maskowanie tego obiektu. Aktualnie nadal prowadzone są prace, które wyeksponują prawdopodobnie kolejne autentyczne lub zrekonstruowane elementy wyposażenia tego fortu.

Czeka nas teraz dłuższa wędrowka, w kierunku Bibic (oczywiście najlepiej skorzystać z oznaczeń szlaku Twierdzy Kraków). Dzięki temu dotrzemy do kolejnego fortu, znów pancernego, Bibice 45a. Otoczony jest starodrzewem, natomiast do nas należy znalezienie ścieżyny, która przeprowadzi nas do wschodniej strony przez gęste zarośla aż do dawnego placu broni. Wyposażenie fortu stanowiły wieże pancerne (ślady po ich usytuowaniu widoczne są do dziś). Jest tu też oczywiście schron główny – blok koszar i kaponiera szyjowa. Dostępu do fortu „broni” kaponiera usytuowana w przejeździe przez wał ziemny. Jednak musimy wrócić tą samą ścieżką, gdyż dostęp od strony ogrodów działkowych jest w chwili obecnej niemożliwy.

Ostatnim punktem na trasie naszego spaceru będzie fort artyleryjski Marszowiec 45 w Zielonkach. Położony na wierzchołku wzniesienia górującego nad rozległą doliną Prądnika, jest pięciobocznym bastionem szyjowym. Wejście do fortu chronił stalowy sponsor i brama oraz liczne strzelnice. Fort jest utrzymany w dobrym stanie, gdyż działa w nim hotel. Można spróbować wejść do tych fragmentów, które nam udostępni obsługa. Może uda nam się zobaczyć schron główny lub przejść długim korytarzem – potajnikiem aż do podwójnej kaponieri, której zadaniem było strzeżenie wnętrza fosy. Wewnątrz fortu znajdują się stanowiska dział i schrony pogotowia.

Dojazd do początku naszej trasy jest łatwy (np. do pętli autobusowej MPK przy Starostwie Powiatowym w Węgrzcach), powrót również z pętli autobusowej nieopodal Hotelu Twierdza.

Szacunkowy czas wędrowki i zwiedzania: 4–5 godzin.



Fort 47a Węgrzce

*

Powyższy wybór warto rozszerzyć o co najmniej kilkanaście obiektów – szczególnie polecam zadbane forty Grębałów 49 i Krzesławice 49, ponadto kontrowersyjnie „zabezpieczoną” Basztę Maksymiliańską i Lunetę Warszawską.

A na koniec chciałbym złożyć meldunek:

Twierdza Kraków broni się nieprzerwanie od roku 1918, najczęściej sama... Tylko nieliczne punkty obsadzone są przez załogę. Na betonowe mury, zbrojone stropy, nieliczne ocalałe pancer-



Fort pancerny 49 1/4 Grębatów

ne elementy naciera czas, a także chciwość i ludzka głupota. Zapobiegliwość i zmaterializowana pomysłowość inżynierów, budowniczych i wojskowych wkrótce ulegną zatarciu. Potrzebne są posilki, w postaci mądrych decyzji władz, co do zagospodarowania jej obiektów. Działania pasjonatów, choć godne podziwu, nie wystarczają. Twierdza jeszcze walczy, ale jak długo jeszcze?!

Wędrując musimy pamiętać o kilku ważnych zasadach. W wyposażeniu warto mieć dobrą latarkę i solidne buty (dojście bywa błotniste, ponadto w ciemnościach można trafić na różne przeszkody). Najlepiej zwiedzać późną jesienią (po opadnięciu liści) lub wczesną wiosną. Wówczas po prostu widać więcej elementów, które zazwyczaj za-

maskowane są roślinnością. Poza obiektami zagospodarowanymi i strzeżonymi, na spacer warto wybrać się w towarzystwie znajomych. Tak będzie bezpieczniej – w fortach często pojawiają się osoby, które mogą wyrządzić krzywdę ciekawskim turystom (pewnego razu, mimowolnie, przerwałem komuś obrzędy satanistyczne...).

Powyższe opisy fortów są bardzo skrótowe, wobec czego warto przestudiować literaturę (szczególnie książkę autorstwa Jana Piwonońskiego *Mury, które broniły Krakowa*) i internet (dużo aktualnych informacji).

Piotr Pacholarz



Fort 48a Mistrzejowice w stanie zdewastowanym

Czesław Michalski

Najmniejsza i najstarsza armia świata

W dniach 26 sierpnia – 1 września 2007 r. odbyła się, zorganizowana przez Sekcję Socjalną wycieczka pracowników naszej Uczelni do Włoch. Będąc jej uczestnikiem postanowiłem zapoznać się z tradycją i funkcjonowaniem armii Państwa Watykańskiego i przybliżyć jej historię czytelnikom „Konspektu”.

Guardia Szwajcarska jest zawodową formacją wojskową, a najważniejszym jej zadaniem jest ścisła ochrony osoby papieża oraz zapewnienie bezpieczeństwa na terenie Pałacu Apostolskiego. Jej członkowie pełnią straż przed prywatnymi apartamentami Jego Świątobliwości, przy bramach wjazdowych do Watykanu, pełnią także honorową wartę podczas uroczystości z udziałem Ojca Świętego. Oddział Gwardii Szwajcarskiej zawsze uroczystości oddaje honory wojskowe głowom obcych państw oraz ambasadorom, którzy składają wizyty w Watykanie. Do jednych z trudniejszych zadań należy zapewnienie bezpieczeństwa papieża podczas jego podróży, dlatego opieka powierzana jest oficerom z wieloletnim doświadczeniem. Gwardziści podczas straży i uroczystych ceremonii występują w strojach paradnych, na co dzień używa się mundurów w kolorze granatowym. Często jednak gwardziści bezpośrednio strzegący papieża działają w cywilu. Związane jest to z zapewnieniem bezpieczeństwa w trakcie audiencji papieskich i pielgrzymek. Podczas audiencji na Placu św. Piotra, gdy papież przejeżdża odkrytym samochodem, towarzyszy mu ośmiu ludzi z ochrony – sześciu z nich to gwardziści w cywilu. Pięk-

ne stroje gwardzistów, wbrew informacjom zawartym w przewodnikach, nie zostały zaprojektowane przez Michała Anioła Buonarrotiego. Zmieniały się one przez wieki i mniej więcej odpowiadały modzie panującej w danej epoce. Pod koniec XIX stulecia stwierdzono, że są wyjątkowo niepraktyczne. Na osobistą prośbę papieża nowe mundury zaprojektował w 1914 r. były komendant Gwardii, z zawodu krawiec. Stroje jego projektu są prawie identyczne z tymi, w jakich w roku 1506 przybyli pierwsi gwardziści. Barwy są barwami Medyceuszy, szlacheckiego włoskiego rodu, który w tym czasie wydał kilku papieży. Uzbrojenie również pochodzi z epoki renesansu, są to przede wszystkim halabardy, typowa broń piechoty szwajcarskiej. Oficerowie Gwardii (ze względów bezpieczeństwa) posiadają również współczesne pistolety, lecz noszą je wyłącznie podczas służby nocnej.

Gwardziści pełnią normalną służbę wojskową i są w stałej gotowości. Służba podzielona jest na cykle, a każdy z nich trwa trzy dni: pierwszy dzień to dziewięć godzin służby dziennej, drugi polega na trzech godzinach pracy w dzień i czterech w nocy, trzeci jest dniem wolnym, ale w praktyce gwardziści wzywani są do służby w czasie prywatnych audiencji papieża lub uczestniczenia w uroczystościach, podczas gdy inni gwardziści nie mogą opuścić swoich posterunków. Wynika to z tego, że Gwardia Szwajcarska liczy stale 110 żołnierzy. Podstawowa służba w Gwardii Szwajcarskiej trwa mniej więcej dwa lata, choć istnieje możliwość prolongaty kon-

traktu na okres dłuższy. Rotacja jest dość duża, co roku przyjmuje się ok. 30 młodych rekrutów. Podstawowym wymogiem przyjęcia do Gwardii jest posiadanie szwajcarskiego obywatelstwa, odbycie podstawowej służby wojskowej w Szwajcarii, posiadanie nieskazitelnej opinii oraz wzrost ponad 174 cm. W momencie naboru rekruci muszą być kawalerami w wieku 19–35 lat. Gwardzista może się ożenić dopiero po pięciu latach służby, jeśli awansuje do stopnia kaprała. Oczywiście, obowiązkowo należy być wyznania rzymsko-katolickiego. Gwardziści posiadają własną kaplicę, którą jest kościół św. Marcina w Watykanie, odbywają rekolekcje wielkopostne w trzech grupach na zmianę, ze względu na służbę. Nad życiem duchownym gwardzistów czuwa kapelan, który jest również Szwajcarem w stopniu oficera.

Gwardia Szwajcarska powołana została do życia przez papieża Juliusza II della Rovere (1503–1513), tego samego, który przeszedł do historii jako główny budowniczy Bazyliki św. Piotra. Był on bezspornie wielkim człowiekiem, jednakże tworząc Gwardię Szwajcarską nie kierował się wzniosłymi pobudkami. Przyczyną powstania tej formacji był lęk o własne bezpieczeństwo i nieufność. Ponadto na dworach ówczesnej Europy panowała moda na posiadanie własnych oddziałów szwajcarskich, były one cenione za sprawność bojową, dyscyplinę i wierność. Z tego powodu papież Juliusz II poprosił kantony szwajcarskie o przysłanie mu oddziału wojska. Kiedy 22 stycznia 1506 r. 150 szwajcarskich gwardzistów pod dowództwem kapitana Kaspara von Silenena przybyło do Rzymu, by ochraniać papieża. Na Placu św. Piotra, papież Juliusz II udzielił im błogosławieństwa i dzień ten przyjmuje się za datę narodzin Gwardii zwanej początkowo Kohortą Helwecką (Szwajcarską). Jesienią tegoż roku liczebność oddziału wzrosła do 189 żołnierzy.

7 maja 1527 r. wojska cesarza Karola V najechały Rzym i rozpoczęły plądrowanie miasta znane w historii jako „Sacco di Roma”. Wtedy to, dzięki bohaterskiej obronie gwardzistów, papież

Klemens VII (1523–1534) schronił się w Zamku Św. Aniola. Większość żołnierzy poległa na stopniach ołtarza głównego Bazyliki Św. Piotra, przeżyło jedynie 42 gwardzistów, którzy ochroniali papieża Klemensa VII w jego ucieczce do Zamku Św. Aniola. Dzień 6 maja upamiętniający owe krwawe wydarzenia jest świętem Gwardii Szwajcarskiej. Papież przyjmuje wówczas członków Gwardii na osobistej audiencji, a młodzi gwardziści składają przysięgę podczas uroczystej defilady.

Krwawe wydarzenia z 1527 r. położyły kres istnieniu Gwardii, ale tylko na kilka lat. Bohaterstwo i ofiara dzielnych gwardzistów zdobyły ogromne zaufanie papieży dla członków Gwardii Szwajcarskiej, którzy powierzali jej od tamtej pory najściślejszą ochronę swej osoby. Już w 1548 r. papież Paweł III (1534–1549) na nowo zorganizował Gwardię w liczbie 225 żołnierzy. Za pontyfikatu Piusa V (1566–1572) jeden z oddziałów Gwardii został wysłany do walk przeciw Turkom na Cyprze i pod Lepanto w 1571 r., gdzie zdobył dwie chorągwie nieprzyjaciela.

W ciągu swojej bogatej historii Gwardia Szwajcarska kilkakrotnie przechodziła reorganizację. Dwukrotnie też została rozwiązana: w 1798 r., kiedy wojska Napoleona okupowały Rzym – ponownie zaangażował ją w 1801 r. papież Pius VII (1800–1823), po raz drugi w 1808 r., w czasie kolejnej okupacji Rzymu przez wojska francuskie. W 1814 r. Pius VII powraca do Rzymu i poleca powołanie Gwardii Szwajcarskiej.

11 lutego 1929 r. na mocy układów laterańskich powstaje Państwo-Miasto Watykan i zostaje zatwierdzona kontynuacja Gwardii Szwajcarskiej jako ochrony papieża. Zgodnie z regulaminem ogłoszonym 5 maja 1979 r. przez Jana Pawła II (1978–2005), Gwardia liczyła 100 osób, w tym 70 halabardników, 23 podoficerów, 4 oficerów łącznie z dowódcą, 1 kapelana i 2 dobozsy. Aktualnie, na mocy decyzji Sekretariatu Stanu, Gwardia Szwajcarska liczy 110 osób: liczbę halabardników zwiększono do 77, podoficerów do 27 i oficerów do 5, zlikwidowano instytucję dobozsy. Gwardziści są obywatelami Państwa

Miasta Watykan, ich komendant w stopniu pułkownika, jest członkiem Rodziny Papieskiej i ma tytuł Szlachcica Jego Świątobliwości.

W 2006 r. w Watykanie i Fryburgu odbyły się obchody 500-lecia istnienia Gwardii Szwajcarskiej. W szwajcarskiej gminie Naters, położonej w kantonie Valais, znajduje się muzeum Gwardii Szwajcarskiej. Mieści się ono w dawnej twierdzy, a wśród eksponatów znajdują się dokumenty hi-

storyczne, galeria portretów wszystkich komendantów Gwardii, charakterystyczne mundury, halabardy, przedmioty codziennego życia, pamiątki gwardzistów. Z gminy Naters pochodzi najwięcej gwardzistów, według statystyk w ostatnich 150 latach na służbę do Watykanu udało się 80 mieszkańców tej gminy.

Czesław Michalski



Fot. D. Sitko

Żołnierz Gwardii Szwajcarskiej

Roman Marcinek

Meksykańskie Termopile

Każda armia ma świętości, z których jest dumna. Z reguły są one kontynuacją powszechnej tradycji, znanej obywatelowi od najmłodszych lat. Czym dla Polaków Wiedeń, Somosierra lub Westerplatte, tym dla Anglików: Trafalgar, szarża lekkiej brygady i Bitwa o Anglię, dla Francuzów bitwa pod Verdun, dla Amerykanów: Alamo, Guadalcanal i Okinawa, dla Rosjan: postać Suworowa i obrona Stalingradu. Każda z tych nazw jest zapisem dramatu zespolonego z dziejami narodu

W francuskiej Legii Cudzoziemskiej sprawa jest trudniejsza. Żołnierzowi – prócz broni, żołdu itp. – potrzebny jest duch i tradycja, dzięki której może utożsamiać się z korpusem, w którym służy. I nie mogą to być atrybuty narodowe. Mimo że Legia jest jednostką armii francuskiej, odwoływanie się do rycerskiej tradycji Karola Wielkiego, królewskich muszkietierów i napoleońskich marszałków byłoby nieporozumieniem. Bonaparte nie jest nikim ważnym dla służących w jej szeregach Kenijczyków, Marokańczyków czy przybyszów ze Sri Lanki. Oficerowie wychowawczy muszą wpajać rekrutom coś zupełnie innego – wiedzę o 160-letniej tradycji formacji. Szczególnie zatem ważna w życiu Legii Cudzoziemskiej jest data 30 kwietnia, kiedy obchodzone jest święto formacji – Dzień Cameron. Upamiętnia ono jeden z wojennych epizodów, który jak groźne *memento* uświadamia każdemu legionście, na jakie ryzyko zdecydował się, podpisując zawodowy kontrakt.

Wydarzenia w Meksyku rozgrywające się w latach 60. XIX w. z perspektywy europejskiej jawiły się niczym ucienna operetka. Z bliska było jednak widać morze krwi rozlanej w imię wybujałych ambicji i dynastycznych urojeń. W roku 1861 Benito Juarez objął prezydenturę w Meksyku i zmierzał w kierunku radykalnych reform społecznych. Decyzja o zawieszeniu spłaty dłu-

gów wobec Anglii, Francji i Hiszpanii była kroplą, która przepełniła polityczny kielich. Działania zbrojne rozpoczęli Hiszpanie, lądując w Veracruz. Wkrótce w Meksyku pojawiły się oddziały brytyjskie i francuskie. Po trwających rok wspólnych działaniach, wśród rosnących – mimo sukcesów – nieporozumień, swe wojska wycofała Anglia i Hiszpania. Napoleon III mógł samodzielnie decydować o losach zamorskiego kraju. Stany Zjednoczone Meksyku przekształcono w Cesarstwo, na którego tronie osadzono arcyksięcia Maksymiliana Habsburga. Nowemu, nieco marionetkowemu władcy, niezbędne było wsparcie francuskich bagnetów. Bez nich nie przetrwałby we wrogim mu kraju ani tygodnia.

18 stycznia 1863 r. sztab generalny postanowił wysłać do Meksyku dwa bataliony Pułku Cudzoziemskiego, a 21 listopada – cały pułk (wówczas trzybatalionowy), na którego czele stał płk. Jeanningros.

26 marca 1863 r. legionści wylądowali w Veracruz. Na horyzoncie wznosił się pokryty śniegiem masyw wulkanu Orizaba. Przesądni twierdzili, że ich kłopoty w tej kampanii będą tak wielkie jak ta majestatyczna góra. Niektórzy pamiętali, że krzyż przy wejściu do portu upamiętnia lądowanie w roku 1519 konkwistadorów Hernando Corteza. W tym miejscu nakazał on spalenie statków, by jego ruszająca na podbój

Meksyku armia (a raczej armijka: 630 ludzi) nie miała możliwości odwrotu. Zupełnie jak teraz legionieści. Z opuszczonego, widmowego miasta, zniszczonego przez epidemie, którego jedynymi stałymi mieszkańcami były szakale i moskity, żołnierze ruszyli w głąb interioru. Legionistów skierowano do ochrony konwojów, gdyż z Północnej Afryki znali taktykę walk z nieuchwytnymi powstańcami. Strzelali z broni i pieniędzy, zwłaszcza przed nieregularnymi oddziałami meksykańskiej kawalerii, które poparły Juareza, ale pozostała im mentalność i sposób postępowania taki jak w czasach, gdy grasowali na gościńcach w Sierra Madre. Pierwszym etapem marszruty oddziałów pułku był wygodny przejazd kolejką do Tejeria, gdzie założono obóz warowny, będący bazą wypadową. Drobniejsze oddziały rozsiano po okolicy.

29 kwietnia z Tejeria wyruszył kolejny konwój chroniony przez legionistów. Wioził 24 miliony franków w złocie, przeznaczone dla cesarskiego garnizonu w Puebla. Szpicę kolumny stanowiły dwie kompanie 1. Batalionu: 3. pod kpt. Danjou i 7. dowodzona przez kpt. Saussiere'a. 29 kwietnia dowodzący konwojem płk. Jeanningros wysłał 3. Kompanię w rejon Paolo Verde z zadaniem obserwacji ruchów dostrzeżonego tam oddziału kawalerii meksykańskiej. Kpt. Danjou odrzucił propozycję wspólnego działa-

nia z 7. Kompanią, która doszła w rejon Passo del Macho.

Pomysł wysłania 3. Kompanii na pieszy rekonasans był podwójnie chybiony. Śledzenie przez piechurów kawalerii w nieznanym i częściowo pustynnym terenie już na pierwszy rzut oka jest niedorzecznością. Błąd Jeanningrosa dodatkowo potęgował fakt, że kpt. Danjou nie był urodzonym zwiadowcą. Wręcz przeciwnie, słynął z rygorystycznego – że-by nie powiedzieć: tępego – trzymania się regulaminu. Na usprawiedliwienie pułkownika trzeba powiedzieć, że miał do wyboru jedynie meksykańskich zwiadowców pod rozkazami płk. Dupina (Bretończyka wielokrotnie odznaczonego za dzielność, a usuniętego z regularnej armii za rozboje i oszustwa), dziwną mieszankę degeneratów i kryminalistów (28 z nich ściagały listy gończe). Nic dziwnego, że nie ufali im za grosz. Pisał: „Naprzeciw tych ludzi moi żołnierze to najniewinniejszy chór chłopięcy, mogący w każdej chwili występować w Notre-Dame”¹. Dowódca 3. Kompanii Jean Danjou urodził się w małej miejscinie Chalabre u podnóża Pirenejów, w rodzinie oficera. Nie przejął odziedziczonej po matce fabryki sukna, ukończył akademię St.-Cyr i trafił do 51. Pułku Piechoty Liniowej. Stamtąd w roku 1852 przeniesiono go do Legii. Walczył w Kabylii, na Krymie, we Włoszech i na pograniczu marokańskim.

Jako kapitan został ranny pod Sewastopolem. Amputowaną rękę miał mu zastąpić krzyż Legii Honorowej i proteza. Złośliwi twierdzili, że kończyne stracił, gdy zapalił ręczny granat i aż do eksplozji medytował, w którą stronę go rzucić.

Zastępcami kpt. Danjou byli porucznicy Maudet i Vilain. Pod swymi rozkazami mieli Szwajcarów, Bawarczyków, Prusaków, Wirtemberczyków, Belgów, Duńczyków, Włochów, Hiszpanów, Nadreńczyków i Francuzów. Przed wstąpieniem do Legii



Bitwa o Camerone, 30 kwietnia 1863 r.

imali się oni różnych zajęć. Zachowana lista personalna kompanii wymienia wykonywane wcześniej zawody: student, handlarz żywności, przedstawiciel wytwórni tytoniu, księgarz, kowal, majtek okrętowy, wypalacz cegieł, zawodowy żołnierz, siodlarz, drwal, tkacz, poskramiacz dzikich zwierząt... Teraz byli legionistami. W ciemnoniebieskich kurtkach, czerwonych pantalonach i skórzanych trzewikach maszerowali w szyku ustawionym tak, jakby były to manewry na placu apelowym. Mieli przy sobie tylko karabiny i torby z nabojami. Dwa muły niosły zapas żywności, wodę i nieco amunicji. Wśród legionistów nie zabrakło Polaków. Sierżant Ludwik Morzycki, był doświadczonym żołnierzem. Urodził się 5 I 1840 r. w La Clayette w departamencie Saony i Loary. Był synem Ignacego Wincentego Morzyckiego² i Klaudyny Marii de Louvier. 30 I 1858 r. Ludwik zaangażował się w Maccon w szeregach 2. Pułku Cudzoziemskiego, podpisując 5-letni angaż. Podczas kampanii afrykańskiej 1858–1859 został kapralem. Odznaczył się podczas kampanii włoskiej 1859 r. (otrzymał wtedy sardyński Medal Odwagi Wojskowej i francuski Medal Italii). Po powrocie do Afryki został sierżantem, a potem sierżantem-furierem. Do kampanii meksykańskiej zgłosił się na ochotnika³.

Posuwająca się wśród kaktusów kolumna była cały czas obserwowana przez zwiadowców regularnych oddziałów meksykańskich, dowodzonych przez płk. Francesco de Paula Miliana (według części źródeł Milana). Milian został wysłany na czele 800 kawalerzystów i 1000 piechurów, z zadaniem przechwycenia cennego ładunku, wiezionego przez konwoj. Jego ludzi widzieli zwiadowcy kpt. Saussiere'a, ale Danjou zlekceważył ostrzeżenie i po raz kolejny odrzucił propozycję współdziałania. Motywował to otrzymanym rozkazem. Nawet propozycja wsadzenia części legionistów na zarekwirowane konie spotkała się z chłodną odmową. Nad ranem 30 kwietnia 1863 r., mimo wieczornej pijatyki, legionści ruszyli w dalszą drogę.

Płk Milian dowiedział się od zwiadowców, że wojsko wyszło do Passo del Macho o 4 rano. Po-

stanowił wykorzystać szansę zniszczenia oddziału, który – jak mniemał – nie będzie w stanie przeciwstawić się jego oddziałom. Milian, 60-letni potomek starej kastylijskiej szlachty, brunet o puszystej brodzie, naprawdę kochał swój kraj, a przy tym był surowym egzekutorem prawa i regulaminów. Swych ludzi trzymał żelazną ręką. Uważał, że każdy zabity Francuz, to krok ku niepodległości ojczyzny oraz zmniejszenie eskorty pilnującej skarbu wiezionego do Puebla. 600 jeźdźców cicho otoczyło maszerującą kompanię.

O świcie legionści weszli do wioski Camaron (faktycznie nosiła nazwę Camaron). Składała się z kilkunastu zrujnowanych, brudnych domów oraz leżącej opodal, zniszczonej hacjendy o tej samej nazwie. Przed wojną było to miejsce wypoczynku podróżnych; oferowało pokoje do wynajęcia (wraz z usługami senioritami), stajnie dla koni, jedzenie i alkohol. 20-metrowa, murowana, pobielona wapnem fasada, usytuowana



Legionista francuski z okresu walk w Meksyku

była frontem do drogi. Naprzeciw, po drugiej stronie traktu, stały dwie nędzne chaty, skutecznie ograniczające widoczność na przedpole. Nie było ono zresztą zbyt interesujące: rozrzucone głązy, łagodne pochyłości, kaktusy. Na tyłach hacjendy znajdował się obszerne, kwadratowe dziedziniec, obwiedziony trzymetrowym drewniano-glinianym murem. W narożniku wydzielono zagrodę dla koni i bydła.

Początkowo maszerujący z Paolo Verde legionieści zlekceważyli odstręczające obejście i rozłożyli się biwakiem koło źródła na skraju drogi; mniej więcej w połowie odległości między hacjendą a wioską. Żołnierze odpoczywali, pili kawę. Około 7.00 warta wystawiona na skraju obozu wszczęła alarm. Z malej, ku drodze zbiegającej doliny dochodził tętent kopyt, ale jeźdźców nie było widać w kurzawie. Po chwili wahania – sądził, że to zwiadowcy płk. Dupina – kpt. Danjou nakazał trąbić na alarm. W ciągu kilku minut kompania zwarła szyk i przygotowała się do starcia. Meksykańscy jeźdźcy, zobaczywszy linię obronną wstrzymali konie; nastąpiła krótka wymiana strzałów i kawaleria zawróciła. Danjou nakazał żołnierzom napełnić manierki wodą, zebrać sprzęt i przejść kilkadziesiąt metrów dalej od wylotu dolinki. Równocześnie wysłał czteroosobowy patrol, chcąc wiedzieć, czy nieprzyjaciel cofnął się na dobre. Okazało się, że nie.

Meksykanie zgrupowali się na pobliskim wzgórzu. Spokojnie obserwowali, jak wschodzące coraz wyżej słońce rozgrzewa sukienne kurtki legionistów. Ok. 9.00 temperatura przekroczyła już 40°C. Płk Milian, który rychło dołączył do swej przedniej straży, nie dawał rozkazu ponownienia ataku. Znał legionistów i wiedział, że będą walczyć. Zdecydował się na szarżę, kiedy dołączył kolejny oddział. Kawalerzyści mieli do pokonania ok. 300 metrów otwartej przestrzeni. Pędząc galopem rozdzielili się ok. 100 metrów przed legionistami, chcąc otoczyć czerwono-niebieski czworobok. Ten stał w ciszy, z bronią gotową do strzału. Kiedy jeźdźcy zbliżyli się na odległość ok. 40 metrów padła salwa. Pierwsza linia nacierających załamała się w pędzie. Pa-

dające konie podcinały nogi drugiej fali ataku. W kilka chwil powstało kłębowisko, w które legionieści strzelali salwami. Po kwadransie Meksykanie odtrąbili odwrót. Na placu zostało ok. 50 zabitych i rannych. Legionieści nie stracili żadnego ze swoich.

Danjou nakazał ludziom przejść na drugą stronę drogi i zająć pozycję dodatkowo ubezpieczoną od skrzydła kaktusowym zagajnikiem. Wydawało mu się, że nauczka ostudzi zapędy Meksykanów. Nie brał pod uwagę, że dla Miliana, zniszczenie kompanii nie było celem, lecz jedynie środkiem. Marzył o złocie, a Danjou stał mu – po części – na przeszkodzie. Do drugiego ataku Meksykanie podeszli ostrożniej. Niewielka grupa podjechała pod zagajnik, zeszła z koni i pieszo próbowała oskrzydlić legionistów. Zajawszy pozycje wśród kaktusów otwarła ogień; równocześnie przez drogę ruszyli jeźdźcy. I tym razem musieli się cofnąć, zostawiając 28 zabitych.

Wtedy kpt. Danjou popełnił kardynalny błąd. Zamiast kazać cofać się spokojnie w kierunku Paolo Verde, licząc na pomoc 7. Kompanii – postanowił bronić się w hacjendzie. Uznał, że pierwsze starcie zniechęca Meksykanów do aktywniejszych działań, a kompania dotrwa w murach gospody do nadejścia głównej kolumny. Ok. 10.00 legionieści zajęli obejście i rozpoczęli przygotowania do obrony. Barykadowano bramy i okna, przygotowywano stanowiska strzeleckie. Danjou osobiście ustalał obsadę każdego z punktów obrony. Kiedy jednak stwierdzono, że zapomniano nabrać wody we wszystko w co się dało, było już za późno. Wokół źródła stała meksykańska kawaleria.

Płk. Milian triumfował: „Mysz jest w pułapce. Najlepsza piechota unieruchomiona. Ich dowódca musi być idiotą”⁴. On sam głupcem nie był. Nie szafował życiem swych ludzi i potrafił wyciągać wnioski z porażek. Kazał posłać na tyły i po godzinie dysponował dwoma połowymi armatami. Kiedy zobaczył je Danjou poniewczasie zrozumiał, że miejsce które wybrał stało się potrzaskiem. Podzielił swych ludzi na dwie grupy. Pierwsza broniła okien od frontu, druga podwó-

rza i prowadzących na nie bram. Ponieważ nie wiadzano skąd przyjdzie atak, postanowiono w trakcie walki wspierać bardziej zagrożony odciniek.

O 11.00 legionieści dostali od kwatermistrza po szklance wina. Wody nie miał już nikt. Gorączkowe poszukiwania w ruinach hacjendy przyniosły marny łup: małą butelkę rumu, którą Danjou kazał zostawić na ostatnią chwilę. Około południa, kiedy spiekota sięgnęła zenitu, Meksykanie ruszyli do ataku. Części jeźdźców udało się przebić – przez otwory wybite armatnimi strzałami – do budynku; rozpoczęła się krwawa walka wręcz o poszczególne pokoje. Na podwórzu nie było lepiej. Meksykanie zlekceważyli umocnione bramy i próbowali przesadzać mur stając na końskich grzbietach. Wymiana ognia trwała godzinę, atak odparto. W trakcie walki okazało się, że Meksykanie dużo strzelają, ale szkody, jakie czynili były znikome. Faktycznie, otrzymali oni przed bitwą nowe amerykańskie karabiny, których dotąd nie znali. Salwa za salwą szły w powietrze. Kiedy porzucili nową broń i sięgnęli po stare karabiny, ich skuteczność zaskakująco wzrosła.

Danjou powoli tracił orientację w sytuacji, mając pole widzenia ograniczone murem. Sierżant Morzycki wdrapał się na dach i nie zważając na świstające wokół kule raportował: „Jesteśmy całkowicie otoczeni. Jest ich tylu, że nie mogę policzyć”. Około 13.00 do hacjendy zbliżył się parlamentarzysta i zażądał rozmowy z dowódcą. Danjou propozycję kapitulacji na honorowych warunkach odrzucił. Walki wznowiono. Najtrudniejsza była sytuacja w samej hacjendzie, gdzie walczone na noże, strzelano przez ściany, próbowano rzucać ręczne granaty. Jednak żadna ze stron nie zdołała osiągnąć przewagi. Gwałtowne starcie w morderczym upale wyczerpało jednych i drugich. Po godzinie walka zamarła.

Danjou obchodził stanowiska obrońców, pocieszał rychłym nadejściem odsieczy, przyjmował przysięgi o walce do końca i porzuceniu myśli o kapitulacji. Nikt nie sądził, że takie słowa oznaczają w praktyce zgodę na samobójstwo.

Około 15.00 Meksykanie ponowili atak, szturmując hacjendę ze wszystkich stron. Przy północnym murze zginął trafiony pociskiem kpt. Danjou. Komendę przejął por. Vilain; ongiś wyrzucony ze szkoły wojskowej za bójki i niesubordynację. Do Legii trafił w roku 1852 i awansował do stopnia oficerskiego z szeregowca II klasy. Vilain komenderował w 50-stopniowym upale. W corallu przybywało trupów, a kałuże krwi zamieniały się cuchnącą maź. Większość zabitych była prawie naga; ich mundury zużyto na opatrunki dla rannych. Wszystkich dręczyło pragnienie. Vilain odkorkował zostawioną na czarnej godzinie butelkę rumu. Każdemu należało się zwilżenie warg. Porucznik stał z pistoletem w ręku, grożąc, że zabije jeśli kto chciał napić się więcej. Walczącym na podwórzu jedyne cienie dostarczała tylna ściana, ale szukających tam ochłody kładły trupem nieprzyjacielskie kule.

Meksykanie o 16.00 zajęli większość pokoi w hacjendzie. Wybili dziury w ścianach i przez te prowizoryczne strzelnice otwarli ogień do legionistów broniących się w stajniach. Zmordowani żołnierze pocieszali się, że w oddali słychać trąbki odsieczy. Ale była to tylko słuchowa fatamorgana. Jedynym dźwiękiem przebijającym się przez kanonadę był tętent kolejnej fali Meksykanów ruszających do ataku. Przez strzelnice wybite w murach legionieści strzelali spokojnie, bez paniki. Większość pogodziła się z myślą o śmierci. Wolą zginąć w walce, niż zdać się na łaskę częstokroć okrutnego przeciwnika. Nie reagowano na wezwania parlamentarysty, którzy proponowali kapitulację. Sierż. Morzycki skłął ich w trzech językach. Kiedy posłańcy z białą flagą zniknęli, ruszyła piechota meksykańska. Jednak jej atak załamał się ok. 100 metrów od murów. Wśród obrońców padł por. Vilain. Zginął chcąc przygotować bezsensowny w gruncie rzeczy kontratak.

Jego obowiązki przejął por. Maudet, weteran orkiestr wojskowych, zdegradowany major, człowiek dobiegający 55 lat. On nie miał pomysłu na heroiczny bój. Po prostu nakazał tym, którzy byli jeszcze w stanie walczyć, trwać na poste-

runkach i strzelać do ostatniego naboju. Ponieważ uporczywa obrona trwała, Meksykanie doszli do wniosku, że dalsze ataki nie mają sensu i podpalili główny budynek zajazdu (wcześniej nanieśli tam siana i wysuszonych kaktusów). Kłęby dymu zasnuły Cameron, a płomienie podniosły i tak koszmarną temperaturę powietrza. Legioniści moczyli koszule w krwi zabitych i okrywali nimi twarze, próbując przetrwać. Nie przerwali jednak ognia, co tak zdenerwowało kawalerię meksykańską, że bez rozkazu ponawiała szturm. Ok. 18.00 walczyło już tylko 12 legionistów: por. Maudet, sierż. Morzycki, kaprale Berg, Magnin i Maine oraz szeregowcy: Bartholotto, Leonard, Catteau, Wenzel, Constantin, Kunašek i Górski.

Kiedy rozsnuł się dym legioniści zobaczyli płk. Miliana besztającego swych podkomendnych. To podziało na Meksykanów. Ruszyli z wszystkich stron. Zepchnęli legionistów do corallu. Obrońcy skryli się za stertami trupów po południowej stronie dziedzińca i nadal prowadzili ogień. Sierż. Morzycki zginął próbując przedostać się do budynku hacjendy; chciał zaatakować wroga od flanki. Trwało to wszystko godzinę. Padli następni ranni i zabici. Na koniec, w bitwym amoku, ostatnich 5 zdolnych do walki legionistów pod komendą por. Maudeta ruszyło do ataku na bagnety. Zdezorientowani Meksykanie cofnęli się. Por. Maudet, ciężko ranny, został na środku placu. Kiedy legionista Catteau próbował wydostać go z pola rażenia został rozstrzelany przez Meksykanów, którzy opamiętali się i po chwili zawahania wrócili na pozycje.

Zobaczyli trzech obrońców, którzy oparli się plecami o mur, i gotowali do walki na bagnety. Wtedy na podwórze wjechał płk. Milian i osobiście zażądał kapitulacji. Kpr. Maine przystał na nią pod warunkiem, że por. Maudet natychmiast trafi do lazaretu, a obrońcy zachowają swoją broń. Milian odparł: „Żołnierzom takim jak wy nie potrafię odmówić”⁵. Legioniści, salutowani przez Miliana, przeszli przez szpaler meksykańskich kawalerzystów. Kiedy jeden wyciągnął do Maine’a manierkę z wodą, wrogość znikła. Meksykanie

wzięli rannych na ręce i zanieśli do obozowiska. Maine, Constantin i Wenzel znaleźli się niewoli. Meksykanie zebrali z ruin jeszcze kilku ciężko rannych, w których nadal tliło się życie; m.in. Leona Górskiego⁶. Mimo starań Meksykanów por. Maudet zmarł.

Płk Jeanningros dowiedział się o rozbiciu 3. Kompanii 1 maja, od indiańskiego zwiadowcy. Na pobojożywie odnaleziono jeszcze ciężko rannego dobosza z 3. Kompanii, Włocha nazwiskiem Lai, który po dojściu do siebie zrelacjonował przebieg starcia. Dobosz stoczył pod Cameronem jeszcze jedną bitwę – z paktwem, które atakowało go, sądząc, że jest trupem. Jeanningros zmobilizował wszystkich do szybkiego marszu i doskonale ubezpieczył boki kolumny. Płk. Milianowi nie udało się przechwycić ładunku złota.

4 października 1863 r. decyzją Napoleona III nazwa „Camerone” została umieszczona na sztandarze pułku cudzoziemskiego. Rocznicą tej potyczki, dzień 30 kwietnia, stała się świętem Legii Cudzoziemskiej. Corocznie w Dniu Camerona we wszystkich bazach Legii odbywają się uroczyste parady w historycznych uniformach, orkiestry grają dawno zapomniane marsze, a na zaimprovizowanych estradach odgrywane są żywe obrazy, przedstawiające wydarzenia z minionych wojen. W tym dniu nadawane są odznaczenia i awanse. Ekspozowana jest również jedna z „relikwii” Legii: drewniana ręka kpt. Danjou, znaleziona w zgłiszczach hacjendy.

Legioniści pozostali w Meksyku do 29 czerwca 1867 r., do rozstrzelania cesarza Maksymiliana przez Meksykanów w Querentaro. W ślad za dwoma batalionami Jeanningrosa do Veracruz przyplęły jeszcze cztery, gdyż w związku z przewidywanym zaangażowaniem w Meksyku Napoleon III polecił 30 kwietnia 1864 r. utworzyć czwarty batalion, 5 kwietnia 1865 – piąty batalion, a 8 lipca 1865 – szósty. Bataliony formowano w algierskiej Blidzie i natychmiast posyłano za ocean. 4 lipca 1866 r. ukazał się dekret o utworzeniu siódmego i ósmego batalionu. W Meksyku utworzono z nich pułk składający się z piechoty, kawalerii i artylerii oraz wystar-

czającej liczby taborów. Jego żołnierze brali udział w walkach z partyzantami, osłonach konwojów i pacyfikacjach. Na swoje konto wpisałi zwycięską bitwę pod Coastla (12 września 1863 r.), oblężenie Oajacca (16 stycznia – 8 lutego 1865 r.) oraz równie bohaterską i tragiczną jak Cameron potyczkę o hacjendę Santa Isabel, stoczoną w lutym 1866 r. Kiedy okazało się, że Maksymilian nie jest w stanie narzucić swego panowania Latynosom, Napoleon III postanowił wycofać ekspedycyjny korpus marszałka Francois Bazaïne'a. W październiku 1866 r. Napoleon III podpisał konwencję, w której ustąpił cesarzowi Maksymilianowi Pułk Cudzoziemski. Liczył on wówczas 8 batalionów piechoty, 2 szwadrony jazdy (tzw. cazadores), 2 baterie górskie, kompanię saperów i kompanię pociągów. Już jednak dwa miesiące później cesarz anulował tę konwencję i odwołał Legię do Afryki. Pułk Cudzoziemski wyruszył z Vera Cruz między 18 a 27 lutego 1867 r.; nieliczne pododdziały zostały w Ameryce do czerwca. W marcu i kwietniu poszczególne eszelony wylądowały w Oranie, skąd kierowano je do Mascary, Sidi bel Abbes i Saidy. 468 legionistów pozostało w Meksyku na zawsze.

W roku 1892, armia meksykańska wystawiła pod Cameron pomniczek z inskrypcją: QUOS HIC PLUS LX ADVERSI TOTIUS AGMINIS MOLES CONSTRAVIT / VITA PRIAM QUAM VIRTUS MILITES DESERVIT GALLICOS. / DIE XXX MENSIS APR. ANNI MDCCCLXIII⁷. Dziś w miejscu bitwy (leżącym przy jednej z głównych ulic miasteczka

Villa-Tejeda) stoi mauzoleum. Spoczywają w nim i legionieści, i Meksykanie. Wybrukowany kamiennymi płytami plac kończy się ścianą, na której cesarskie orły przyglądają się dobrze znemu napisowi Virtuti Militari.

Roman Marcinek

¹ Cytat za: P. Hornung, *Die Legion*, Monachium 1981, s. 114.

² Wincenty Morzycki (1814–?), kadet w Korpusie Kadetów w Kaliszu, podczas powstania służył jako podporucznik 17. Pułku Piechoty Liniowej. Wraz z korpusem gen. Ramorino przeszedł do Galicji, gdzie został internowany przez Austriaków w Ołomuńcu. Choć złożył przysięgę na wierność carowi w 1832 r., ostatecznie wybrał jednak emigrację i w sierpniu tego roku trafił do zakładu w Bourges. W roku 1839 przebywał w la Clayette. Kartoteka Zbigniewa Zacharewicz i R. Bielecki, *Słownik...* t. III, s. 171.

³ R. Bielecki, *Polacy w Legii Cudzoziemskiej 1831-1879*, Warszawa 1992, s. 260.

⁴ *Cameron*, Algier 1952, s. 11.

⁵ J. Grobicki, *Szlakiem bojowym pradziadów. Wspomnienia o żołnierzach polskich na emigracji w latach 1831-1878*, Londyn 1956.

⁶ Leon Górski przebywał w niewoli przez cztery miesiące; wypuszczony 31 VIII 1863 r., wrócił do Francji, aby 14 XII 1864 r. w wojskowym szpitalu Val de Grace w Paryżu umrzeć na tropikalną odmianę dżynterii. Górski urodził się w Nîmes 1 III 1844 r. Był synem Józefa Polikarpa Górskiego i Jeanne Louise Champagne. W l. 1853–1854 uczył się w Szkole Batignolskiej. 11 VII 1872r. zaangażował się w Lyonie do Pułku Cudzoziemskiego na 3 lata. Najpierw jako fizylier służył w Afryce, a potem trafił do Meksyku. Otrzymał Medal Meksyku. Por. R. Bielecki, op. cit., s. 144.

⁷ W wolnym przekładzie: *Tu 60 stanęło przeciw całej nieprzyjacielskiej armii, która ich zmiażdżyła. Życie wcześniej niż odwaga opuściło żołnierzy francuskich. 30 kwietnia 1863.*

Marcin Kania

W drodze do Indochin

Obraz podróży w pamiętniku żołnierskim Władysława Jagniątkowskiego

Władysław Jagniątkowski¹ był człowiekiem nietuzinkowym.

Urodził się 7 grudnia 1859 r. w Michałowie – niewielkiej miejscowości położonej w powiecie grójeckim nad rzeką Pilicą. Po ukończeniu siedmiu klas łowickiej szkoły realnej wstąpił młody Władysław w szeregi carskiej armii², by następnie – dzięki wrodzonemu talentowi do nauk technicznych – zostać słuchaczem Mikołajewskiej Szkoły Inżynieryjno-Wojskowej w Petersburgu. Tam, z pasją i oddaniem, studiował mechanikę, elektrotechnikę, eksperymentował z budową min przeciwfortecznych, pracował także – niezwykle efektywnie – nad konstrukcją urządzenia mierniczego do szacowania odległości pomiędzy pracami ziemnymi przeciwnika.

Bolało jednak najbliższych Władysława, że potomek ich rodu – rodu o tradycjach patriotyczno-powstańczych – służy w strukturach znieprawdzonej armii zaborczej. Po namowach wuja Walentego Lewandowskiego – weterana insurrekcji 1863 r., w konsekwencji: więźnia politycznego i sybiraka – przyszły literat złożył dymisję z carskiego wojska i w roku 1885 wyjechał do Paryża. Marzył o karierze oficera armii francuskiej, marzył o sławie konstruktora i wynalazcy. Realia życiowe miasta nad Sekwaną szybko jednak skorygowały rojenia młodzieńczej wyobraźni. Podobnie jak wielu innych emigrantów, Jagniątkowski znalazł się rychło w finansowym potrza-



kpt. Władysław Jagniątkowski

sku, bez szans nie tylko na zdobycie upragnionej pracy, ale nawet jakiegokolwiek zatrudnienia gwarantującego przetrwanie w przybranej ojczyźnie. Co prawda okresowo pełnił obowiązki kreślarza w biurze projektowym Gustava Eiffla, przygotowywał również projekty budowy nowego karabinu piechoty, jednak zajęcia te nie przy-

niosły oczekiwanych rezultatów finansowych. Pozbawiony środków do życia oraz perspektyw na poprawę sytuacji materialnej Władysław Jagniątkowski podjął decyzję, która znacząco wpłynęła na dalsze dzieje jego życia. W dniu 1 lipca 1887 r. przyszły pamiętnikarz wstąpił w szeregi Legii Cudzoziemskiej. Postanowienie to komentował później: „Odczuwałem już w sobie ducha legionisty, czułem, że jeżeli sposobność się nadarzy, to będę walczył jak lew i jeżeli kula mnie ominie, to wkrótce zostanę oficerem”. (*Polak w Legii Cudzoziemskiej* s. 51; dalsze cytowania tylko z podaniem strony).

Rzeczywiście – przez szereg kolejnych lat, w trudzie lecz z zapałem, pisał się po szczeblach wojskowej kariery. Był szeregowcem, kapralem, sierżantem i porucznikiem; uczestniczył w wyprawach do Maroka, Tonkinu, Annamu, Senegalu, Dahomeju oraz na Madagaskar. Za precyzyjnie wykonane projekty topograficzne otrzymał order Smoka Annamu, zaś udział w tłumieniu powstania bokserów (1899–1901) przyniósł mu najwyższe odznaczenie wojskowe we Francji: Legię Honorową oraz nominację na stopień kapitana. W roku 1890 Jagniątkowski otrzymał także obywatelstwo francuskie, które w rezultacie ułatwiło mu objęcie funkcji dowódcy fortów na francuskiej Riwierze. Zintensyfikował wtedy kielkującą od dłuższego czasu działalność literacką, skupioną wokół wspomnień podróżniczych i wojennych. W przeciągu lat 1909–1927 opublikował w języku polskim szereg książek beletrystycznych, do których należą: *Kartki z podróży po Indo-Chinach* (Warszawa 1909), *Na brzegach Senegalu. Z przygód Polaka na obczyźnie* (Warszawa b.r.); *Z podróży po Annamie* (Warszawa, b.r.), *W krainie bokserów* (Warszawa, Kraków 1913), *Ona i Madagaskar, czyli walka z kobietą* (Warszawa–Kraków 1914), *Mussa. Powieść z życia afrykańskiego* (Warszawa–Płock 1924), a także inspirowana wierzeniami Dalekiego Wschodu rozprawa teozoficzna: *Religia nowoczesna. Podstawy ogólne* (Warszawa 1927).

Wybuch I wojny światowej zastał Jagniątkowskiego w Krakowie. Prozaik był już wtedy

mężczyzną w sile wieku (55 lat), od 1 lipca 1912 r. przeniesionym przez dowództwo francuskich sił zbrojnych w stan spoczynku. Zaradnemu eks-legioniście udało się jednak przedostać na powrót do kraju nad Sekwaną, gdzie szybko powrócił do czynnej służby wojskowej. Brał udział w organizacji i szkoleniu oddziałów polskich na Zachodzie, od 1917 r. współpracował także z generałem Józefem Hallerem w tworzeniu tzw. „błękitnej armii”. W roku 1919 wraz z Wojskiem Polskim wkroczył do wyzwolanej ojczyzny. Podczas walk o kształt granic II Rzeczypospolitej z podległym sobie 43 pułkiem strzelców kresowych (im. Bajonczyków) odbył kampanię na Wołyniu. Po zakończeniu działań zbrojnych na wschodnich rubieżach RP Jagniątkowski powołany został w poczet międzynarodowej komisji ds. regulacji przebiegu granicy polsko-czechosłowackiej. Jego zasługi militarno-dyplomatyczne zostały docenione przez polskie władze – w okresie dwudziestolecia międzywojennego literacko usposobiony oficer pełnił m.in. obowiązki szefa saperów Okręgu Gene-



ralnego Warszawa, wykładowcy w Szkole Podchorążych Inżynierów w Warszawie, pracował również nad planami rozbudowy polskiej placówki wojskowej na Westerplatte. Ponadto – pisał i publikował, czego pokłosiem stały się artykuły, szkice i wspomnienia. Władysław Jagniałkowski zmarł 8 stycznia 1930 r. w Warszawie. Prywatnie był mężem Magdaleny Karpińskiej; w małżeństwie nie doczekał się potomstwa.

Wśród licznych prac beletrystycznych „nie-tuzinkowego fortyfikatora Westerplatte” miejsce szczególne zajmuje *Polak w Legii Cudzoziemskiej*, pamiętnik będący – jak podaje autor – uzupełnieniem wspomnień „[...] pana [Władysława] Krajowskiego z Warszawy, byłego kapitana Legii [...]” (s. 5). Wydanie składa się z dwóch tomów, opublikowanych po raz pierwszy w roku 1909 nakładem Biblioteki Dzieł Wyborowych w Warszawie³. Kolejna edycja książki, tym razem opracowana pod skróconym tytułem: *W Legii Cudzoziemskiej*, przypadła na rok 1926 i ukazała się w wersji jednotomowej, w ramach serii: *Biblioteka Groszowa*.

Tom I pamiętnika to w dużej mierze opowieść o Algierii. Algierii widzianej oczami żołnierza-najemnika, obserwowanej również z punktu widzenia ciekawego świata wędrowca. Nie czuł się jednak dobrze bohater-narrator

wspomnień stąpając po spalonym słońcem afrykańskim lądzie. Wyczerpująca, rygorystyczna służba wojskowa, pełniona w ekstremalnym klimacie tropiku, wśród towarzyszy broni – ludzi „podłych, brutalnych, złodziei, pijaków, rozpustników (s. 72)”, okazała się wyzwaniem dalece przekraczającym fizyczne i psychiczne predyspozycje autora. Także pustynia, przemierzana podczas wypraw: zbrojnej do El-Golea [?] oraz indywidualnej – poza Wyżynę Szottów – wywarła na piszącym przytłaczające wrażenie miejsca, które nosi w sobie znamiona „przerazającej śmierci.” Do głosu doszły również wątpliwości natury moralnej, snute z punktu widzenia Polaka-tulacza, dzielącego tragiczny los narodu bez państwa. O zamieszkujących Algierię społecznościach muzułmańskich, przez szereg lat podejmujących bezskuteczne próby obalenia paryskiej jurysdykcji, pisał Jagniałkowski z nieskrywaną sympatią: „Dzielny [to] naród. Dumny, hardy, waleczny, pełen rycerskich przymiotów, kocha swój kraj bez granic i pomimo 80-letniego jarzma Francuzów [...] bezprześcannie oczekuje sprzyjających okoliczności, ażeby wywalczyć swoją niezależność” (s. 102–103). Nic zatem dziwnego, że już w krótkim czasie pamiętnikarz marzyć zaczął o wyjeździe w „inne światy” – „do Indochin, Senegalu, na Madagaskar” – krain,

których „ciekawości i cuda” (s. 96) poznawał dotąd jedynie z gawęd i relacji starszych służbą żołnierzy (s. 96). Był w tym także oddźwięk podrózniczej natury autora, natury która jeszcze przed wyjazdem do Afryki kazała (nie bez racji) mniemać młodemu kandydatowi na legionistę, że kolonialna służba stanie się okazją do poznania obcych kultur, egzotycznych cywilizacji, a także ludzi, którzy owe kultury i cywilizacje reprezentują. „[W]łóczęga – notował autorefleksyjnie –



Legia w walce. Menhaba, 16 kwietnia 1908 r.

zawsze posiadała dla mnie wyjątkowy urok. Gdym był jeszcze dzieckiem, bawiąc się w piasku nad brzegami Pilicy, już wówczas marzyłem ażeby zostać wędrownym muzykantom [...] bo ruch to życie” (s. 59).

I wyruszył...

Tom II *Polaka w Legii Cudzoziemskiej* (rozdz. IV, V, VI, s. 117–234) w całości poświęcony został azjatyckiej peregrynacji Jagniątkowskiego. Również i dla tej części pamiętnika przyjął piszący kompozycję trójdzielną, z wyraźnym semantyczno-formalnym wyodrębnieniem następujących po sobie rozdziałów. Dzięki takiemu układowi materiału wspomnieniowego omawiany utwór zyskał cechy prosto i przejrzystości opracowanej relacji z: *Podróż[ny] do Azji* (rozdział IV), pobytu [w] *Tonkinie* (rozdz. V) oraz drogi powrotnej do Francji (rozdz. IV. *Powrót*). Pomiedzy wydzielonymi segmentami tekstu zachodzą wyraźne związki przyczynowo-skutkowe, które umożliwiają precyzyjne zobrazowanie całości przebytej przez autora wędrowki, jak również dokładną lokalizację jej poszczególnych etapów. Ogół utworu zdradza koncepcję dobrze przemyślanego i umiejętnie zredagowanego dzieła literackiego, opracowanego z myślą o jego potencjalnych odbiorcach.

Jagniątkowski nie uprzedza faktów. Oto czytelnik zastaje bohatera-narratora, gdy ten już od „czterech dni” płynie „na Wschód po Morzu Śródziemnym, wzdłuż brzegów afrykańskich” (s. 117). Statek nazywa się *Schamrock* [?] i należy do grupy „największych transporterów wojennych” Francji. (s. 117). A zatem miejsca na pokładzie jest wystarczająco dużo i spragniony wrażeń pasażer-narrator może bez przeszkód chłonąć rozkosze egzotycznego wojażowania. Dodatkowo – sprzyja dobre samopoczucie. „Życie na okręcie – informuje z zadowoleniem pamiętnikarz – płynie spokojne, bez trosk”. (s. 119). Nawet codzienna regulaminowa musztra, odbywana w pełnym wymiarze godzin i z niekłamana sumiennością, odbierana jest przez autora bardziej w kategoriach profilaktyki zapobiegania niebezpiecznej w skutkach żołnierskiej beczynności,

niż jako realna wojskowa zaprawa. Wszak – z praktycyzmem zauważa piszący – „niepodobna tylu ludzi zostawić bez zatrudnienia podczas sześciotygodniowej podróży, bo tylko praca obowiązkowa podtrzymuje zdrowie i dyscyplinę; trzeba więc koniecznie coś robić!”. (s. 119). A opisywana peregrynacja w istocie nie należała do najkrótszych. Szlak wiódł bowiem przez Morze Śródziemne, Kanał Sueski, Morze Czerwone aż po Ocean Indyjski i Zatokę Tonkińską.

Szczegółne wrażenie wywarł na Jagniątkowskim Port Said – miejsce pierwszego dłuższego postoju w drodze do Indochin. Możliwość zejścia na ląd, wniknięcia w „cuda i ciekawości” nieznanego świata, rozpałyły w autorze zmysł rasowego turysty. Skutkiem tego wędrowka – realizowana wśród różnojęzycznego, kolorowego tłumu – okazała się impulsem do poświęcenia tej portowej metropolii Egiptu bogatej w opis notatki pamiętnikarskiej (s. 127–128). Autor relacionował: „Ulica pryncypalna, rue de Paris, posiada wiele bogatych magazynów z artystycznymi wyrobami egzotycznych krajów: Indyi, Chin, Japonii i Persyi. Na prawo piękna kawiarnia,



Legionista w pełnym rynsztunku. Lata 40. XX w.

w której orkiestra, złożona z kilkunastu Węgiek, gra na nasze przyjęcie *Marsylianke*, a potem walc *Nad modrym Dunajem*. Obok kawiarni – kasino oraz ruleta [...]; przy rulecie siedzi kilku miejscowych szulerów [...]. Ogólny charakter miasta wesoły, ruchliwy, bezwstydy [...]. Rozbitki społeczeństwa przyjeżdżają tu z różnych krańców Europy dla szukania przygód.” (s. 127–128).

Dyskretnie jednak narrator pamiętnika zrezygnował z oglądania (lub może tylko opisania) popularnego „la danse du ventre” (s. 128). Zresztą i tak na kolejne rozkosze w Port Saidzie nie miał zbyt wiele czasu. Tego samego dnia, około godziny 22.00, *Schamrock* wyruszył w dalszy rejs, unosząc narratora w stronę następnych światowych ciekawości – ku Kanałowi Sueskiemu i Morzu Czerwonemu. (s. 128).

Nie wyżył się jednak uciekający w „inne światy” młody legionista dręczących go wspomnień jałowego krajobrazu Sahary. Cisza oceanu lub ułamkowy widok afrykańskiego wybrzeża (s. 131) niezmiennie kojarzyć się będą piszącemu z przemierzanymi niedawno bezdrożami Algierii. „Ocean w tym sezonie – informuje pamiętnikarz – drzemie spokojnie, nie przedstawia żadnych niespodzianek, żadnego niebezpieczeństwa. [...] Na horyzoncie cisza i smutek, jak na pustyni (s. 145; podkr. MK); albo: „[p]o wyjeździe z jeziora znów smutna pustynia (s. 131; podkr. MK). Z pewnością owa przestrzenia alienacja nie było dla piszącego uczuciem przyjemnym, choć właśnie pod wpływem morskiej ciszy i nocnej samotności powracał Jagniatkowski do snutych w takich chwilach rozważań natury egzystencjalnej. Ich delikatna nastrojowość oraz niebanalny liryzm to elementy podnoszące literackie walory pamiętnika: „Księżyc w pełni odbija się w wodzie długą, drżącą strugą. Wszyscy śpią. Nocną ciszę zakłóca tylko melancholijny szum bałwanów i kroki chodzącego na warcie oficera okrętu. Fale, oświecone silną fosforescencją morskich wymoczków, błyszczą przy każdym zgięciu, jak posrebrzane. Patrząc na ten kolosalny obszar wód, na tajemniczy księ-

zyc pływający w nieskończonej przestrzeni, tyś się myśli człowiekowi krąży po głowie, zapomina on o ziemi, o politycznych niesnaskach narodów, przestaje być egoistą, przestaje być czymś, co się liczy w tym ogromie świata!...”. (s. 143). W rezultacie piętrzących się rozważań nawet i sam narrator skarci się w duchu: „Ot, lepiej pójde spać! Tym bardziej, że tak jak muzyk, który nigdy nie odegra tego, co ucho jego słyszy, tak jak malarz, który nigdy nie odrysuje szumu moich bałwanów, tak samo i ja nie przeleję nigdy na papier tego, co w danej chwili odczuwam. Błady księżyc, który jest jedynym świadkiem moich myśli i który dojdzie do was za parę godzin, niech wam dopowie resztę. Dobranoc!...”. (s. 144).

Minąwszy Kanał Sueski (s. 128–133) i Morze Czerwone (s. 133–136), zwiedziwszy nieco Dziłbuti w Somalii (s. 136–142) oraz rzuciwszy przełotne spojrzenie na odległe wybrzeża Kolombo (s. 146–147; statek nie został skierowany do portu z obawy o możliwość dezercji co bardziej znudzonych służbą legionistów) Jagniatkowski dotarł szczęśliwie do Tonkinu.

A tu wrzalo.

Francuzi zaczęli lokować się w Indochinach „na dobre” już od schyłku XVIII stulecia. Na przełomie 1859–1862 zbudowali tam państwo kolonialne – Kochinchinę, dwa lata później przybyšom znad Sekwany udało się narzucić królowi granicznej Kambodży twarde jarzmo protektoratu. Pomiedzy rokiem 1866 a 1868 oficerowie marynarki wojennej Drugiego Cesarstwa: Doudard de Lagrée (właśc. Ernest Marc Louis de Gonzague Doudet de Lagrée) i François Garnier (Marie Joseph François Garnier), płynąc w górę Mekongu wytyczyli szlak do południowochińskiego Junanu. W latach 70. Paryż wzmocnił dalszą penetrację i podbój krain leżących nad Zatoką Tonkińską, mając w zamiarze opanowanie pozostałych obszarów kraju. Nie było to jednak zadanie łatwe – oprócz Europejczyków o suwerenny Wietnam dopominać się zaczęli jego prawowici mieszkańcy; poważne zagrożenie stanowiły także operujące na pograniczu wietnam-

sko-chińskim, rozbójnicze oddziały Czarnych, Białych, Czerwonych i Żółtych Flag. Wreszcie, do kontroli nad północną częścią rozszarpywanego państwa, pretensje rościł sobie najsilniejszym z lokalnych rywali – Pekin. 25 sierpnia 1883 r. doszło do podpisania układu, który dzielił Wietnam na trzy obszary: Kochinchina (na południu) pozostała nadal kolonią francuską, centrum (Annam) otrzymało zwierzchnictwo marionetkowego cesarza, zaś północ (Tonkin) znalazła się pod kontrolą francuskiego rezydenta. Względna stabilizacja nie trwała jednak długo... W czerwcu 1884 r. kolejny traktat rozjemczy – tym razem poświadczający akceptację przez władcę Chin francuskiej dominacji w Wietnamie północnym (Annam, Tonkin) – odszedł w poczet dyplomatycznych efemeryd zaledwie kilkadziesiąt dni od chwili swego ustanowienia (11 V). Po bitwie pod Bac Le (23–24 VI 1884), podczas której armia Cesarska starła się, albo raczej: starła na proch, maszerujący do Lang Son 600. osobowy oddział piechoty francuskiej, wojna rozgorzała na nowo³.

„Decydujące walki stoczono [jednak] jeszcze [na długo] przed przybyciem [Jagniątkowskiego] do Azji [...]”⁴. Pamiętnikarz zastał w Wietnamie sytuację polityczno-militarną w miarę ustabilizowaną, choć pod cienką powłoką wymuszonego spokoju wciąż buzowała lawa... Pisał: „Ze zbliżeniem się [...] jesiennego sezonu poczęto coraz częściej otrzymywać w sztabie sprawozdania niemal ze wszech stron o pojawieniu się band rozbójników, których tu ogólnie nazywają „piratami” (korsakami). I tak, w Cho-Bo piraci wyrznęli całą rodzinę francuskiego Rezydenta, w Mont-Bavi porwali córkę właściciela kopalni, w Bac-Ninh obsaczyli cytadelę i popalili wsie sąsiednie; w Yen-The zbudowali prawdziwą fortecę, tu i ówdzie napadali na forty, rabowali broń, amunicję, żywność, ścinali nieprzychylnych sobie mieszkańców, zabierali [...] bydło, zapasy ryżu i kobiety. (s. 170).”

To oznaczało niechybną konfrontację.

Również i w tej części pamiętnika zawarł Jagniątkowski interesujący opis wyprawy wojennej, wyprawy – tym razem skierowanej przeciw

„bandom piratów”, których „silne (i agresywne) oddziały” umocniły się w jaskini Hu-Thue [?], czyniąc zbrojne wypadki w głąb patrolowanej przez Francuzów prowincji (s. 172–173). Także i ten fragment pamiętnikarskiej narracji umiał pisać uzupełnić interesującymi opisami fauny i flory przemierzanych przestrzeni puszczy, precyzyjnymi informacjami z zakresu wojskowości a także charakterystycznym dla swej twórczości obszernym materiałem faktograficznym (cytaty z listów, odezw i not wojskowych) lub (rzadziej) quasi-faktograficznym. Nie skrywał nadto przeobrażenia wrogim dla Europejczyka otoczeniem przyrodniczym; wręcz przeciwnie – zastosowana metaforyka, w tym barwność skojarzeń i formalna drobiazgowość wypowiedzi, jawnie zdradzają chęć artystycznej prezentacji mrocznego piękna tropikalnych ostępów: „Polem bitwy był olbrzymi, niemal dziewiczy bór, ciemny, ponury, tajemniczy, usłany zbójceckimi jaskiniami [...] prawdziwe gniazdo śmierci! Nigdy jeszcze w życiu nie widziałem podobnego boru! [...] Wszystko w nim było nieznanne: drzewa żelazne, potężne jak dęby, twarde jak kamień, nie dające się naciąć zwyczajnym toporem [...], drzewa hebanowe, palisandrowe, drzewa pachnące jako to: kamforowe i santalowe, wspaniałe banany [...] olbrzymie figusy o krwawym kwiecie, kolosalne mangi [...]” (s. 128).

W owym „gnieździe śmierci” przyszło polskiemu tułaczowi doświadczyć pierwszej w życiu zbrojnej potyczki: „Kule tak świstały naokoło mej głowy, że w pierwszej chwili stałem jak ogłupiały. Świst ten przypominał szelest przelatującego stada pszczoł i, samochcąc, kiwałem głową w rozmaite strony. Inni, którzy również znajdowali się po raz pierwszy na placu bitwy, robili też same ruchy, dopóki nasz kapitan, stojący nieustraszenie na koniu, nie zaczął na nas krzyczeć:

– Wstyd, ażeby się kłaniać kulom nieprzyjacielskim! – Po czym zakomenderował donośnym głosem:

– Ognia sekcjami!

– Ognia! – powtórzyłem nieco drżącym głosem, a serce dygotało mi ze wzruszenia.

Obok mnie padło dwóch strzelców zabitych. Jeden z nich pochylił tylko głowę, pozostając w pozycji siedzącej, jak przedtem, nawet swej broni nie wypuścił z ręki; a drugi, podskoczywszy, zakreślił się dwa razy na miejscu jak fryga i upadł ciężko u nóg moich! [...] Piraci strzelali jeszcze może z 10 minut, po czym, zatrąbiwszy do odwrotu, usunęli się w głąb lasu”.

Mimo typowej dla frontowych warunków nieprzewidywalności wydarzeń, spędził Jagniątkowski w Indochinach jedno z najważniejszych i najbardziej inspirujących chwil swojego legionowego życia. Tu właśnie wykazał się talentami: dowódczymi, strategicznymi, oraz – co najważniejsze – kreślarskimi. Tutaj również przyszło autorowi opracować „pierwszą precyzyjną mapę Annamu” – mapę, która w następstwie okazała się podstawą do wręczenia legionście ważnego odznaczenia za służbę kolonialną (Dragon d'Annam), a także cennych dla dalszego awansu przychylonych rekomendacji francuskich przełożonych. Ponadto, dalekowschodnia ekspedycja przyczyniła się również do intelektualnego i duchowego rozwoju przyszłego powieściopisarza, który po latach kulturze pogranicza Chin i Wietnamu poświęcił kilka obszernych publikacji książkowych (m.in. *Z podróży po Annamie, W krainie bokserów, Kartki z podróży po Indo-Chinach*).

Należy przyznać – umiał „nietuzinkowy fortyfikator Westerplatte” twórczo wykorzystać zgromadzony podczas tułaczki obszerny materiał wspomnieniowy. Nie nadużywał go jednak, nie kreował, nazbyt – także – nie ubarwiał. Jako literat-samouk (a może: pisarz z potrzeby serca) pozostał do śmierci wprawnym szermierzem pióra, cyrkla i szabli. Słowem – człowiekiem niezwykłym, który ową niezwykłość wypracowywał latami z godną podziwu determinacją. Jeżeli zaś twórczość literacka autora *Polaka w Legii Cudzoziemskiej* współcześnie pozostaje w cie-

niu zapomnienia (odświeżana sporadycznie głównie w kontekście historii La Legion Etrangere oraz obecności w jego strukturach Polaków⁵) wina za ów stan rzeczy z pewnością nie leży po stronie dynamicznego wędrowca znad Pilicy.

Marcin Kania

rysunki legionistów pochodzą ze strony:
legion-etrangere-pb.monsite.wanadoo.fr/.

Zdjęcie W. Jagniątkowskiego zostało pozyskane z książki
W krainie bokserów, Kraków 1913.

¹ Informacje biograficzne za: Ś. p. Władysław Jagniątkowski, „Przegląd Wojskowo-Techniczny” 1930, t. VII, s. 741–744; *Polski Słownik Biograficzny*, t. X, z. 44, Wrocław–Warszawa–Kraków 1962–1964 (autor biogramu: J. Pachonński), s. 320; R. Marcinek, *Barwne życie fortyfikatora Westerplatte* [w:] *Teka komisji urbanistyki i architektury*, tom XXXIII, Kraków 2001, s. 169–181, Tenże: *Legia Cudzoziemska wczoraj i dziś*, Kraków 1998, s. 80.

² Do armii carskiej wstąpił 1 listopada 1878 r. W roku 1881 otrzymał stopień podporucznika. Zob. Centralne Archiwum Wojskowe w Warszawie, akta personalne W. Jagniątkowskiego, sygn. AP 551.

³ Informacje historyczne za: P. Montagnon, *Historia Legii Cudzoziemskiej. Od 1831 roku do współczesności*, Wrocław 2006, s. 87–88; R. Marcinek, *Legia Cudzoziemska...*, s. 75–84; J. Baszkiewicz, *Historia Francji*, Warszawa 1995, s. 512–513.

⁴ R. Marcinek, *Barwne życie fortyfikatora...*, s. 170.

⁵ Zob. inne pamiętniki Polaków-żołnierzy Legii Cudzoziemskiej (do 1939): Józef Tański, *Wspomnienia z wygnania*, Kraków 1881; Bogumił Osiecki, *Od Warszawy do Marokko. Opowiadania kapitana Bogumiła Osieckiego z przedmową J. J. Kraszewskiego*, Kraków 1888; Zygmunt Grabowski (Feliks Kozubowski), *Trzy lata w Algierze (Z osobistych wspomnień żołnierza)*, Złoczów 1895; Józef Milkowski, *Wyprawa Dahomejska*, Kraków 1910; Henryk Sienkiewicz [krewny autora *Potopu*], *Wspomnienia sierżanta Legii Cudzoziemskiej*, Warszawa–Lublin–Łódź 1914; Józef Białoskórski, *10 lat piekła w Legii Cudzoziemskiej*, wyd. II, Warszawa 1994. Zob. też poświęconą francuskiej kolonizacji Algieru książkę Ludwika Bystrzonowskiego: *O Algierii. A głównie o wypadkach zaszłych w tym kraju od zajęcia onego przez Francuzów*, Lipsk 1846. Także: R. Bielecki, *Polacy w Legii Cudzoziemskiej 1831–1879*, Warszawa–Łódź 1992.

Agnieszka Bal

Wojna jako przedmiot obrazowania w poezji Józefa Bohdana Zaleskiego

Motywy wojny i opisy walk są nieodłącznym tematem utworów Józefa Bohdana Zaleskiego, przedstawiciela szkoły ukraińskiej w polskiej poezji romantycznej. Doświadczenia wojenne samego autora nie są zbyt znaczące. W 1831 r. poeta opuścił Warszawę, aby służyć w pułku generała Szembeka, uczestniczył m.in. w bitwie pod Grochowem. W czasie powstania listopadowego został wybrany posłem na sejm jako reprezentant powiatów wschodnich. Po upadku powstania udał się do Lwowa, a następnie wyjechał do Francji, gdzie przebywał aż do śmierci, nie angażując się w życie polityczne.

Na kształt poezji Zaleskiego, jak również na dobór treści tematycznej, oddziaływała w dużej mierze tradycja historyczna – podania i przekazy o słynnych wodzach ukraińskich, czerpane jednak przede wszystkim za pośrednictwem folkloru. Sięgając po materiały historyczne, Zaleski wykorzystywał zwłaszcza *Śpiewy historyczne* Juliana Ursyna Niemcewicza oraz *Opis starożytnej Polski* Tomasza Święckiego, w którym znalazł się osobny rozdział poświęcony Kozakom. Trzeba zaznaczyć, że pomimo iż Zaleski urodził się na Ukrainie, jego postawa patriotyczna rozszerza się również na Polskę, w której (zwłaszcza w Warszawie) spędził około dziesięciu lat. Mając możliwość korzystania z różnych, akcentujących nie tylko zgodę i harmonię przekazów historycznych, zdecydowanie bardziej (jeśli wierzyć Józefowi Tretiakowi, badaczowi twórczości Zaleskiego) poeta skłaniał się ku tradycji, która podnosiła świetność tych czasów,



Józef Bohdan Zaleski, miedzioryt Jamesa Hopwooda wg rysunku Józefa Kurowskiego

kiedy między Polską a Kozaczną nie było krwawych zatargów, a Ukraina była sprzymierzeńcem Polski w walce z tzw. wrogami krzyża. W tekstach Zaleskiego Polacy i Kozacy walczyli przeciw wspólnym wrogom – Turkom i Tatarom. Ulubionymi tematami związanymi z wojną, podejmowanymi przez autora są: zwycięstwa oręża słowiańskiego (zdobycie Chocimia, Zbaraża), radosne śpiewy triumfujących oddziałów oraz odważa kozackich i polskich bohaterów.

Spośród utworów obrazujących działania wojenne najbardziej znany jest trzyczęściowy

poemat epicki *Potrzeba Zbaraska*, który powstał w 1839 r., tj. już podczas pobytu autora na emigracji. Sam tytuł nie pozostaje w żadnym związku z materiałem historycznym. Poeta niezbyt precyzyjnie określa czas, w którym opisywana bitwa miałyby się rozegrać. Chodzi tu prawdopodobnie o – przeniesione w tekście na XVI w. – oblężenie i odsiecz Zbaraża z 1649 r., kiedy oddział polski pod dowództwem księcia Jeremiego Wiśniowieckiego bronił się przed wojskami kozackimi i sprzymierzonymi z nimi Tatarami. U Zaleskiego wojska polsko-kozackie wspólnie walczą przeciw Tatarom. Autor wykreował postacie trzech wodzów prowadzących oddziały pod Zbaraż: Ostafiego Daszkiewicza, zwanego Bielusińskim (ze względu na kolor włosów) – starostę w Czerkasach, Przeclawa Lancorońskiego (zwanego Złotobrodym) – starostę chmielnickiego oraz Bohdana Różyńskiego. Owi bohaterowie mają być wzorem stepowego męstwa. Poemat ten stał się powodem wielu uwag krytycznych, zarzucano mu głównie (np. wspomniany już Józef Tretiak) zbytnią rozwlekłość, brak fabuły, a także brak wyrazistej charakterystyki postaci (wyjątkiem jest hetman Daszkiewicz), które zlewają się w jednolitą masę. Sam Zaleski był natomiast bardzo zadowolony z poematu, o czym wspominał w listach do Adama Mickiewicza i Seweryna Goszczyńskiego.

W pierwszej części utworu (*Sprawa i rozprawa*) przedmiotem poetyckiego obrazowania jest pochód wojska polsko-kozackiego przemierzającego się w kierunku Zbaraża, któremu grozi napad Tatarów. Ten opis przeplata autor nastrojowymi obrazami wschodów i zachodów słońca, aby w dalszej części opisać bitwę z Tatarami oblegającymi Zbaraż, która kończy się oczywiście zwycięstwem oddziałów polsko-kozackich. Ujawnia się tu charakterystyczny dla Zaleskiego sentyment do personifikowania ciał niebieskich oraz do sięgania po motywy znane z literatury ludowej. Księżyc może przypominać wiejskich gospodarzy, gwiazdy stylizowane są na kobiety. Pojawia się również motyw religijny:

Księżyc, mielnik Boży w niebie, przez gęste rzeszoto
Sieje wciąż z ukosa mąkę, to srebrną, to złotą;
Gwiazdy przędą przy kądzielach a rwą się im nitki,

Ten fragment, mówiąc nieco kolokwialnie, wyrwany z kontekstu, wcale nie wskazuje, że poprzedzać będzie opisy potyczek na polu walki. Wprowadzony w innym miejscu obraz poranka również stanowi swojego rodzaju retardację, czytelnik zamiast dalszego ciągu bitwy otrzymuje dość silnie nasyconą kolorystyką i metaforami wizję początku dnia:

Gwiazdy toną, toną głębiej gdzieś w niebo pod rano;
Bielej w okrag i błękitniej, o jasno, rumiano:
Złote słońce zwija w pochód swój namiot czerwony;

Obrazy potyczek w *Potrzebie Zbaraskiej* uwydatniają opozycję pomiędzy walczącymi i ujawniają sympatie autora, co znajduje odzwierciedlenie w warstwie językowej utworu. Nazywanie wojsk nieprzyjacielskich *czarnymi pogańcami* i *czarnymi bisami* wyraża wrogość i niechęć. Niektóre synonimy przymiotnika *czarny* notowane przez słowniki są wartościowane negatywnie: „brzydki, szkaradny, zły, występny, podły, nikczemny, niegodziwy, złośliwy, szkodliwy”. Czerń jest być może także aluzją do śniadej cery tatarskich wojowników. Połączenia leksykalne: *czarni pogańcy* oraz *czarne bisy* mają źródło w wyobrażeniach religijnych i dwubiegunowym sposobie widzenia świata: zło kojarzone bywa z barwą czarną, a dobro – z bielą i jasnością. Zaleski powielił ten model wartościowania, w którym katolicy przeciwstawiani są niekatolikom. Ponadto autor charakteryzuje Tatarów jak stado psów, a jak wiadomo, przyrównywanie do zwierząt w antropocentrycznym, językowym obrazie świata, z reguły nie jest nacechowane dodatnio (por. *głupi jak osioł, zły jak osa*). Słowa wypowiediane przez Tatarów są zbitkiem niezrozumiałych dźwięków, co również wzmacnia negatywną ocenę:

Mkniemy w cwał i mkną pogańcy kudłaci a czarni;
Alła! Bałła! Strasznie wyją – i hałas jak w psiarni;

Autor oddaje dynamiczne i pełne energii zachowania swoich rodaków na polu bitwy i przeciwstawia je (przy pomocy konstrukcji porównawczej, także odsyłającej do świata zwierzęcego: *jak zające*) reakcjom Tatarów. Ta niechęć do wojsk niewiernych ma w zamierzeniu udzielić się również czytelnikowi:

Teraz ciąć i kłuć! I tniemy i kolem po drodze –
Czarne bisy, jak zające coś ploszą się srodze;

Wojska są czasami przyrównywane do zjawisk atmosferycznych. Poeta dość często operuje grą światła i cienia – jasność i widoczność w trakcie walki mogą zostać zakłócone poprzez pojawienie się chmur zapowiadających burzę, które okazują się nadejżdżającymi gromadami nieprzyjaciół:

Jasny dzień – a parno – duszno na burzę. O! burza
Gdzieś daleko po niebiesiech kończy się zachmurza;
Jedna, druga, trzecia, czwarta, z chmur chmura wystaje:
Chmury Turków i ordyńców, Budziactwo, Nohaje,

Metodami obrazowania w jednym z fragmentów epopei są: kontrast (*czernić się – świecić się*) oraz metafora (*świecić w tęczy husarzy*). Skojarzenie husarzy z procesem świecenia wiąże się z jasnym połyskiem ich zbroi. Poeta – przy pomocy wyrazów dźwiękonaśladowczych – odtwarza różne zjawiska atmosferyczne. Współczesny czytelnik odnotuje też archaiczny – z jego punktu widzenia – rzeczownik *łyskawica*. Słownik etymologiczny A. Bańkowskiego podaje, że słowo to i w czasach Zaleskiego było już prawdopodobnie uznawane jako przestarzałe, funkcjonowało bowiem w XV–XVIII w., zaś współcześnie obecne jest tylko w gwarach:

Twardeż piersi Lachów! chmura, hej nazad się czerni:
A na chmurze świecą w tęczy husarze, pancerni;
Ustawiczna łyskawica – o! szumi ulewa;
Gorącemi kropelkami aż tutaj zawiewa.

Zaleski szczególnie upodobał sobie obrazy pożarów, stąd nie może ich również zabraknąć w opisach toczonych walk. Czerwona luna po-

wstająca w wyniku pożaru została peryfrastycznie nazwana *wiankiem ognistym*. Przymiotnik złożony *złotobrody* odnosi się natomiast do jednego z wojowników (Przeclawa Lanckorońskiego, zwanego też Lachem Serdecznym) i pełni funkcję przydomku (podobnie jak wyraz *Bielusieńki* w odniesieniu do hetmana Ostafiego Daszkiewicza):

Pod Zbarażem naokoło jak wianek ognisty;
Z wałów gęsto świszczą strzały o! strzały i listy:
Gdzież, gdzie Lach nasz? Złotobrody ataman nam powie,

W *Potrzebie Zbaraskiej* (jak zresztą w większości utworów Zaleskiego) eksponowane są również akcenty religijne. Kolor biały to właściwość stroju postaci świętych umieszczonych na chorągwi:

Spod chorągwi święty Michał! aż ludzie olśniali.
Biały Anioł, święty Michał, sam strzeże hetmana!

Opisy o charakterze naturalistycznym, eksponujące proces umierania, wprowadzane są stosunkowo rzadko. Przykładem może być obraz umierającego rycerza wzbogacony neologizmem Zaleskiego *zółtować*, który można wyeksplikować jako: „wylewać żółć na oczy”. Kolor żółty często jest wykorzystywany w opisach ciała ludzkiego, przeżywającego negatywne emocje, chorego lub martwego:

Lach serdeczny nam się ślania, żółtuje na oczy:
Z prawej ręki, z lewej nogi hetmańską krew broczy.

Nieodłącznym atrybutem (i przyjacielem) walczącego rycerza jest w poezji Zaleskiego „koń wrony”. Przymiotnik *wrony* językoznawcy uznają za kresowizm. Maria Strycharska-Brzezina w studium *Kozak ukraiński* podkreśla, że charakterystycznym dla Kozaka, zwłaszcza dla Zaporozca, jest wrony rumak, czyli koń czarnej maści.

W drugiej pieśni (*O! dalejże, dalej!*) czytelnik otrzymuje opis wojsk przybywających do oswobodzonego Zbaraża oraz udających się w pogoń za uciekającymi Tatarami. W tej części

również pojawiają się poetyckie opisy przyrody. Autor m.in. wskazuje na stopniowe przechodzenie dnia w noc i końcową fazę jasności dziennej. Zwracają wagę archaiczne już (a może i brzmiące nieco kolokwialnie) dla współczesnego czytelnika formy pierwszej osoby liczby mnogiej:

Brodzim w jarach po czaharach, a jeszcze się bieli.
Coraz ciemniej. W trzęsawicę po pas my zabrnęli;

W trzeciej części poematu (*Czas do domu czas!*) poeta próbuje odtworzyć powrót wyprawy kozackiej znad Morza Czarnego do domu, czyli do Czerkas. Droga prowadzi przez stępy między Dniestrem a Bohem, a wracający wszędzie są witani radośnie, zwłaszcza w Humaniu.

W ścisłym związku z *Potrzebą Zbaraską* pozostaje tekst *Lach Serdeczny na marach*, poświęcony jednemu z bohaterów epopei – Przecławowi Lanckorońskiemu. Utwór ten traktuje o pośmiertnych dziejach wodza – odzwierciedla pochód żałobny z ciałem bohatera z Ukrainy do Polski. Wiersz stylizowany jest na śpiew wielbłący sławnego wodza. Tekst – dzięki specyficznemu kształtowi metrycznemu – staje się, jak to za-

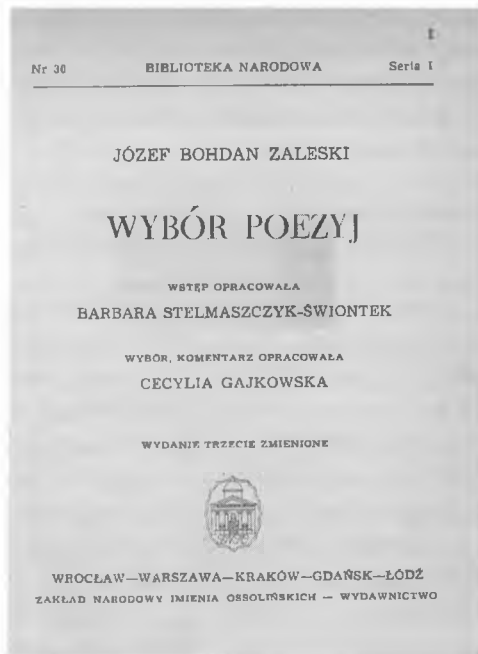
uważa Józef Tretiak, podobny do wozu pogrzebowego, wolno i rytmicznie sunącego naprzód. Duma ta powstała tuż po ukończeniu *Potrzeby Zbaraskiej*, latem 1840 r. Przytoczmy fragment tekstu:

Wóz się toczy, zrywa oczy, prześwietla się wzyż:
Hej buława! szabla rdzawa! hej czerwony krzyż.
Hej hetmańska zbroja sławna, po świecie szerokim!
Hej hetmański koń sierota! rzy smutnie, wie po kim

Spośród wierszy obrazujących działania wojenne warto jeszcze wspomnieć o utworze *Czajki* (powstałym w czasach warszawskich, czyli zanim poeta udał się na emigrację), który nawiązuje do słynnej wyprawy morskiej wojsk kozackich pod dowództwem Piotra Konaszewicza w 1614 r. na Synope, miasto nad Morzem Czarnym. *Czajki* są określane jako entuzjastyczny okrzyk Zaporżców na cześć zwycięskiego wodza. Ujawnia się tu żądny przygód, walki i łupu wojowniczy duch kozacki. W opisie łupów przywiezionych z wojny autor wyeksponował nie tylko bogactwo, ale i jasny oraz rażący połysk przedmiotów:

Pięknyż bo wieziem podarek
Dla braci naszej na Niżu;
Działa błyszczące ze spiżu,
Krocie złocistych janczarek;
Zbroje, szable i kindzały
Będą ludzki wzrok olśnialy,
Promieniące od kamieni, –
A gdy błysną w dzień godowy,
Hukniem razem w sto kurzeni
Niech nam żyje nasz Koszowy!

Za najbardziej chwalebny czyn, jakim wśla- wił się Konaszewicz, uważał jednak poeta przewodnictwo hetmana nad wyprawą kozacką w tzw. wojnie chocimskiej z 1621 r., której Polska zawdzięczała odparcie najgroźniejszej w Europie armii. Konaszewicz stawał się dzięki temu idealnym przedstawicielem zgody polsko-ru- skiej i polsko-kozackiej. Pochód wojsk polskich i kozackich pod Chocim, a także radość na wieść o zwycięstwie nad Turkami, przedstawił Zaleski w *Wyprawie chocimskiej*. Zauważmy, że Polacy i Kozacy są tu sprzymierzeńcami:



Trzema szlachy idą Lachy,
A Kozaki czterma wałą;
W trawach pławią się po pachy,
Z rusznic pałą, świecą stałą,
A chłop w chłopa, a koń w konia,
Aż stękają w okrag błonia. (...)
Godyż, gody! – Z boków, z przodu,
Grzmi roznośna pieśń pochodu.

W *Wyprawie chocimskiej* również pojawiają się nieścisłości historyczne. Autor pisze o dymach płonącego miasta jako o znaku zwycięstwa nad niewiernymi, mimo że Chocim był wówczas zajęty przez Polaków, a nie przez Turków.

Wojna w twórczości Zaleskiego zajmuje znaczące miejsce, choć trzeba zaznaczyć, że są to raczej opisy triumfu wojsk polskich i ukraińskich, a nie naturalistyczne obrazy agonii na polu bitwy, czy klęski rodaków. Podjęcie tematyki wojennej stwarza także autorowi możliwość rozwijania swojego warsztatu artystycznego – sięga on po różnego rodzaju środki stylistyczne, aby oddać kosztowność i niezwykle wygląd łupów wojennych, piękno (a czasami grozę i tajemni-

czość) przyrody tworzącej tło dla obrazów bitew, a przede wszystkim waleczność wódzów. Nieprzyjacielem (a więc oddziały tatarskie i tureckie) nie są z reguły wyposażeni w jakieś cechy osobnicze, jest to po prostu grupa ludzi czy tłum przyrównywany np. do gromady zwierząt, który stanowi wprawdzie zagrożenie, ale nie tak silne, aby rodzime wojska prowadzone przez utalentowanych przywódców nie mogły odnieść ostatecznego i efektownego zwycięstwa. Wszystko to nosi ślady pewnej idealnej wizji świata, jaką Zaleski starannie pielęgnuje w swoich utworach, i co zresztą dość często stawało się przedmiotem czynionych mu zarzutów, że na polu bitew prawie nie widać krwi. Współczesny odbiorca tej poezji sam musi zdecydować, czy taki obraz świata jest bliski jego wyobrażeniom na temat miejsca historii w literaturze i sposobów przetwarzania faktów historycznych przez literaturę.

Agnieszka Bal

Bogusław Wołoszański

Stracona szansa



Wojna jest jedynie kontynuacją polityki innymi środkami – stwierdził Claus von Clausewitz. Nie mylił się.

Późnym wieczorem 1 sierpnia 1939 r. admirał Sir Reginald Aylmer Ranfurly Plunkett-Ernele-Drax wysiadł z dorożki przed wielkim gmachem Admiralicji. Potomek irlandzkiej rodziny arystokratycznej, uzyskał stopień admirałski w 1936 r., zaś 1 kwietnia 1939 r. mianowano go morskim doradcą króla Jerzego VI.

Polecenie pilnego stawienia się w admiralicji zastało go w domu w Charborough. Jak przystało na żołnierza wsiadł natychmiast do pociągu i pośpieszył do Londynu, premier zdecydował się postawić go na czele misji wojskowej, która miała wyruszyć do Moskwy. Admirala zaskoczyła ta wiadomość, gdyż nigdy nie zajmował się polityką, a poświęcając się całkowicie marynarce wojennej, niewielkie miał pojęcie o innych rodzajach brytyjskich sił zbrojnych. Wkrótce dowiedział się, że towarzyszyć mu będą generał-major T.G.G. Heywood z wojsk lądowych i generał lotnictwa Charles Stuart. Ze strony francuskiej mieli dołączyć generał Joseph Edward Dumenc – dowódca okręgu wojskowego obejmującego Nord i Pas-de-Calais, oraz dwaj inni oficerowie. Żaden nie miał pojęcia o dyplomacji. Czyżby rządy Wielkiej Brytanii i Francji z góry odrzuciły możliwość zawarcia porozumienia ze Związkiem Radzieckim? I to w czasie, gdy nad Europą zbierały się czarne chmury?

Oczywiście sojusz między mocarstwami demokratycznymi a totalitarnym reżimem Stalina nie wchodził w grę. Ale to była ostatnia szansa nie dopuszczenia do połączenia sił bolszewizmu

i nazizmu oraz wciągnięcia Stalina w mądrze prowadzoną grę dyplomatyczną. Tymczasem wszystko wskazuje na to, że Brytyjczycy chcieli tylko stworzyć sobie alibi lub uważali Rosjan za kompletnych idiotów.

Późnym piątkowym wieczorem, 4 sierpnia w ambasadzie radzieckiej w Londynie rozpoczęło się przyjęcie dla członków brytyjsko-francuskiej delegacji. Pech chciał, że Francuzi nie dotarli i w oranżerii radzieckiej ambasady stał się tylko admirał Drax oraz jego dwaj koledzy.

Iwan Majski, ambasador Związku Radzieckiego, zapytał Draxa:

– Niech mi pan powie, panie admirale, czy ustalono już kiedy wyruszać do Moskwy?

– Nie, to jeszcze nie zostało ustalone, ale zapewne w ciągu kilku najbliższych dni – odpowiedział Drax.

– Oczywiście lecicie samolotem? – dopytywał się Majski. – Nie ma dużo czasu. Sytuacja w Europie jest bardzo napięta.

– Och, nie! – zaprzeczył Drax – Dwie delegacje to około czterdziestu osób, jeżeli się policzy zespół techniczny. I mamy dużo bagaży. Nie byłoby wygodne lecieć samolotem.

– Wobec tego, jeżeli samolot nie pasuje, mam nadzieję, że udajecie się do Związku Radzieckiego jednym z waszych szybkich krążowników.

– Nie! – ponownie zaprzeczył Drax. – Krążownik również nie byłby odpowiedni. Jeżeli podróżowalibyśmy na pokładzie okrętu, oznaczałoby to, że musielibyśmy kilkudziesięciu oficerów pozbawić ich kabin. Dlaczego mielibyśmy narażać tych ludzi na takie niewygody? Nie, nie popłyniemy krążownikiem.

- W takim wypadku - Majski nie ustępował - prawdopodobnie weźmiecie jeden z waszych szybkich statków. Powtarzam, sprawa wymaga pośpiechu. Powiniście być w Moskwie jak szybko będzie to możliwe!

Drax zaczął się niecierpliwić. Widać było, że nie ma zamiaru kontynuować tej rozmowy.

- Niestety, nie mogę odpowiedzieć panu ostatecznie. Zarząd Handlu organizuje transport. Wszystko jest w ich rękach. Nie wiem co może się stać.

Majski kilka dni później dowiedział się, że anglo-francuska delegacja uda się do Leningradu na pokładzie starego parowca „City of Exeter”, którym podróż miała trwać kilka dni.

Brytyjski statek przybił do nabrzeża portu w Leningradzie w środę, 9 sierpnia 1939 r. o godzinie 20.30, kończąc pięciodniową podróż.

O tej samej porze komisarz spraw zagranicznych Władysław Mołotow stawiał się w gabinecie Stalina.

- Dzisiaj o 20.30 przybyli do Leningradu na pokładzie statku - oznajmił Mołotow.

- Na statku? - Stalin był wyraźnie zdziwiony.
- Nie spieszą się. Ta podróż z Anglii musiała trwać parę dni...

- Pięć dni - potwierdził Mołotow.

Stalin podniósł teczkę ze złamanymi pieczęciami.

- Ławrentij Pawłowicz - mówił o Berii, szefie tajnej policji - przygotował mi dossier członków tej anglo-francuskiej delegacji...

Przebiegł wzrokiem kilka linijek.

- ... admirał Drax - morski adiutant króla. Generał Doumenc - specjalista do spraw mechanizacji armii, brak doświadczenia w polityce. Poza nimi, reszta to młodszy oficerowie. Oni są niepoważni. Ci ludzie nie mają właściwych uprawnień. Londyn i Paryż ponownie bawią się z nami w kotka i myszkę.

Dzień później delegacja pociągiem przyjechała do Moskwy. Jeszcze tego samego wieczora pojechali na Kreml, gdzie powitał ich komisarz Władysław Mołotow, chłodno i sztywno. Takie też były rozmowy. Nic z nich nie wynikało.

Tę sytuację wykorzystał ambasador Niemiec hrabia Schulenburg. 12 sierpnia Mołotow poinformował Stalina.

- Rozmawiałem z ambasadorem Schulenburgiem. Powiedział, że Niemcy gotowi są do zawarcia porozumienia o utworzeniu państwa buforowego między nimi i nami.

- Czy moglibyśmy podjąć polityczne rozmowy na ten temat?

- Sądzę, że tak. Niemcy spieszą się i nie są skłonni do długich targów.

- Tak, należałoby uniknąć łączenia się z zachodnimi demokracjami - stwierdził Stalin. - Są niepewni i słabi. Nie można im ufać. Poza tym nie wierzę, żeby chcieli stanąć do walki z Hitlerem.

- Mam pewne wskazania, że Londyn i Paryż prowadzą negocjacje z Niemcami na temat możliwości nowego Monachium. Na ten temat rozmawiał Wohltat w Londynie, a także toczą się tajne negocjacje w Danii.

Rzeczywiście 17 lipca 1939 roku do Londynu przybył Helmuth Woltat, wysłannik Hermanna Göringa, i spotkał się z Horacym Wilsonem w jego domu w londyńskiej dzielnicy Kensington, aby przedyskutować możliwość... sojuszu niemiecko-brytyjskiego.

Dla Stalina obraz sytuacji stawał się klarowny. Brytyjczycy i Francuzi nie mieli zamiaru zawrzeć ze Związkiem Radzieckim żadnego sojuszu, czego najlepszym dowodem było działanie ich delegacji wojskowych, które bardzo długo zbierały się do przyjazdu, a gdy wreszcie stały się w Moskwie okazały się niekompetentne i niskiego szczebla. Była to więc, w jego ocenie, zasłona dymna. Zachodnie mocarstwa potraktowały to tylko jako wybieg wobec Hitlera, aby skłonić go do zawarcia sojuszu! Tajne rokowania, jakie prowadzili z niemieckimi wysłannikami potwierdzały taką możliwość. Brytyjczycy mogli zatem osiągnąć ugodę z Hitlerem, oczywiście kosztem Polski, co rok wcześniej zrobili w Monachium kosztem Czechosłowacji. Polska zaś, pozbawiona brytyjskiego wsparcia, musiałaby ugiąć się i zawrzeć sojusz z Niemcami. Gdy

by sytuacja rozwinęła się w ten sposób oznaczałoby to, że za kilka miesięcy wojska niemieckie uderzą na Związek Radziecki, który nie był przygotowany do odparcia agresji.

Musiał więc zyskać na czasie. Zapewne tego wieczoru, dyskutując z Mołotowem, Stalin podjął decyzję: pakt z Hitlerem!

Od tego momentu dalsze rokowania nie miały już sensu. Politycy brytyjscy i francuscy stracili jedyną szansę wbicia klina między Niemcy i Związek Radziecki i nie dopuszczenia do ich sojuszu. Tylko tak mogli zapobiec niemieckiej agresji na Polskę.

Czy Polska mogła przerwać ten bieg polityki, która uwzględniała interesy mocarstw, gdy nam przyznawała rolę ofiary? Czy nasza dyplomacja mogła zatrzymać bieg wydarzeń, na przykład zawierając sojusz z Niemcami? Niemiecki minister spraw zagranicznych składał propozycję przystąpienia Polski do paktu antykominternowskiego! Dzisiaj odpowiemy: „nie!”, gdyż stabilibyśmy się współwinni późniejszych masowych zbrodni nazizmu. Ale czy Włochom, Węgrom, Finlandii, Rumunom, Bułgarom i innym sojusznikom Niemiec ktokolwiek zarzuca udział w ludobójstwie? Nasz minister spraw zagranicznych Józef Beck nie musiał rzucać się w ramiona niemieckiego kolegi Joachima von Ribbentropa. Wystarczyłoby, żeby wykorzystał ugodowe nastawienie Hitlera i szachował naszych wrogów (Związek Radziecki) i sojuszników (Francję i Wielką Brytanię) możliwością zawarcia paktu z Niemcami.

W ten sposób mógłby wymusić na nich postępowanie korzystne dla Polski.

Minister Beck jednak, zamiast rozgrywać niemiecką kartę, zamiast robić wszystko, aby stordynować możliwość zbliżenia Niemiec ze Związkiem Radzieckim, zaufał angielskim gwarancjom. Uwierzył, że Anglicy, choć mieli słabą, neliczną armię i jeszcze słabsze lotnictwo, wyślą je do walki o Gdańsk, choć nie istniały żadne możliwości przerzucenia nawet tych słabych wojsk. Polski minister wierzył, że Francuzi, którzy wydawali miliardy na budowę bunkrów Linii Maginota, nie będą tam kryć swoich żołnierzy, ale wyślą ich, aby ginęli w walkach na granicy Niemiec.

W ostatniej chwili, gdy w marcu 1939 r. premier Chamberlain, niespodziewanie, bez konsultacji z parlamentem, udzielił Polsce gwarancji nienaruszalności granic, nie dostrzegł w tym podstęp, chęci usztywnienia polskiej polityki wobec Niemiec i stordynowania jakichkolwiek prób porozumienia się z Niemcami. Działal tak, jak tego sobie życzył premier Chamberlain. Minister potrząsał pięścią, krzyczał, że nie oddamy ani guzika.

Polskie wojska wypełniły sojusznicze zobowiązania co do joty. Do początków października 1939 roku toczyły bohaterską, krwawą walkę w obronie ojczyzny. To dostojnicy państwowi nie uchronili naszego kraju przed wyniszczeniem, tak wielkim, że jego skutki odczuwamy do dzisiaj. Zwłaszcza w polityce.

Bogusław Wołoszański

Gdy bój nad Bzurą wrzał...

Wspomnienia Józefa Wątroby – ułana 6. Pułku Ułanów Kaniowskich

*Gdy bój nad Bzurą wrzał,
a wróg tysiącem dział,
otoczył nas i bił.
Nie straszna czołgów stal.
Lecz straszny w sercu żal,
Że nam zabrakło sił...*

kpr. Stanisław Jasiński

Służbę wojskową w 4 szwadronie liniowym 6. Pułku Ułanów Kaniowskich w Stanisławowie rozpocząłem w listopadzie 1937 r. Miałem wówczas 21 lat.

Każdy ułan dostał konia, którym musiał się opiekować. Musiał go żywić, oporządkować i umieć na nim jeździć. W stajni stały 24 konie, nawóz wyrzucaliśmy rękami, bo nie mieliśmy widel. Rano każdy koń dostawał 1,5 litra owsa. Wtedy też poilo się je wodą. Na ćwiczeniach nic nie piły, dopiero po powrocie do stajni wyciągaliśmy im z pysków wędzidlą, aby mogły się napić. Czysta woda stała w betonowych korytach. Rekruci z początku jeździli bez siodła, na oklep. Żeby nie spaść trzeba było się trzymać jedną ręką wodzy a drugą grzywki konia. Nie jeździło się w szyku, ale rojem. Dopiero po trzech miesiącach dostaliśmy ostrogi – wówczas trzeba już było właściwie trzymać buty w strzemionach, aby nie pokaleczyć konia. Z gospodarstwa miałem takiego „ducha końskiego”, że słowa dowódcy: „najpierw koń, potem broń a dopiero na końcu ułan” przyjąłem jako coś oczywistego. Kiedy z ćwiczeń w pełnym galopie konie przyjeżdżały spienione wycieraliśmy je wiechem słomy. Karą dla ułana było wyciągać z koca sierść konia – przydawały się do tego szczotki. Konia siodłało się siodłem troczonym. Stosowano



Zdjęcie Józefa Wątroby w mundurze z czasów służby wojskowej w 6. Pułku Ułanów Kaniowskich w Stanisławowie przed wybuchem II wojny światowej. (źródło: archiwum autora)

także podwójne wodze, aby można go było skutecznie opanować w boju – mocno przyciągnięty łańcuszek pod dolną szczęką sprawiał, że nawet najbardziej narowisty koń dał się prowadzić.

Strzemiona, tybinki, zrolowany koc, owsiaki na owies i zapasowe podkowy – tak osiodłanymi końmi jechaliśmy na ćwiczenia bojowe, na strzelnicę wystarczało tylko samo siodło i karabinek przez plecy. Po 2–3 km kłusem, dowódca podnosił strzałkę i następowała „zmiana nogi”. Zanim nauczaliśmy się prawidłowo jeździć niejedną raz spadliśmy z konia. A trzeba było umieć spadać – tego nas nie uczyli, każdy ćwiczył sam. Uczyli nas za to wskakiwać na konia z biegu. Na „oklep” to jeszcze nic – sztuką jest wskoczyć na siodło, zrobić „nożyce” i w biegu obrócić się twarzą w kierunku końskiego zadu, w biegu też zeskoczyć z konia tak, aby nie dostać kopytem. To wszystko potem przydało się w boju. Z lewej strony do siodła przyczepiona była szabla w pochwie, z prawej lanca bojowa. Na ćwiczeniach, w pełnym galopie strącaliśmy nią uplecione ze słomy koszyczki. Szablą ścinałymiśmy łoża z wierzbiny – to była sztuka. Moja kobyłka – Gałązka nie chciała nauczyć się galopu na ćwiczeniach, więc musiałem zmienić ją na ogiera – Bośniaka. Podkuwaliśmy konie sami, zdarzało się, że niewprawnie „zagwoździliśmy” go tak, że kulał. W podkowach było po 6 nagwintowanych haceli, które wieczorem trzeba było wykręcić, a rano

z powrotem wkręcić oczyściwszy z kopyt nawóz. Żeby zdążyć na poranną zbiórkę zatykaliśmy dziury w kopytach gałganami, aby się nie brudziły. Ułan miał zielony mundur, spodnie bryczesy w kroku wyszyte skórą i buty z cholewami i ostrogami. Na głowie ułańską czapkę rogatywkę. Każdy pułk miał inny kolor otoka. Nasz 6 Pułk Ułanów ze Stanisławowa miał kolor ciemnoniebieski. Służba wojskowa przebiegała zgodnie z regulaminem, nad którego wykonaniem czuwał dowódca Pułku pułkownik Stefan Liszko, a także dowódcy szwadronów: 1 szwadronu – porucznik Stanisław Rogowski, 2 szwadronu – rotmistrz Józef Staniszewski, 3 szwadronu – rotmistrz Stanisław Heller i rotmistrz Stefan Kajderowicz, dowódca 4 szwadronu, w którym ja byłem.

Pozostało mi 3 miesiące do końca służby, kiedy wieczorem 27 sierpnia 1939 r. został ogłoszony alarm bojowy dla całego Pułku. Zostaliśmy wyposażeni w nowe mundury, ckm-y z amunicją i 30 sierpnia wyruszyliśmy wraz z końmi w wagonach towarowych przez Lwów, Kraków, Częstochowę i Koluszki do Wrześni. Już w drodze nasz transport był bombardowany przez lotnictwo nieprzyjaciela – wówczas dotarło do mnie, że wybuchła wojna.

Po rozładowaniu się 1 września na stacji wyładowniczej, już w nocy z 2 na 3 wyruszyliśmy w 50 km marsz w kierunku Poznania, mijając po drodze fałę uchodźców. Z nastaniem dnia nękały nas naloty, ale uniknęliśmy strat. Po krótkim odpoczynku, na drugi dzień przeszliśmy przez miasto Poznań, a potem – już nocą – następne 40 km w kierunku Gniezna. Mimo zmęczenia i ciągłego bombardowania lotniczego nie mieliśmy strat i nasze nastroje były dobre. Dopiero nad ranem 6 września straciliśmy 4 konie, a 2 naszych ułanów zostało rannych.

Zorganizowawszy obronę przesmyków pomiędzy jeziorami, wieczorem znów wyruszyliśmy w ok. 50 km marsz w rejon lasów Nykiel, gdzie mogliśmy trochę odpocząć. Następny, nocny z 7 na 8 września 25 km marsz zmęczył już bardzo zarówno ułanów jak i konie. Brakowało nam snu i jedzenia, także owsa dla koni, ponie-



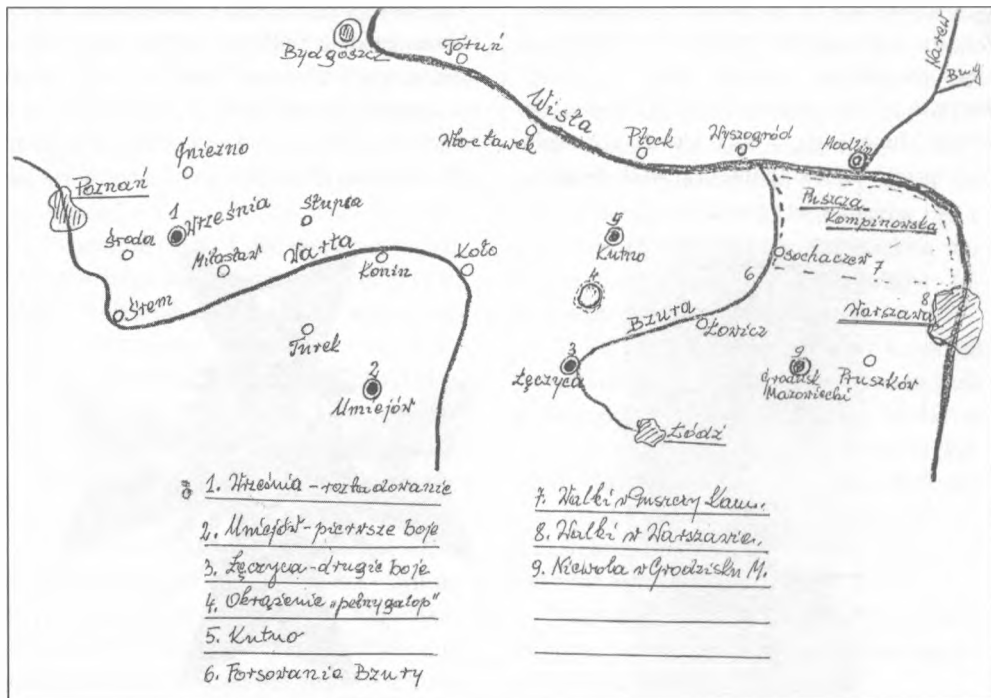
Mundury, barwy i ekwipunek ułanów
6. Pułku Ułanów Kaniowskich w 1939 r.
(źródło: Smaczny H., *Księga Kawalerii Polskiej*
1914-1947. Rodowody, barwa, broń.
Warszawa 1989)

waż do miejsca naszego postoju nie doszedł tabór. Nie ustawały silne bombardowania i kiedy nocą 9 września wyruszyliśmy w kierunku lasów Ładorudź – w bombardowaniu zginęło 3 ułanów i 6 koni, kilku ułanów zostało rannych.

W czasie postoju w ładorudzkich lasach, dowódca Pułku, po odprawie z udziałem dowódcy Grupy Operacyjnej Kawalerii generała Stanisława Grzmota-Skotnickiego wydał rozkaz do działania na zajęty przez nieprzyjaciela Uniejów w dniu następnym, czyli 10 września. Opanowanie Uniejowa miało na celu ubezpieczenie z tego kierunku ruchu Grupy Operacyjnej Kawalerii na Wartkowice. Wyruszyliśmy nocą. Po rozpoznaniu przez 3 szwadron rtm. Hellera stanowisk nieprzyjaciela, z których jedno było na cmentarzu na skraju miasta, 1 szwadron por. Rogowskiego i 2 szwadron rtm. Stanisławskiego rozwinęły natarcie z dwóch stron. Mój 4 szwadron rtm. Kajderowicza był w odwodzie. Od świtu do godzin przedpołudniowych trwały zacięte walki. Ja obsługiwałem ckm. Walczyliśmy pieszo, koniowodni trzymali

w zagajniku po trzy konie każdy. Duch i animusz bojowy nas nie opuszczał. Z wielkim zapalem i poświęceniem wykonywaliśmy powierzone zadanie. Uniejów został przez nas opanowany – wzięliśmy jeńców, wiele broni i sprzętu. Uwolniliśmy polskich jeńców wziętych do niewoli przez nieprzyjaciela w poprzednich walkach i od dwóch dni więzionych w kościele. Cieszyliśmy się ze zwycięstwa. Ale nieprzyjaciel nie odpuszczał. Otrzymawszy posiłki rozpoczął ostrzeliwanie miasta. Nasz Pułk jednak dostał rozkaz wycofania się. W tym natarciu zginęło 9 naszych ułanów, w tym 4 podoficerów. Pamiętam Wnękowicza, Wulkanowicza, Pietruszkę, Tobolskiego, razem byliśmy na szkoleniu. Straciliśmy też wiele koni.

Znów maszerowaliśmy nocą. Był to już 12 września. Nad ranem 1, 3 i 4 szwadron dostał rozkaz natarcia na Janów. 2 szwadron miał nas ubezpieczać, ale nieprzyjaciel czołgami zmusił nas do odwrotu. Wieczorem dostaliśmy rozkaz zorganizowania obrony silnie bombardowanej Łęczycy. Przedzierając się przez okrażenie nie-



Mapa walk 6. Pułku Ułanów Kaniowskich pod Uniejowem i nad Bzurą we wrześniu 1939 r.,
rys. J. Wątroba (źródło: archiwum autora)

przyjaciela, w szarży zginęli wówczas Kazmierczak i Kruczyński. Bój pod Łęczycą był szczególnie ciężki – pędząc w pełnym galopie cudem uratowaliśmy się wtedy z okrażenia nieprzyjaciela. A 13 września wieczorem znów marsz bardzo już zmęczonych brakiem snu koni i ułanów. Odpoczęliśmy dopiero nazajutrz, ale krótko, ponieważ świtem 15 września przyszedł rozkaz wyruszenia na północ, na miejsce sformowania Grupy Kawalerii generała Romana Abrahama składającej się z Podolskiej i Wielkopolskiej Brygady Kawalerii. Maszerowaliśmy 60 km w dzień, atakowani przez lotnictwo. Wtedy został przestrzelony nasz sztandar. Po całonocnym marszu mogliśmy odpocząć w lasach. Na drugi dzień, a był to już 16 września otrzymaliśmy rozkaz nocnej przeprawy przez Bzurę. Rzeka w tym miejscu miała ok. 80m szerokości. Przeprawialiśmy się z końmi, płynęliśmy u ich boków trzymając za wodze i grzywy, albo za koniem trzymając go za ogon, ale trzeba było uważać, aby przy brzegu uskoknąć i nie dostać kopytem w głowę... Piechota przeprawiała się na tratwach i pontonach. Z tego czasu pamiętam zdarzenie trochę humorystyczne jak na warunki wojenne – mimo wszystko byliśmy przecież młodymi i skorymi do żartów chłopakami, a takie chwile pomagały nam przetrwać okropności, których byliśmy

świadkami. W naszym szwadronie byli ulani mówiący po niemiecku. Zdobyli od jeńców niemieckich mundury wojskowe i jednego wieczoru zakradli się, oczywiście bez wiedzy naszego dowódcy do obozu niemieckiego, gdzie zbłąmuciwszy grupę kilkunastu żołnierzy mówiąc o rozkazie przejścia oddziału w inne miejsce, przyprowadzili ich do naszego obozu. Gdy ci się zorientowali, że zostali podstępnie wyprowadzeni w pole było już za późno – puściliśmy ich w bieliznie, a dokumenty przy nich znalezione: rozkazy, raporty i mapy okolic bardzo się nam przydały.

Świtem 17 września 6. Pułk Ułanów otrzymał zadanie zabezpieczenia marszu Grupy Operacyjnej Kawalerii pod Starym Polesiem. Następuje wówczas pierwsze natarcie na nieprzyjaciela: mój szwadron wraz z 1 i 3. Lotnictwo nas bombarduje, wielu ułanów ginie, wielu jest rannych. Natarcie się załamuje. Artyleria nie mogła nas wesprzeć w lesie, ponieważ nie mogła się rozwinąć. Drugie natarcie, już wsparte, wyrusza po południu i kończy się opanowaniem Starego Polesia. Pamiętam ten zapal, z jakim atakowaliśmy. Kiedy jednak, zgodnie z planem, odwód miał jeszcze uderzyć w tyły nieprzyjaciela aby otworzyć drogę na wschód, nastąpił drugi atak lotniczy, który zdziesiątkował koniowodnych i artylerię. Byliśmy tym widokiem załamani, tym bardziej, że tak bli-



Odznaczenia Józefa Wątroby: Krzyż Kampanii Wrześniowej, Medal za Udział w Wojnie Obronnej 1939

sko było do zwycięstwa. W boju tym nasz Pułk poniósł większe straty niż w jakiegokolwiek innej pojedynczej akcji w całej Kampanii Wrześniowej. Straty Polaków poniesione podczas trwania bitwy nad Bzurą wyniosły ok. 16 000 poległych żołnierzy, w tym trzech generałów: Mikołaj Bołtuć, Stanisław Grzmot-Skotnicki i Franciszek Wład, ok. 34 000 żołnierzy odniosło rany, a ok. 150 000 dostało się do niewoli. Walka zakończyła się wieczorem, a nocą, po rozkazie dołączenia Pułku do sił głównych, skierowaliśmy się na południe.

18 września atakujemy jeszcze w rejonie Adamówka odpierając czołgi przeciwnika i dalej nacieramy na Sieraków, który opanowany zostaje nocą po ciężkich walkach, przeciągających się do świtu i przynoszących duże straty, zwłaszcza pod Laskami. Ginie rtm. Józef Staniszewski i st. wachmistrz Józef Magda, ranny zostaje rtm. Stefan Kajderowicz – ja również zostałem wówczas ranny w rękę. Tej nocy sztandar zostaje zdjęty z drzewców i ukryty. Wieczorem, z rozkazu gen. Abrahama mamy przebić się pieszo do Warszawy. Mój szwadron przebija się w drugim zgrupowaniu wraz z rtm. Czesławem Pomorskim. W pierwszym szli dowódcy Pułku wraz z rtm. Władysławem Domiszewskim, w trzecim rtm. Stanisław Heller z 3 szwadronem, koniowodni oraz tabor. Na Bielany dotarliśmy 20 września. Po dwóch dniach 6. Pułk został podzielony na 3 części, mój 4 szwadron wraz z 1 pod dowództwem rtm. Domiszewskiego został przydzielony do 9 Pułku Ułanów. Pułkownik S. Liszko został wyznaczony na dowódcę jednego z odcinków obrony, ale w wyniku kapitulacji Warszawy nie zdążył objąć tej funkcji. Wraz z 9. Pułkiem uczestniczyłem w walkach w okolicach Lasku Strzeleckiego.

Ciężkie walki w obronie Warszawy trwały do 27 września. Ogromniszyszeń, poległych żołnierzy i cywilów robił na nas przygnębiające wrażenie. Nie mieliśmy już wtedy żywności – byliśmy zmuszeni jeść mięso zabitych koni... Kapitulacja nastąpiła 28 września. Ostatni rozkaz Pułku z podaniem awansów i odznaczeń został odczytany na zbiórce na dziedzińcu koszar. Potem odmaszerowaliśmy z rtm. Pomorskim w rejon Pruszkowa,

gdzie wszyscy zostaliśmy wzięci do niewoli niemieckiej. Pułkownik Liszko został osadzony w oflagu VIIa Murnau. Powrócił do Polski w 1947 r. Nas, niższych rangą – ja byłem wówczas kapralem – po dwóch tygodniach zwolniono.

Wróciłem do domu w Lachowicach w połowie października. Za pół roku młodzi mężczyźni z moich okolic wywiezieni zostali do lasów na Zaolzie, gdzie ręcznymi piłami ścinali potężne buki. Zdarzało się, że wiekowe drzewa przygniatały ludzi... Pracowałem tam do 1945 r. Po wojnie przez 36 lat, aż do emerytury byłem zatrudniony w bielskich zakładach przemysłu wełnianego. W 1962 r. napisał do mnie pułkownik Liszko, że w Kutnie jest spotkanie ułanów – weteranów. Zobaczyliśmy się, powspominaliśmy, byliśmy w muzeum wojska polskiego. Kiedy jednak w roku 1974 odsłaniano w Kutnie tablicę poświęconą Bitwie nad Bzurą nie zawiadomiono nikogo z jej uczestników – żyjących przecież jeszcze ułanów z 6 Pułku. Pułkownik Liszko został, jak mi pisał w liście zawiadomiony poprzedniego dnia wieczorem. Z kilku wywiadów, których wówczas udzielił, w prasie nie ukazało się praktycznie nic. Władze w tym okresie konsekwentnie przemilczały fakty dotyczące kampanii wrześniowej. My jeszcze wiele lat korespondowaliśmy, zanim moi towarzysze nie zaczęli odchodzić. Pułkownik Liszko zmarł w 1991 r. W okolicach Bielska-Białej, gdzie mieszkam, żyje jeszcze czterech ułanów z różnych pułków – tylko ja walczyłem w bitwie nad Bzurą.

W 1985 r. przyznano mi Krzyż Kampanii Wrześniowej, a w 1995 Odznakę Weterana Walk o Niepodległość. Dostałem także Medal za Udział w Wojnie Obronnej 1939, Medal za Warszawę 1939-1945, Medal Zwycięstwa i Wolności oraz Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski i Srebrny Krzyż Zasługi. W roku 2006 zostałem awansowany do stopnia porucznika.

Dziś mam 91 lat. Choć nie wszystko w Polsce akceptuję, jestem dumny, że 68 lat temu naraziłem życie za Ojczyznę.

Spisala Dorota Kamisińska

Muzeum Bitwy nad Bzurą w Kutnie*

Bitwa nad Bzurą była największym starciem w wojnie obronnej 1939 r. W literaturze przedmiotu znana jest też jako Bitwa pod Kutnem. Zapoczątkowało ją przejście przez stronę polską lokalnej inicjatywy operacyjnej. Po stronie polskiej w walkach uczestniczyły dwie armie: „Pomorze” i „Poznań” liczące około 200 tysięcy żołnierzy, pod bezpośrednim dowództwem generała dywizji Tadeusza Kutrzeby.

Na przełomie 7 i 8 września wycofujące się armie polskie znalazły się w rejonie Łęczycy, Włocławka i Płocka. Sztab generała Kutrzeby został przeniesiony do wsi Głogowiec. Bitwa rozpoczęła się uderzeniem Grupy Operacyjnej „Zachód” pod dowództwem generała brygady Edmunda Knolla-Kownackiego siłami trzech dywizji: 14, 17 i 25 na Stryków. Miała ona na celu rozbicie niemieckich dywizji z 8 Armii rozciągniętych od Łodzi do Warszawy.

11 września w rejonie Łowicza wsparła to natarcie Grupa Operacyjna gen. bryg. Mikołaja Bołtucia z Armii „Pomorze”. Pozostałe siły Armii „Pomorze” osłaniały atak z kierunku północno-zachodniego przed działaniami zaczepnymi 4 Armii niemieckiej od strony Włocławka i Płocka.

Wojska polskie odebrały Łęczycę, Piątek, Bielawy, Łowicz, stoczyły szereg zwycięskich potyczek w Górze Św. Małgorzaty, Małachowicach, Walewicach, Mąkolicach, Celestynowie.

Do 12 września czołowe oddziały z grupy generała Edmunda Knolla-Kownackiego dotarły do rejonu na północ od Łodzi. Wieczorem, 12 września generał dywizji Tadeusz Kutrzeba przerwał atak i nacierające jednostki polskie zostały wycofane za Bzurę.

14 września główne siły Armii Pomorze dowodzone przez gen. dyw. Władysława Bortnowskiego ponownie podjęły działania zaczepne w rejonie Łowicza. Oddziały polskie powtórnie zdobyły Łowicz. Nie osiągnęły jednak większego sukcesu i po meldunku o zagrożeniu pancernym znów wycofały się za Bzurę.

W dniach 15 i 16 września Armia „Pomorze” zajmowała pozycje obronne na linii Bzury i Słudwi, a oddziały Armii „Poznań” przeszły w rejon Sochaczewa i przygotowywały się do bezpośredniego uderzenia na Warszawę. W rejonie Sochaczewa wywiązały się zacięte walki z niemieckim 16 korpusem pancernym, który zablokował w tym rejonie drogi odwrotu. Próba przedostania się na drugą stronę Bzury udała się 15 i 25 DP, reszta wojsk została powstrzymana. Oddziały polskie okrążono na zachodnim brzegu rzeki. Z okrążenia udało się wyrwać jedynie nielicznym oddziałom, które przebiły się przez Puszcę Kampinoską do Warszawy i Modlina. Główne siły polskich armii zostały okrążone i rozbite. Około 22 września ustał opór naszych wojsk. Straty Polaków poniesione podczas trwania bitwy wyniosły ok. 16 000 poległych żołnierzy, w tym trzech generałów: Mikołaj Bołtuć, Stanisław Grzmot-Skotnicki i Franciszek Wład; około 34 000 żołnierzy odniosło rany, a około 150 000 dostało się do niewoli.

Bitwa nad Bzurą zakończyła się klęską wojsk polskich. Przeszła do historii jako największa bitwa oręża polskiego, największa bitwa Kampanii Wrześniowej i jedyna, kiedy w tej kampanii wojska polskie osiągnęły przewagę taktyczną.

*informacje pochodzą ze strony internetowej Muzeum:
<http://www.muzeumkutno.republika.pl/mbb.html>

Katarzyna Pabis

Zagłada Żydów w czasie drugiej wojny światowej – temat wiecznie żywy?

*Jam się na to narodził i na tom przyszedł na świat,
abym świadectwo wydał prawdzie*
Ewangelia św. Jana, 18, 37

Nie szukaj wymówek, gdy masz spełnić swój obowiązek
Mądrość Syracha 10, 26

Problem Zagłady ludności żydowskiej w czasie drugiej wojny światowej jest i dziś, ponad 60 lat po zakończeniu wojny, problemem szeroko omawianym, nie pozbawionym kontekstów, poruszającym bezustannie nie tylko przez naukowców. Czy słusznie? Czy nie jest to już temat wyczerpany? Czy jako społeczeństwo, naród, nie poświęcamy mu zbyt często uwagi w dyskursie naukowym, społecznym, w dialogu polsko-żydowskim, czy na forum międzynarodowym?

Aby odpowiedzieć na te pytania, musimy zdać sobie sprawę z kilku faktów. Ludność żydowska stanowiła największą grupę mniejszościową, zamieszkującą tereny ziem polskich na przestrzeni dziejów. Żydzi pojawiali się na ziemiach polskich jeszcze przed istnieniem polskiej państwowości. Nie dosyć tego. W XVIII w. na ziemiach Rzeczypospolitej mieszkało około 80% światowego Żydostwa. Same liczby nie oddają jednak wystarczająco sytuacji ludności na terenie ziem polskich. Dzięki Żydom i innym mniejszościom etnicznym, religijnym, narodowym¹ (m.in. Karaimom, Łemkom, Ormianom, Romom, Tatarom, Białorusinom, Litwinom, Rusinom, Ukraińcom oraz Niemcom) Polska była państwem wielonarodowym, multietnicznym, wielokulturowym. To, czym jesteśmy, czym dziś szcycimy się jako naród, nie jest wynikiem ograniczenia, zamknięcia w ramach naszej jednolitej kultury narodowej. Polskie dziedzictwo narodowe jest wynikiem działalności, pracy, twórczości wielu grup mniejszościowych, które mogły,

chciały lub musiały zamieszkiwać terytoria ziem polskich, w wyniku aktualnej w owych czasach sytuacji politycznej i społecznej.

Grupy te żyły zatem na polskich ziemiach, pracowały, tworzyły, dawały z siebie to, co najlepsze. Wpisały się w polskie tło społeczno-kulturowe, tworząc jedno z najsilniejszych ogniw społeczeństwa polskiego, stając się jednym z jego nieodzownych elementów. Przybyłoby ci nie zawsze jednak byli mile widziani. Trzeba było wiele czasu, aby „obcy” mógł stać się „swoim”, aby mógł zdobyć zaufanie. Musieliśmy długo czekać, aż Żydzi poczują się bezpieczni wśród i z Polakami, a Polacy z Żydami. Czy udało się im jednak zostać w pełni zaakceptowanymi? Nawet XIX w., czas żydowskiego oświecenia – Haskali, nie spełnił oczekiwań chętniej asymilacji części żydowskiej społeczności. Do dziś w polskiej zbiorowej świadomości funkcjonują mity, przez pryzmat których spoglądamy na ludność wyznania mojżeszowego. Mit domniemanych żydowskich mordów rytualnych w celu uzyskania

krwi chrześcijańskiej potrzebnej do wyrobu macy czy mit dotyczący profanacji Hostii. Funkcjonują też stereotypy, np. Żyda – komunisty. Skąd w chrześcijańskim społeczeństwie, wywodzącym się z tego samego – co judaistyczny – korzenia, taka niewiedza? Czy my, Polacy, w zdecydowanej większości zdeklarowani chrześcijanie, mamy świadomość, że Żydzi to nasi starsi bracia w wierze? Pięcioksiąg, Pismo Święte, Biblia, Tora, Stary Zakon. Czy wszyscy pamiętamy, że to jedna i ta sama Księga?

Wątpliwości dotyczące problematyki Holokaustu pojawiają się już przy wyborze pojęcia, które ma najlepiej zdefiniować wydarzenie, jakimi była tragiczna śmierć prawie sześciu milionów ludzi pochodzenia żydowskiego. Zagłada. Szoa i Shoah. Holokaust i Holocaust (oraz ich warianty pisane z małej litery; z greki – holókaustos, „cały spalony”, „ofiara całopalna”). Churban („Zagłada”). Eksterminacja. Nazistowskie ludobójstwo. Wyniszczenie. Wiele różnorodnych określeń na tragiczne wydarzenie od 1941 r. (początek funkcjonowania obozów zagłady) do 1945 r. Wielokrotne rozważania nad poprawnością i słuszością stosowania kolejnych z nich, nie wpływają na to, iż to termin „Holokaust” kojarzony jest przez ogół jednoznacznie z Zagładą Żydów z rąk hitlerowców w czasie drugiej wojny światowej. Możemy odnaleźć również współczesne konotacje tego terminu: „czarny Holokaust”, jak określił ludobójstwo w Darfurze brytyjski „The Economist”. Termin „holokaust” jest też przytaczany przy okazji rzezi Ormian popełnionej przez Turków (1915-17), ale i w kontekście wydarzeń mających miejsce po drugiej wojnie światowej, w zupełnie nieodległych latach 90. XX wieku, jak rzeź w Rwandzie (1994 r.) czy masakra ludności cywilnej w Srebrenicy (1995 r.).

Jakiegokolwiek jednak określenia chcemy użyć, nie zmienia to faktu, iż wydarzenia lat 1941–1945 dotyczyły około 10% polskiego społeczeństwa połowy XX w. Dotyczyły i dotyczą nas, Polaków, dzisiejszych obywateli Unii Europejskiej, obywateli świata. Nie możemy więc pozostać wobec nich obojętni. Oczywiście jest, że eksterminacja Żydów była zorganizowana przez Nazistów, niemieckich fałszywistów. Żydzi byli, rzec by można, kozłem ofiar-

nym, poświęconym za niepowodzenia i nieudolne działania Niemców w czasie pierwszej wojny światowej, a potem w czasie odbudowy Republiki Weimarskiej. Byli też niewątpliwie obsesją jednego człowieka, który korzystając ze swoich umiejętności, ale i z odpowiedniego momentu w dziejach świata, z odpowiedniej sytuacji społecznej i gospodarczej, zaszczepił swoją nienawiść do Żydów swoim współbraciom. Oczywiście jest też, że przez to, iż polscy Żydzi stanowili tak znaczną część światowego Żydostwa, na miejsca ich Zagłady zostały wybrane właśnie miejsca usytuowane w Polsce. Nie jest jednak oczywistą niechęć części polskiego społeczeństwa do Żydów i sprzyjanie działaniom okupanta. Polacy byli świadkami żydowskiej Zagłady, ale niektórzy byli też jej uczestnikami. Byli też wśród tych świadków „sprawiedliwi”, uhonorowanymi w Izraelu za pomoc w ratowaniu żydowskich, ludzkich istnień. Dlatego właśnie, aby „dać świadectwo prawdzie”, aby nikt nigdy nie zapomniał o Zagładzie prawie 6 milionów ludzi, aby każdy o niej pamiętał, aby podobna tragedia nigdy nie miała miejsca, powinniśmy, czy raczej – mamy obowiązek mówić, pisać, przypominać.

Niechęć, strach, ksenofobia, brak poczucia bezpieczeństwa biorą się z niewiedzy i niezrozumienia. Boimy się tego co obce, inne, nie chcemy tego poznać i zrozumieć. Czy jednak w dzisiejszym świecie wyobcowanie jest możliwe? Jakże chętnie podróżujemy do innych krajów, jakże chętnie wyjeżdżamy tam, gdzie wydaje się nam, że może być lepiej, łatwiej, przyjemniej. Wtedy, kiedy nie jesteśmy w pełni akceptowani i przyjmowani z otwartymi ramionami, kiedy zaczynamy stanowić konkurencję, jesteśmy w stanie zrozumieć, co znaczy być „obcym”. Jakże szybko jednak o tym zapominamy, wracając do domu. W o ile gorszej sytuacji byli więc Żydzi, pozbawieni aż do 1948 roku, swej państwowości (do dziś zresztą bardzo kontrowersyjnej), kiedy nie mieli dokąd wracać, gdy nie mieli gdzie ukryć się przed niezrozumieniem i brakiem akceptacji.

Nazwy i liczby. Czy zdajemy sobie sprawę z ich znaczenia? Getta. Warszawa, Piotrków Trybunalski, Łódź, Kraków – to tylko niektóre. Obozy zagłady,

śmierci, obozy koncentracyjne, obozy pracy. Auschwitz-Birkenau – 900 tys. do 1 mln 500 tys. ludzkich istnień. Bełżec – 600 tys. Chełmno – 152 tys. do 320 tys. Sobibór – 250 tys. Treblinka – 800 tys. Majdanek – 200 tys. I Bergen-Belsen, Buchenwald, Dachau, Gross Rosen, Mauthausen. I wiele, wiele innych. Miejsca śmierci, ale i miejsca pamięci. 4 do 6 mln ofiar. 4 do 6 mln wyjątkowych twarzy, serc, umysłów, charakterów. A w tym przynajmniej 3 mln polskich obywateli żydowskiego pochodzenia.

W powojennej polskiej świadomości pozostał skazony wizerunek Żyda, jako obcego, winnego tego, co całemu światu zgotowali hitlerowcy. Lata 1946, 1950-1953, 1956-1968 pokazały, że niewiele nauczyliśmy się podczas drugiej wojny światowej. Strach przed nieokreślonym żydowskim zagrożeniem był silniejszy od rozsądku. Nie odpowiemy sobie na pytanie, czy koniecznością było szukanie sobie jakiegoś wroga. Czy przypadkiem wrogiem tym stali się znów Żydzi, tym razem ci, którzy wojnę w jakiś sposób przeżyli? Czy mity i bezpodstawne przesady i podejrzenia były powodem zająć antyżydowskich drugiej połowy XX w.? Czy powojenny antysemityzm był spadkiem po hitlerowskich działaniach? Czy chęć wyniszczenia reszty Żydów zamieszkujących powojenną Polskę była wynikiem strachu i złych, powojennych wspomnień? Konsekwencje tej niechęci pokazują smutne karty polskiej historii. Pogrom w Jedwabnem 10 lipca 1941 r. Powojenne pogromy – w Krakowie 11 sierpnia 1945 r., w Parczewie 5 lutego 1946 r. Wreszcie pogrom w Kielcach 4 lipca 1946 r. Trudno jest dziś wspominać te wydarzenia, nie myśląc o nich, jak o konsekwencjach drugiej wojny światowej. Wybitny polski naukowiec, socjolog i humanista, prof. Stanisław Ossowski tak skomentował powojenne wystąpienia antyżydowskie: „Potępia się zbrodnie z obowiązku, ale nie próbuje przeciwdziałać im czynnie. Ten brak przejęcia zbrodnią jest w znacznej mierze właśnie wynikiem wojennego treningu: mordowanie Żydów przestało być czymś nadzwyczajnym; czemuż tamci ludzie mieliby się przejmować śmiercią czterdziestu Żydów,

sকoro przyzwyczaili się do myśli, że Hitler mordował Żydów milionami”.

Wiele więc argumentów świadczy o aktualności problemu Holokaustu. Przypominanie o prawdzie, uświadamianie towarzyszących temu problemów, kształtowanie świadomości społecznej i historycznej, to wszystko każe nam bezustannie dotykać tematyki około holokaustowej. Poruszając tę problematykę powinniśmy dziś, bogatsi o kolejne doświadczenia drugiej połowy XX wieku, pamiętać słowa prof. Zdzisława Macha: „[...] uczyć o Holokauście znaczy ostrzegać przed niebezpieczeństwem [...] Pokazanie Holokaustu we wszystkich jego wymiarach stanowi przestrożę”.

Katarzyna Pabis

¹ Wprowadzanie przytoczonych określeń ma uświadomić jedynie różnorodność aparatu pojęciowego, dotyczącego złożonej problematyki grup mniejszościowych. Przy korzystaniu z każdego z tych pojęć ważny jest kontekst rozważań. Dla potrzeb niniejszego artykułu wystarczy pamiętać o wspomnianej różnorodności pojęciowej, ale i o wyjątkowej specyfice grupy żydowskiej, której to odrębności religijnej i kulturowej na ziemiach polskich mogliśmy być świadkami do połowy XX wieku. Mimo, że nie możemy określić Żydów, właściwie do połowy XX wieku mianem grupy stricte narodowej, ze względu na formalny brak państwowości, należy pamiętać o funkcjonującym w naszej kulturze biblijnym określeniu Żydów, jako „narodu wybranego”. Stąd też zapisywanie nazwy tej grupy, z dużej litery – nie jako grupy wyznaniowej, ale jako grupy mniejszościowej.

Literatura

Dlaczego należy uczyć o Holokauście?, pod red. J. Ambrosewicz-Jacobs i L. Hońdo, wyd. UJ, Kraków 2005;
Dzieje Żydów w Polsce 1944-1968, oprac. A. Cała, H. Datner-Spiewak, ŻIH, Warszawa 1997;
 Prekerowa T., *Zarys dziejów Żydów w Polsce 1939-1945*, wyd. UW, Warszawa 1992;
 Sułowski Z., *Liczebność Żydów na ziemiach polskich*, (w:) *Naród-Kościół-kultura. Szkice z historii Polski*, Lublin 1986 r.;
 Wistrich R., *Hitler's Apocalypse: Jews and the Nazi Legacy*, Londyn 1986;
Żydzi i judaizm we współczesnych badaniach polskich, tom III, pod red. Krzysztofa Pilarczyka, Polska Akademia Umiejętności oraz Polskie Towarzystwo Studiów Żydowskich, Kraków 2003.

Balansując

Rozmowa z Jerzym Kędziorą



Justyna Sikorska: – *Czy sztuka rzeźbiarska i malarska były od zawsze Pana największą pasją?*

Jerzy Kędziora: – Plastyką byłem zainteresowany od lat najmłodszych. Czy akurat musiała to być rzeźba? Niekoniecznie. Mogły to być formy projektowe, designerstwo, wnętrzarstwo, architektura... Malarstwo mniej. Kiedy mówię „od najmłodszych lat” przychodzi mi na myśl treść dyskusji w pewnym gronie, kiedy to brat przypomniał mi, że zawodowo plastyką zajmuję się od piątego roku życia. Moja matka robiła bowiem galanterię i konfekcję, ubiory wełnianobawelniane dla dzieci. W tym czasie modne były w zdobnictwie kolorowe szlaczki. Mnie – jako małemu dziecku – spodobало się rysowanie takich wzorów. Każdy z nich stanowił zbiór oczek w projektach znaczonych barwnymi krzyżykami na kratkowanym papierze. Mama haftowała je i naszywała później na materiał. Kopiałem i przekształcałem również obce, często zagraniczne motywy, które należało zmodyfikować i przełożyć deseni maszynowy na wykonywany ręcznie. To mnie zawsze bardzo bawiło.

W szkole podstawowej natomiast projektowałem gazetki. Nie byłem zbyt pilny w prowadzeniu notatek, jednak zeszyt z religii oraz nadobowiązkowy zeszyt do lektur wypełniałem bardzo sumiennie, dlatego właśnie, że w nich mogłem sobie porysować, wyżyć się, wykazać. Nauczyciel plastyki wprowadził mnie wówczas do tak zwanej papieroplastyki, czyli wykonywania przestrzennych liter, piktogramów i zdobników. Później przyszedł czas na scenografię i oprawę podwórkowych albo kościelnych imprez. Z Ma-

rianem Michalikiem zajmowaliśmy się na przykład różnymi działaniami przestrzennymi, malarstwem ściennym, dekoracjami klubowymi... Mieszkaliśmy wtedy na Stradomiu i mieliśmy starszego kolegę, który chodził do Liceum Plastycznego. Siłą rzeczy poszliśmy w jego ślady.

Mogę więc powiedzieć, że pasję miałem w sobie od zawsze, a moja droga szła utartym, prostym szlakiem.

– *Studiował Pan w obecnej Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku. Dlaczego tak daleko od stron rodzinnych?*

– Kolejnym moim hobby był teatr, a także film. W młodości często chodziłem do kina, w którym znaczącą programowo rolę odgrywała Kronika Filmowa. Miałem wówczas okazję zetknąć się z przejawami życia kulturalnego Wybrzeża, a wśród nich – z kilkoma teatrami studenckimi, takimi jak: Teatr rąk „Co To”, „Bim Bom”. Zauroczenie nimi sprawiło, że chciałem zobaczyć ich spektakle na żywo, mieć szansę współuczestniczenia w tego typu przedsięwzięciach.

Innym powodem mojego wyjazdu był fakt, że w naszym liceum podjął wówczas pracę absolwent gdańskiej szkoły – Czesław Dukat, a wcześniej jeszcze liternictwa uczył nas inny jej absolwent – Henryk Kmiec. Ich opowieści przekonały mnie do tego miasta. A najzabawniejsze jest to, że generalnie ze wszystkich przedmiotów plastycznych miałem bardzo dobre stopnie, natomiast podpadłem dyrektorowi opuszczając jego zajęcia z rzeźby, w wyniku czego miałem z niej gorszą ocenę. Dlatego właśnie postanowiłem studiować rzeźbę i tym samym poprawić swoje wyniki w tym przedmiocie.

Tak oto przeniosłem się do Gdańska. Byłem tak zwanym porządnym studentem, to znaczy: student-żebak, ale Pan! Robiłem teatry, prowadziłem kluby, żyłem życiem studenckim – bardzo wtedy bogatym. Nie przykładałem się jakoś szczególnie do nauki, program studiów nie wyznaczał kierunku mojego rozwoju. Wydaje mi się nawet, że znacznie więcej w sensie warsztatowym dała mi szkoła średnia. Przychodziłem na uczelnię, bo tam ze wszystkimi mogłem się spotkać. Naprzeciwko budynku był klub Żak, mieszkaliśmy w Sopocie, same atrakcje... W efekcie najwięcej wiedzy z przedmiotów artystycznych uzyskałem biesiadując, niż podczas zwyczajnej korekty. Wiele było zabawnych, ale też tragikomicznych sytuacji z tym moim zaliczaniem.

Po studiach zajmowałem się szeroko pojętą plastyką: designerstwem, projektowaniem wystaw, grafiki i wielu innych. W wolnych chwilach natomiast brałem udział w konkursach rzeźbiarskich, a ponieważ wiodło mi się w nich bardzo dobrze, przywróciły mnie one z powrotem rzeźbie. Wsiąkałem w nią powoli i przypominałem sobie korekty, które na studiach nie do końca mogłem zrozumieć, a których sens odkryłem na nowo pracując już całkiem samodzielnie. Dzięki temu jednak wciąż się rozwijam i chyba właśnie to trzyma mnie najmocniej przy moim zawodzie.

– Podobno otrzymał Pan propozycję pracy na uczelni, jednak, odrzucając ją, powrócił do Częstochowy. Czy nigdy nie było Panu żal tej decyzji?

– I żal i nie żal. Powiem tak: Pewnie byłbym teraz jakimś znoszonym belfrem i nie wiem, gdzie bym wylądował. Kiedy bowiem przyjeżdżam do Gdańska, wielu znajomych ludzi zazdrości mi tego, czego dokonałem, tego – tak zwanego – wolnego czasu na twórczość. Ja natomiast widzę, co straciłem, bo obracając się w tamtym świecie na pewno więcej chłonałem. Na studiach byłem lubiany i doceniany, ale mniej jako rzeźbiarz, a bardziej jako organizator życia kulturalnego. I nawet nie proponowano mi wtedy asystentury, chciano natomiast, abym stworzył dział na Politechnice, który

miałby zajmować się uhumanistycznym tamtejszych studentów. W tym celu musiałbym się jednak zapisać do Partii, co mnie zniechęciło. Niedługo potem zająłem się pracą na Zamku w Książu, gdzie z liczną grupą uczelnianej kadry, prowadziłem jego renowację. Wyzwanie było poważne. Nie myślałem już wtedy o przyszłości na uczelni – wystarczało mi to, co robiłem.

– Pana twórczość jest bardzo oryginalna, dlatego interesuje mnie ten konkretny bodziec, który wpłynął na to, że ma ona właśnie taki kształt. Jest wyjątkowa, bo trafia nawet do ludzi, którzy w ogóle się na sztuce nie znają.

– Nigdy nie próbowałem powielać żadnych wzorców. Nawet jeśli w którymś momencie byłem mocno przekonany do czyjejś twórczości, to miałem do niej zawsze osobiste podejście. Jeden z moich profesorów, Stanisław Horno-Popławski, preferował rzeźbę kamienną, ciężką. Robił w otaczarkach bryły o bardzo zsintetyzowanych, zatartych, wręcz lapidarnych formach. I pewnie oczekiwał ode mnie czegoś podobnego. Ale ja wciąż pytałem tylko: – Czy tak na pewno musi być? Zawsze mówił, że rzeźba powinna mieć powagę materii i przesłania. Wtedy mnie korciło, by zapytać: – Co znaczy „musi” czy „powinno”?

Niedawno, po latach, już jako leciwy starzec, zobaczył moją rzeźbę balansującą, poklepał mnie po ramieniu i stwierdził: – A jednak wymajstrowałeś coś, wymajstrowałeś!

Chcę przez to powiedzieć, że realizuję siebie. Coś we mnie siedzi, coś mnie pcha, a poza tym bywają jeszcze dodatkowe inspiracje: czasem jakaś książka..., jakaś wystawa, z którą chciałbym się zmierzyć, „porozmawiać”. To taki dialog poprzez formę, dialog poprzez ideę.

– Praca nad cyklami: „Zreanimowani”, „Chwiejni”, „Z odciągami” przypadła na lata 80. W jaki sposób radził sobie Pan z wyrażaniem swojego światopoglądu artystycznego w burzliwych latach napięć społeczno-politycznych?

Bywało różnie. Część artystów zesłała całkowicie do podziemia, wystawiała w kościołach i w obiektach zamkniętych. Ja postanowiłem zastosować otwartą krytykę i mówić wprost. Mam dość przekorną naturę, dlatego w którymś momencie pomyślałem, że trzeba spróbować wystawić gdzieś sztukę publicystyczną. Niektóre galerie działały, więc wystarczyło jeszcze nadać tym rzeźbom trochę inną formę. Udało mi się zrobić kilka wystaw indywidualnych i czuję, że cenzorzy po prostu się nie zorientowali albo zwyczajnie nie zrozumieli co one znaczą. Robiłem między innymi rysunki nitką. Były to, wykonane z gazy, popiersia kobiet w formie siatek na zakupy. W środku zawieszałem na przykład symboliczną wagę, świadka reglamentowanych zakupów lub nie do końca wykupione kartki na żywność. W którymś momencie ludzie zaczęli do tych siatek wrzucać pieniądze. Wydaje mi się, że była to sprawa pewnej solidarności.

Wykonywałem także ludzi-dzwony, bowiem zacząłem wówczas personifikować obiekty, a poza tym wyszedłem z założenia, że ludzie z SB działają często po omacku. Wiedzą, że coś dzwoni, tylko nie wiedzą w którym kościele. Wyrzeźbiłem na przykład kobietę-dzwon, którego sercem były nogi. Wszystkie rzeźby z tego cyklu miały zalapione usta, zakryte oczy albo skrupowane „serce”, żeby nie dawało dźwięku. A wielość tych dzwonów robiła niesamowite wrażenie.

Później, już podczas stanu wojennego, sporo było ludzi, którzy nie wiedzieli, co mają z sobą zrobić: okaleczeni, uwięzieni, zastraszeni... To oni dali początek rzeźbom rzeżącym i niestabilnym. Potrzeba im było bowiem odciągnięć, podpórek. Prawie równocześnie BWA w Częstochowie dostało stary budynek do zagospodarowania i ktoś próbował wystawić tam rzeźbę klasyczną, bardzo wysoką i szczupłą na małej podstawie. Jednak podłoże było zbyt miękkie, w wyniku czego rzeźba cały czas się kiwała. Robiono wtedy wszystko, żeby stała bez ruchu, co obudziło we mnie koncepcję stworzenia rzeźby ruchomej, a jako że istniało pewne niebezpieczeństwo wynikające z jej niestabilności, musiałem wyko-

rzystać odciągi. Miały one znaczenie nie tylko dla formy dzieła, ale również dla idei – były źródłem dodatkowej ekspresji.

Rzeźby te są bezpośrednimi przodkami *Balansujących*, ponieważ w momencie, kiedy odzyskaliśmy już naszą dzisiejszą wolność, wielu ludzi nie umiało się odnaleźć, dlatego zaczęli balansować. Przyjechał do mnie kiedyś przyjaciel, którego żona namówiła na handel kosmetykami Amway’a. Zacząłem się wtedy zastanawiać: – Co się z ludźmi dzieje? Niedługo potem znajomy profesor matematyki również usiłował namówić mnie na domokrąstwo – zjawisko, z którym wcześniej w Polsce się nie spotkałem. Obce mi były bowiem nagabywania przypadkowych ludzi. On natomiast nie wiedział już wtedy czy ma jeszcze uczyć, czy zająć się tylko handlem. I taki był właśnie mój balansjer – zawieszony między jedną a drugą rzeczywistością.

– Z jakich surowców zrobiony jest cykl „Balansujących”?

– W ich skład wchodzi głównie pyły metali kolorowych zanurzone w żywicy i oparte na konstrukcji z maty szklanej. Amerykanie nazywają je „syntetycznymi brązami”. Całość wypełniona jest konstrukcją metalową, która służy jako szkielet i balast zapewniający utrzymanie określonej pozycji.

– Czy faktycznie najtrafniejszą drogą do ich zrozumienia jest stwierdzenie, iż są one odzwierciedleniem teatru dnia codziennego oraz ludzi-aktorów, którzy biorą w nim udział?

– Różnie to bywa. W pewnym sensie tak. Jest jakaś reakcja i kontrreakcja. Jest widz i jest balansjer. Najczęściej są one jednak ekspozycją plastyczną, ale tworzą również akcje i spektakle, tworzą nowe wartości. Pokazywałem je zarówno w salach wystawienniczych, jak i na dworcu, w galeriach handlowych, na ulicach, w pasażach, w ogrodach, w halach zdrojowych, w teatrach... Obecnie w pewnych miejscach stają się pomnikami balansującymi, czyli stałymi rzeźbami miejskimi.

Zdarza się, że planując aranżację wystawy, tworzę swoisty spektakl. W Bydgoszczy na przykład, z okazji obchodów Roku Wyspiańskiego, zrobiłem abstrakcyjną rzeźbę balansującą w formie kuli wróżebnej. Ważną rolę odgrywał w niej promień słońca, który przeciskał się do środka, po czym odbijał się od umieszczonego wewnątrz zwierciadła. Wokół niej skupione były wszystkie balansujące postacie, ustawione na podobieństwo chocholego tańca z *Wesela*, kiedy to bohaterowie czekają zastygli aż obudzi ich złoty róg. Jeśli rzeźby te są wyniesione na zewnątrz, balansują na wietrze, natomiast w sali wystawienniczej zamierają dopóki ktoś nie spowoduje ich ruchu. Wówczas były one zawieszone na tyle nisko, że oglądający musieli wykonywać nietypowe zabiegi, aby przycisnąć się lub przejść pomiędzy linami i tym samym wprawiali rzeźby w drgania.

Natomiast w Muzeum Śląskim wyniknęła aranżacja sytuacyjna, ponieważ nie dane mi było pomalować ścian, które popękały po wielu latach eksploatacji. Dlatego zdecydowaliśmy się postawić rzeźby w pewnej ciemności i oświetlić każdą z osobna kilkoma kolorowymi reflektorami. Zabieg taki powoduje, że na ścianie powstają barwne cienie. W dodatku, jeśli reflektorki znajdują się poniżej przejścia człowieka, to zwiedzający również wtapia się w te same cienie, czyli publiczność gra własnymi cieniami z cieniami rzeźb. Zastosowałem jeszcze dodatkowe efekty plastyczne. Zrobiłem na rzeźbach bliki w postaci odbłaskowych fragmentów folii. Podobne jasne refleksy umieściłem na cieniach. Trzeba zdać sobie sprawę, że dwumetrowa rzeźba posiada – przykładowo – czterometrowy cień. Były one dobrze widoczne w momencie, kiedy nikt ich nie dotykał, natomiast gdy zaczynały balansować kolory ich cieni pozostawały niezmienione, a reszta barw przechodziła w inne miejsce. Jest to przykład jednej z wielu zabaw formalnych z wykorzystaniem ruchomej grafiki.

– Czy potrafiłby Pan powiedzieć na czym polega fatalizm tych rzeźb? Przecież nigdy nie ma pewności, że któraś z nich nie spadnie na ziemię...

– A mają taki? Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Wydaje mi się, że to publicyści i krytycy wymyślili taką nadinterpretację, bo kiedy napisali sobie, że „między ziemią a niebem”, to łatwo im było dodać, że „między życiem i śmiercią”, że... To są ich skojarzenia. Zawsze można dorobić sobie pewną ideologię, jednak mnie nie jest już ona potrzebna.

Właściwie najistotniejszym powodem dla którego są one zamieszczone w powietrzu jest fakt, że coraz częściej ludzie, którzy wystawiają moje rzeźby, chcą mieć z nimi jak najmniej kłopotu, dlatego zawieszają je wysoko na linie, żeby nie trzeba było ich pilnować.

Pewne dyskretne zabezpieczenia wymusili też na mnie BHP-owcy. Obecnie żadna rzeźba nie ma prawa spaść, chyba że hak się wyrwie. Początkowo jednak zakładałem, że jeśli ktoś zbyt mocno nią poruszy, to ona spadnie, dlatego pisałem: „Uwaga spada!”, „Uwaga balansuje!”, a także „Uwaga rzeźba!”. Niektóre akrobacje były niebezpieczne zarówno ideowo, jak i realnie. Mimo to pomyślałem, że zginąć pod rzeźbą to nawet lepiej niż pod tramwajem, a tramwaje przecież ciągle jeżdżą, i człowiek w zderzeniu z tramwajem mniej ma szans niż z tą rzeźbą. Ale i tak ostrzegałem.

– A jednak większość z nich zdaje się być triumfem człowieka – balansując walcząc z prawami ciężenia, przekraczając naturalne granice ludzkich możliwości, o czym świadczą ich niesamowicie zastygłe pozy.

– Modeluję swoich bohaterów już bez większych obciążeń, staram się jedynie realizować zamysł. Dopiero później, kiedy ustawiam ich na linie, okazuje się, że nie zawsze są posłuszni mojej woli, nie chcą się utrzymywać. Muszę im wtedy złamać kark, rękę lub nogę i w ten sposób przywołuję ich do porządku. Stają się chromi, nieco wypaczeni. Często zostawiam ich w takiej postaci, ponieważ naturalni ekwilibryści także ulegają kontuzjom, bywają wypaczeni, skażeni swoją profesją. Poza tym zazwyczaj jedynie w taki sposób udaje się ich ustawić we właściwej pozycji.

Kilkakrotnie próbowali mi w tych kwestiach pomóc matematycy, by po wyznaczeniu wektorów określić właściwy punkt lub punkty będące ośrodkami ciężkości. Nigdy im się to jednak nie zgodziło. I prawdopodobnie obliczenia takie nie są możliwe, ponieważ proces powstawania rzeźby balansującej ma kilka faz. Dlatego zdarzało się, że musiałem całkowicie odwrócić własną logikę, by osiągnąć cel. Chociaż i tak przyznaję, że do tej pory nie rozumiem niektórych swoich rzeźb.

– Czy istnieje jakieś podstawowe credo, które przyświecało Panu na różnych etapach kształtowania twórczości?

– Jeśli można to nazwać *credo* – na pewno kieruje mną pewien humanizm. Chcę, żeby moja twórczość była humanistyczna. Nigdy przeciwko człowiekowi.

– W takim razie jak wygląda człowiek w ujęciu Jerzego Kędziory? W jaki sposób i jakimi środkami ukazuje Pan meandry ludzkiego losu?

– Tworzę tak, jak żyję. Nad jednym się pochylam, z innego się wyśmiewam, trzeciego tylko portretuję. Żadnego kanonu postaci człowieka sobie

nie wytworzyłem. Patrzę przez pryzmat jego osobowości i sztuki. Raz pociąga mnie w nim forma, nawet jeśli jest ona tylko małym echem fizyczności. Kiedy indziej jego prehistoria, na przykład w cyklu pod tytułem *Rzeźbiance*, które stanowią stadium przejściowe między człowiekiem a ostańcem jurajskim.

Jak już wspominałem, personifikowałem także pewne przedmioty, między innymi: instrumenty, flagi, dzwony, pionki do gier i wiele innych.

Żyję ze swoimi rzeźbami tak, jak z ludźmi, obok nich, wśród nich – i moja twórczość tak się też do nich odnosi: karykaturuje, przedrzeźnia, portretuje, rozczula się nad nimi, reperuje...

– Czy to, co o Pana twórczości mówią recenzje jest prawdą? Czy podpisuje się Pan pod proponowaną w nich ideologią własnej sztuki?

– Wie pani... moim zdaniem istnieje czyjaś prawda, jakaś prawda i – jak mawiał Tischner – głównie prawda, lecz zapewne każda z nich ziarnko prawdy zawiera...

Rozmawiała Justyna Sikorska

Marek Karwala

Jerzego Kędziory poszukiwania *universum*



Jerzy Kędziora urodził się 5 IX 1947 r. w Częstochowie. Po ukończeniu w rodzinnym mieście Liceum Technik Plastycznych (1967), na kierunku metaloplastyka i biżuteria, podjął studia w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Gdańsku na Wydziale Rzeźby. Uczył się pod kierunkiem profesorów: Stanisława Horno-Popławskiego, Franciszka Duszeńki i Adama Smolany. W tym czasie współtworzył teatry plastyczne, projektował plakaty, za co otrzymał pierwsze nagrody i wyróżnienia. W latach 1974–76 prowadził renowację zamku w Książu na Dolnym Śląsku. Od 1977 r. zaczął pełnić rozliczne funkcje we władzach okręgowych i naczelnych ZPAP, nie zaniedbując zarazem swej pracy twórczej; do dziś prowadzi ożywioną działalność wystawienniczą.

Artysta ma w dorobku ponad 40 wystaw indywidualnych oraz udział w licznych ekspozycjach zbiorowych. Jego prace znajdują się m. in. w muzeach: Warszawy, Wrocławia, Częstochowy, Bydgoszczy, Oronska, Krakowa, Chorzowa, a także w Watykanie, Czechach, Belgii, Austrii, Francji, USA, we Włoszech. Do ważniejszych realizacji Jerzego Kędziory należy zaliczyć pomniki: Jana Pawła II (Kraków, Częstochowa), św. Jadwigi królowej Polski (Częstochowa), Jana Długosza (Brzeźnica); rzeźby plenerowe: „Magiczny totem” (St. Margarethen, Austria), „Uskrzydłona” (Trzynieć, Czechy), „Grę w kulki” (Norymberga, Niemcy).

Za swoją twórczość otrzymał kilkadziesiąt prestiżowych nagród artystycznych

Dorobek Jerzego Kędziory jest bardzo rozległy zarówno pod względem tematycznym, formalnym, jak i z powodu zastosowania określonej materii rzeźbiarskiej. Niektórzy próbują dopatrywać się w tym wpływów postmodernizmu, wydaje się jednak, iż jest to raczej skutkiem chłonnej i równocześnie otwartej natury artysty zainteresowanego różnymi przejawami życia człowieka, czy – szerzej – wystawianej permanentnie na próbę egzystencji. Twórca pragnie rozpoznawać obszary wartości, docierać do nich po to, aby je zgłębiać i nazywać dostępnymi sobie środkami wyrazu...

Kilka lat po ukończeniu studiów, na przełomie siódmej i ósmej dekady minionego stulecia, doskonaląc technikę odlewów w brązie artysta przyswoił również do swojego warsztatu kamionkę, drewno, kamień; sięgnął także po techniki malarskie. Stopniowo odchodził w tym czasie od czystej abstrakcji ku formom figuratywnym, antropomorficznym. Ten etap jego twórczości zbiegł się z wprowadzeniem stanu wojennego w Polsce; miewał wtedy spore kłopoty związane z ingerencjami cenzorskimi – np. z galerii w Chorzowie usunięto rzeźbę *Całun polski*, praca *Oswobodzona* nie została

dopuszczona na wystawę „Portret wojska” w Warszawie...

*

Do ważniejszych cykli tematycznych realizowanych przez Jerzego Kędziorę można zaliczyć: *Wieszaki dla...*, *Rozdarte Muzy*, *Rzeźby balansujące*, *Uniformy dowódcze*, *Przymiarką do Częstocha*, *Orszak Flory*, *Falszywych proroków*, *Ze szczeliny*, *Poczet postaci legendarnych, prehistorycznych i literackich*. Zapytany o ewentualną hierarchię wśród cykli artysta udzielił takiej odpowiedzi:

„Każdy z nich wywołany był jakimś bodźcem, skupiał tyle samo mojej uwagi, dawał satysfakcję i był powodem stresu. Z pozoru, lub nie tylko, cykle różni temat. Częściej są to różnice sięgające poziomu idei, strony wizualno-formalnej czy wręcz artystycznego wyrazu, artystycznej formuły. Jeżeli nie zawsze, to na pewno od dłuższego czasu moje poszukiwania krążą wokół człowieka, to one spajają całą moją twórczość. Interesuje mnie człowiek jako postać-figura, a także dotyczące go, i tym samym każdego z nas, ważne, fundamentalne sprawy i wartości. Wiąże się z tym sposób artykułowania właściwy dla danej serii rzeźb, raz mówię bardziej wprost, to znów na wyższym pięttrze uogólnienia. Przy czym uniwersalizm przesłania powinien mieć zawsze zastosowanie. Mają tu znaczenie takie czynniki, jak nastrój, kontekst sytuacyjny czy pilna aktualność danego problemu, który szuka twórczej wypowiedzi”¹.

Jak już zostało wspomniane we wstępie i na co w dużej mierze wskazują tytuły cykli – tematyka rzeźb Kędziory jest wielobiegunowa. Interesuje zatem artystę historia (potwierdzają to np. prace *Dwuwoj*, *Primulus*, *Wojowie wschodni*), mity i legendy (np. *Częstoch*, *Skarbnik Śląski*), pragnie przypomnieć znane postaci (np. *Jan Długosz*, *Uniform dowódczy* – aluzja do Napoleona Bonaparte’go), niektórym oddać cześć (np. *Jan Paweł II*, *Franciszkańscy święci*). W połowie l. 80. twórca odkrył ideę rzeźb „niestabilnych”, które określił mianem „balansujących” i kto wie,

może właśnie one prezentują się najbardziej oryginalnie w jego dorobku. Te i inne prezentacje przestrzenne umieszczone w plenerze – współgrając ze sobą, tworząc semantyczne asocjacje – sprawiają wrażenie parateatralnych akcji (warto przypomnieć, że już w czasach studenckich artysta interesował się teatrem).

Postaci balansujące to najczęściej cyrkowi akrobaci lub wyczynowi sportowcy, uczestniczący w wymagających niebywalej zręczności konkurencjach gimnastycznych. Są oni jakby zawieszani pomiędzy ziemią a niebem, znajdują się w trudnych sytuacjach, wymagających maksymalnego skupienia i uwagi; to co czynią grozi bowiem w każdej chwili upadkiem (niekiedy katastrofa staje się faktem – por. pracę *Upadły*). Metaforyka tych „chwijnych” rzeźb zdaje się odnosić do ludzkiej egzystencji – niepewnej, nieco groteskowej i niebezpiecznej. Znane jest powiedzenie „balansować na linie”, odnoszące się bezpośrednio do ludzkiej kondycji, które w tym przypadku zdaje się mieć czytelne uzasadnienie. Tu nawet Chrystus – skoro wybrał człowieczy los – dźwigając swój krzyż (drogę z zaznaczoną linią przerywaną) stąpa po linie (por. *Drogowskaz* – to jedna z bardzo wyrazistych prac Kędziory, nawiązujących do przesłania o krzyżu, który staje się zarazem drogą i drogowskazem).

Rzeźbiarz szczególnie chętnie sięga po kilka znaczących i mocno ugruntowanych w tradycji toposów: drogi, ogrodu, człowieka-aktora w teatrze życia i gniazda, przy czym ten ostatni pojmuje jako współuczestnictwo, wspólnotę, wspólny los, cel i wspólny kierunek podążania. Kędziorze zależy także na aktywizowaniu widza, którego pragnie zachęcić do przeobrażenia się właśnie we współuczestnika spektaklu istnienia. O swojej sztuce i o roli odbiorcy mówi m. in.:

„Pragnę, by moja sztuka była atrakcyjna, nie schlebiała zbyt wielu gustom, ale trafiała w te dobre. Myślę, że jest zrównoważona, to znaczy, że udaje jej się utrzymywać w rejonie między zbyt dużym bogactwem a ascezą, wybujałą ekspresją a zbytnią powściągliwością. Oczywiście doce-

Jerzy Kędziora



Drogowskaz



Z kotwicą



Pierwsza barwa



Opuszczony miecz



Akrobata



Przechodzący przez rzekę

niam stronę treściowo-tematyczną, lecz nie przeceniam jej na niekorzyść elementów formalnych. Robię rzeźby o wielu warstwach znaczeniowych i sugestywnej strukturze formalnej. Zależy mi, by widz wnikał kolejno w te warstwy, nawet jeżeli mam posłużyć się elementem zaskoczenia czy być może (...) gry. Bardzo zależy mi, by widz aktywnie włączał się w odbiór i przestanie moich rzeźb. Uciekam się dlatego do pewnych rozwiązań materiałowych i konstrukcyjnych”².

*

Około połowy lat 80. artysta „otworzył” swoje rzeźby. Oznaczało to przedostawanie się do ich wnętrza, przedzieranie się przez zewnętrzną powierzchnię bryły, wpuszczanie promieni światła – efekty okazały się zgoła interesujące. Wcześniej statyczne bryły weszły w stan ekspresyjnego „rozedrgania”; światło sprawiło, że powierzchnia stała się migotliwa i zaczęła się swoje „rozmałowować”³.

Zatem sztukę Jerzego Kędziory dałoby się chyba określić jako oryginalną odmianę ekspre-

sjonizmu figuratywnego z elementami tzw. akcji (szczególnie w asocjacjach rzeźb plenerowych i balansujących przy akompaniamentie światła). Można odnieść wrażenie, że artystę nie zadowala osiągnięcie zamierzonego efektu na poziomie tylko estetycznym, na poziomie gry z konwencjami czy testowania rzeźbiarskiej formy i materii. Patrząc na jego dzieła dochodzi się do wniosku, że przede wszystkim manifestuje on swe emocje, dzieli się pomysłami, wątpliwościami, lękami i nadziejami – wypowiada swoje wewnętrzne stany. Tym sposobem wpisuje się w wymiar, który w sztuce – niezależnie od chwilowych mód – jawi się jako cenny i uniwersalny.

Marek Karwala

¹ *Wokół jubileuszu. Z Jerzym Kędziorą rozmawia Piotr Głowacki*, [w:] *Jerzy Kędziora* (katalog), Częstochowa 2002, s. 34–35.

² Tamże, s. 37, 39, *passim*.

³ Por. A. Maciejowska, *Jerzemu Kędziorze – Jubileuszowo*, [w:] tamże, s. 16.

Marcin Kania

Antoni Euzebiusz Balicki – wykładowca krakowskiej PWSP

Kontakt Antoniego Euzebiusza Balickiego z krakowską Państwową Wyższą Szkołą Pedagogiczną to w istocie wydarzenie o charakterze epizodycznym. Umowy o pracę¹, podpisane pomiędzy Profesorem a władzami Uczelni – prorektorem Stanisławem Skalskim (w roku 1948) i rektorem Kazimierzem Piwarskim (rok 1949) – obejmowały cztery semestry nauki przypadające na okres od 1 listopada 1948 do 31 sierpnia 1950 r. i poświadczały zlecenie godzin dydaktycznych celem prowadzenia wykładów oraz ćwiczeń z zakresu historii teatru. A zatem, wobec bogatej i różnorodnej aktywności naukowo-dydaktycznej Balickiego, działalność na rzecz formującej się PWSP uznać należy jako zajęcie marginalne, pozbawione większego wpływu na biografię zawodową tego pedagoga.

Zaistniałą sytuację tłumaczyć można następująco – Balicki w chwili objęcia posady w gmachu przy ul. Straszewskiego 22 był już człowiekiem w wieku podeszłym (65 lat), nękanym problemami zdrowotnymi, obciążonym zarówno obowiązkami wykładowcy w Państwowej Wyższej Szkole Aktorskiej, jak i – epizodycznie – funkcją dyrektora tejże uczelni (od 1 września 1949 do 30 listopada 1949). Jednak praca ze studentami PWSP, mimo iż poświadczona niewielkim zbiorem dokumentów archiwalnych, stanowi pretekst, by choć w formie skrótowych informacji biobibliograficznych zaprezentować na łamach pisma dzisiejszej Akademii Pedagogicznej sylwetkę naukową tego krakowskiego teatrologa, dydaktyka, pisarza, publicysty, autora prac



Antoni Euzebiusz Balicki

z zakresu metodyki nauczania języka polskiego, słowem – człowieka, który całe życie odznaczał się wielką energią twórczą, niespożytą inwencją organizatorską oraz dobrym sercem.

Antoni Euzebiusz Balicki² urodził się 10 VI 1883 r. w Żniatynie – niewielkiej miejscowości położonej w dawnym dystrykcie lwowskim (powiat sokalski), jako syn Karola i Józefy, z domu Bakalarzówny – nauczycieli w miejscowej szkole ludowej. Ukończywszy szkołę elementarną w Krzyszkowicach został młody Antoni uczniem

Gimnazjum św. Anny w Krakowie (obecnie Liceum im. Bartłomieja Nowodworskiego), gdzie w latach 1895–1902 kształcił się pod kierunkiem takich m.in. nauczycieli, jak Kazimierz Nitsch, Jan Czubek, Ignacy Kranz, a także (krótko) Jerzy Żuławski. W roku 1902, po zdaniu egzaminu dojrzałości, rozpoczął Balicki studia w Uniwersytecie Jagiellońskim na Wydziale Filozoficznym. W dorosłe życie wchodził zatem pod kierunkiem wybitnych osobowości naukowych, spośród których wymienić należy: Stanisława hr. Tarnowskiego, Stanisława Windakiewicza, Jana Łosia, Kazimierza Morawskiego i Jerzego Mycielskiego. Środowisko krakowskiej *Alma Mater*, a także wpływ młodopolskiego Krakowa, działały na przyszłego krytyka teatralnego niezwykle inspirująco. Już na rok 1902 datuje się najstarsze zachowane świadectwo literackiej aktywności Balickiego – przekład z języka niemieckiego cyklu pieśni Adelberta von Chamisso (1781–1838): *Frauenliebe und Leben* (rękopis w posiadaniu rodziny), którego jednak początkujący tłumacz nigdy nie opublikował. Kilka miesięcy później, 1 marca 1903 r., mocą przychylnej decyzji c.k. komisarza policji w Krakowie, został Balicki „wydawcą i właścicielem” dwutygodnika „Przyszłość” – pisma, które w zamysłu osób je powołujących miało propagować „naukę, literaturę i sztukę”, z „wykluczeniem artykułów o treści politycznej”. Już w pierwszym numerze periodyku młody redaktor pozostawił trwały ślad swej artystycznej obecności – wiersz *Dzwon*, dedykowany stryjowi – księdzu Janowi Balickiemu.

Lata 1904–1905 okazały się okresem intensywnej współpracy autora z redakcją pisma „Echo Przemyskie”. To właśnie na łamach tego tytułu przyszły dydaktyk ogłosił cykl szkiców: *Bolesław Śmiały i Święty Stanisław w poezji polskiej*, tam także znalazły miejsce debiutanckie próby: literackie, krytycznoliterackie i translatorskie – sugerujące kierunki dalszego rozwoju zainteresowań ich twórcy.

Jako badacz – poszukiwał i znajdował. W listopadzie 1904 r. opracował wstęp do pierwsze-

go wydania *Żywota starego żołnierza* – poematu pióra Teofila Lenartowicza, wydobytego z zapomnienia właśnie staraniem ambitnego studenta. Około roku 1905 Antoni Balicki przyjęty został do grona redaktorów „Przeglądu Polskiego”. Pierwszymi publikacjami młodego adepta pióra stały się: *Zaraza w Atenach* – tłumaczenie fragmentu VI księgi poematu Lukrecjusza *De rerum natura* („PP” t. 156, s. 435–440) oraz recenzja cyklu epickiego Vernera von Heidenstama (1859–1940) *Karolińczycy*. („PP” t. 156, s. 536–537). Nie były to jednak publikacje ani przypadkowe, ani – tym bardziej – incydentalne. Z uwagi na fakt, iż redakcja miesięcznika już od dłuższego czasu nie posiadała stałego sprawozdawcy „Kroniki Teatralnej” (po rezygnacji Feliksa Konecznego, rubrykę przejmowali kolejno: Adam Grzymała-Siedlecki, Józef Flach, Zygmunt Stefański, marginalnie – znów F. Koneczny i jednorazowo Stanisław Tarnowski), dział ten – od kwietnia 1907 – powierzono właśnie Balickiemu. Ogółem, w przeciągu dziewięciu lat pracy redakcyjnej (1905–1914) Balicki opublikował na łamach stańczykowskiego periodyku ponad 120 recenzji książkowych oraz cykl około 60 obszernych sprawozdań teatralnych. Jako krytyk literacki opiniował m.in. utwory A. Gruszeckiego (*Bojownicy, Kolejarze, Światłodawcy*); K. Makuszyńskiego (*W kalejdoskopie, Dusze z papieru*), M. Rodziewiczówny (*Rupiecie*), A. Szymańskiego (*Z jakuckiego Olimpu, Aksinija. Opowiadanie z życia moskiewskiej Lechji*), A. Struga (*Jutro*), lecz nie tylko... Jako widz i komentator przejawiał szczególne zainteresowanie scenicznymi adaptacjami sztuk S. Wyspiańskiego, a także wznowieniami dzieł dramatycznych z okresu romantyzmu, zwłaszcza J. Słowackiego i Z. Krasińskiego. Swym piórem i doświadczeniem redakcyjnym wspierał również istniejący od maja 1908 r. miesięcznik „Straż Polska”. Dla potrzeb tego pisma stworzył m.in. satyryczno-prześmiewczy cykl *Ukochane Muzy Nasze*, tj. „zbiór dzielnie napisanych felietonów, chłoszczących [tytułowe Muzy] Arcyksiężną Apatię, Pannę Błagę, Katarzynę Projektowiczową, Amarylis Sobiepannę [...]”³.

Kolejną, oprócz teatru i literatury, wielką pasją A. Balickiego była działalność dydaktyczna. 1 września 1906 r. autor wszedł w skład grona pedagogicznego III Gimnazjum Państwowego im. Króla Jana Sobieskiego w Krakowie, przyjmując stanowisko nauczyciela języka polskiego. Okres 1906–1914 wyróżnił się jednak nie tylko intensywną pracą z młodzieżą ale także zbiorem wysokiej jakości opracowań polonistycznych. Spośród nich wymienić należy tytuły: *Cyprian Kamil Norwid* (1908), *Czytanie i objaśnianie utworów lirycznych* (1911)⁴, *Zygmunt Krasiński w setną rocznicę urodzin* (1912) oraz *Ku czci Zygmunta Krasińskiego* ([1913]). Szeroki rezonans krytyczny wzbudziła wydana w roku 1905 książkowa wersja szkiców o obecności w poezji polskiej postaci Bolesława Śmiałego i św. Stanisława ze Szczepanowa. Opinie o dziele, ostrożne, lecz w przewadze życzliwe, znalazły się na łamach m.in. „Przeglądu Polskiego”, „Pamiętnika Literackiego”, „Książki” „Muzeum”, „Słowa Polskiego”, oraz – dwukrotnie – „Przeglądu Powszechnego”.

W roku 1908 nakładem Spółki Wydawniczej Polskiej ukazała się pierwsza (z dwóch) powieść Balickiego: *Dla ludzi. (Luźne karty współczesnego rękopisu)*. Przychylnie przyjęta przez krytykę (Józef Flach dowodził nawet: „*Dla ludzi* jest pierwszym, zdecydowanym neoromantycznym romansem polskim.” „PP” 1908, t. 167, s. 166–168.) w roku następnym (1909) doczekała się fabularnej kontynuacji. *Chaos* – bo tak brzmiał tytuł dalszych losów głównego bohatera: Juliusza Żniatyńskiego – w rezultacie pozostał jednak tekstem zamykającym beletrystyczną twórczość Balickiego. Przyjęty przez krytykę źle⁵ albo przemilczany, odszedł w zapomnienie jako nieudana próba odnowienia raz wykorzystanych wątków powieściowych. Po roku 1909 autor zamilkł jako pisarz, poświęcając się całkowicie pracy publicystycznej, dydaktycznej i popularyzatorskiej.

Lata 1914–1917 stały się okresem wzmocnionej peregrynacji autora. Balicki przez pewien czas przebywał w Wiedniu, gdzie prowadził za-

jęcia w Zakładzie Naukowym dla Polskich Szkół Średnich. Również w Wiedniu, dnia 24 stycznia 1915 r., w Parafii Świętego Urłyka, pojął za żonę Zofię Marię de Bużenin-Mniszek, córkę Mieczysława Bolesława de Bużenin-Mniszka i Marii Anny Rozalii de Bołoż-Antoniewicz. Na stałe do Krakowa powrócił dopiero z początkiem 1917 r., by ponownie objąć posadę nauczyciela w Gimnazjum im. Jana Sobieskiego; już jednak (od 30 VI tegoż roku) w randze c.k. profesora. W burzliwym okresie światowego konfliktu Balickiemu udało się opublikować zbiór poezji patriotycznych różnych autorów *Poezje wybrane 1914–1916*, który nadto opatrzył wstępem.

W okresie dwudziestolecia międzywojennego, w wyniku pracy nauczycielskiej prowadzonej od 1919 r. w Akademii Handlowej w Krakowie, rozwinął Balicki zainteresowania problemami dydaktyki języka polskiego w szkolnictwie zawodowym⁶. Pokłosiem rozważań stał się cykl publikacji z zakresu pedagogiki oraz kształcenia literackiego. Należą doń następujące pozycje: *Osoba wychowawcy i jego zadania. Odbitka ze sprawozdania szkoły Ekonomiczno-Handlowej w Krakowie za rok 1931* (1931), *Z zagadnień życia szkolnego* (1932), *Godziny polskiego. Garść uwag na temat nauczania języka polskiego w średnich szkołach zawodowych* (1934) oraz *Nauka języka polskiego w Gimnazjum Kupieckim (z uwzględnieniem przebiegu lekcji) Klasa I-sza* (1936).

W latach II Rzeczypospolitej Balicki zajął się także organizacją i popularyzowaniem teatru szkolnego, powstałego i kształtowanego w Krakowie z inicjatywy Juliusza Osterwy⁷. W roku 1928 wystawił przygotowaną przez siebie translację XVII-wiecznego widowiska Jana Jurkowskiego *Tragedia o polskim Scylurusie*, angażując doń jako aktorów młodzież gimnazjalną (w tym swoich synów: Władysława i Juliusza). Sporym sukcesem scenicznym okazał się dramat *Z żaka król. Ustępy ze starych kronik* – przygotowywany od października 1934 do końca marca 1935 przez uczniów Gimnazjum im. B. Nowo-

dworskiego (św. Anny), zaprezentowany na scenie Teatru im. Juliusza Słowackiego dnia 15 kwietnia 1935 r. Leon i Zygmunt Estreicherowie – uczestnicy i świadkowie przedstawienia, opisali je później jako „jedno z najefektowniejszych i najbardziej hałaśliwych wydarzeń” ich życia uczniowskiego⁸. Podobnie wysoką ocenę wystawił inscenizacji sam Osterwa⁹, który w następnych latach chętnie i często polecał ów program teatrom całej Polski.

Do 1939 r. Antoni Balicki opublikował jeszcze m.in.: poradnik dla uczniów: *Najnowsza polska pisownia (ze słowniczkiem)* (Kraków 1920), broszurę *Matce...* (Kraków 1929), szeroko komentowane przez krytykę literacką tłumaczenie z języka niemieckiego fragmentu dramatu S. Wyspiańskiego *Weimar 1829* (Kraków 1932), wybór kazań Piotra Skargi (zawarty w tomie *Skarga pośród nas*; 1936) oraz rozprawę *Uroczystości jubileuszowe w 350-lecie istnienia I Państwowego Liceum i Gimnazjum im. Bartłomieja Nowodworskiego pod wezwaniem św. Anny w Krakowie w dn. 19 i 20 listopada 1938* (Kraków 1938). Uzyskał także ministerialną zgodę na przygotowanie wypisów z literatury polskiej dla szkół zawodowych. Kłaska kampanii wrześniowej oraz czarna noc hitlerowskiego terroru sprawiły, że pracy tej nie ukończył.

Podczas okupacji Balicki prowadził naukę w Liceum Administracyjno-Handlowym w Krakowie, organizował także, z pomocą synów, tajne nauczanie.

Po wojnie autor *Dla ludzi* jeszcze intensywniej związał się z działalnością dydaktyczną na rzecz sztuki scenicznej. W marcu 1945 r. przystąpił jako wykładowca do otwartego przez Jerzego Ronarda Bujańskiego Studium Aktorskiego przy Starym Teatrze w Krakowie¹⁰, gdzie znalazł się w gronie znajomych i przyjaciół z lat przedwojennych – wykładali tam, m.in. Tadeusz Kantor, Zygmunt Leśnodorski, Juliusz Osterwa. 17 października 1946 r. Studium, wraz z dwiema innymi szkołami aktorskimi, uległo przemianowaniu na Państwową Szkołę Dramatyczną; cztery lata

później, rozporządzeniem z dnia 1 stycznia 1949 r., PSD otrzymała nową nazwę – Państwowa Wyższa Szkoła Aktorska, a także nowe władze, z Balickim jako wicedyrektorem. Od 1 września do 28/30 listopada 1949 r. Balicki pełnił także funkcję dyrektora tejże placówki. Był to jednak trudny okres w życiu dydaktyka. Postępująca choroba układu krążenia, spory wiedzione z ówczesnym aparatem politycznym – znaczne atakami na bezpartyjnych przedstawicieli krakowskiej inteligencji – oraz nieporozumienia, wynikłe w trakcie i po Ogólnopolskim Zjeździe Państwowych Szkół Artystycznych (24–31 października 1949 r.), doprowadziły do złożenia w dniu 28 listopada przez Balickiego dymisji z funkcji dyrektora placówki¹¹.

Epizodem – co zostało wspomniane już na wstępie niniejszego artykułu – okazał się pobyt Antoniego E. Balickiego na stanowisku wykładowcy krakowskiej PWSP. Jednym z ważniejszych dokumentów odnoszących się do osoby Profesora, to wypełniony jego ręką kwestionariusz osobowy o dacie dziennej 24 września 1948 r. Balicki pisał o sobie skromnie: „Służba w szkolnictwie od 1 września 1906 r. do bieżącej chwili. Od 1 września 1906 – 1 lutego 1919 w Państwowym III Gimnazjum w Krakowie. Od 1 lutego 1919 aż do dnia dzisiejszego w Akademii Handlowej, która to szkoła zmieniała często nazwę. Obecnie Liceum Administracyjno-Handlowe i Liceum Handlowe, [ul.] Loretańska 18. Oprócz tego wykładowca w Szkole Dramatycznej – Miejskiej, w latach 1925–1932; Państwowej Szkole Dramatycznej od roku 1945 aż po dzień dzisiejszy. Liczne wykłady na kursach a. świetlicowych b. pracy w grupach itp. Liczne prace drukowane itp.”¹².

Pogarszający się stan zdrowia oraz oddalenie od najbliższych, zmusiły małżeństwo Balickich do opuszczenia Krakowa. W ostatnich latach życia oboje zamieszkali w Warszawie.

Prof. Antoni Euzebiusz Balicki zmarł 12 V 1956 r. Pochowany został w rodzinnym grobowcu na Cmentarzu Powązkowskim (kw. 124, rz. 6, grób 29).

Był ojcem czterech synów, także zasłużonych dla polskiej kultury i dziedzictwa narodowego: Stanisława Witolda (1909 – 1978) – teatrologa, krytyka i eseisty; Antoniego (1914–1975) – ichtiologa; Juliusza (ur. 1911) – aktora, prawdopodobnie zmarłego w roku 1941 na terenie ZSRR; oraz Zbigniewa Józefa (1919–1999) – współzałożyciela Stowarzyszenia Księgarzy Polskich.

Antoni Euzebiusz Balicki pozostał we wdzięcznej pamięci licznych wychowanków, z których kilkoro – m.in. Zygmunt Leśnodorski, Tadeusz Kudliński, Marta Stebnicka, Beata Guzałska, Tadeusz Jurasz – pozostawili o nim pisemne wspomnienia.

Marcin Kania

Autor pragnie złożyć serdeczne podziękowania:

Pani Katarzynie Balickiej-Więckowskiej za możliwość wglądu w dokumentację życia i twórczości A. E. Balickiego oraz Panu mgr. Markowi Glogierowi (Archiwum AP w Krakowie) za pomoc związaną z badaniem i opracowaniem materiałów archiwalnych

¹ Akta osobowe Antoniego Balickiego: K-2/14, Archiwum Akademii Pedagogicznej w Krakowie. Tu: umowa nr 1721/48, z dnia 1 XI 1948, oraz umowa nr 1749/49 z dnia 1 IX 1949. Pierwsza zawarta została na okres od 1 XI 1948 r. do 31 VIII 1949, druga – od 1 IX 1949 r. do 31 VIII 1950.

² Zob. biogramy A. E. Balickiego zamieszczone w: „Kulturze i Społeczeństwie”, rok 1957, t. I, nr 3, s. 17 (autor biogramu – P. Grzegorzczak, biogram z cyklu: *Twórcy i badacze kultury zmarli w 1956 roku*); *Słownika badaczy literatury polskiej*, pod red. J. Starnawskiego, Łódź 1994,

s. 18–21 (autor biogramu – L. Słowiński); wydawnictwie jubileuszowym: *Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Krakowie w pierwszym piętnastolecu rozwoju 1946–1961*, pod red. M. Tyrowicza, Kraków 1965, s. 83 (autorzy biogramów – F. Kiryk i J. Zawistowski) oraz *Corpus studiorum Universitatis Iagellonicae 1850–1918. A–D*, pod red. Jerzego Michalewicz, Kraków 1999, s. 95–96 oraz *Bibliografię Literatury Polskiej „Nowy Korbut”*, t. 16, cz. I, *Literatura Pozytywizmu i Młodej Polski. Hasła osobowe T–Ż. Uzupełnienia haseł osobowych t. 13–15*, oprac. zespół pod kier. Z. Szwejkowskiego i J. Maciejewskiego, Warszawa 1982, s. 379–381. Niestety, aż trzy z wymienionych opracowań posiadają poważne błędy merytoryczne. ³ Zob. też: *Ukochane muzy nasze czyli miłość w kajdanach. Sensacyjna opowieść o dziewięciu totrzykach i Sherlocku Holmesie*, Kraków 1908, ss. 64.

⁴ A. E. Balicki, Cyprian Kamil Norwid [w:] *Sprawozdanie dwudzieste piąte Dyrekcji c.k. Gimnazjum III w Krakowie za rok szkolny 1908*, Kraków 1908, s. 1–41; Tenże, *Czytanie i objaśnianie utworów literackich (rozbiór „Echa kołyski”)* [w:] *Sprawozdanie dwudzieste ósme... za rok szkolny 1911*, Kraków 1911, s. 1–19.

⁵ Zob. recenzje książki: [Z. SARNECKI], „Gazeta Lwowska” 1909, nr 119, s. 3; W. WIECKI, „Przegląd Powszechny” 1909, t. 103 s. 279–280.

⁶ Por. Z. Budrewicz, *Kształcenie literackie w szkołach zawodowych w Polsce w 1918–1939*, Kraków 1994, s. 21–24.

⁷ J. Wroński, *Trzydzieści lat teatru szkolnego w Krakowie (1932 – 1962)* [w:] *Trzydziestolecie teatru szkolnego w Krakowie 1932–1962*, Kraków 1962, s. 19.

⁸ L. i Z. Estreicherowie, „Z żaka król” [w:] *Pół wieku wspomnień uczniów Gimnazjum im. B. Nowodworskiego (Św. Anny) w Krakowie*, Kraków 1938, s. 240.

⁹ *Listy Juliusza Osterwy*, Wstęp J. Zawieyski, zebrał E. Osterwianka, Warszawa 1968, s. 210.

¹⁰ *50 lat Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej im. Ludwika Solskiego*, pod red. Jacka Popiela, [t. 1], Kraków–Warszawa 1996, s. 12–23.

¹¹ Tamże, s. 18–22. Zob. też wspomnienie: B. Guzałska, *Absolwenci 1953 – Pasje i wybory* [w:] tamże, s. 46–47.

¹² Akta Archiwum AP, op. cit.

Zbigniew Janczulewicz

Jerzy Kubicz (1947–1998)

Mija dziesięć lat od śmierci Jerzego Kubicza – długoletniego pracownika naszej Uczelni, który pracę zawodową w charakterze kierowcy rozpoczął w roku 1971, kiedy jeszcze Uczelnia mieściła się w budynku przy ul. Straszewskiego 22.

Jurek był człowiekiem niezwykle dynamicznym i bardzo zorganizowanym. Oprócz wzorowego wypełniania obowiązków służbowych zawsze potrafił znaleźć czas dla innych, a także udzielać się społecznie na rzecz Uczelni. W latach 1984–1987 pełnił honory Członka Senatu WSP. Prywatnie był osobą powszechnie znaną i lubianą. Często podejmował się wyzwań logistycznych na rajdach i obozach studenckich. Mawiano: „Jak jest pan Jurek, to o zaopatrzenie można być spokojnym”. Któż nie pamięta różnego rodzaju akcji socjalnych, organizowanych przed każdymi świętami. Jerzy zawsze w nich uczestniczył i zawsze służył pomocą w ich przygotowaniu. W okresie ogólnych niedostatków u schyłku lat 80. umożliwiał zakupienie pracownikom trudno dostępnych produktów, m.in.: masła, wędlin, pomarańczy itp.

W wrześniu 1980 r. brał aktywny udział w proteście niezadowolonych z panującej wówczas sytuacji bytowej pracowników Uczelni nie będących nauczycielami akademickimi, aktywnie działał w zespole, który negocjował postulaty pracownicze z ówczesnymi władzami Uczelni. Podczas organizacji pierwszych uczelnianych struktur NSZZ Solidarność należał do tych, którzy tę „czarną robotę” robili wśród załogi. Po wprowadzeniu stanu wojennego czynnie uczest-



niczył w kolportażu zakazanych „bibuł”. Pracę tę z sukcesami realizował wśród wszystkich grup pracowników Uczelni i studentów¹.

Za swą nienaganną pracę zawodową oraz zaangażowanie społeczne Jerzy Kubicz odznaczony został w roku 1987 Brązowym Krzyżem Zasługi. Wielokrotnie był nagradzany przez władze WSP. Niestety – ciężka choroba przeszkodziła mu w dalszej działalności na rzecz Uczelni. Jurek zmarł 10 stycznia 1998 r., przeżywszy zaledwie 51 lat.

W pamięci przyjaciół i współpracowników pozostał na zawsze człowiekiem uczciwym, prawnym i wrażliwym na cudze cierpienie.

¹ Wg relacji Kazimierza Deca, współinicjatora i uczestnika tych wydarzeń.

Józef Liszka

Władysław Jastrzębski – bolesławski artysta

Listy są doskonałym źródłem do badania historii regionu. Przekonałem się o tym na podstawie posiadanej przeze mnie korespondencji z kilkoma, dzisiaj już nieżyjącymi osobami. Najchętniej z niej korzystam, jako ze źródła informacji – podobnie jak z wywiadów. Ludzie odchodzą na zawsze i często zabierają ze sobą cenne doświadczenia życiowe, wiedzę o regionie zdobytą z autopsji – wiedzę bardzo cenną. Z książek przechowywanych w bibliotekach, dokumentów w archiwach redakcyjnych mogą korzystać następne pokolenia nastające po nas, natomiast z niezapisanych informacji, po odejściu człowieka nikt w przyszłości nie skorzysta. Stąd znaczenie listu, jako dokumentacji historycznej o regionie jest ogromne, co postaram się uzasadnić na przykładzie kilkudziesięciu listów Władysława Jastrzębskiego.

Kim był Władysław Jastrzębski?

Trzynastego stycznia 2003 r. miałem okazję uczestniczyć w spotkaniu organizowanym przez Klub Przyjaciół Wieliczki noszącym tytuł „Władysław Jastrzębski (1906–1995) artysta-malarz-witrażysta”.

Władysław Jastrzębski urodził się w Sosnowcu, wychowywał w Bolesławiu. Częste kontakty miał z Bydlinem. Tam mieszkali jego dziadkowie (po kądzieli), tam też posiadali dworek z dobrami ziemskimi. Studia artystyczne ukończył w roku 1935 w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Był uczniem Józefa Mehoffera i Karola Fry-



Władysław Jastrzębski (1906–1995)

cza. W okresie międzywojennym trudnił się projektowaniem reklamy artystycznej, uprawiał grafikę książkową oraz malarstwo sztalugowe.

W kampanii wrześniowej był żołnierzem armii „Kraków”, okręg Bielsko. Po jej rozbiciu pod Tomaszowem Lubelskim i ucieczce z niewoli odnawiał polichromię w kościele bolesławskim. Podczas okupacji został aresztowany i wywieziony do obozu. Po zakończeniu wojny pracował przy odnawianiu fresków na Wawelu. W roku 1946 uczestniczył w odkrywaniu zabytkowych fresków w Opactwie Cystersów w Mogile. Wtedy także zajął się projektowaniem witraży. Wykonał ich w swym życiu ponad 1000. Znajdują się

one między innymi w 56 kościołach na terenie Polski, Stanów Zjednoczonych i Kanady. Jego prace były eksponowane na licznych wystawach krajowych i zagranicznych. Wystawiał też w sławkowskim muzeum, w Bolesławiu i Bukownie oraz w Olkuszu, gdzie pozostawił kilkanaście obrazów o tematyce regionalnej.

Za swą pracę artystyczną został uhonorowany Złotą Odznaką Związku Polskich Artystów Plastyków. W roku 1983 Władysław Jastrzębski otrzymał od Rady Państwa Order Polonia Restituta.

Nietypowa spuścizna po artyście

Znaczącą spuściznę po Władysławie Jastrzębskim stanowi pisemna korespondencja artysty z przyjaciółmi. Przygotowując artykuł o jego życiu i twórczości korzystałem z kolekcji kilkudziesięciu listów o objętości ponad 100 kartek formatu A4, zapisanych dwustronnie „maczkiem”. Listy W. Jastrzębskiego to wzór epistolografii. Pan Władysław dbał o treść i formę oraz estetykę, która wynikała prawdopodobnie z zamiłowania do piękna.

Treść listów wyrastała z patriotyzmu i tęsknoty do lat i do krainy młodości. Wyczuwa się w nich nadzwyczaj „lekką rękę”, siłę witalną autora i doskonałą pamięć. Artysta pisał dużo, czytelnie. Gdy musiał odpisać – czynił to natychmiast.

Myślę, że nie będzie przesady w twierdzeniu, że listy pana Władysława mają wartość historyczną dla Bolesławia i okolicy ze względu na ich treść i osobowość autora. Ich czytanie jest ciągłym odkrywaniem przeszłości jego „małej ojczyzny”, Bydliny, Olkusza, Bolesławia, Stawkowa oraz ich okolic.

Fragmenty autobiografii

Dziadek mój Pachlewski, ojciec mojej matki, kupił Bydlin gdzieś około 1870 roku od Zdarniewskich, których nagrobki znajdują się na cmentarzu w Bydlinie koło kaplicy cmentarnej. Rodzina, a ściślej mówiąc syn dziadka – Józef, który odziedziczył majątek, bardzo już

zredukowany w hektarach, wolał żyć w mieście i mając dobrą posadę w przemyśle w Zagłębiu, w końcu sprzedał resztę ojcowizny miejscowemu gospodarzowi, długoletniemu ekonomowi dziadka, w lecie 1914 roku, tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej.

[...] Przeżyłem niemało, dwie historyczne nawały dwóch światowych wojen. Przez Bolesław przeszły chyba wszystkie narodowości Europy! W 1914 roku za cofającą się spod Dębłina armią carską i królewską armią austriacką szli Czesi, Chorwaci, Niemcy, Rumuni, Węgrzy nawet Włosi, a w spieszącej się na pomoc podbitej armii „Kryperiarzy”, jak ich okoliczni mieszkańcy nazywali, zobaczyłem Bawarów, Prusaków. [...] Później w 1919 roku przez maj, czerwiec i lipiec stał w Bolesławiu Parc d'Artilerie hallerowski, gdzie większość szarż to byli Francuzi i to z różnych okolic Francji. Przebywając ciągle wśród nich nieźle zlapałem i wczułem się w język francuski. [...] Najazd hitlerowski ma jeszcze zbyt dużo świadków, by trzeba było grzebać w pamięci.



Witraż „Plk. Francesco Nullo 5 V 1863” wykonany według projektu Władysława Jastrzębskiego dla Muzeum Regionalnego PTTK w Olkuszu

Tęsknoty i ulubione zajęcia

Okropnie zazdrościłem licznym znajomym w mundurach jacy się zjawiali na czas świąt, między innymi kapralowi Kandziowi jak go wołaliśmy, Krajewskiemu, późniejszemu generałowi Wojska Polskiego. Memu bratu ciotecznemu Jankowi, który akurat wojował z Legią Akademicką w pociągu pancernym „Smok” pod Lwowem w trzydziestym pułku Strzelców Kaniowskich.

Ulubionym zajęciem pana Władysława w wolnych chwilach była praca w ogrodzie. Pisał kiedyś w liście do mnie: *Lato minęło półmetek, po naszych pracach w ogrodzie świecą wyekspl-*



Projekt witraża „Św. Jan z Kęt” dla kościoła parafialnego w Pełkiniach autorstwa Władysława Jastrzębskiego. Skala 1 : 10

atowane grządki po truskawkach, ogórkach i wszelkiego rodzaju fruktach. Cieszy mnie widok okazałych włoskich orzechów, na których świecą liczne kule dorodnych owoców.

[...] A jeśli o mnie chodzi, to jednak tkwią we mnie jakieś geny dziedziczne, bo moi pradziadowie to byli, o ile mi wiadomo, ziemianie z dziada pradziada! Dopiero moje pokolenie zmieniło charakter zawodowy!

O książkach ulubionych pisał: *Jestem „Żeromkistą” i z wielkim zainteresowaniem przeczytałem więc „Wspomnienia” Moniki Żeromskiej. Obecnie moim ulubionym pisarzem jest Melchior Wańkowicz, znakomicie ujmujący w swych książkach te wszystkie zagadnienia, które mnie drążą i bardzo chciałbym, by był czytany przez wszystkich. Lubię też Wyspiańskiego.*

Często w swych listach cytował Juliana Tuwima. W jednym z listów pisząc o swej starości przytoczył następujący cytat: „Starość nie jest tak straszna, straszne jest to, że będąc starym, jest się wciąż jeszcze młodym”.

Od siebie dodał: „W starości jest najbardziej smutne to ciągłe ubywanie rówieśników, z którymi już nie spotkam się i nie będę mógł zacząć rozmowy na temat: czy pamiętasz?” Wspominał też Aleksandra Fredrę i Normana Daviesa.

Ludzie z otoczenia artysty

Tak samo ludzie, którzy tam [w Bolesławiu – dopisek aut.] mieszkali i ci więksi i ci mniejsi, to był światek zamknięty w sobie (przed I wojną światową), bardzo barwny i ciekawy. I, co najważniejsze, stanowił wierne odbicie wszystkiego tego, co działo się w kraju. Region ten posiada jeszcze jeden ciekawy walor, a mianowicie jako sąsiadujący z Zagłębiem, Śląskiem, podlegał wpływom tych wielkich ośrodków przemysłowych, gdzie miejscowe tradycje rolnicze zmieniały się powoli, ale widocznie w okolicy było sporo ludzi, którzy odbywali służbę w wojsku rosyjskim i przynosili po odbyciu służby pewne obyczaje a nawet zo-

ny Rosjanki! I to wszystko krzyżowało się tworząc specyficzny klimat w środowisku... Ludzie, którzy żyli w Bolesławiu, działali, mieli wielki wpływ na urabianie sobie pojęć o życiu.

Już nie raz pisałem w listach o rodzinie Waśniewskich, ich synu Janku, który był moim serdecznym przyjacielem i przewodnikiem (mowa o literacie, autorze trylogii górniczej)... Miałem później w życiu szczęście w czasie studiów w ASP poznać tylu wybitnych ludzi, choćby rodzinę Żeleńskich, z którymi się żyłem będąc przez wiele lat projektantem witraży w ich zakładzie i spotkać u nich tyle osób związanych z „Młodą Polską”. Miałem okazję rozmawiać z „Isią z Wesela”, córką Włodzimierza Tetmajera.

Mój profesor Mehoffer, w którego pracowni w Akademii trzy lata pracowałem, Karol Frycz, też mój profesor, naówczas dyrektor Teatru Słowackiego, dali mi mnóstwo przeżyć...

Z okolicy Bolesławia znałem dwóch ochotników legionistów. Jeden, Józef Gołąb z Karnej – Hutek był oficerem (chorążym) i zginął w 1916 roku na Wołyniu. Bardzo zdolny rzeźbiarz, uczył się w Szkole Przemysłowej w Krakowie i tam zaciągnął się do Legionów. W 1934 roku w dwudziestą rocznicę wymarszu Kadrowki pożyczyła mi rodzina Gołębia jego fotografię i zrobiłem z niej portret, który wisiał w lokalu „Strzelca”, jako patron oddziału. Drugim Legionistą był Jabłoński z Tlukienki, ojciec licznej rodziny. Z jego synem Adamem przyjaźniłem się. Adam był plastykiem i robił piękne rzeczy w metalu. Jego dziełem są metalowe wrota w Katedrze Warszawskiej...

Z przyjemnością opowiem o rodzinie Gadomskich, bowiem przez szereg lat przyjaźniłem się z Romualdem - Romkiem mym rówieśnikiem a poza rym, wujostwo u których przebywałem też przyjaźnili się z jego rodzicami. Pan Stanisław Gadomski nadsztygar na Kopalni „Bolesław” wyróżniał się wówczas w swym obcowaniu zarówno swym sposobem bycia, wyglądem, budził respekt. To był człowiek „ze świata” jak o nim mówiono. Żonaty z Austriaczką

panną Jakobiną (też niezwykle imię) Schiffer, przechrzcianką Żydówką, której rodzina zapewne od dość dawna była katolicką, jej dwaj bracia byli wysokimi oficerami w carskiej, królewskiej armii, ona sama ogromnie kulturalna, bardzo religijna, była miłą i lubianą w towarzystwie. Mieli dwoje dzieci, córkę Olenę (Aleksandrę) i syna Romualda. Zajmowali cały dom stojący naprzeciw dawnej gminy, przed którym w ogrodzie znajdował się o dziwo dla tamtych czasów – kort tenisowy. Z otwartych okien często słychać było fortepian, na którym pani domu pięknie grała a ja bardzo lubiłem słuchać. Z Romkiem byliśmy nierozłącznymi przyjaciółmi i więcej przebywałem u niego, bardzo życzliwie przyjmowany przez jego matkę.

Pan Władysław w swych listach opisał liczne postaci znane z historii Polski. Nie sposób w artykule prasowym wymienić wszystkie. Warto jednak zacytować fragment listu o generale Hallerze.

„Gałązkę rozmarynu” oglądałem na premierze w Teatrze Słowackiego będąc w towarzystwie autentycznego „Strzelca”, który robił sławny marsz przez Ulinę Małą i miałem przyjemność gdzieś w 1937 roku razem z nim odbyć wycieczkę (przeze mnie zmontowaną) do Bydłina, Krzywopłotów, Strzegowej i Wolbromia. Do Uliny nie doszliśmy, bo trzeba było wracać do Krakowa, gdzie mój „Strzelec” – doktor Józef Haller był dyrektorem zakładu i wybitnym naukowcem. Jego żona – doktor medycyny, za czasów legionowych kurierka, przemiła i uroczą pani, której bracia też w Pierwszej Brygadzie wojowali (ułani Beliny), więc w takim towarzystwie przeżywałem ową premierę..., tego się nie da zapomnieć.

Przez całe życie kolegą Jastrzębskiego był Innocenty Libura – literat z Rybnika. Często wspominał Marię Płonowską – malarkę, której zawdzięczał swe upodobanie malarstwa. Posiadał kontakty z kolekcjonerami jej obrazów – państwem Kościńskimi oraz profesorem Ignacym Trybowskim, prezesem Pałacu Sztuki – Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie. Nierzadziej interesująco wspominał niezwykłą po-

stać kapłana – działacza, proboszcza bolesławskiej parafii z czasów okupacji hitlerowskiej, księdza Jana Skalskiego.

Po wystawie prac Władysława Jastrzębskiego w Sławkowie otrzymałem od artysty list następującej treści:

Bardzo mi szkoda, że nie mogłem być na otwarciu wystawy w Sławkowie, też mi bliskim mieście, bo moja siostra już nieżyjąca była nauczycielką i zastępcą kierownika szkoły po jego aresztowaniu i wywiezieniu do „koncentrata”... Poza tym znałem się też z Heniem Dobieckim, a nawet kolegowaliśmy w wojsku w 1926 roku w 2 pułku łączności w Jarosławiu. Z doktorem Niepielskim byłem w obozie w 1941 roku. No i na ostatku, Sławków był moim miejscem pamiętnym w 1939 roku, gdy się wyemknałem z transportu na stacji w Maczkach bardzo ryzykując, w słotną noc 1 listopada. Szedł cały pociąg oświetlony i napelniony oficerami do, jak się później dowiedziałem, Dzierżonowa (Woldenbergu), gdzie byłbym przesiedział wojnę w oflagu, a co mi się absolutnie nie uśmiechało i „wysiadłem” w biegu jadącego pociągu, by iść lasami od Maczek do mostu na Białej Przemszy w Sławkowie (kolejowego) i tam w kupie ściółki w lesie poczekać do dnia, by dostać się do siostry w Sławkowie.

Wszystkie wspomnienia o ludziach z kręgu pana Władysława zasługują na opracowanie monograficzne, zaś listy mogą posłużyć jako materiał źródłowy.

Ostatni rok życia artysty

Mimo podeszłego wieku pan Władysław był czynny i ciągle nad czymś pracował.

Dawniej starsi panowie, w moim wieku, siadywali w wygodnym fotelu, palili fajki, narzekali na prawdziwe lub urojone dolegliwości i taki obrazek wbił mi się za młodych lat w pamięć (...) Tymczasem, rzeczywistość w jakiej żyję jest tak odmienna, że śmiać mi się chce! Wprawdzie w mieszkaniu jest fotele i czasem w nim siaduję, zwykle krótko, bo brak czasu na takie przyjemności... Dobrze, że jeszcze mogę malować co mi dość wypełnia czas, poza tym czytam dawne książki, te z „mojej epoki”... Mnie teraz interesuje literatura faktu! Ale cóż! Tak jeszcze niedawno miałem grono kolegów, z którymi, mogłem dzielić się spostrzeżeniami z dziedziny sztuki, ale powymierali. Inni przyjaciele z PTTK, z którymi łączyła mnie praca w dziedzinie krajoznawstwa, narciarstwa itp. też się skończyli, bo albo odeszli na lepszy świat, albo jeszcze gdzieś żyją, to już zapomnieli o mnie, zniedołężnieli! Muszę więc wolne chwile spędzać samotnie i ponownie przeżywać to, co minęło. Dobrze, że ostatnie lata mojej ruchliwości dały mi możliwość poznawania wielu atrakcyjnych krajów Europy z Italią i Francją na czele, mam co wspominać i robić zapis z tego dla moich wnucząt i prawnucząt...

Władysław Jastrzębski zmarł w Krakowie 13 marca 1995 r., pochowany został w Wieliczce.

Józef Liszka

Literatura i źródła:

Liszka J., *Rozmowy z Władysławem Jastrzębskim o dawnym Bolesławiu*. [w:] „Bolesławskie Zeszyty Historyczne”, 1999, nr 8.

Listy Władysława Jastrzębskiego do autora artykułu z lat 1985–1995.

Kazimierz Kochman

Profesor Marian Jutisz

Profesor Marian Jutisz był wybitnym uczonym o światowej sławie, jednym z najwybitniejszych pionierów badań w zakresie neuroendokrynologii eksperymentalnej, bliskim współpracownikiem i przyjacielem wielu laureatów Nagrody Nobla, nauczycielem i wychowawcą wielu uczonych we Francji i na całym świecie, ale przy tym człowiekiem bardzo skromnym, życzliwym, humanistą, wielkim patriotą – polskim i francuskim oraz entuzjastą Zjednoczonej Europy

Profesor napisał o sobie: „Urodziłem się w dniu 13 kwietnia 1920 r. w Porohach (pow. Nadworna, woj. Stanisławowskie), dużej wiosce podkarpackiej w pobliżu źródeł Bystrzycy Solowińskiej, u podnóża Sywuli, najwyższego szczytu Gorganów, w rodzinie przedwojennego żandarma austriackiego, a po wyzwoleniu – policjanta polskiego”.

Uczęszczał, wraz ze swoją młodszą o dwa lata siostrą Eugenią, do czteroklasowej szkoły powszechnej w Porohach. W roku 1930 zdał egzamin wstępny do II Gimnazjum w Stanisławowie, mieszczącego się przy ulicy Kazimierzowskiej. Życie w bursie przy gimnazjum było dla niego bardzo trudne i często graniczyło z wielkim cierpieniem. Zawsze miał jednak w swej pamięci, jak mówił później, słowa ojca wypowiedziane do niego przed wyjazdem do Stanisławowa: „Słuchaj synku, pewnie będziesz musiał ciężko pracować, a może nawet i cierpieć, zanim zostaniesz wykształconym, porządnym człowiekiem. Nie zapominaj nigdy, że my z Mamą też musimy ciężko pracować i wyrzec się wielu rzeczy, aby ciebie wykształcić. Nie zmarnuj tego szczęścia, którego my nie doznaliśmy. Życzę ci, abyś w przyszłości miał więcej zadowolenia z twego zawodu niż ja”.

Po zdaniu matury w 1938 r. rozpoczął służbę wojskową w Szkole Podchorążych Rezerwy przy 48. pułku piechoty. Szkołę tę ukończył jako przy-



Profesor Marian Jutisz

mus, w randze plutonowego podchorążego. Jego przejście do cywila wyznaczono na koniec września 1939 r., co jednak – ze względu na rozwój wydarzeń politycznych – nie nastąpiło. W dniu 18 września Marian ze swoim oddziałem przekroczył granicę węgierską i został internowany w miasteczku Magyarowar. 15 marca 1940 r., pod przybranym nazwiskiem i z fałszywymi dokumentami przedostał się do Francji, gdzie został przyjęty do 14. Dywizyjnej Kompanii Przeciwpancernej Armii Polskiej. Kiedy przyszedł rozkaz zniszczenia broni i rozproszenia się, 21 czerwca wraz z polskimi kolegami przedarł się do Szwajcarii, skąd w styczniu 1941 r. prze-

wieziono ich przez Genewę do wolnej strefy francuskiej. Stamtąd żandarmeria francuska przetransportowała ich do Lyonu, gdzie został oficjalnie zdemobilizowany i otrzymał pozwolenie na pobyt we Francji. W Lyonie Marian rozpoczął trwające 3 lata studia w Szkole Chemii Inżynierskiej. W tym czasie uzyskał również dyplom z chemii fizycznej na Uniwersytecie, a w lipcu 1944 r. tytuł uniwersytecki magistra. W obawie przed Niemcami musiał opuścić Lyon i schronił się u francuskiej rodziny w Masywie Centralnym. Po wyzwoleniu południowej Francji powrócił we wrześniu 1945 r. do Lyonu, złożył egzamin końcowy w Szkole Chemii Inżynierskiej i uzyskał dyplom inżyniera chemii.

Po ukończeniu studiów w Lyonie, Marian został przyjęty do pracy w laboratorium prof. Claude'a Fromageota, znanego francuskiego biochemika. Jednakże w roku 1946 prof. C. Fromageot wyjechał do Paryża, gdzie objął Katedrę Biochemii na Uniwersytecie Paryskim. Opiekę nad pracą doświadczalną Mariana przejął dr Edgar Lederer. Badania Mariana przynosiły wspaniałe wyniki i już w marcu 1947 r. dr E. Lederer wysłał do „Nature” wspólną publikację, której Marian Jutisz był pierwszym autorem.

W 1946 r. został przyjęty jako stażysta do Centre National de la Recherche Scientifique (CNRS). We wrześniu 1947 r. Marian przeprowadził się do Paryża i podjął badania w nowym Instytucie Biochemii, mając jednocześnie dwóch opiekunów rozprawy doktorskiej: prof. C. Fromageota i prof. E. Lederera. Pragnąc zdobyć jak najwięcej wiedzy rozpoczął studia na Sorbonie, gdzie jesienią 1948 r. uzyskał dyplom z fizjologii i magisterium, dające prawo do prowadzenia zajęć dydaktycznych.

W ramach badań prowadzących do uzyskania stopnia doktora, prof. E. Lederer zaproponował następujący temat pracy: *Rozdział chromatograficzny aminokwasów i peptydów*. Pierwsze doniesienie o wynikach badań pt. *Zależności między zdolnością adsorbcyjną a powierzchnią tlenku glinu* M. Jutisz wygłosił na sesji Towarzystwa Biochemicznego 21 marca

1947 r. Razem z prof. Ledererem wprowadził więc po raz pierwszy chromatografię do badań naukowych we Francji i bez wątpienia byli oni pierwszymi na świecie, którzy zastosowali tę metodę do rozdziału aminokwasów i peptydów. Obrona pracy doktorskiej Mariana Jutisza na Sorbonie w listopadzie 1949 r. była wielkim wydarzeniem i sukcesem naukowym.

W latach 1949-56 w laboratorium prof. Fromageota Marian, wraz ze swoją grupą badawczą, prowadził doświadczenia nad określeniem sekwencji aminokwasowej białek, takich jak: lizozym, owomukoid i salmina. Razem z prof. Fromageotem i współpracownikami opracował nową metodę identyfikacji aminokwasów nie mających wolnej grupy karboksylowej przez specyficzną redukcję wolnych albo zestryfikowanych grup karboksylowych.

Marian Jutisz pracował przez 9 lat w Instytucie prof. C. Fromageota w Paryżu Laboratoire de Chimie Biologique de l'Université de Paris. W tym czasie poznał wielu wybitnych biologów, biochemików i chemików z całego świata, z których wielu było laureatami Nagrody Nobla. W 1956 r. prof. Robert Courrier, sekretarz Francuskiej Akademii Nauk, zaproponował M. Jutiszowi objęcie stanowiska zastępcy dyrektora Laboratorium w Collège de France w Paryżu. Po otrzymaniu Stypendium Rockefellera i listu z zaproszeniem od dr Choh Hao Li do pracy w The Hormone Research Laboratory na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley, Marian popłynął w lipcu 1957 r. do Stanów Zjednoczonych. Jeden z młodych kolegów, dr Philip Squire, pracował wówczas nad oczyszczaniem białkowego hormonu z przysadki LH do postaci jednorodnej, zgodnie z kryteriami fizykochemicznymi. Poprosił on Mariana o pomoc w udowodnieniu homogenności LH przy zastosowaniu chromatografii na kolumnie z celulozy, którą Marian stosował wcześniej do oczyszczenia owomukoidu. W wyniku tych doświadczeń otrzymano wiele składników białkowych, które były biologicznie aktywne. W ten sposób została stworzona koncepcja obecności polimorfizmu gonadotropin.

Po powrocie do Paryża, w 1958 r. Marian podjął się organizacji w Collège de France swojego nowego laboratorium o nazwie Laboratorium Morfologii Eksperymentalnej i Endokrynologii, w którym kontynuował badania rozpoczęte w USA.

Do laboratorium prof. Courriera wrócił na pewien czas ze Stanów Zjednoczonych dr Roger Guillemain (późniejszy laureat Nagrody Nobla) i razem z M. Jutiszem rozpoczęli wspólne prace nad izolacją czynnika uwalniającego LH (LRF, GnRH). W pierwszych dwóch publikacjach z Marianem Jutiszem jako pierwszym autorem przedstawiono dowód, że zarówno GnRH, jak i TRH są peptydami. Nieco później, w listopadzie 1963 r., Roger Guillemain opuścił laboratorium prof. Courriera przenosząc się do Houston w Stanach Zjednoczonych. Marian postanowił skoncentrować się na badaniu mechanizmu działania GnRH na komórkę przysadki, stosując otrzymany przez siebie prawie homogeny preparat tego neurohormonu. Już w 1966 r. udowodnił, że GnRH stymuluje nie tylko uwalnianie, ale także syntezę LH, a w 1970 r. wykazał, że jony wapnia i magnezu są istotne w uwalnianiu FSH i jego biosyntezy *in vitro*. W 1967 r. uzyskał przeciwciała przeciw owczemu LH i opracował radioimmunologiczną metodę oznaczania owczego LH.

Prof. Marian Jutisz był we Francji pionierem w zastosowaniu oznaczania radioimmunologicznego białkowych hormonów przysadki. W jego laboratorium otrzymano bardzo czyste preparaty owczego i bydlęcego LH, owczego i ludzkiego FSH oraz określono skład aminokwasowy owczego FSH. Przeprowadzono również badania nad polimorfizmem owczego i bydlęcego LH oraz jego podjednostek.

W 1965 r. Komitet Fizjologiczny CNRS zaproponował prof. Marianowi Jutiszowi stworzenie pracowni do otrzymywania białkowych hormonów przysadki owcy i bydła. Pracownia ta istniała przez 11 lat, najpierw w Collège de France, a później w Gif-sur-Yvette.

Jesienią 1964 r. prof. Marian Jutisz otrzymał nominację na stanowisko dyrektora de Recherche

w CNRS, a w 1970 r. decyzją władz CNRS został dyrektorem Laboratoire des Hormones Polypeptidiques w Gif-sur-Yvette, dokąd przeniósł się wiosną 1972 r. razem ze swoimi współpracownikami. Stanowisko to piastował do końca 1989 r., to jest do przejścia na emeryturę.

W 1972 r. dr Bernard Kerdellue otrzymał w tym Laboratorium przeciwciała przeciw syntetycznemu GnRH i opracował metodę radioimmunologicznego oznaczania GnRH w podwzgórze i innych tkankach. To przeciwciało zostało również zastosowane do lokalizacji GnRH w komórkach i zakończeniach nerwowych podwzgórza szczura metodą immunocytochemiczną. Mechanizm działania GnRH na komórkę gonadotropową przysadki badał także dr Raymond Counis, jego wybitny uczeń i obecny następca Profesora. Stosując techniki biologii molekularnej stwierdził, że GnRH stymuluje biosyntezę łańcuchów polipeptydowych LH oraz, że dwuacyloglicerole są wewnątrzkomórkowymi pośrednikami jego działania.

Należy również wspomnieć o szerokiej współpracy, rozległych kontaktach i wysokiej pozycji, jakie prof. Jutisz miał we Francji, na całym świecie, a także w Polsce. Na szczególne podkreślenie zasługuje współpraca z prof. Eugeniuszem Domańskim, z którego zespołem nawiązał bliską i długotrwałą współpracę, między jego laboratorium a Instytutem Fizjologii i Żywienia Zwierząt PAN w Jabłonnej. Wielu młodych naukowców z Instytutu w Jabłonnej pracowało w jego laboratorium w Gif-sur-Yvette (Kazimierz Kochman, Jolanta Polkowska, Ewa Wolińska-Witort, Alina Gajewska). Te kontakty naukowe i wspólne badania zostały oficjalnie uznane w roku 1975 przez zawarcie umowy naukowej o współpracy i wymianie naukowej między PAN i CNRS. Współpraca ta trwa do dziś; kontynuowana przez następcę Profesora, Raymonda Counis.

Prof. Marian Jutisz współpracował również z prof. Markiem Pawlikowskim i prof. Jolantą Kunert-Radek z Uniwersytetu Medycznego w Łodzi oraz z prof. Bogusławą Baranowską z Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego.

wego w Warszawie. Wysoko cenił sobie przyjaźń z prof. Zygmuntem Ewy z Akademii Rolniczej w Krakowie, prof. Włodzimierzem Ostrowskim z Akademii Medycznej w Krakowie, z prof. Stanisławą Stokłosową z Uniwersytetu Jagiellońskiego, z prof. Jerzym Vetulanim i wieloma innymi krakowskimi uczonymi. Był zawsze bardzo dumny z osiągnięć badawczych swej siostrzenicy, prof. Ireny Nalepy z Instytutu Farmakologii PAN w Krakowie.

W roku 1985 Profesor Marian Jutisz został wybrany na członka zagranicznego Polskiej Akademii Nauk, został także wyróżniony przez Polskie Towarzystwo Endokrynologiczne, które nadało mu godność członka honorowego. W roku 1996 otrzymał Medal im. Michała Oczapowskiego, nadany mu przez Wydział Nauk Rolniczych i Leśnych PAN.

Wielkość prof. Mariana Jutisza jest obecna w olbrzymim i wspaniałym dziele naukowym, które zostało przez niego wykonane, i w jego pragnieniu, aby było kontynuowane i rozwijane przez jego uczniów. Był wielkim humanistą i szlachetnym człowiekiem. Zawsze skromny i życzliwy wszystkim ludziom. Jego osobowość pozostaje dla nas wielkim wzorem i drogowskazem do naśladowania.

Prof. Marian Jutisz był wielkim patriotą francuskim i polskim oraz wielkim orędownikiem i entuzjastą Zjednoczonej Europy. W czasach trudnych dla Polski i polskiej nauki był zawsze z nami, niosąc konkretną pomoc, aby nasze badania odpowiadały poziomem pionierskim badaniom światowym.

Odszedł od nas na zawsze 18 sierpnia 2002 r. w Bad-Carnstadt w Niemczech w pełni sił, pozostawiając po sobie wielką pustkę.

Profesor był również człowiekiem bardzo rodzinnym. Szczególnie wzruszające są słowa syna Floriana pozostawione na grobie Profesora (w języku francuskim):

„Początkowo chciałem złożyć ostatni hołd mojemu Ojcu, ale po zastanowieniu się pragnę powiedzieć, że mam nadzieję, że ten hołd nie jest ostatni. Pragnę Wam powiedzieć o mo-

im ojcu widzianym moimi oczyma. Czuł się młodszy niż jego dzieci, a ja byłem wśród tej części ludzi, którzy najwięcej przebywali z nim przez te ostatnie lata, i myślę, że jestem odpowiednią osobą aby Wam o nim mówić.

To co przychodzi mi najpierw na myśl, kiedy wspominam mego Ojca, to wdzięk i czułość. Miałem szczęście mieć ojca, który był zawsze „do dyspozycji”, który dawał dużo miłości i zawsze był gotowy do wystuchania mnie. Mam dużo pięknych wspomnień, chwil szczęścia w gronie rodzinnym, a szczególnie w okresie letnim, myślę często o fantastycznych wakacjach z wyjazdami do różnych zakątków Europy naszą przyczepą turystyczną.

Mój ojciec przedstawia także dla mnie surowość naukową, postawę badacza niestrudzonego. Namietność dla swego zawodu pojętego o wiele głębiej niż zwykły sposób zarobkowania. Była w nim zawsze bardzo pozytywna filozofia istnienia, która pozwala rano podnosić się z łóżka szczęśliwym, podczas gdy dużo ludzi budzi się ze snu bez takiego zadowolenia z życia. Patrząc z perspektywy jego pracy, mój ojciec był w każdym prawie zakątku naszego globu. To było fascynujące, gdy o tym opowiadał, o jego przyjaciółach na całym świecie, przekazywał mi w ten sposób smak podróży i otwarcie ducha na innych ludzi i inne poglądy.

Mój ojciec to była również wieczna młodość, wielu ludzi mu tego zazdrościło, był kimś, kogo nie przerazał wiek, był zawsze w formie twórczej i opóźniał przez to chwilę swego odejścia.

Przedmioty z życia codziennego kojarzy się zwykle z osobami, które się kocha. Przedmiot który będzie mi zawsze przypominał i kazał myśleć o moim ojcu jest jego czapka starego wilka morskiego, którą nosił przy wszystkich sposobnościach, nawet gdy nie był na morzu.

Lata upływają, ale my zdajemy sobie sprawę z tego, co nasi rodzice zrobili dla nas – z wszystkiego tego co nam przekazują i prze-

sylają. Dzisiaj mam wielkie pragnienie, aby być podobnym do moich rodziców, i w szczególności do mojego Ojca”.

Kazimierz Kochman

Literatura

R. Counis, *M. Marian JUTISZ, un neuroendocrinologiste éminent et un des fondateurs de la Société de Neuroendocrinologie*. „Bulletin de la Société de Neuroendocrinologie” 2003, s. 21–23.

K. Kochman, *LAUDATIO to Professor Marian Jutisz, outstanding scientist, great humanist and patriot, on his 80th Anniversary*. „Neuroendocrinology Letters” 2000 nr 21, s. 353–354.

Kochman K., *Profesor Marian Jutisz (1920–2002) – wybitny neuroendokrynolog, humanista, wielki patriota polski i francuski*. „Nauka” 2006 nr 4, s. 143–150.

Le Professeur Marian Jutisz, neuroendocrinologiste éminent et l'un des fondateurs de la „Société de Neuroendocrinologie”. *Kazimierz Kochman*. „Annales de Centre Scientifique de l'Académie Polonaise des Sciences à Paris”, vol. 9, s. 139–149, Varsovie-Paris 2006.

Dorota Oramus

Jezuici – niesamowity zakon i jego zbiory

31 maja 2007 r. w Instytucie Historii Akademii Pedagogicznej miały miejsce III Warsztaty Historyczno-Archiwalne. Dr Andrzej Paweł Bieś SJ, dyrektor Biblioteki Naukowej Księży Jezuitów w Krakowie przedstawił historię zakonu ze szczególnym uwzględnieniem zasobów archiwalnych będących w posiadaniu Towarzystwa Jezusowego. Uroczystego otwarcia Warsztatów dokonał ich pomysłodawca Dziekan Wydziału Humanistycznego prof. Kazimierz Karolczak. Organizatorem była – tradycyjnie – Katedra Historii XIX wieku

A by tradycji stało się zadość, z uporem i pasją, kierując się słowami niemieckiego powieściopisarza T. Fontane: *Odwaga jest dobra. Wytrwałość lepsza*, po raz kolejny Instytut Historii miał zaszczyt gościć wybitnego naukowca, któremu nieobce są sekrety małopolskich i rzymskich archiwów.

„W odróżnieniu od innych mnichów jezuitów nie mieli klasztorów, ubierali się w zwykłe ubrania i zachowywali się tak, aby niczym nie zdradzać swojej przynależności do zakonu. Przebiegły, wiecznie mający się na baczności jezuita ze swoim przemitym głosem i schlebającym uśmiechem, potrafił jak żmija wśliznąć się w najwęższą szczelinę. [...]”. Kontrowersyjny fragment pochodzi z podręcznika szkolnego dla polskiej młodzieży w ZSRR *Historia wieków średnich*, J. Agibałowej i G. Donskoja wydanego w Kownie w 1975 r.¹ Jeszcze w dzisiejszych czasach Towarzystwo Jezusowe wzbudza wiele kontrowersji; przez wieki historia jezuitów była owiana aureolą prawdziwych i pozornych tajemnic, jednak zawsze w dyskusjach docenia się niezwykłą wiarę wojowników Chrystusa. Energia i rycerska odwaga została im przekazana przez walecznego Baska – św. Ignacego Loyolę (1491–

–1556), który w czasie obrony Nawarry przed najazdem wojsk francuskich w 1521 r. został poważnie ranny w nogę i to zaważyło na całości jego życia. Podczas rekonwalescencji i kilkumiesięcznego unieruchomienia oraz z braku interesującej rycerza literatury, w rodzinnym zamku w Loyoli przeczytał *Złotą legendę* Jakuba de Volragine’a oraz *Życie Chrystusa* Ludolfa Kartusza, co zapoczątkowało proces jego nawrócenia. Alchemia słowa stała się kamieniem węgielnym pod wielkie dzieło ze sztandarowym hasłem *Ad maiorem Dei gloriam*. Studia na Sorbonie i zawarte tam przyjaźnie połączyły grupę młodych mężczyzn, którzy 15 sierpnia 1534 r. udali się w podróż do małej kapliczki na zboczu Montmartre w Paryżu, aby złożyć śluby poświęcenia się pracy apostołskiej w Ziemi Świętej. Takie były początki zakonu; jednak po nieudanej próbie wyjazdu oddali się do dyspozycji papieża Pawła III, który w 1540 r. bullą *Regimini militantis Ecclesiae* zatwierdził konstytucję przyszłego Towarzystwa Jezusowego (z ang. SJ *The Society of Jesus*). Podstawą duchowości, która do dzisiaj jest swego rodzaju metanoi, stały się *Ćwiczenia duchowe* pisane i udoskonalane w ciągu całego życia założyciela.

Rozwój zakonu przebiegał bardzo szybko. Jezuici działali na całym świecie, prowadząc szkoły, kolegia, uniwersytety. Poświęcali się szeroko rozumianemu apostołstwu, przez katechizowanie, spowiedź, prowadzenie misji, kierownictwo organizacjami katolickimi, Sodalitcjami Mariańskimi, pełnili obowiązki kapelanów więziennych i szpitalnych, poświęcali się opiece nad ludnością wszystkich stanów. W XIX i XX w. zajęli się propagowaniem katolickiej etyki społecznej, podjęli próbę spotkań ekumenicznych, tworzyli chrześcijańskie związki zawodowe oraz odznaczali się wybitnymi osiągnięciami w świecie nauki. Na wszystkich polach wiedzy posiadali i posiadają jezuici swoich wybitnych przedstawicieli. Na liście zasłużonych znajdują się nazwiska osób z całego świata. Polacy również mieli swój istotny wkład w rozwój zakonu na rodzinnej ziemi oraz na różnych kontynentach².

Pierwsi jezuici przybyli na Warmię w 1564 r. i otworzyli kolegium w Braniewie. W czasie rządów Stefana Batorego zanotowano energiczny rozwój zakonu, powstało 10 kolegiów w Polsce, na Litwie, Inflantach oraz w Siedmiogrodzie. W roku 1608 nastąpił podział, utworzono prowincje polską i litewską. Wiek wielkich XVII-wiecznych wojen spowodował duży ubytek ludności, w tym jezuitów, oraz zniszczenia materialne. Po „wojnie północnej” nastąpiły lata spokoju, a wskutek rozwoju, dokonano kolejnych istotnych zmian. W 1755 r. Kongregacja w Rzymie podjęła decyzję o podziale na 4 prowincje, za które był odpowiedzialny asystent urzędujący w mieście św. Piotra. W chwili kasaty zakonu w 1773 r. było 2341 jezuitów, 56 kolegiów, 20 rezydencji i 65 stacji misyjnych. Po ogólnej kasacie, Białoruś stała się jedynym legalnym ośrodkiem jezuickim. Kto by pomyślał, że prawosławna Rosja odważy się poprzeć jezuitów? Polityka carycy Katarzyny II i Pawła I zwracała się ku klerowi w celach wychowawczo-edukacyjnych. Idylla nie mogła trwać długo, albowiem w Rosji *każdy człowiek otrzymuje swoje miejsce z łaski panującego* [...]. *Tutaj właściwie życie należy do*

władcy: los, siła, wola całego narodu mieszczą się w jednej głowie [...]”³. Memorandum Aleksandra I z 13 marca 1820 r. zabraniało jezuitom wstępu na teren monarchii rosyjskiej. Wygnano ich z całego Imperium Rosyjskiego, tylko nielicznym udało się zostać i pracować na misjach do 1827 r.⁴ Schronienie, po ciężkich pertraktacjach z cesarzem uzyskali na terenach Galicji, aby w 1827 r. na drodze prawnej uzyskać zgodę na rozwój działalności duszpasterskiej. Pędzącego intelektualnego pociągu już nikt nie był w stanie zatrzymać. Jezuici dzięki wytrwałej pracy, szczególnie wśród ludności rzymsko- i greko-katolickiej zyskują sobie prestiż i uznanie. W 1867 r. otwarto kolegium ze studiami teologicznymi, a pięć lat później Wydawnictwo Apostołstwa Modlitwy w Krakowie. Zasięg kultury zachodniej był tak daleki, jak daleko funkcjonowały ośrodki jezuickie. Kolegia organizowały życie naukowe połączone z elementami edukacyjnej rozrywki, która była realizowana przez teatry oraz dysputy filozoficzno – teologiczne w prowincjach z dużym odsetkiem ludności innego wyznania. Wymiany poglądów wywoływały walki słowne, które budziły powszechne zainteresowanie⁵.

Towarzystwo Jezusowe kształciło elity intelektualne w Rzeczypospolitej Obojga Narodów, jezuici kontynuowali badania naukowe w Polsce pod zaborami, w dwudziestolecu międzywojennym, w latach powojennych. Także dziś są godnymi naśladowcami swoich współbraci. Działalność naukowa polskich jezuitów skoncentrowana jest na wielu dziedzinach nauki, włączając w to ogromny dorobek na rzecz kultury. Twórczość Adama Naruszewicza, „uczonego biskupa” jak określił jezuitę Ignacy Krasicki, koncentrowała się na poezji oraz historii. W latach 1780–1786 ukazała się siedmiotomowa *Historia narodu polskiego*, natomiast gromadzone źródła znajdują się w tzw. *Tekach Naruszewicza*. W celu realizowania planów edukacyjnych i wydawniczych powstało w 1775 r. Towarzystwo do Ksiąg Elementarnych, powołane przez Komisję Edukacji Narodowej. Do zaszczytnego gremium

należało 10 jezuitów, w tym czterech uczonych zajmujących się naukami humanistycznymi: Jan Chrzyciel Albertrandi – historyk, publicysta, redaktor i wydawca *Zabaw Przyjemnych i Pożytecznych* oraz założyciel Towarzystwa Przyjaciół Nauk w 1800 r. Współpracował z nim Józef Koblański, który również zajmował się naukami historycznymi. Podobnie jak Adam Jakukiewicz, profesor historii w Szkole Rycerskiej i wizytator szkół Komisji Edukacji Narodowej oraz Grzegorz Książewicz, który odznaczył się nie tylko jako historyk, ale również jako twórca nowej metody upraw. Walory intelektualne jezuitów doceniał także król Stanisław August Poniatowski, w sławnych obiadach czwartkowych uczestniczyło wielu intelektualistów, m.in. wspomniany A. Naruszewicz, znakomity komediopisarz polskiego Oświecenia Franciszek Bochomolec, twórca polskiej terminologii matematycznej Andrzej Gawroński, ponadto Ignacy Nagurczewski, Grzegorz Piramowicz, Karol Wyrwicz i Stefan Łuski. Wiek walki o swoją państwowość był dla Towarzystwa Jezusowego próbą odnalezienia się w nowej rzeczywistości. Uczni XIX-wieczni nadali nowy kierunek badań, próbując sprawiedliwie ocenić wkład jezuitów do nauki, kultury i edukacji. Stanisław Załęski SJ – autor dzieła kontrowersyjnie zatytułowanego *Czy jezuiti zgubili Polskę?*, spowodował jednocześnie wzrost zainteresowania czytelników wielobiegową działalnością Towarzystwa Jezusowego. Jedną z wybitniejszych postaci przełomu XIX i XX w. jest Stanisław Bednarski SJ, którego *Upadek i odrodzenia szkół jezuickich w Polsce* oparty na bardzo bogatym zagranicznym materiale źródłowym został nagrodzony przez Polską Akademię Umiejętności.

Świat nauki dwudziestolecia międzywojennego oraz powojenny może poszczycić się takimi nazwiskami uczonych jezuitów jak: Jan Poplatek, Bronisław Natoński oraz zmarły w czerwcu 2006 r. Ludwik Piechnik – autor dzieła *Dzieje Akademii Wileńskiej (1570–1773)* oraz *Powstanie i rozwój jezuickiej „Ratio studiorum” (1548–1599)*. Podwaliny

pod nowoczesne przechowywanie źródeł archiwalnych zbudował Eugeniusz Raczek SJ. Penetrowanie watykańskich archiwów oraz mikrofilmowanie poloników, a następnie przekazywanie ich do kraju rozpoczęło w pełni świadomy etap trwałego i nowoczesnego przechowywania cennych zbiorów archiwalnych. Kontynuatorami dzieła zostali Hieronim Fokciński SJ, Wiktor Gramatowski SJ, Ludwik Grzebień SJ, którzy realizując dalekosiężne plany zgromadzili wokół siebie kompetentnych współpracowników: Marka Inglota SJ oraz Szanownego prelegenta III Warsztatów Historyczno – Archiwalnych Andrzeja Pawła Biesia SJ. Współpraca zaowocowała opublikowaniem pięciotomowego dzieła zawierającego katalogi i inwentarze jezuickich poloników z Archiwum Rzymskiego. Monumentalne prace są cenną pomocą dla naukowców nie tylko polskich ale również europejskich⁶.

Badacze korzystający ze źródeł jezuickich, z pełnym uznaniem podchodzą do skrupulatnej i bogatej dokumentacji, która była sporządzana z wielką dokładnością w trzech kopiach: dla miejscowego kolegium, dla prowincji oraz dla generała w Rzymie. Skutkiem kasacji zakonu, były zniszczenia wielu cennych dzienników zakonników, nekrologów i tekstów z przysięgą ślubną, które znajdowały się w archiwach domowych. Skarbnicą wiedzy kulturowo-obyczajowej jest opracowany przez Jana Wielewickiego SJ *Dziennik spraw domu zakonnego oo. Jezuitów i św. Barbary w Krakowie 1630–1639*. Pod koniec wieku XIX generał zakonu powziął zadanie uporządkowania, a następnie udostępnienia naukowcom zbiorów Towarzystwa Jezusowego. Powstał kanon wyselekcjonowanych działów, w skład którego wchodziły: *epistole* (korespondencja oficjalna i prywatna, akta fundacyjne, nekrologi, księga zwyczajów oraz regesty), *congregaciones* (materiały najważniejszych organów, sprawozdania z kongregacji w prowincjach), *institutiones* (autobiografie św. Ignacego, konstytucja, nadane przywileje), *sociatis* (dzieła czołowych historyków

jezuickich), żywoty i biografie zakonników oraz rękopisy, które zostały zgromadzone w osobnych działach.

Dorota Oramus

¹ F. Paluszkiwicz, *Jezuita dzisiaj*, Rzym 1979, s. 5.

² L. Grzebień, *Jezuici*, Kraków 1999, s. 17.

³ A. de Custine, *Listy z Rosji. Rosja w 1839 roku*, Kraków 1989, s. 58–134.

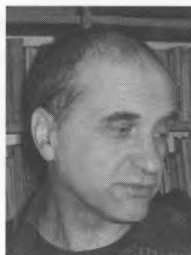
⁴ М. Инглот, *Общество Иисуса в Российской империи (1772–1820 гг.) и его роль в повсеместном восстановлении Ордена во всем мире*, Москва 2004, с. 7–10.

⁵ L. Piechnik, *Ratio studiorum: fundament działalności edukacyjnej i naukowej jezuitów* [w:] *Wkład jezuitów do nauki i kultury w Rzeczypospolitej Obojga Narodów i pod zaborami*, pod red. I. Stasiukowej-Jasiukowej, Kraków–Warszawa 2004, s. 88–89.

⁶ I. Stasiewicz-Jasiukowa, *O kondycji naukowej jezuitów polskich (od roku 1773 do XXI wieku)*, [w:] *Wkład jezuitów do nauki i kultury w Rzeczypospolitej Obojga Narodów i pod zaborami*, pod red. I. Stasiukowej-Jasiukowej, Kraków–Warszawa 2004, s. 16–28.

Szczesny Wroński

Pop-poezja



Sprzedajność (sprzedawalność) i użyteczność wyznaczają kryteria dzisiejszej sztuki. Kiedyś elitarna dama, pożądany gość na salonach, dzisiaj trafia na place miast, do knajp i sklepów – wszędzie tam, gdzie ludzie nastawieni są na „wielkie żarcie”.

Współczesny neofita hipermarketycznego labiryntu spoziera mimochodem na dzieła Słowackiego – leżące jak sardynki na półce w pobliżu bielizny damskiej, koszul, abażurów, lampek nocnych et cetera... Smakowita dziewczyna z obnażonym brzuszkiem spogląda z ukosa na księgę w bordowej twardej oprawie, gładzi od niechcenia złożone litery – potem rzuca ją jak niepotrzebny lach i zaczyna grzebać w stercie biustonoszy. Co za prymitywna małpa. Nie chciało jej się nawet otworzyć dzieła wieszczą, a teraz znika raz po raz w przymierzalni.

Może to błąd właścicieli hipermarketu, którzy nie rozumieją, że czytanie jest dzisiaj czymś bardziej wstydlivym niż publiczne przymierzanie bielizny. A jakby im zasugerować, żeby postawili jednoosobowe czytelnie, gdzie spragnieni intymności klienci, mogliby się zamknąć i czytać sobie do woli... Mój pomysł chyba nie przejdzie.

O wiele łatwiej byłoby lansować kołnierzyki a la Słowacki, niż przekonać biznesmenów do promocji *Króla Ducha* czy chociażby *Beniowskiego*, chyba że zabrzmiąłoby to tak:

*Chodzi mi o to, aby język giętki
dopieszczał towaru wartości zbawienne.
Czasem był jak peniuar leciutki i miękki
A czasem szorstki jako papier ścierny.*

Przepraszam cię, drogi Julku, nie mam wcale zamiaru wylewać goryczy na papier z powodu niedoceniań literatury wysokiej, chciałbym raczej zastanowić się nad racją bytu literatury niskiej. Co za niebezpieczne rozróżnienie: wysoki i niski. Po co nabawiać niektórych kompleksów i zmuszać do kupowania butów na koturnach. A ileż razy sprzeczano się (a nawet dawano sobie po twarzach) za to, co „wysokie” a co „niskie”. Może by podejść do sprawy inaczej, przecież istnieje już zakotwiczone w świadomości, użyteczne pojęcie pop-kultury, czyli kultury adresowanej do mas. Może taką literaturę, a w szczególności poezję nazwać pop-poezją i oceniać inaczej.

Żyjemy w czasach wzmoczonego poezjowania i wierszykowania, co słusznie kojarzy się z niedysyjszym ulubionym zajęciem gospodyń domowych – szydełkowaniem. Taki poeta siedzi i patrzy, a co zobaczy – zaraz zapisuje, byle do rymu i jak najwięcej. A jak nie uda się do rymu to może w stylu tego, co jest aktualnie na topie, haiku albo czegoś tam jeszcze, co pachnie nowością albo trąci myszką. Znam nawet jednego, który tak się zagalopował, że w krótkim czasie własnym sumptem wydał kilkanaście książek i uważa się dziś za niedocenionego mistrza. Chępi się publicznie, że jest autorem ponad tysiąca wierszy. Jednak od czasu naszej ostatniej rozmowy, znając jego płodność, myślę że kończy już drugi tysiąc. Inny, po przeciwnej stronie rozwierszowanego nieba; setna woda po znakomitym składniną Adamie Asnyku, pisze teksty archaiczne, jakby pomyliły mu się stulecia – wtórne i banalne; nadające się co najwyżej na targ, gdzie przysłowiowy „ryż, mydło i powidło”.

Wchodzę na polecany mi portal internetowy i tam w pięknie wyeksponowanym dziale *kultura* wdzieczy się strona poety, gdzie banał goni banał, schemat podpira się schematem, a od grubych kresiek robi się mdło. Zaś ów cukierkowy autor uważa się za maga słowa...

Trochę się zagalopowałem. Czy ja mam prawo tak kategorycznie krytykować piszących, którzy mają dobre samopoczucie i równie dobrze im się pisze? Przecież pisanie wierszy nie jest zabronione. Jak się coś napisze, od razu robi się lżej, a gdyby to wydrukować, choćby na własny koszt... Tutaj zaczynają się, popularnie mówiąc, schody, bo pisać można wszystko, gdy ma się łatwość pisania, ale po co to drukować i wmawiać czytelnikom, że łatwe i przyjemne jest poezja? Uważam, że w obronie poezji należałoby nazwać rzeczy po imieniu i określić, to co jest poezją, a co tylko jej cieniem.

Poezja idzie swoją ścieżką od tysiącleci, jest królową sztuk, związaną z filozofią i religią. Podobnie jak swoje wielkie siostry-inspiratorki poszukuje tajemnicy, chce dotrzeć do źródła i zadaje nam – współuczestnikom swoistej językowej liturgii – pytania o to, co w nas jeszcze żywo i *niezniszczalnie trwa*.

Każdy człowiek rodzi się raz, co gwarantuje jego niepowtarzalność, a kiedy jest poetą, to staje się posiadaczem własnego słowa. Można go poznać po jego własnym języku, choć nie trudno dostrzec w nim odległe wpływy innych poetów. Odnosi się wrażenie jakby prowadził z nimi dialog dotyczący spraw nieulegających zmianie: jak miłość, odpowiedzialność, uczciwość, szlachetność, szacunek (niekoniecznie ekonomiczny), zbrodnia, sumienie, potrzeba porozumienia, kompromis, kategoryczność w sprawach pryncypialnych. Poezja pyta, zadziwiona obrotem rzeczy; poezja ostrzega, kwestionuje absurd krzepiony nicością. Trwa na gruncie prawd niepodważalnych, których pominięcie prowadzi do zakłócenia harmonii i upadku. Przecież *nie zabijaj* znaczy *nie zabija* – rośliny, zwierzęcia, myśli, uczuć, człowieka. Bez wyjątku.

Poeta raz jeszcze odkrywa i uaktywnia własne sumienie, które poddaje się rakowi współczesnego relatywizmu. Jak łatwo dziś wszystko uzasadnić i w razie potrzeby unicestwić. To może nazywać się *dżihad*, czy jakiś inny rodzaj *vendetty*, rozrachunku, sądu, samosądu. Dlatego powinnością poezji jest nieustanne poszukiwanie źródła, które potwierdza człowieka jako istotę rozumną, współczującą, zdolną do poświęcenia i kompromisu. Poeta z tradycji platońskiej, homeryckiej czy innych to osoba natchniona, wierząca w sprawczą siłę dobytego z trudem słowa. Być poetą to jakby ustanowić jednoosobowy zakon i kierować się własnymi regułami, które, o dziwo, okazują się uniwersalne i służą wspólnemu dobru.

Poeta poprzez język i jego metamorfozę wyraża pytanie o sens, początek i perspektywę ludzkiego świata. Poezja nie jest magią, jak wydaje się niektórym poetyckim pirotechnikom czy specjalistom od poetyckiej ikebany. Ona jest próbą powrotu do świątyni – wtajemniczeniem w niewidzialne, walką o wartości które wątleją w pościgu za władzą, pieniądzem i łatwo dostępnymi a mocnymi wrażeniami. Poeta to ktoś, kto wierzy w sprawczą siłę słowa, w jego moc porzeczającą – by nie zbydlęceć, zachować ludzką twarz i trzeźwość umysłu – czystość uczuć. To ktoś taki jak Norwid umierający w przytułku, jak nieznana jeszcze, nieżyjąca od kilku lat Mariana Bocian, jak znany dzięki jednemu krytykowi Miron Białoszewski czy laureat nagrody Nobla Czesław Miłosz, którego niektórzy rodacy chętnie wyrzuciliby z miejsca spoczynku.

Poezja, o której piszę, nie ułatwia życia. Utrudnia je – i to jest sztuka.

Kto tego nie rozumie musi ograniczyć się do poezji rozrywkowej i nie byłoby w tym niczego złego, gdyby wyraźnie określić ten rodzaj działalności pisarskiej jako pop-poezję, czyli uproszczone, posiłkujące się sprawdzonymi schematami poezjowanie dla mas. Nie pozbawione uroku, lecz wyzute z ambicji oryginalnego, kulturowo twórczego dzieła sztuki.

Radosław Tarkowski

Geologia w Instytucie Geografii Akademii Pedagogicznej w Krakowie (1946–2007)

Jubileusz 60-lecia utworzenia Akademii Pedagogicznej im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie skłonił autora do zebrania informacji dotyczących kształcenia geologii w naszej Uczelni.

Geologia jest przedmiotem wykładowym na Wydziale Geograficzno-Biologicznym Akademii Pedagogicznej od pierwszych lat istnienia Uczelni i odgrywa rolę nauki pomocniczej w nauczaniu geografii i biologii. Na przestrzeni ostatnich 60. lat, zakres przedmiotowy prowadzonych zajęć nie uległ znaczącym zmianom, zmieniała się ich treść i wymiar godzinowy.

Zakład Geologii powołany był dwukrotnie w historii WSP/AP: w 1958 r. (działał do 1971 r.) oraz w 1995 r. (działa do dziś). W prezentowanym artykule, w nawiązaniu do zmian organizacyjnych na Akademii Pedagogicznej w latach 1946–2006, wyróżniono zasadnicze etapy związane z funkcjonowaniem Zakładu Geologii oraz przedstawiono zajęcia z zakresu geologii i osoby związane z nauczaniem tego przedmiotu.

Prezentowane materiały stanowią część większego opracowania, obejmującego również sylwetki geologów zatrudnionych w Instytucie Geografii, czekającego na możliwość publikacji w całości.

Zakład Geologii jako jednostka organizacyjna Akademii Pedagogicznej powstał w 1958 r. W historii działalności tego Zakładu można wyróżnić pięć etapów: przed utworzeniem Zakładu (1946–1958), okres funkcjonowania Zakładu (1958–1971), okres zawieszenia jego działalności (1971–1995) oraz obecny okres (od 1995 roku).

W strukturze organizacyjnej Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie, Zakład Geologii poja-

wił się po raz pierwszy w 1958 r. Obok działających wcześniej na Wydziale Geograficzno-Biologicznym katedr (Botaniki, Zoologii, Geografii Fizycznej, Geografii Regionalnej i Geografii Ekonomicznej), od 1 października 1958 r., w ramach Katedry Geografii Fizycznej, powołano Zakład Geologii. Pierwszym kierownikiem Zakładu Geologii został Andrzej Michalik, a Zakład działał do 1971 r.

W grudniu 1971 r., w wyniku zmian struktury organizacyjnej Uczelni, powstał Instytut Geografii (działający do dzisiaj), z jednoczesną likwidacją wcześniej działających katedr i utworzeniem 4 zakładów: Zakładu Geografii Fizycznej, Zakładu Geografii Ekonomicznej, Zakładu Geografii Regionalnej i Zakładu Dydaktyki Geografii. W nowej strukturze nie było Zakładu Geologii. Pracownicy Zakładu Geologii zostali włączeni do Zakładu Geografii Fizycznej kontynuując prowadzenie zajęć z geologii. Stan ten trwał do roku 1995, kiedy to Zakład Geologii powołano ponownie. Kierownictwo Zakładu objął wtedy Grzegorz Haczewski. W Instytucie Geografii działało wtedy 6 zakładów, w tym Zakład Geologii z trzema pracownikami, wspomniany G. Haczewski, Józef Kukulak (adiunkt) oraz Krzysztof Bąk (asystent). W 1994 r. G. Haczewski został mianowany profesorem Akademii Pedagogicznej. Odszedł on z Akademii Pedagogicznej w 2004 r. Funkcję kierownika Zakładu Geologii objął od 1 stycznia 2005 r. Radosław Tarkowski, a od października 2006 – K. Bąk.

Nauczanie geologii w Akademii Pedagogicznej odbywa się od pierwszych lat jej istnienia. Do czasu powołania Zakładu Geologii w grudniu 1958 r., geologia była nauczana przez osoby zatrudnione w Pracowni Geograficznej Sekcji Przyrodniczo-Ge-

ograficznej (od roku akademickiego 1947/48), następnie Zakładu Geografii Wydziału Przyrodniczo-Geograficznego (od roku akademickiego 1949/50), Zakładu Geografii Fizycznej Wydziału Geograficzno-Biologicznego (od 1 stycznia 1953 r.). Z dniem 1 stycznia 1953 r. w strukturze Uczelni pojawiły się pierwsze jednostki dydaktyczne i naukowo-badawcze: zakłady i katedry. W ramach Wydziału Geograficzno-Biologicznego utworzono katedry: Botaniki, Zoologii, Geografii Fizycznej, Geografii Regionalnej, Geografii Ekonomicznej. W tym okresie Katedra Geografii Fizycznej przejęła obowiązki nauczania geologii.

W powstalej w 1947/48 staraniem geologów: Franciszka Biedy i Józefa Premika Pracowni Geograficznej, na trzyletnich studiach dwuprzedmiotowych geografia z biologią, geologia była wykładana przez F. Biedę. Podkreślić należy również udział tych geologów w życiu organizacyjnym Uczelni, w pierwszych latach jej funkcjonowania. We wprowadzonych w 1949 r. 3-letnich studiach jednokierunkowych (oddzielnie: geografia i biologia), w planie studiów przeważały dyscypliny geograficzne, a na I i II roku studiów dominowały: geografia fizyczna i ekonomiczna oraz kartografia i geologia. Wykłady geologii prowadził wówczas F. Bieda, a kadre uzupełniali nauczyciele-praktycy, m.in. wykładowca przedwojennego Pedagogium – J. Premik. W 1951 r. utworzono Zakład Geografii, z siedzibą przy ul. Straszewskiego 22. W 1952 r. Zakład Geografii został przeniesiony do nowych pomieszczeń w Rynku Głównym 34, gdzie przystąpiono do organizowania własnej biblioteki, zbiorów map, okazów geologicznych. W 1953 r., kiedy to w przyszłym Instytucie Geografii powołano trzy katedry (trzech własnych wykładowców pełniło obowiązki samodzielnych pracowników nauki: Maria Dobrowolska, Rodion Mochnacki, J. Premik), Katedrą Geografii Fizycznej kierował J. Premik, który odpowiadał za zajęcia z geologii. Znaczące zmiany w rozwoju kierunku geografii, również w nauczaniu geologii, miały miejsce w 1954 r., kiedy to studia stacjonarne przedłużono do lat czterech, a studia zaoczne do lat pięciu,

zakończone jednocześnie egzaminem magisterskim. W planie studiów były dwutygodniowe, wakacyjne praktyki z topografii, geologii i klimatologii (po I roku), z geomorfologii, geografii gleb i geologii historycznej (po II roku). W latach 1955/56 pracę na WSP podjął A. Michalik z krakowskiego Oddziału Instytutu Geologicznego. W drugiej połowie lat pięćdziesiątych oprócz własnych pracowników, zajęcia z geologii prowadziło w formie zajęć zleconych kilku pracowników innych uczelni. Byli to późniejsi profesorowie: Krzysztof Birkenmajer, Stanisław Bukowy, Stanisław Geroch, Wilhelm Krach, Andrzej Radomski. Niektórzy z nich prowadzili zajęcia jeszcze w latach sześćdziesiątych XX w.

Od października 1958 r. (powołania Zakładu Geologii) do grudnia 1971 r. (zawieszenia działalności Zakładu Geologii) zajęciami z geologii kierował A. Michalik. Podkreślić należy jego udział, na początku lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, w życiu organizacyjnym Uczelni. Od 1959 r., kiedy to Wydział Geograficzno-Biologiczny uzyskał prawa nadawania stopni doktorskich, własna kadra naukowo-dydaktyczna uległa znacznemu powiększeniu. Najdłużej prowadzącym zajęcia z geologii (prawie trzydzieści lat) był A. Gawlik, który pracę na WSP rozpoczął w 1948 r.

Powstanie Instytutu Geografii w grudniu 1971 r. i likwidacja Zakładu Geologii spowodowała, że obowiązki nauczania geologii przejął na nowo Zakład Geografii Fizycznej. Do 1995 r. zajęcia z geologii prowadzili: A. Michalik, K. Bąk, Antoni Gawlik, J. Kukulak, M. Otfinowski. W 1995 r., w powołanym na nowo Zakładzie Geologii, zajęcia z geologii prowadzili: G. Haczewski, K. Bąk, J. Kukulak. Począwszy od roku akademickiego 2004/2005, po odejściu z Akademii Pedagogicznej G. Haczewskiego zajęcia z geologii prowadzi również niżej podpisany. Od października 2007 r. powrócił do pracy w Akademii Pedagogicznej G. Haczewski. Dzisiaj Zakład Geologii posiada trzech samodzielnych pracowników naukowych oraz jednego adiunkta, prowadzi badania statutowe oraz realizuje badania własne.

Anna Kajtochowa

Urodziła się 21 lipca 1928 w Brzozowie na Podkarpaciu. Po ukończeniu studiów dziennikarskich (Uniwersytet Jagielloński) pracowała w zespołach redakcyjnych „Gazety Krakowskiej”, „Głosu Młodzieży Wiejskiej”, „Głosu Młodzieży”, „Studenta”, „TeMi”. Jej utwory ukazywały się na łamach „Życia Literackiego”, „Kultury”, „Poezji”, „Dziennika Polskiego”, „Tak i Nie”. Opublikowała 17 książek poetyckich, m.in: *Sytuacje* (1983), *Uroda tarniny* (1990), *Sytuacje II* (1992), *Usiłowałam być człowiekiem* (1994), *Krzyk lelka* (1995), *Ogród ostów* (1997), *Tabliczka dawno roztrząskanej prawdy: wybór wierszy* (1998), *Nie jestem biegła w tajemnicach duchów* (2000), *Bezdrożem ścierniska* [wybór wierszy] (2003), *Wylania się wiosna znad konturów cienia: wybór wierszy z lat 1969–2005* (2006), *Zza porannych mgieł* (2007), *Rosa przedświt*. *Wybór wierszy z lat 1983–2007* (2007); oraz powieści: *Babcia* (1982) i *Tamten brzeg* (1993). W roku 1997 powstała autoryzowana biografia poetki: *Wędrowniki o świecie: opowieść o Annie Kajtochowej* (1997).



fol. Andrzej Walter

Anna Kajtochowa

[Sytuacja] II

Jest we mnie smutek nienarodzenia
Bezsilność źródła w piaszczystym podglebiu
Milczenie larwy w kipiącej topieli
Los ziarna – więźnia pustyni

Jest we mnie bezradność trwania
Plemienia Ona z czasów Magellana
Pustka namiotów lodowiec popiołów
Umilkłe echo wyspiewanej pieśni

Opadłe ręce Jej – ostatniej z rodu
W krzepiącym geście wreszcie powitania
Tylu znękanych wiekami pochodni
Do miejsc rodzinnych dawno spustoszonych

(z tomu *Sytuacje*)

Marcie

Byłam małą dziewczynką
w gorzkiej wodzie brodziłam po kostki
Byłam młodą dziewczyną
gorzka woda sięgała po pas
Byłam młodą kobietą
gorzka woda dosięgała piersi
Jestem młodą staruszką
gorzka woda zalewa mi oczy

(z tomu *Sytuacje*)

Patrzyłam

jak moje serce
wędruje do nieba
skokami
sunąc po linie
ku wysokiej skale
błękitem zygzaków
w tafli monitorów

Poprzez mgłę
widziałam
jak moje serce
wędruje do nieba

XI 1985
(z tomu *Krawędź*)

W kroplach słońca

na rany otwarte
krzywdy piekące
urazy zapiekłe

kropla milczenia

na radość
kiedy się kończy
na szczęście gdy
się zaczyna
na śpiew milknący
w melodii wieczoru

kropla milczenia

na słowo
w gardle uwięzione
uśmiech gdy w oczach
zamiera
gest opadłej ręki

kropla milczenia

na zachwyt
który poraża
na lęk
paraliżujący
na klęski
którym nie ma końca
na słabość
której nie zrozumiesz
i lukę w pamięci
olbrzymiejącą
na plotkę wszechogarniającą
i liść
kiedy sfruwa
z martwiejącego
drzewa

kropla milczenia

na serce gdy ustaje
a człowiek umiera

kropla milczenia

Emilia Kowalska – urodzona 1986 roku w Ostrowcu Św., absolwentka tamtejszego liceum nr III im. Wł. Broniewskiego, obecnie studentka filologii polskiej AP Kraków. Jej zainteresowania to literatura współczesna, sport, muzyka.



Puste pudelko z oprawą
Szkłany ekran – być może kolorowy
(bo właściwie życie w szarości niemodne)
Różne ujęcia z nijakiej perspektywy
Tłum, zgłęb, hałas
Nieuporządkowana koncepcja

być może byłam:
Głupia
Naiwna
Szalona
Ufająca
Nieodpowiedzialna
Wulgarna
Roztrzępana

Być może to też takie perfumy
Być może ładne

Szczałek nieświadomości poza torami życia
Mknący w popłochu pociąg na szynach
wykolejenia

W wagonie zebrak, piękna i bestia
Przez otwarte do połowy okno wpada dym
To tylko papieros...

Poczęcie to początek Tak przynajmniej się zdaje

Wybuch namiętności, miłość
Przyjaźń, splecione dłonie
Nogi też
Kompromis

Iwona Tomasik

Święto Uczelni

W dniu 11 maja 2007 r. odbyło się uroczyste posiedzenie Senatu z związku z 61. rocznicą utworzenia Uczelni.

W trakcie uroczystości wręczono odznaczenia państwowe oraz Medale Akademii Pedagogicznej im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie, które na posiedzeniu w dniu 24 kwietnia 2007 r. nadał Senat naszej Uczelni. Medale otrzymali Profesorowie: Józef Smaga, Czesław Banach, Janina Wyczęsany, Bronisław Łagowski i Janusz Majcherek.

Centralnym punktem uroczystego posiedzenia Senatu było nadanie godności doktora *honoris causa* Profesorowi Wiktorowi Matrosowowi – rektorowi Moskiewskiego Państwowego Uniwersytetu Pedagogicznego, wybitnemu matematykowi, organizatorowi systemu oświaty, promotorowi międzynarodowej współpracy w kształceniu młodej kadry naukowej. Pozytywną opinię dotyczącą wniosku o nadanie najwyższej godności akademickiej prof. W. Matrosowowi złożyli Profesorowie: Adam Płocki z Instytutu Matematyki Akademii Pedagogicznej w Krakowie oraz Stefan M. Kwiatkowski – dyrektor Instytutu Badań Edukacyjnych w Warszawie. Laudację wygłosił Profesor Tadeusz Budrewicz – Prorektor ds. Nauki Akademii Pedagogicznej w Krakowie, który w swoim przemówieniu stwierdził, że „Profesor Wiktor Matrosow jest uczonym, którego prace publikowano między innymi w USA, Japonii, Chinach, Niemczech. O Jego pozycji naukowej świadczy fakt, iż jest członkiem rzeczywistym Rosyjskiej Akademii Kształcenia (RAO) oraz członkiem-korespondentem Rosyjskiej Akademii Nauk (RAN). Opublikował ponad

250 prac, w tym 5 monografii. Wyjątkową wagę ma opracowany przez Niego cykl podręczników akademickich z zakresu informatyki i matematyki, za który w roku 1997 otrzymał nagrodę państwową. Pod jego kierunkiem powstało 38 prac doktorskich i 9 habilitacyjnych. Jak widać, profesor Wiktor Matrosow harmonijnie łączy pasję uczonego z troską o szkolnictwo i o rozwój młodych kadr naukowych. Szczególne znaczenie ma dlań zagadnienie dydaktyk przedmiotowych, bo to one decydują o jakości przygotowania nauczycieli do zawodu, a w konsekwencji – wpływają na kwalifikacje absolwentów szkół. W tym zakresie Akademia Pedagogiczna im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie wiele zawdzięcza i owej pasji profesora Matrosowa, i Jego osobistej życzliwości i postrzeganiu przez Niego nauki jako drogi, która zbliża ludzi”.



Prof. W. Matrosow



Fot. M. Pasternak

Adam Mikrut

Królestwo „Energii”

Akademia Pedagogiczna na Festiwalu Nauki 2007

Od wielu już lat w maju wszystkie państwa we uczelnie Krakowa, wiele instytutów naukowych oraz konsulaty i instytuty kultury różnych państw mające siedziby w naszym mieście, wspólnie organizują Festiwal Nauki. W tym roku odbywał się on w dniach 13–19 maja, sam zaś Festyn Nauki, czyli pokazy w namiotach rozstawionych na płycie Rynku Głównego – w dniach 17–19 maja. „Celem tej imprezy – jak podają główni koordynatorzy z Akademii Górniczo-Hutniczej – jest prezentacja w atrakcyjnej formie wybranych fragmentów działalności naukowej i dydaktycznej wyższych uczelni krakowskich oraz przedstawienie oferty kulturalnej studentów, a przede wszystkim bezpośrednie spotkania, rozmowy i dyskusje mieszkańców Krakowa z pracownikami naukowymi i studentami”¹.

Hasłem tegorocznej edycji Festiwalu – co jest pewną nowością programową – była „Energia

w życiu człowieka”. Przewijało się ono we wszystkich formach aktywności festiwalowej, tzn. wykładach i dyskusjach panelowych, prezentacjach w trakcie Festynu Nauki i imprezach kulturalnych: koncertach muzycznych (Collegium Nowodworskiego), przedstawieniach teatralnych (Scena im. St. Wyspiańskiego PWST), czy występach na estradzie przed Wieżą Ratuszową.

Idea „energii” znalazła swój wyraz w wielkości festiwalowych propozycji Akademii Pedagogicznej. A było ich wiele, chociaż – już tradycyjnie – przeważały prezentacje „namiotowe” w ramach Festynu Nauki. Wśród tych, które miały miejsce poza Rynkiem Głównym znalazły się: Ogólnopolskie Filozoficzne Forum Młodych organizowane cyklicznie przez Instytut Filozofii i Socjologii oraz internetowy serwis polskiego środowiska filozoficznego, wystawa prac Tadeusza Kantora w Galerii Jęzkie działającej w ramach Instytutu Sztuki i dwa

wykłady wygłoszone przez pracowników Instytutu Fizyki.

Pierwsza z tych „imprez” adresowana była przede wszystkim – jak powiedział Grzegorz Trela, jeden z organizatorów Forum – „do wszystkich tych, dla których filozofia jest pasją i sposobem bycia”. W wygłoszonych referatach dominowała problematyka aksjologiczna, inspirowana rodzimą myślą filozoficzną i róż-



nymi dylematami współczesności. Podejmowali ją młodzi adepci nauki, a więc studenci, doktoranci, a nawet licealiści z Krakowa i kilkunastu innych krajowych ośrodków akademickich.

Na wspomnianej wcześniej wystawie, organizatorzy pod kierunkiem prof. Grażyny Borowik, udostępnili widzom rysunki Tadeusza Kantora z kolekcji aktorów teatru Cricot 2 Teresy i Andrzeja Wełmińskich oraz dokumentację fotograficzną – autorstwa Andrzeja Wełmińskiego – legendarnego spektaklu z 1976 r. pt. *Umarła klasa*. W katalogu wystawy T.A. Wełmiński napisał, iż zaprezentowany „zbiór nie stanowi koherentnej całości. Szkice, notatki, projekty techniczne, dedykacje, szablony, kolaże i rękopisy to rysunki bardzo różnorodne, ale każdy z nich ewokuje wspomnienia i z każdym związana jest jakaś szczególna historia”. Tak więc pewna rekonstrukcja tamtych zdarzeń oraz sposobów widzenia i interpretowania świata przez wielkiego polskiego malarza, grafika, reżysera i scenografa powinna być efektem intelektualnego wysiłku i emocjonalnego przeżywania samego widza.

„Energia” – tym razem świetlna – była głównym tematem wykładu wygłoszonego przez dr. Krzysztofa Koniecznego nt. *Luminescencja* –

prezentacja zjawisk. W trakcie wykładu zaprezentowano – jak powiedział mgr Marek Gabryś, główny organizator imprez festiwalowych z ramienia Instytutu Fizyki – „różne odmiany świecenia luminescencyjnego, takie, jak: elektroluminescencja, tryboluminescencja, chemiluminescencja, katodoluminescencja i fotoluminescencja”. Z kolei dr Waldemar Ogłóza wygłaszając wykład nt. *Zagadka UFO*, starał się w sposób naukowy wyjaśnić przyczyny oraz mechanizmy powstawania większości zjawisk będących treścią rozmaitych filmów i zdjęć będących rzekomo dowodem na istnienie UFO.

Instytut Fizyki i Instytut Sztuki zaprezentowały się ponadto na Festynie Nauki w Rynku Głównym. Pracownicy i studenci Instytutu Fizyki urządzili pokaz ciekawych zjawisk z energią magnetyczną w „roli głównej”. Był on tak zorganizowany, aby uczestnicy Festynu mogli sami eksperymentować i doświadczać efektów działania owej energii uwalnianej i kontrolowanej przez rozmaite przyrządy i urządzenia. Spośród wielu widowiskowych zjawisk szczególne zainteresowanie wśród odwiedzających nasz namiot wzbudziła lewitacja magnetyczna oraz akcelerator magnetyczny (swoiste działko magnetyczne wyrzucające z niezwykłym impetem metalową kulkę).

„Energia” stała się również niezwykle twórczym źródłem inspiracji dla studentów zrzeszonych w Kole Artystyczno-Naukowym Instytutu Sztuki (opiekun naukowy – prof. Grażyna Borowik). Swoją uwagę skupili oni na czterech żywiołach, tj. ogniu, wodzie, powietrzu i ziemi. W trakcie warsztatów plastycznych dla dzieci – opatrzonych pomysłowymi tytułami: „Światłolapy” i „Wiatrolapy” – starali się oni nadać owym siłom natury odpowiedni kolor, rytm i formę. Co ciekawe, w realizację projektu niespodziewanie „włączył się” jeden z autentycznych żywiołów. Najlepiej oddają to słowa Doroty Orlof, współorganizatorki owych warsztatów: „Zabawa (Światłolapy – przyp. A.M.) miała polegać na odrysywaniu cieni postaci na wielkiej tekturze rozłożonej na ziemi. W wyniku niespożytej i niezwykle produktywnej energii młodych twórców,



powierzchnia tektury pokryta została grubą warstwą różnokolorowych farb. Nikt nie wziął jednak pod uwagę, że oprócz dziecięcych rąk zadziałało inne, nieproszone źródło energii (zarezerwowane przecież dla „Wiatrolapów”) – czyli wiatr. Malowidło poderwało się z ziemi i pofrunęło. Pech chciał, że prosto na stojące nieopodal panie nauczycielki. Mokra farba ubarwiła włosy, bluzki, torebki ...”.

Silne poddmuchy wiatru dawały o sobie znać – już zupełnie „legalnie” – w czasie budowy „Domu wiatru”, pełnego różnego rodzaju kolorowych bibulek, wstążeczek, papierowych łańcuchów i wiatraczków. Te poruszane wiatrem kolorowe detale sprawiały – jak relacjonuje D. Orlof – „jakbyśmy widzieli niewidzialną energię”.



Swoją energię twórczą najmłodszy uczestnicy Festynu Nauki mogli spożytkować również w czasie warsztatów plastycznych, zorganizowanych przez studentów Instytutu Pedagogiki Przeszkolnej i Szkolnej pod kierunkiem dr Kingi Łopot-Dzierwy. Warsztaty te stanowiły kolejną edycję projektu edukacyjnego „Dziecięcy świat wyobraźni. Nauczyciel i uczeń – spotkanie na polu sztuki”, zaś ich główny temat, z uwagi na 750-lecie lokacji naszego miasta, został określony jako „Kraków moje miasto”. Wernisaż wystawy efektów dziecięcej ekspresji plastycznej miał miejsce w budynku Wydziału Humanistycznego przy ul. Ingardena 4, sama zaś wystawa w galerii „Rękawka”.

Jak co roku, znaczący udział w Festynie Nauki miał Instytut Biologii, reprezentowany zarówno

przez pracowników naukowych, jak i studentów zrzeszonych w Kole Przyrodników, działających pod opieką dr. Andrzeja Górza.

Doktorzy: Andrzej Rzepka i Grzegorz Rut z Zakładu Fizjologii Roślin IB przygotowali prezentację nt. „Energia świetlna i proces fotosyntezy warunkiem życia na Ziemi”. Miała ona charakter doświadczeń laboratoryjnych, pokazujących w naoczny sposób rolę światła wchłanianego przez chlorofil w procesie wytwarzania związków organicznych z dwutlenku węgla i wody. Obserwatorzy mieli możliwość poznania wpływu różnych „parametrów” światła na intensywność fotosyntezy. Było to możliwe – w odniesieniu do natężenia światła – dzięki zastosowaniu metody liczenia baniek (pęcherzyków tlenu) i – w przypadku długości fal świetlnych – różnego rodzaju filtrów szklanych (czerwonego, zielonego i niebieskiego) wstawionych między źródło światła i zlewkę z rośliną. Pomiaru intensywności fotosyntezy w różnych warunkach dokonywano również za pomocą specjalnej aparatury, określonej jako analizator gazowy podczerwieni Ciras 2, mierzącej ilość pobieranego dwutlenku węgla.

Z kolei studenci zrzeszeni w Kole Przyrodników (działającym przy Instytucie Biologii) zorganizowali cykl ciekawych doświadczeń dotyczących źródeł ludzkiej energii („Skąd czerpiemy energię?”), „złodziei” naszej energii („Kto korzysta z Twojej energii?”) i sposobów korzystania z energii naszego organizmu („Jak zużywasz energię?”). Tak więc osoby odwiedzające stoisko studentów – biologów mogły w przystępny sposób poznać skład chemiczny i biologiczny popularnych produktów żywnościowych (jogurtu, kefiru, soku z marchwi i wędlin), różne rodzaje pasożytów (np. kleszcze, tasiemce, glisty ludzkie czy motyle w wątrobowe) oraz wrażliwość na bodźce zmysłów węchu, wzroku i dotyku. Szczególne zainteresowanie budziły komputerowe pokazy zbudzeń optycznych, świadczących o swoistej „przeróbce” korowej energii impulsów wzrokowych.

Prezentacjom zorganizowanym przez Instytut Biologii tradycyjnie już towarzyszyła wysta-



wa fotografii przyrodniczej autorstwa dr. Ryszarda Kozika. Treść prezentowanych zdjęć znakomicie wpisała się w główny motyw Festiwalu. Świadczy o tym chociażby tytuł wystawy: „Las – wielkie przedsiębiorstwo energetyczne”, ale także odpowiedni komentarz autora zdjęć przekonywujący, iż las jest wielkim, ale nie zanieczyszczającym zakładem produkcyjnym, niezbędnym dla prawidłowego funkcjonowania środowiska naturalnego.

Skoro o festynowej tradycji mowa, to koniecznie zaakcentować należy, iż tradycyjnie już udział w tej imprezie wzięł Instytut Informacji Naukowej i Bibliotekoznawstwa (IINiB). Stroną organizacyjną tegoż uczestnictwa zajmowała się dr Urszula Lisowska-Kożuch.

Studenci działający w Kole Naukowym „Bibliolog” (opiekun naukowy dr Lilia Kowkiel) przygotowali warsztaty książki miniaturowej według oryginalnego projektu Doroty Kamińskiej, studentki V roku studiów niestacjonarnych. Zdaniem dr L. Kowkiel, osoby biorące udział w warsztatach miały możliwość wykonać własnoręcznie miniaturowy egzemplarz zawierający zilustrowany historycznymi zdobnikami drukarskimi inicjał lub wiersz o książce. Okładki książeczek można było ozdobić według własnego pomysłu suchymi roślinami, koralikami, koronkami, kamyczkami lub pomalować farbami. Członkowie Koła przygotowali 426 unikatowych, numerowanych egzemplarzy oraz podobną liczbę zakładerek do książek z dekoracyjnymi

inicjałami, okolicznościowym nadrukiem Festiwalu Nauki i logo IINiB. Wszyscy twórcy byli proszeni o zaprojektowanie inicjału własnego imienia.

Innym warsztatem dla dzieci i młodzieży zorganizowanym przez IINiB były zajęcia: „Pisanie rylcem, gęsim piórem i inne techniki” obejmujące pisanie: pismem runicznym na kamieniach oraz drewniakach, alfabetem greckim na woskowych tabliczkach, rysowanie znaków pisma chińskiego, arabskiego i egipskiego, kolo-



rowanie inicjałów z książek i zakładerek do książek, pisanie alfabetem Braille'a oraz odtwarzanie rysunków naskalnych.

Dużym zainteresowaniem gości festiwalowych cieszyły się również dwa konkursy z nagrodami. Obydwa – jeden dla dzieci młodszych, drugi dla starszych – dotyczyły wiedzy o Krakowie. Przyjmowały one różną formę: rozpoznawanie rekwizytów związanych z naszym miastem, krzyżówek, rebusów, czy wreszcie pytań ukrytych w balonikach. Do udziału w konkursach zachęcali studenci ubrani w tradycyjne stroje krakowskie oraz Smocza Księga Wpisów, w której można było złożyć swój autograf (uczynił to m.in. prof. Tadeusz Budrewicz, Prorektor ds. Nauki AP).

Aktywności festiwalowej pracowników i studentów IINiB stale towarzyszyła wystawa „Jak powstało pismo? Od znaków naskalnych po alfabet”.

Bogatą ofertę festynową przygotowała również Katedra Pedagogiki Specjalnej. Wszystkimi pracami w tym zakresie kierowały mgr Anna Zabiegaj i mgr Katarzyna Wanat-Żołądek. Najmłodszym gościom Festynu Nauki szczególnie przypadł do gustu – o czym świadczy liczny i aktywny udział – projekt „Wyzwolić energię koloru”, w trakcie którego studenci pedagogiki rewalidacyjnej zapraszali dzieci do integracyjnych zabaw z chustą animacyjną. Sporym zainteresowaniem cieszyły się również warsztaty ceramiczne „Ujarzmić energię ziemi”. Stanowiły one konkretny przykład oddziaływań o charakterze arteterapeutycznym, bowiem każdy z uczestników mógł sam doświadczyć radości tworzenia z wykorzystaniem takiego naturalnego materiału, jakim jest glina.

Ponadto w naszym namiocie można było obejrzeć dwie wystawy zorganizowane przez Katedrę Pedagogiki Specjalnej. Pierwsza z nich, zatytułowana „Brzmienie światła”, prezentowała dorobek uczestników studia fotograficznego „Blik”, działającego w Specjalnym Ośrodku Szkolno-Wychowawczym nr 6 przy ul. Niecałej 8 w Krakowie. Wszystkie wystawione prace, wykonane przez dzieci z wadą słuchu, powstały w ramach projektów: „Portrety światłem malowane” i „Słoneczna Italia”. Druga ze wspomnianych wystaw – opatrzona tytułem „Energetyczne kręgi kultury” – była swoistym fotoreportażem ze studenckiego Projektu Muzealnego przeznaczanego dla uczniów z niepełnosprawnością umysłową.

Niezwykłą popularnością wśród zwiedzających (jak co roku) cieszyła się oferta przygotowana przez studentów Koła Matematyków i Informatyków przy Instytucie Matematyki, kierowanego przez dr Danutę Ciesielską. Tym razem były to zadania związane z tzw. cyklami Eulera i Hamiltona. Sprowadzały się one do przełożenia nitki przez zaznaczone na specjalnym grafie punkty w taki sposób, aby bez powtórzeń przejść po wszystkich liniach grafu lub po wszyst-

kich jego wierzchołkach. Pewne podpowiedzi można było uzyskać śledząc przygotowaną przez studentów prezentację komputerową, wyjaśniającą zasady tej ciekawej matematycznej zabawy.

Kolejny już raz w trakcie Festynu Nauki zaprezentowali się studenci Instytutu Nauk o Wychowaniu. Merytoryczną i organizacyjną opiekę sprawowała nad nimi dr Joanna Łukasik. Proponowali oni dorosłym osobom poddanie się specjalnym testom, opartym na preferencji kolorów, określającym typ osobowości z uwzględnieniem motywów kierujących życiem człowieka (stąd tytuł prezentacji – „Odkryj kolor swojej energii”). Wszyscy zainteresowani – niezależnie od wieku życia – mogli natomiast wyrazić swój nastrój, samopoczucie, słowem – aktualny poziom swojej wewnętrznej energii, za pomocą różnych technik plastycznych, z wykorzystaniem bogatej palety kolorów.

Swoje stanowisko w naszym namiocie zorganizowała również Samodzielna Sekcja Promocji Uczelni i Karier Studenckich, kierowana przez mgr. Janusza Jakubasa. Działalność promocyjna Sekcji ukierunkowana była na prezentację szerokiej oferty studiów stacjonarnych, niestacjonarnych i podyplomowych. Warto podkreślić również, iż obserwowalnym skutkiem jej aktywności były piękne koszulki z logo Uczelni, w które ubrani byli nasi pracownicy i studenci.

Jak już wspomniano, w ramach Festynu Nauki miały miejsce różnego rodzaju występy na estradzie przed Wieżą Ratuszową. Akademia Peda-



gogiczna reprezentowana była przez autorski teatr Haliny Sali-Wójcik, profesora w Instytucie Pedagogiki Przedszkolnej i Szkolnej oraz zespół artystyczny Zespołu Szkół Specjalnych nr 4 w Krakowie. Teatr Juvenes-Juvenibus wystawił etiudę pt. *Filozof odchodzi i...* powstałą na podstawie



wierszy krakowskiego poety Marka Wawrzyńskiego. Z kolei dzieci z ZSS – zaproszone przez Katedrę Pedagogiki Specjalnej – zaprezentowały skoczny układ taneczny oraz wielki przebój filmowy *Everybody Need Somebody*.

Uczestnictwo Uczelni w Festiwalu Nauki poprzedzone było kilkoma miesiącami przygotowań. Brało w nich udział liczne grono osób. Rze-

czowe i atrakcyjne zaprezentowanie naukowego i kulturalnego życia naszej Uczelni byłoby niemożliwe bez zaangażowania władz Uczelni, dyrektorów i kierowników jednostek organizacyjnych, koordynatorów prac reprezentujących owe jednostki, studentów, służb administracyj-

no-gospodarczych, informacyjnych i odpowiedzialnych za fotograficzną dokumentację imprezy. Wszystkim tym osobom, zarówno wymienionym w niniejszym tekście z imienia i nazwiska, jak i anonimowym, pragnę serdecznie podziękować w imieniu własnym oraz dr. Janusza Morbitzera, który razem ze mną brał aktywny udział w koordynowaniu wszystkich prac związanych z udziałem Akademii Pedagogicznej w krakowskim Festiwalu Nauki 2007. Mamy nadzieję, iż poniesiony trud znajdzie odzwierciedlenie

w znacząco zwiększonym zainteresowaniem ofertą edukacyjną naszej Uczelni ze strony potencjalnych studentów wszystkich form kształcenia.

Adam Mikrut

Fot. Marian Pasternak

¹ <http://www.festiwalnauki.krakow.pl>

Michał Zięba

Słuchając dialogów gąlczyńskologów

31 maja 2007 r. w klubie studenckim „Bakalarz” z inicjatywy Towarzystwa Asystentów AP w Krakowie odbyło się spotkanie autor-skie z dr. hab. Jerzym Stefanem Ossowskim – autorem książki *Szarlatanów nikt nie kocha. Studia i szkice o Gąlczyńskim* (Wydawnictwo Naukowe Akademii Pedagogicznej Kraków 2006) – z udziałem prof. Adama Kulawika, pracownika Instytutu Filologii Polskiej naszej Uczelni. Tym razem w roli gospodarza tej cyklicznej (i szkoda, że tak rzadkiej) imprezy Fundacji Oświecenia Publicznego Towarzystwa Asystentów AP w Krakowie wystąpił dr Michał Rogoż, który powitał gości tego wieczoru: nauczycieli akademickich oraz licznie zebranych studentów.

Prof. A. Kulawik podjął z dr. Ossowskim dyskusję na temat jego rozpraw gąlczyńskologicznych, która szybko przerodziła się w ciekawy dialog dwu znawców twórczości poety. Pierwszy swoją drogę naukową w Instytucie Polonistyki UJ rozpoczął od napisanego – pod kierunkiem prof. Marii Dłuskiej – doktoratu o Gąlczyńskim, którego twórczości bronił w dialogu z recenzentami, a później analizował i interpretował piarstwo poety w licznych studiach (m.in. w książce: *Konstanty Ildefons Gąlczyński*, Kraków 1977). Drugi dyskutant, dzięki wielu pracom badawczym nad Gąlczyńskim, np. rekonstruującym „okres wileński” poety i jego związki z żagarystą Józefem Maślińskim, osiągnął samodzielność naukową, jako że jego książka o „niekochanych szarlatanach” to rozprawa habilitacyjna. Jest to praca w pewnym stopniu polemiczna wobec po-



Od lewej: dr hab. J.S. Ossowski, prof. A. Kulawik i dr M. Rogoż

głądów strukturalistów, chociażby prof. Marty Wyki, badaczki cenionej za bogatą i wartościową eseistykę krytycznoliteracką poświęconą twórczości poety, autorki szóstego już wydania wierszy Gąlczyńskiego w renomowanej serii BN.

Dalsza ciekawa dyskusja, jaka wywiązała się między obydwoma gąlczyńskologami, dotyczyła wielu problemów związanych z recepcją i interpretacjami tekstów poetyckich autora *Niobe*. W swojej książce Ossowski złożył intelektualne sprawozdanie z – jak uzasadniał – przewrotnej, bo postmodernistycznej lektury *Porfiriona Osielka*, a komparatystyczne analizy *Balu u Salomona* dawały mu możliwość spojrzenia na ten katastroficzny poemat przez intertekstualny pryzmat *Fausta* Goethego. Samo rozpoznanie szeregu cech, potwierdzających związki tej twórczości z ekspresjonizmem europejskim, pozwoliło na odkrycie kolejnych argumentów ideowo-

artystycznych katastrofizmu Gałczyńskiego. Do argumentów na rzecz poznawczej efektywności interpretacji tragiczno-katastroficznych prof. Kulawik doszedł wcześniej, a więc hermeneutyczne uzupełnienie i ich ugruntowanie w książce Ossowskiego sprawia mu dzisiaj, jak sam stwierdził, szczególną satysfakcję.

Podjmując dialog z autorem odważnych interpretacji inspirowanych poststrukturalistycznymi kierunkami w badaniach literackich, prof. Kulawik dowodził, że ich połączenie z hermeneutyczną antropologią literatury i perspektywą badań życia literackiego sprawiło, iż książka *Szarlatanów nikt nie kocha* to najpełniejsze i najwybitniejsze z dotychczasowych opracowań naukowych na temat międzywojennej twórczości Gałczyńskiego, choć nie uwzględnia okresu współpracy poety z tygodnikiem „Prosto z Mostu”. Odpowiadając Ossowski stwierdził, że sprawa owych związków została już kompetentnie omówiona przez Tomasza Stępnia w studiach *O satyrze* (1966) oraz *Gałczyński i media* (2005), a więc poniekąd czuł się zwolniony z podejmowania tych zagadnień, które związały – jak pisał Czesław Miłosz w *Zniewolonym umyśle* – endecki tygodnik Stanisława Piaseckiego z antysemityzmem. Tymczasem w świetle ostatnich rzetelnych prac Macieja Urbanowskiego o krytyce

prawicowej, dotychczasowa ocena „Prosto z Mostu” i postawy jego redaktora ulega zmianie; obaj dyskutanci byli tutaj zgodni, że należy też przezwyciężyć wstydlive uprzedzenia i stereotypy, bo one przeszkadzają w odkrywaniu wspólnego dziedzictwa kultury polskiej i żydowskiej.

W związku z tym, że nakład *Szarlatanów...* został już wyczerpany, autorowi przyszło na myśl, czy nie warto by drugiego wydania książki poszerzyć o rozdziały poświęcone okresowi 1936–1939. Silne wyeksponowanie związków Gałczyńskiego z ekspresjonizmem i katastrofizmem pozwoliło na odejście od stylu odbioru jego poezji, jaki – za Czesławem Miłoszem – podjęli Artur Sandauer i Jan Błoński, widząc w niej przede wszystkim motywy oraz tematy satyryczne, ludyczno-groteskowe. Jerzy Stefan Ossowski poinformował zebranych, że złożył już w Wydawnictwie Naukowym AP w Krakowie do druku kolejną książkę – *Sprawa Gałczyńskiego*. Kontynuuje w niej rozważania na temat recepcji twórczości poety, tym razem w czasach PRL-u – przekonując, że jego liryka zasługuje na traktowanie serio, że – ciągle czytana przez „nieuprzedzonych” czytelników i bez profesjonalnego przymusu – potwierdza, iż Gałczyński to jedna z największych indywidualności polskiej literatury XX w. Podobnie przecież sądziło wielu: Czechowicz, Sebyła, Miciński, Wyka, Maśliński, a nawet kapryśny i nie znoszący poezji Gombrowicz.

Odpowiadając na pytania z sali Ossowski zgodził się z opinią dr. Michała Zięby, że omawiane pisarstwo szczególnie interesująco wygląda w kontekście jego związków z całą sytuacją życia literackiego Dwudziestolecia, a zatem w perspektywie interdyscyplinarnej. Potwierdził przy tym sugestię mgr Agnieszki Fludy-Krokos, iż najważniejszą rolę w życiu Gałczyńskiego zawsze odgrywała jego żona, co znakomicie przedstawia córka poety Kira Gałczyńska w ostatniej książce *Srebrna Natalia*.

Z obowiązków kronikarskich należy odnotować, iż na wieczorze w „Bakalarzu” obecne było grono koleżeńskie autora: pracownicy naukowcy Instytutu Informacji Naukowej i Biblioteko-



Studenci IINiB

znawstwa krakowskiej AP: prof. prof. Halina Ko-
sętko i Grażyna Wrona, dr dr Maria Jazowska-
Gumulska, Michał Zięba oraz związana z poloni-
styką UJ dr Monika Stankiewicz-Kopeć, a ponad-
to redaktor książki *Szarlatanów nikt nie kocha*
Jolanta Grzegorzek, jak również członkowie To-
warzystwa Asystentów: dr dr Joanna Pychow-
ska, Elżbieta Gajewska, Wanda Matras, Marek
Karwala, Czesław Michalski.

Na zakończenie spotkania dr Michał Rogoż
skonstatował, że skoro w druku znajdują się już
kolejne prace doktorskie i habilitacyjne obec-
nych na sali pracowników naukowych AP, ten
stan rzeczy można przyjąć jako zapowiedź kolej-
nych, równie ciekawych i pożytecznych spotkań
naukowych pod egidą Fundacji Oświecenia Pu-

blicznego Towarzystwa Asystentów Akademii
Pedagogicznej w Krakowie.

Po oficjalnym spotkaniu dyskusję z krakow-
skimi galczyńskologami kontynuowano w gro-
nie bardziej kameralnym, które fotograficznie
utrwalili Mieczysław Więclawek, autor zdjęć za-
mieszczonych w tekście niniejszego sprawozda-
nia. Uczestnicy spotkania z autorem *Szarlata-
nów nikt nie kocha* opuszczali gościnny „Baka-
łarz” w przeświadczeniu, że oto do grona znaw-
ców Galczyńskiego dołączył badacz polonista,
po którym spodziewać się można dalszych
świetnych książek nie tylko poświęconych auto-
rowi *Balu u Salomona*.

Michał Zięba

Jerzy Stefan Ossowski

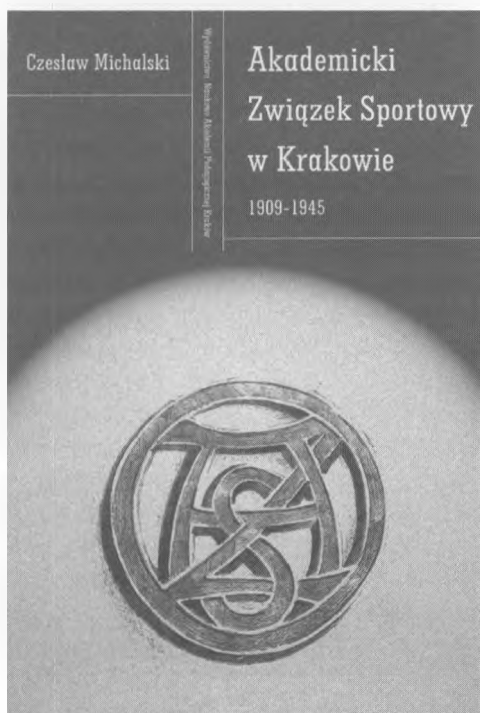
Promocja książki Czesława Michalskiego

Ukazała się pierwsza część monografii piora Czesława Michalskiego o krakowskim Akademickim Związku Sportowym w latach 1909–1945, wydana przez Wydawnictwo Naukowe Akademii Pedagogicznej w Krakowie (2007). Książka stworzyła sposobność do społeczno-kulturalnego upamiętnienia przez krakowskie środowisko akademickie zbliżającego się jubileuszu stulecia AZS w Polsce. Promocja tej interesującej publikacji odbyła się w dniu 17 czerwca br. w gmachu Collegium Novum. Czas i miejsce

spotkania wybrano nieprzypadkowo. Dla rozwoju nowoczesnego sportu akademickiego zasługi Uniwersytetu Jagiellońskiego są bezsporne. To właśnie w Collegium Novum, w roku akademickim 1908/1909, młodzież studiująca odbyła szereg spotkań, by powołać masową organizację sportową, której statut zatwierdzono 19 czerwca 1909 r. Krakowski AZS przez niemal stulecie odgrywał doniosłą rolę w rozwoju regionalnego i polskiego sportu.

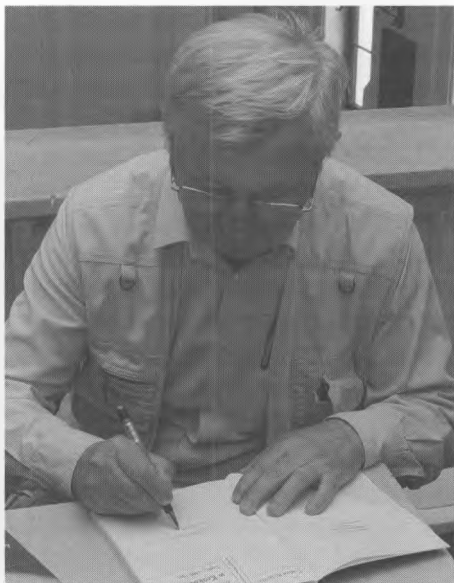
W promocji książki uczestniczyło liczne grono przedstawicieli sportu akademickiego, byłych zawodników i trenerów AZS Kraków oraz działaczy sportowych. Gospodarzem spotkania był przewodniczący Koła Seniorów AZS Kraków prof. Andrzej Pelczar, który szczególne wyrazy wdzięczności i gratulacji skierował pod adresem rektora Akademii Pedagogicznej w Krakowie prof. Henryka Żalińskiego za to, że właśnie w naszej Uczelni prowadzone są badania nad historią krakowskiego sportu akademickiego, których zwieńczeniem jest prekursorska monografia Czesława Michalskiego. Rektor Żaliński wyraził przekonanie, że Akademia Pedagogiczna nadal będzie wspierała badania i prace na temat krakowskiego sportu akademickiego, zwłaszcza, iż nasz uczelniany AZS może pochwycić się wieloma sukcesami.

Następnie recenzent książki, prof. Jerzy Pawłowski, podczas jej prezentacji stwierdził, iż to niezwykle wartościowe, w pełni naukowe opracowanie historii AZS - obejmujące okres od powstania organizacji, poprzez epokę świetności w dwudziestolecie międzywojennym, aż po lata heroicznej



walki i martyrologii studentów-sportowców podczas wojny i okupacji – wnosi wiele nowych ustaleń odnośnie historii sportu akademickiego. Autor wykonał benedyktyńską pracę, przeprowadził szeroką i czasochłonną kwerendę archiwalną oraz biblioteczną. Bardzo istotną część pracy Michalskiego stanowią wybrane sylwetki biograficzne zasłużonych dla rozwoju sportu akademickiego działaczy, trenerów i zawodników. Dopelnieniem całości jest aneks z licznymi zestawieniami tabelarycznymi, które informują o znaczących osiągnięciach zawodników AZS Kraków w igrzyskach olimpijskich, mistrzostwach Europy, świata i Polski. Te poznawcze efekty archiwalno-badawczego trudu Czesława Michalskiego dobrze wpisują się w program obchodów zbliżającego jubileuszu 100-lecia sportu studenckiego w Polsce. Z niecierpliwością więc krakowskie środowisko akademickie oczekuje na drugą część książki, tym razem poświęconą powojennej historii AZS, któremu zebrani w Collegium Novum sportowcy i działacze poświęcili najpiękniejsze lata swego życia.

W dyskusji profesor Andrzej Pelczar skonstatował, że dla autora nie może być lepszej pochwały niż ta, iż nie napisał niczego zbędnego. Nestor krakowskiej lekkiej atletyki, wybitny trener i działacz tej



Cz. Michalski podpisuje swoją książkę



Od lewej: prof. H. Żaliński, prof. A. Pelczar, dr Cz. Michalski i prof. J. Pawłowski

dyscypliny Jan Żurek stwierdził, że dopiero lektura książki Czesława Michalskiego uświadomiła mu ostatecznie, w jakiej organizacji przyszło mu działać, i że czas poświęcony dla AZS nie był stracony. Sylwetki wybitnych ludzi nauki, kultury, lekarzy, artystów, niejako same ułożyły się w panteon sportowców patriotów, którzy oddali swe życie w obronie ojczyzny. Dla członków powojennego AZS to najlepszy dowód na to, że uczestniczyli w życiu organizacji znakomitej, zasłużonej dla Krakowa i Polski.

Rektor AP prof. Henryk Żaliński przypomniał, że Czesław Michalski popularyzuje tradycje Akademickiego Związku Sportowego także w uczelnianym czasopiśmie „Konspekt”, gdzie dotychczas przedstawił szereg biogramów sportowców, absolwentów naszej Uczelni, co ważne jest dla świadomości osiągnięć sportu studenckiego. Jednocześnie zadeklarował daleko idącą pomoc przy organizacji jubileuszu 100-lecia AZS i zaproponował, aby z tej okazji opracować słownik biograficzny działaczy, sportowców i trenerów.

Zabierając na zakończenie głos w dyskusji, autor *Akademickiego Związku Sportowego w Krakowie 1909–1945* podziękował za wyrazy uznania, przedstawił dalsze zamierzenia badawcze związane z drugą częścią pracy. W swoich planach ma także wydanie trzeciej części monografii – albumu dokumentującego stulecie działalności krakowskiego AZS. Mile zaskoczyła go wiadomość, że cały nakład jego książki został wyczerpany zaledwie w dwa miesiące.

Teresa Wildhardt

Dr Peter Glanzner gościem Biblioteki Głównej AP

W dniach 4–9 września 2007 r. przebywał w Bibliotece Głównej AP z krótką wizytą Dr Peter Glanzner Dyrektor Bibliothek Pädagogische Hochschule we Freiburg.

Współpraca bibliotek prowadzona w ramach umowy zawartej pomiędzy dwoma uczelniami datuje się od jesieni 1994 r. Obejmuje praktyczne i teoretyczne aspekty działalności bibliotecznej oraz wymienne staże zawodowe pracowników obu Bibliotek.

Wymiana doświadczeń zawodowych w początkowym, trudnym okresie komputeryzacji procesów bibliotecznych i wprowadzania elektronicznych narzędzi informacji przyczyniła się do przyspieszenia tych procesów w Bibliotece Głównej.

W minionym okresie pracownicy Bibliothek Pädagogische Hochschule wizytujący bibliotekę byli referentami kilku seminariów BG. Ostatnio okazją do wymiany doświadczeń była zorganizowana 6 września, w ramach Seminarium BG, dyskusja panelowa nt. *Academic libraries at the threshold of 21. Century*. Key speakers: Dr Peter Glanzner, mgr Teresa Wildhardt. W spotkaniu liczny udział wzięli pracownicy całego systemu biblioteczno-informacyjnego Uczelni. W trakcie dyskusji poruszono szereg aktualnych problemów dotyczących działalności współczesnych bibliotek szkół wyższych m.in. świadczenia usług dla użytkowników w trybie online, digitalizacji zbiorów i tworzenia bibliotek cyfrowych. Zwrócono również

uwagę na wpływ technologii informacyjnej na zmianę kultury organizacyjnej bibliotek.

Dr Glanzner żywo interesował się pracą poszczególnych oddziałów biblioteki, a w szczególności zakresem usług informacyjnych oraz problemami związanymi z tworzeniem Pedagogicznej Biblioteki Cyfrowej tj. organizacją pracy, doбором dokumentów, procesem digitalizacji, stosowanym oprogramowaniem oraz kwestią przestrzegania praw autorskich.

Pan Dr Glanzner zapoznał się również z działalnością bibliotek instytutowych, w tym celu odwiedził Bibliotekę Instytutu Neofilologii. Księgozbiór angielski. Szczególną uwagę zwrócił na organizację pracy, dobór księgozbioru i zakres usług świadczonych dla użytkowników.

Krótką wizytę szybko dobiegła końca. Dyrektorzy obu bibliotek pozytywnie ocenili dotychczasową współpracę i zadeklarowali chęć kontynuowania jej.



Seminarium w Bibliotece Głównej AP

Marek Karwala

Wystawa plastyczna w Czchowie

Wczesnym latem odbyła się – już po raz kolejny – prezentacja dorobku artystów pragnących dołączyć cegiełkę do dzieła odbudowy czchowskiej baszty (każdy z twórców ofiarował jedną spośród swoich prac na aukcję poświęconą temu celowi). Inicjatorami przedsięwzięcia byli, jak co roku, państwo Gabriela i Wojciech Kubiczkowe (profesor Kubiczek jest emerytowanym pracownikiem Instytutu Sztuki krakowskiej AP), Grażyna i Jan Walugowie oraz Miejski Ośrodek Kultury w Czchowie. Wernisaż odbył się na początku czerwca w przestronnych wnętrzach ośrodka wypoczynkowego Huty „Łaziska”, usytuowanego malowniczo nad czchowskim zalewem.

Ekspozycja skupiła wypowiedzi o różnorodnym charakterze – zarówno ze względu na zasto-

rowane środki wyrazu, rozwiązania formalne, jak i na tematykę. Obok obrazów figuratywnych można było zobaczyć także abstrakcyjne, obok bogatych kolorystycznie – wyraźnie pod tym względem stonowane, olejom na płótnie towarzyszyły pastele, barwne tkaniny, rzeźby. Dominującym motywem okazał się pejzaż, ale obecna była też martwa natura, akcenty florystyczne, geometryczne...

W tym roku, co warto podkreślić, znów pojawili się nowi twórcy, a niektórzy z nich wywodzą się z terenu gminy Czchów. Na wystawę złożyły się prace dziewięciorga artystów, a to: Renaty Alberkiej, Marzeny Fiszczyk, Agnieszki Kareckiej, Magdaleny Kołodziej, Gabrieli Kubiczkowej, Wojciecha Kubiczki, Stanisława Remiana, Elżbiety Repetowskiej i Agaty Rościczy.



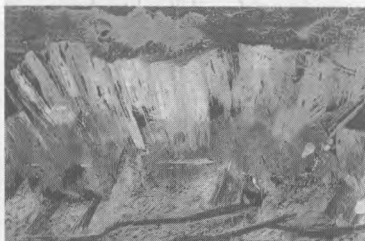
MAGDALENA KOŁODZIEJ

Abolwentka Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Nowym Wiśnicu; specjalizacja – ceramika artystyczna; I Krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych (Wydział Sztuki); Semestr na akademii w Morymberdze-Niemcy, w ramach zagrańnicznego stypendium. Obecnie zajmuje się malarstwem, rysunkiem i fotografią.



GABRIELA KUBICZKOWA

Emerytowana nauczycielka szkoły w Instytucie Pedagogicznym w Krakowie-Prokocimiu.



Joanna A. Wnęk

Dziecko w kryzysie

Kryzys wpisany jest w ludzkie życie, tak na poziomie społecznym, jak i indywidualnym. Nie da się go w żaden sposób wyeliminować. Jak wskazują badania Erika Eriksona poszczególne etapy rozwoju człowieka kończą się i zaczynają kryzysem. Do tego dochodzą różne sytuacje zewnętrzne, które pogłębiają skutki owych załamań. W zależności od tego, jak podejdziesz się do kryzysu, może on stać się zagrożeniem lub szansą rozwoju osobowości. Kryzys często przekracza możliwość samodzielnego radzenia sobie jednostki. W takiej sytuacji niezbędne jest wsparcie ze strony instytucji oraz odpowiednia wiedza z zakresu medycyny, pedagogiki oraz psychologii.

Naprzeciw tym wszystkim dylematom wyszli organizatorzy Konferencji: *Dziecko w kryzysie – kryzys w dziecku*, która odbyła się 24 kwietnia

2007 r. w auli Akademii Pedagogicznej w Krakowie. Inicjatywa ta miała szansę zaistnieć dzięki współpracy Centrum CBT (Centrum Terapii Poznawczo-Behawioralnej) oraz Wydziału Pedagogicznego naszej Uczelni. Jednakże do jej współtworzenia włączyli się przedstawiciele różnych instytucji, które na co dzień stykają się z problemem kryzysu.

Konferencja miała charakter naukowo-szkoleniowy i skierowana była do wszystkich osób, którym dobro dziecka leży na sercu, a więc nauczycieli, pracowników placówek oświatowych, przedstawicieli służby zdrowia oraz studentów kierunków pedagogicznych. Składała się z dwóch części. W pierwszej – referatowej – uczestnicy mieli okazję usłyszeć o różnych aspektach kryzysu: tego dotykającego jednostkę, jak również tego związanego z odgrywaniem ról społecznych, w tym przypadku roli nauczyciela. Niektóre wystąpienia doty-



Dyskusja panelowa

czyły funkcjonowania całego systemu edukacyjnego. Druga część konferencji poświęcona została dyskusji panelowej, w której wzięli udział przedstawiciele różnych instytucji.



dr Aleksandra Lorenc-Steinmec i Małopolski
Kurator Oświaty Józef Rostworowski

Konferencję otworzył Małopolski Kurator Oświaty Józef Rostworowski. W swoim krótkim wystąpieniu podkreślił, iż w dzisiejszych czasach świat dziecka jest wyjątkowo trudny i dlatego potrzebuje ono nieustannej obecności dorosłych. Dla dziecka bowiem nie jest ważne jacy są ci dorośli, ale na ile są przy nim. Wprowadzenia do zagadnienia dokonała prof. Bożena Muchacka, dziekan Wydziału Pedagogicznego Akademii Pedagogicznej w Krakowie. W swoim referacie na temat: *Etapów edukacyjnych jako źródła kryzysu* przedstawiła najczęstsze traumatyczne wydarzenia związane z procesem przechodzenia na poszczególne szczeble edukacji. Zmiany te bardzo często wywołują w dziecku sytuację kryzysową. Poza ukazaniem kontekstów i uwarunkowań kryzysu, B. Muchacka omówiła sposoby wsparcia udzielanego ze strony przedszkola, szkoły oraz rodziców. Swoje rozważania zakończyła na etapie przejścia ucznia do gimnazjum.

Problematykę dzieci z obniżoną normą intelektualną przedstawiła w swoim referacie mgr Ewa Pohorecka z Poradni Zdrowia Rodziny. Prelegentka

zaprezentowała statystyki dotyczące uczniów z zaburzeniami rozwoju. Następnie skupiła się na omówieniu rodzajów tych zaburzeń i form pomocy psychologiczno-pedagogicznej dostępnej w naszym systemie oświaty. Na zakończenie wystąpienia podkreśliła, że dostosowanie wymagań szkolnych do potrzeb ucznia nie może polegać na ich obniżaniu, bowiem to tylko szkodzi rozwojowi ucznia.

Aspekt medyczny kryzysu edukacyjnego stał się przedmiotem rozważań prof. Tomasza Wolańczyka z Kliniki Psychiatrii Wieku Rozwojowego AM w Warszawie. Profesor szczegółowo omówił wszelkie aspekty związane z funkcjonowaniem dziecka z deficytem zdrowotnym. W pierwszej części swojego wystąpienia przedstawił słuchaczom sytuację i zaburzenia, w których pojawiają się kryzysy edukacyjne, a następnie omówił najważniejsze z nich (zaburzenia rozwoju psychicznego, specyficzne trudności szkolne, autyzm dziecięcy, Zespół Aspergera, zaburzenia: hiperkinetyczne, opozycyjno-buntownicze, emocjonalne, funkcjonowania społecznego, reaktywne zaburzenia przywiązania w dzieciństwie, zaburzenia selektywności przywiązania w dzieciństwie oraz zespół maltretowanego dziecka). Wiele uwagi poświęcił kontaktom rodzic-nauczyciel-lekarz. Jego zdaniem na styku tych relacji dochodzi do najczęstszych nieporozumień, które w efekcie wpływają na dobro dziecka. W końcowej części referatu profesor opisał reakcje pacjentów i rodziny na kryzys diagnozy zaburzenia o charakterze przewlekłym oraz omówił czynniki medyczne, osobowościowe i rodzinne, wpływające na funkcjonowanie dziecka z chorobą przewlekłą.

Kolejny referat: *Uwaga wybuch, czyli o agresji impulsywnej w szkole* wygłosiła lek. med. mgr psychologii Magdalena Skotnicka z Centrum CBT Warszawa. Przeanalizowała ona bardzo wnikliwie sytuacje szkolne, które mogą wywołać niekontrolowane wybuchy agresji u uczniów i nauczycieli. Nauczycielom zaproponowała stosowanie kilku strategii, które pomogą im wyeliminować agresywne zachowania: strategię unikania sytuacji zapalnych, strategię radzenia sobie z emocjami oraz strategię opanowywania trudnych sytuacji. Często zdarza się, że nauczyciel sam wywołuje napady agresji, stosując wobec

uczniów negatywne komunikaty. Aby temu zapobiec prelegentka przedstawiła najważniejsze z nich, a następnie omówiła techniki panowania nad przebiegiem reakcji impulsywnych i ich ukierunkowywania.

Po tej serii referatów nastąpiła przerwa na kawę, która została wykorzystana przez uczestników do zakupu nowości książkowych z dziedziny pedagogiki. Organizatorzy konferencji zadbałi o najdrobniejsze szczegóły.

Drugi blok referatów obejmował kwestie dotyczące kryzysów związanych z pracą nauczyciela. Otworzyła go prof. Maria Kielar-Turska z Zakładu Psychologii Rozwojowej i Wychowawczej im. S. Szumana Uniwersytetu Jagiellońskiego. Swoje wystąpienie poświęciła zagrożonemu autorytetowi nauczyciela. W pierwszej części profesor omówiła najważniejsze teoretyczne kwestie związane z autorytetem, następnie przedstawiła audytorium pożądane cechy osobowości nauczyciela. Na zakończenie wskazała sposoby odzyskiwania utraconego autorytetu.

O sposobach współpracy nauczyciela z rodzicami można było się dowiedzieć z referatu: *Źródła kryzysu relacji rodzice – nauczyciele* wygłoszonego przez mgr Barbarę Woszczyń z Krakowskiego Ośrodka Terapii. Prelegentka przedstawiła zebrałym przyczyny nieprawidłowych relacji między tymi dwoma podmiotami a następnie omówiła najczęstsze gry interpersonalne prowadzone przez rodziców i nauczycieli. Jej zdaniem powstające w tej relacji kryzysy można wyeliminować dzięki świadomości czynników zakłócających proces komunikacji oraz stosowanych barier. Na zakończenie swojego wystąpienia B. Woszczyńska ukazała pożądany model relacji między rodzicem, nauczycielem i uczniem.

Część referatową zakończyła dr Aleksandra Lorenc-Steinmec z Centrum CBT Kraków. W swoim wystąpieniu p.t. *Zapobieg kryzysowi – czyli o grupach wsparcia dla nauczycieli* omówiła rozdiw między istniejącymi powszechnie panującymi w społeczeństwie mitami dotyczącymi „nauczyciela idealnego”

a realiami. Następnie przybliżyła słuchaczom problematykę wypalenia zawodowego oraz sposoby aktywności profilaktycznej podejmowanej w ramach trzech obszarów: wiedzy, autorefleksji oraz grup pomocowych.

W części panelowej prowadzonej przez dr Aleksandrę Lorenc-Steinmec udział wzięli: prof. Tomasz Wolańczyk z AM w Warszawie, lek. med. Magdalena Skotnicka z Centrum CBT, dr Bożena Majerek z Instytutu Nauk o Wychowaniu Akademii Pedagogicznej, Jan Źądło – zastępca dyrektora Wydziału Edukacji, Michał Znamirowski – dyrektor szkoły im. Św. Franciszka z Asyżu w Poskutowie, Małgorzata Niewodowska – dyrektor Poradni Psychologiczno-Pedagogicznej dla Dzieci Dyslektycznych w Krakowie, Małgorzata Micuła – pedagog Zespołu Szkół Ogólnokształcących nr 7, Wanda Badura-Madej z Ośrodka Interwencji Kryzysowej w Krakowie. Pierwsze pytanie dotyczyło różnych źródeł kryzysowych w strukturach oświatowych. Dyskutanci przedstawiali swoje doświadczenia związane z sytuacjami kryzysowymi występującymi w ich miejscach pracy: likwidacją szkoły, problemem integracji uczniów z przeróżnymi deficytami rozwojowymi, brakiem porozumienia pomiędzy poszczególnymi środowiskami wspierającymi rozwój dziecka, załamaniem systemu edukacyjnego. Drugie pytanie odnosiło się do sposobów radzenia sobie z sytuacjami kryzysowymi. Najczęściej wskazywano indywidualne, nowatorskie sposoby.

Na zakończenie dyskusji wysnuto tezę, iż kryzys zawsze stanowi moment, w którym należy rozpocząć zmiany.

Joanna A. Wnęk



Magdalena Roszczynialska

Pożytki z fikcji

Maniowy 2007

S iódmą z kolei Konferencję Naukową, odbywającą się w dniach 13–15. czerwca br. we wsi Maniowy, a zorganizowaną przez Katedrę Literatury Polskiej XX wieku Instytutu Filologii Polskiej AP otworzył referat zaproszonego gościa, prof. Michała Pawła Markowskiego z UJ, pod tytułem – tożsamym z tematem konferencji – *Literatura i antropologia*. Inicjacja w problematykę konferencji, dość nietypowo, przybrała zrazu formę powątpiewania w słuszność, a w każdym razie – w naukowość tak postawionego zagadnienia. Cóż to bowiem jest antropologia? „Jedną z zalet antropologii jako działalności naukowej jest to, że nikt, łącznie z tymi, którzy ją uprawiają, nie wie dokładnie, czym ona jest” – odpowiada na owo pytanie Clifford Geertz¹, zwolennik tego nurtu antropologicznej sztuki, w związku z którym mogliśmy się w ogóle nad Zalewem Czorszyńskim celem przedyskutowania relacji literatury i antropologii spotkać. (Tradycyjna etnografia grzęźnie na gruncie rozmiękczonego paradygmatu, przeto nie stała się przedmiotem rozmowy). Jeśli więc nie dyscyplina naukowa, to... moda? Skoro zatem jest antropologia jedną z tych wielkich idei, na którą „wszyscy rzucają się [...] niczym na skarby Sezamu”² i która traci z wolna operacyjną skuteczność, coż wtedy? Wówczas powinniśmy „przyjrzeć się temu, czym tak naprawdę zajmują się działający na jej polu praktycy”³. Na polu antropologii chodzi o tworzenie/pisanie etnografii, inaczej mówiąc o praktykę interpretacji.

Słabość antropologicznej teorii zaiste jest jej zaletą: antropologia rodzi się ze samoświadomości własnych uwarunkowań i jako naczelnie kładzie kwestie metodologiczne. Inicjalne powątpiewanie prof. Markowskiego metodą *retorsio argumenti* wcelowaną zwrótnie w samego siebie przeszło w objaśnienie, jak dzisiejsza humanistyka rozumie relacje literatury i antropologii. Ale o tym później.

Najpierw o tym, jak my rozumieliśmy owe relacje. Otóż rozumieliśmy je bardzo różnie, a może nawet ich nie rozumieliśmy, co da się wyjaśnić w duchu antropologii interpretatywnej Geertza (to pierwsze, jako przypadki lokalnej wiedzy), bądź antropologii generatywnej Erica Gansa (drugie, jako przypadki pustki katalizującej kulturę). A na serio: spotkaliśmy się przynosząc, chwala Bogu niemal każdy inne, rozumienie tego, czym jest antropologia w jej relacji do literatury, względnie na odwrót. Na po-



Uczestnicy konferencji w Maniowych

trzeby tego sprawozdania zogniskuję nasze wystąpienia właśnie wokół tych dwóch modeli: antropologii literatury i antropologii literackiej, od razu zaznaczając, że przyporządkowania te nie są sztywne i całkowite, i że niejednokrotnie dany referat podnosił wątki kwalifikujące go i tu, i tu.

W pierwszym modelu mieściły się te wystąpienia, które koncentrowały uwagę na literaturze tematyzującej lub w inny – jawny – sposób odnoszącej się do tradycyjnych przedmiotów zainteresowania antropologii. Pojawił się zatem klasyczny, etnograficzny wręcz, temat śmierci (Jan Burnatowski, *„Bał wdów i wdowców” Mariana Pankowskiego w perspektywie antropologii śmierci*) lub innych doświadczeń granicznych (dr Stanisław Jasionowicz, *Pustka jako problem antropologiczny (w kontekście poezji współczesnej)* – tu między innymi także wątek ciała, cielesności, śmierci jako braku drugiego/ciała). Podjęto, także klasyczny, temat dialogu, zarówno jako formy dyskursu (dr Krystyna Latawiec, *Dialog dramatyczny w perspektywie antropologicznej*), jak i przedmiotu zainteresowania filozofii, antropologii filozoficznej i psychologii (mgr Elżbieta Szmuc, *Poznanie Innego w dialogu*). Dopelnieniem tego wątku stało się podjęcie tematyki spotkania (Wacław Marszałek, *Spotkanie. Opowiadanie Jarosława Iwaszkiewicza „Przyjaciele” jako dyskurs o możliwościach ludzkiego poznania*), także spotkania w warunkach hybrydyzacji kultury (dr Renata Jochymek, *„Miasta się przemieszały”. Synkretyczność kultur a poczucie wyobcowania bohaterów powieści Stefana Chwina*). Ważna dziś tematyka Innego/Obcego wystąpiła w kilku referatach: w kontekście aksjologii (ale także języka, prof. Barbara Guzik, *Obcy-Inny wśród swoich. Na przykładzie wybranych noweli pozytywistycznych*, materiałem egzemplifikującym były nowele *Janko Muzykant* H. Sienkiewicza oraz *Omyłka* B. Prusa), stereotypów poznawczych (dr Magdalena Roszczyńska, *No-stalgia. Motywy cygańskie w prozie Andrzeja Stasiuka*) oraz w bardzo ważnej, acz nieczęsto zauważanej formie problemu siebie jako Innego (dr Zbigniew Bauer, *Antropologiczne strategie w późnej twórczości Ryszarda Kapuścińskiego*). W tym

ostatnim referacie tematyzowano również metodologiczny dylemat antropologii wyrażający się formułą „być tu, pisać tam” (jest to ogólnoepestemologiczny problem anamorfozy, subiektywności i obiektywności, antropologiczna interferencja fikcji i faktu, jak i charakteryzująca pisarstwo autora *Hebanu* opozycja *past self* – *present self*, „reportera zewnętrznego” i „reportera wewnętrznego”). Była też próba zarysowania biografii pisarza-antropologa (dr Konrad Ludwicki, *Sandor Marai – antropolog, emigrant, humanista*). Szczególną grupę stanowiły wystąpienia nawiązujące do koncepcji języka jako kultury i – siłą rzeczy – koncepcji językowego obrazu świata, będące zarówno hermeneutyką lub analizą lingwistyczno-kulturową tekstów dawnych (prof. Teodozja Rittel, *Model religijny języko-kulturowy Elżbiety Drużbackiej. Wyraz antropologiczno-wierzeniowy*; prof. Maria T. Lizis, *Adama Mickiewicza antropologia słowa*), jak też klasycznym JOS (dr Marta Korendo, *Obraz świata w tekstach dzieci z zespołem Aspergera*). W tej orbicie oscylował również referat poświęcony analizie kulturowej języka pisanego i sztucznych języków migowych (prof. Jadwiga Cieszyńska, *Na początku było słowo. Rozważania o języku pisanym*). Tu też umieściłabym wystąpienie objaśniające *imaginarium* fantastyczne prozy międzywojnia (Jakub Knap, *Niesamowitość i groza w literaturze polskiej Dwudziestolecia międzywojennego*). Kilka ostatnio wymienionych tytułów sugeruje, że komponent literacki w zestawieniu „literatura i antropologia” ma charakter przybliżenia, metaforycznego skrótu, w istocie chodzi o narrację, czy inaczej rzecz ujmując – fikcję. Wówczas mieszczą się w wyróżnionym modelu narracje (fikcje) nieliterackie, np. filmowe (klasyfikujące studium dr. Bogusława Skowronka, *Filmowe sposoby antropologicznego poznania*), *nomen omen* – antropologiczne (mgr Elżbieta Pawłowska, *Rewitalizacja opowieści w literaturze fantazy dla młodzieży – na podstawie wybranych utworów Doroty Terakowskiej i cyklu o Ziemiomorzu Ursuli LeGuin*) oraz języki spoza terenu literatury: wspomniane już dyskursy edukacji, pedagogiki i psychologii, wreszcie – dyskurs władzy (dr Agnieszka Ogonowska, *Netokraci wo-*

bec literatury – o szczególnym ułożeniu wobec nowych, netokratycznych elit dyskursu literackiego, w obrębie którego w mocy pozostają kompetencje literackie wynikające z kultury druku).

Drugi model skupiał, najogólniej rzecz biorąc, wystąpienia odwołujące się do egzystencjalnej kategorii doświadczenia. Chodzi bądź o doświadczenie obecności (dr Henryk Czubała, *Realizm metafizyczny jako literacka antropologia* – rzecz o esyzacji literatury i podmiocie partycypującym), doświadczenie (w) pamięci (dr Janusz Waligóra, *O zapomnieniu i pracy pamięci w poezji Wisławy Szymborskiej*), doświadczenie pustki (wymieniony już referat dra Jasionowicza), doświadczenie inności/obcości (także wspomniane już głosy dr. Bauera oraz prof. Cieszyńskiej). Interesująco jawi się kategoria doświadczenia wyzyskana do projektu dydaktycznego sytuującego się w opozycji do szkolnego dziedzictwa strukturalizmu, a więc zastosowana do projektowania poetyki kulturowej dla szkoły (dr Marek Pieniążek, *Dydaktyka polonistyczna wobec użycia teorii literatury*). Swoistą podgrupę, czy osobną odmianę stanowią w obrębie omawianego modelu referaty, w których literatura jawi się jako sztuka (auto)interpretacji, względnie fikcyjotwórstwa: za pomocą konwencjonalnych znaków wizualnych (dr Roszczynialska), znaków pisma (prof. Cieszyńska) i – przekształconych pod presją nowych mediów – znaków literackich (dr Bauer), a teoria staje się formą praktyki (dr Ogonowska).

Ten krótki przegląd naszych interpretacyjnych działań uzmysławia, że oto hasło „literatura i antropologia” prowokuje do stawiania kolejnych pytań, aczkolwiek nie obiecuje wcale dać na nie odpowiedzi. Jakie to pytania? Na przykład można zapytać, jaką antropologię mamy na myśli: filozoficzną? (dr Jasionowicz), społeczną? (dr Ogonowska), kulturową? (dr Skowronek), literacką? (cokolwiek to znaczy). Czy uprawiamy ową literacką antropologię, czy może antropologię literatury? A może nasze zajęcie to *cultural studies* lub wręcz jakaś forma teorii literatury („innego literaturoznawstwa”? Ponadto, skoro obejmuje swoim zasięgiem pozaliterackie praktyki wyrażania i wyobrażania świata, jest to działalność inter- i transdyscyplinarna.

Jaki więc tu obrać scenariusz dochodzenia do prawdy⁴, jak próbować jednak te wątpliwości interpretować pozytywnie? Otóż – jak pisze Iser – w przypadku „czytania kultury [czyli naszego zajęcia], scenariusze czytania mogą posiadać wyłącznie podstawowy fikcyjalny charakter”, a „fikcję definiujemy przez czyniony z niej użytek”⁵. Musimy po prostu inaczej zapytać. Jako literaturoznawcy możemy postawić np. takie pytanie: jaki użytek czynimy z literatury (i z jej interpretacji, także z interpretacji jej interpretacji itd.)?

Prof. Michał Paweł Markowski (p) odpowiada tak: literatura jest fenomenem antropologicznym, jest ekstensją człowieka jako takiego, niektórzy nawet sądzą, że wciela esencję człowieczeństwa – jest zatem ważna dla człowieka. Człowiek to fikcyjotwórca. Dzięki literaturze człowiek dochodzi do swej własnej istoty (np. w autoterapii, formach autobiograficznych itp.). Literatura jest też narzędziem dochodzenia prawdy o sobie i świecie („zwierciadłem przechadzającym się po gościńcu”). Literatura przechrzta naturę (dzięki niej „nie umrzemy cali”; ponadto pomiędzy nas a rzeczywistość wsuwa ona znaki odraczając biologię i socjalizując nas). Dzięki literaturze możemy też wykroczyć poza to, co dane nam w doświadczeniu lub należy do świata wiedzy (za sprawą np. metafory; to właśnie różni literaturę od fikcji wyjaśniających, którym brak zdolności takiej eksploracji). Literatura, tj. interpretacja jest antytezą śmierci.

Dlatego też jestem pewna, że – pod jak zawsze życzliwą opieką organizatora tej, a właściwie trzeba powiedzieć: tych konferencji, prof. Bolesława Farona – spotkamy się w Zajeździe Czorsztynskim w Maniowach, od czerwca licząc, równo za rok.

Magdalena Roszczynialska

¹ C. Geertz, *Zastane światło. Antropologiczne refleksje na tematy filozoficzne*, Kraków 2003, s. 114.

² Tenże, *Interpretacja kultur. Wybrane eseje*, Kraków 2005, s. 17.

³ Tamże, s. 19.

⁴ Por. W. Iser, *Czym jest antropologia literatury? Różnica między fikcjami wyjaśniającymi a odkrywającymi*, „Teksty Drugie” 2006 nr 5, s. 15.

⁵ Tamże, s. 16.

Iwona Jarno-Kurach

II Bukowieńskie Spotkania Naukowe

Bukowieńskie Spotkania Naukowe to cykl konferencji organizowanych na wiosnę każdego roku przez Miejski Ośrodek Kultury w Bukowni, Katedrę Dydaktyki Literatury i Języka Polskiego Akademii Pedagogicznej w Krakowie oraz Urząd Miasta Bukowna.

Tegoroczna, dwudniowa sesja odbyła się w sali widowiskowej MOK, a poświęcona została temu, co *Zapisane w krajobrazie, czyli Lekturowym obrazom regionu dawniej i dziś*.

Otwarcie obrad nastąpiło 14 czerwca oficjalnym wystąpieniem gości honorowych sesji: bur-

mistrza Miasta Bukowna mgr. Mirosława Gajdziszewskiego, prorektora Akademii Pedagogicznej prof. Tadeusza Budrewicza oraz Przewodniczącego Rady Miejskiej mgr. Zbigniewa Urbańskiego.

W trakcie wielogodzinnych obrad zaprezentowanych zostało czternaście referatów z zakresu: dydaktyki literatury i języka polskiego, literaturoznawstwa, kulturoznawstwa, historii oraz socjologii. Jako pierwszej głosu udzielono prof. Krystynie Heskiej-Kwaśniewicz z Uniwersytetu Śląskiego. Jej referat poruszał zagadnienie miejsc wspólnych krajobrazu, literatury i har-



Autorzy referatów w I dniu obrad

cerstwa. Następnie prof. Zofia Budrewicz z Akademii Pedagogicznej w Krakowie omówiła sposoby eksplikacji krajobrazu Polski w lekturach szkolnych okresu dwudziestolecia międzywojennego. Z kolei prezes Stowarzyszenia „Szansa Białej Przemszy”, mgr Józef Niewdana, przedstawił książkę *Kraina Białej Przemszy*, jako propozycję podręcznika do nauki o „małej ojczyźnie”, zaś topografia dorastania w *Szyzyfowych pracach* S. Żeromskiego stała się przedmiotem rozważań prof. Marii Jędrichowskiej.

Po półgodzinnej przerwie uczestnicy sesji wysłuchali wystąpienia dr Barbary Dyduch pt. *Dziecko w pejzażu miasta* oraz dr Marii Sienko, która omówiła „wielką i małą” historię Nowej Huty w fotografii. Referatowi towarzyszył przegląd zdjęć tejże aglomeracji z lat 50. 60. i 70.

Kolejny referat wygłosił Józef Liszka z Bolesławskiego Gminnego Ośrodka Kultury. Tytuł brzmiał: *Rzecz o aptekarzu Antonim Schmidcie z Krążka. Uczestniku powstania styczniowego*. Z kolei historyk i redaktor „Dziennika Polskiego” p. Jacek Sypień zajął się tematem gmerków mieszczan olkuskich, zachowanych w Bazylice św. Andrzeja w Olkuszu.

W drugim dniu obrad prof. Barbara Guzik zaprezentowała sylwetkę twórczą Adolfa Dyg-

sińskiego – piewcy Ponidzia i Doliny Prądnika. Następnie Olgierd Dziechciarz z Galerii BWA przedstawił olkuskie tropy literackie w najnowszej literaturze polskiej, a dr Marek Pieniążek z Akademii Pedagogicznej przybliżył podolukskie ścieżki twórcze Jana Waśniewskiego – „bolesławskiego epika”.

W ostatniej części sesji mgr Katarzyna Pławiecka omówiła zagadnienie – „oswoić to, co własne” na przykładzie lekcji języka polskiego, obraz przyrody syberyjskiej w pamiętnikach zesłańców polskich II połowy XIX w. nakreślił Janusz Patyna, zaś przedstawiciel Bolesławskiego Ośrodka Kultury – Tomasz Sawicki – opowiedział o stuleciu powstania straży ogniowej w Bolesławiu. Zamknięciem sesji stał się referat Marcina Kani dotyczący obrazu Afryki zawartego w pamiętniku Władysława Jagniałkowskiego – żołnierza francuskiej Legii Cudzoziemskiej.

Tegorocznym Bukowieńskim Spotkaniom Naukowym patronowały: Urząd Marszałkowski w Krakowie, Urząd Miasta Bukowna, Akademia Pedagogiczna im. KEN w Krakowie, Telewizja Kraków, „Dziennik Polski”, „Ziemia Olkuska”, „Konspekt”, „Gmerek Olkuski”, „Głos Bukowna” oraz portal internetowy eOlkusz.pl.

Sebastian Dusza

Motywacja w dydaktyce języków obcych

W dniach 10–12 września 2007 r. we Wrocławiu, w stolicy Dolnego Śląska zwanej Rzymem Północy, odbyła się kolejna ogólnopolska konferencja Polskiego Towarzystwa Neofilologicznego pod hasłem: *Nowe spojrzenia na motywację w dydaktyce języków obcych*. Organizację tego przedsięwzięcia wzięli na siebie przedstawiciele Komitetu Organizacyjnego z następujących dolnośląskich ośrodków naukowych: Instytutu Filologii Angielskiej Uniwersytetu Wrocławskiego we Wrocławiu, Wyższej Szkoły Filologicznej we Wrocławiu oraz Nauczycielskiego Kolegium Języków Obcych we Wrocławiu, przy pomocy Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Neofilologicznego. Nad organizacją i poziomem merytorycznym czuwał Komitet Organizacyjny w składzie: prof. UW. Anna Michońska-Stadnik jako Przewodnicząca, mgr inż. Ryszard Opala – wice-przewodniczący (WSF), dr dr Małgorzata Baran-Łuczar – sekretarz Konferencji (IFA UW), Małgorzata Jedynak – sekretarz Konferencji (IFA UW), Lech Zabor (IFA UW), mgr mgr Katarzyna Paślawska (WSF), Magdalena Ziółkowska (IFA UW), Katarzyna Sradomska (IFA UW, NKJO), Małgorzata Bieszczanin (IFA UW, WSF) oraz Komitet Naukowy reprezentowany przez prof. prof. Weronikę Wilczyńską, Elżbietę Zawadzka, prof. UW. Annę Michońską-Stadnik, prof. prof. Zdzisława Wąsika i Janusza Arabskiego.

Temat konferencji tylko niewtajemniczonym wydawał się zagadnieniem nieaktualnym i niegodnym większego zainteresowania. W do-

bie komunikatorów internetowych i internetu nie trzeba przecież już rozmawiać o czymś tak oczywistym jak motywacja. Zainteresowanie uczestników, przekrój tematyczny zaproponowanych przez nich tematów wystąpień udowodnił jednak każdemu niedowiarkowi, że burzliwy rozwój komputerowego wspomagania procesu uczenia się (*e-learning*, *d-learning*), wsparty potężnym instrumentarium i najnowszymi obserwacjami z dziedziny psychodydaktyki i neurobiologii oraz wprowadzanie nauczania języków obcych do programów nauczania kolejnych, coraz wcześniejszych etapów edukacji czynią motywację obszarem atrakcyjnym badawczo, a od nauczających wymagają dalszej dogłębnej analizy pojawiających się kolejnych wyzwań oraz szerokich badań nad integracją odpowiednich rozwiązań systemowych na poziomie konkretnego ucznia. Dlatego na konferencji poświęconej motywacji nie mogło zabraknąć pracowników Instytutu Filologii Germańskiej z Instytutu Neofilologii Akademii Pedagogicznej im KEN. w Krakowie: dr dr Angeli Bajorek, Doroty Szczęśniak, mgr Ewy Górbiel oraz piszącego te słowa. Nasze prelekcje nie byłyby tak ciekawe, gdyby nie obecność mgr Beaty Ingram, wspaniałej nauczycielki języka niemieckiego przy Specjalnym Ośrodku Szkolno-Wychowawczym dla Dzieci Niewidomych i Słabowidzących w Krakowie oraz Jej wielka pomoc w przygotowaniu naszych referatów przed konferencją.

Otwarcie konferencji dokonało się w Sali im. Witolda Świdy, w nowoczesnym budynku Wy-

działu Prawa Uniwersytetu Wrocławskiego, w ścisłym sercu wrocławskiej Starówki. Do przestronnej auli z ciekawością zaglądały okna kamienic, w których dawniej mieszkali wrocławscy naukowcy i europejscy Nobliści, kiedy swoje plenarne referaty prezentowały: prof. prof. Anna Dąbrowska oraz Anna Michońska-Stadnik. To *genius loci* w tym nowoczesnym miejscu skłonił słuchaczy do refleksji nad przeszłymi losami polszczyzny i losami rozwoju kontaktów kultur językowych, którym współzycie z różnych względów różnie się układało. Zapewne każdemu z uczestników nasuwały się różne myśli dotyczące kondycji dzisiejszego stanu motywacji ku pielęgnowaniu rozwoju autentycznego, żywego kontaktu językowego, który będzie łączyć a nie dzielić narody.

W gościnnych progach Instytutu Filologii Angielskiej Uniwersytetu Wrocławskiego uczestnicy zaprezentowali swoje referaty. W ciągu dwóch dni obrad wysłuchać można było ponad 100 referatów. Prelegenci obradowali każdego dnia w sześciu równoległych sekcjach tematycz-

nych. Słuchacze samodzielnie musieli więc decydować o doborze interesujących ich tematów wystąpień; wysłuchanie wszystkich referatów byłoby przecież niemożliwe. Wszyscy uczestnicy wyrażają nadzieję, że dzięki wydawnictwom konferencyjnym będą mogli o tej niedogodności zapomnieć. Dyskusje trwały jeszcze długo po każdym cyklu obrad w kularach instytutu, przy ciastkach i mocnej kawie lub podczas uroczystego bankietu. Dzięki organizatorom prawie każdy miał możliwość wzięcia udziału w jednym z kulturalnych przedsięwzięć Wrocławia: bądź to w koncercie kantat bachowskich w trakcie odbywającego się w tych dniach Festiwalu „Vratislavia Cantans”, bądź to podziwiania stolicy Dolnego Śląska najpierw z wody – potem z lądu. Uczestnicy spoza regionu korzystali z gościnności hotelu „Wieniawa”.

Następna konferencja zgromadzi z pewnością więcej uczestników oraz spowoduje wzrost liczby nowych członków Polskiego Towarzystwa Neofilologicznego.

Marzena Błach

Przyszłość jest teraz...?

O bibliotekach przyszłości

Jakie są cechy biblioteki przyszłości i czy posiadają je współczesne biblioteki?

Niewątpliwie biblioteka przyszłości jest placówką skomputeryzowaną, która gromadzi, przechowuje i udostępnia nie tylko wydawnictwa zwarte i ciągle w tradycyjnej postaci, ale także w formie elektronicznej. Biblioteka przyszłości powinna też dysponować zbiorami specjalnymi - wydawnictwami audiowizualnymi i pełnić funkcję centrum informacji wykorzystującego najnowocześniejsze techniki ich gromadzenia, przechowywania, rozpowszechniania i udostępniania. Powinna być także dostosowana do po-

trzeb osób niepełnosprawnych, niedowidzących i niewidomych.

Rozważania na temat bibliotek przyszłości i próby odnalezienia ich cech we współcześnie działających bibliotekach przewijały się w trakcie sesji składających się na tegoroczną konferencję dla bibliotekarzy zrzeszonych w Stowarzyszeniu Bibliotek Szkolnych (School Library Association). Konferencja odbyła się w Nottingham w dniach 22-24 czerwca 2007. Udział w tegorocznej edycji konferencji, przebiegającej pod hasłem „przyszłość jest teraz” umożliwiło mi stypendium profesora Franka Nolana Hogga, honorowego członka SLA.

Na stypendium składały się praktyki w bibliotece szkoły średniej – Ripon Grammar School, praktyki w walijskich bibliotekach, między innymi w Bibliotece Narodowej Walii oraz udział we wspomnianej corocznej konferencji Stowarzyszenia Bibliotek Szkolnych.

Do uznania prawdziwości stwierdzenia, iż „przyszłość jest teraz” skłoniło mnie wysłuchanie referatu Anthony'ego Bravo z Crossways Academy i obejrzenie filmu nakręconego przez uczniów tej szkoły. Biblioteka w Wielkiej Brytanii nie ma już charakteru tradycyjnego zbioru książek, różni się od niego tak dalece, że jedyną odpowiednią dla niej nazwą jest termin „centrum informacji” – Library Resource Centre (LRC). Decyduje o tym wyposażenie „biblioteki” w najnowszy sprzęt komputerowy i stosowanie nowoczesnych technologii w nauczaniu, jak



również kształcenie uczniów w zakresie operowania informacją.

Unowocześnienie bibliotek w Wielkiej Brytanii ma swoje mocne i słabe strony. W dobrze wyposażonych pod względem technicznym bibliotekach wadą jest wysoki stopień komercjalizacji zbiorów, przejawiający się w gromadzeniu wydawnictw popularnych i bestsellerów. Przykładowo, biblioteka szkolna w Djanogly City Academy Nottingham określona w sprawozdaniu Aleca Williamsa jako „stylowa”¹, nie wzbudziła mojego zachwytu. Estetyczny wygląd, dobry sprzęt to nie wszystko. Może nagromadzenie „łatwej” literatury sprzyja propagowaniu czytelnictwa, ale brak ambitniejszych książek uniemożliwia dalszy rozwój jej odbiorców. Lekturze, nauce czy wyszukiwaniu informacji nie sprzyja też ulokowanie biblioteki w pobliżu wejścia w rozszerzeniu korytarza, co czyni ją miejscem hałaśliwym. Biblioteka ta nie jest swoistą enklawą gdzie można czytać książki, uczyć się w oparciu o zbiory tradycyjne i elektroniczne jak np. w bibliotece szkolnej w Ripon Grammar School.

Cele centrum informacji naukowej w Ripon Grammar School realizuje pracująca tam bibliotekarka, uhonorowana tytułem bibliotekarza roku 2006, Anne-Marie Tarter. Mieszcząca się na antresoli pracownia komputerowa i dwa małe pomieszczenia, jedno z kilkoma komputerami, a drugie pełniące funkcję salki kinowej – znajdują się w obrębie biblioteki i stanowią jej nieodłączną część. W pomieszczeniach tych A-M. Tarter realizuje lekcje biblioteczne, mające na celu kształcenie u uczniów umiejętności operowania informacją – doskonalenie Information Literacy Skills. W swoich lekcjach wykorzystuje ona *Filamentality* – serwis umożliwiający tworzenie tematycznych stron z linkami użytecznymi dla uczniów.

Niemniej jednak, akcentując rolę biblioteki jako Library Resource Centre, gdzie doskonalą się zdolność operowania informacją, nie pomija również tradycyjnej roli biblioteki jako miejsca propagującego czytelnictwo.

Przy Ripon Grammar School Library działa klub czytelniczy, różne wydarzenia literackie mają swój odpowiednik w drobnych imprezach organizowanych przez bibliotekarkę. Na przykład, w związku z ukazaniem się kolejnej części przygód Harry'ego Pottera pani Tarter zorganizowała nocne czytanie nowo wydanej książki.

Dwutygodniowa praktyka w Ripon pozwoliła mi również poznać sposoby wykorzystania zasobów internetu w prowadzeniu lekcji bibliotecznych, mających na celu doskonalenie zdolności operowania informacją przez użytkowników typowej angielskiej biblioteki szkolnej.

Cechy bibliotek przyszłości posiadają także walijskie biblioteki publiczne udostępniające wydawnictwa zwarte i ciągle w formie tradycyjnej i elektronicznej, dokumenty dźwiękowe i audiowizualne, umożliwiające bezpłatny dostęp do internetu i baz danych. Tak działają filie biblioteki publicznej - Ceredigion Library w Aberystwyth, Tregaron, Lampeter oraz Biblioteka Narodowa Walii nastawiona na udostępnianie materiałów i informacji o nich czytelnikom np.



Ripon Grammar School

poprzez digitalizację najcenniejszych manuskryptów walijskich.

Biblioteki szkolne w Walii pełnią rolę ośrodków informacji. Sprawiają wrażenie bardziej nowoczesnych niż polskie. Jednak wśród nich można odnaleźć placówki dydaktyczne posiadające co prawda ciekawe zbiory książkowe, ale nieuporządkowane, znajdujące się pod opieką nauczycieli a nie bibliotekarzy. Taka sytuacja miała miejsce w bardzo dobrze wyposażonej w sprzęt i materiały, mające pomóc dzieciom z dysleksją, szkole podstawowej St Padarns Primary School.

Czy polskie biblioteki daleko odbiegają od wizerunku bibliotek przyszłości? Na ogół tak, ale z moich obserwacji wynika, że wiele z nich zbliża się do tego ideału. Tak jest w przypadku biblioteki Zespołu Szkół Integracyjnych nr 7

w Krakowie, gdzie funkcjonuje bardzo dobre, chociaż małe centrum informacji edukacyjnej, wyposażone w sprzęt komputerowy sfinansowany z funduszy Unii Europejskiej.

Jednak nie od samych możliwości finansowych zależy unowocześnianie polskich bibliotek. Wiele zdziałać może aktywność bibliotekarza, który potrafi nie tylko wyszukać granty dla swojej biblioteki czyniąc ją biblioteką przyszłości, lecz również zaplanować i zorganizować akcje sprzyjające rozwojowi zainteresowań czytelnich użytkowników.

Marzena Błach

¹ Williams A.: *The future is now: SLA Weekend Course*, Nottingham University, 22–24 June 2007. "The School Librarian" 2007 nr 3, s. 116–118.

Marian Śnieżyński

Autorytet nauczyciela akademickiego w opinii studentów

Jakość relacji interpersonalnych, poziom prowadzonych zajęć, umiejętność nawiązywania dialogu nauczycieli akademickich ze studentami to istotne elementy budujące autorytet pracownika nauki. Młodzież akademicka jest w najwyższym stopniu zainteresowana poszukiwaniem zarówno autorytetów naukowych, jak i moralnych. Jeżeli dostrzeże je w swoim otoczeniu, potrafi im zawierzyć, poddać się ich kierowaniu i wpływowi. Studenci będąc pod wpływem osoby uznanej za autorytet, rzetelnie wypełniają swoje obowiązki i podstawowe powinności nie ze względu na strach czy inny zewnętrzny przymus, ale z uwagi na szacunek i pełne zawierzenie swojemu mistrzowi, który proponując określone zadania, zmierza do realizacji dobra jednostki i grupy społecznej przy pełnym zrozumieniu i poszanowaniu jej autonomii i prawa do indywidualnego wyboru

Janusz Sztumski¹ wyróżnia autorytet w szerokim tego słowa znaczeniu, czyli poważanie oparte na posiadanej władzy oraz autorytet w wąskim rozumieniu – szacunek dla powagi posiadanych zalet, które są szczególnie cenione w danym społeczeństwie i środowisku. Autorytet w rozumieniu przytoczonego autora opiera się na społecznie uznanej prawdzie danego człowieka w zakresie posiadanej wiedzy, zdolności i doświadczenia życiowego. Klemens Szaniawski² uważa, iż warunkiem podstawowym do uznania danej osoby za autorytet jest przypisanie jej szczególnie wysokich kompetencji w danej dziedzinie nauki. W ujęciu Jerzego Szackiego³ pojęcie autorytetu wiąże się z osobą zdolną wywierać wpływ na zachowanie się innych ludzi, niezależnie od tego, czy ich stosunek do tej osoby jest pozytywny, czy też negatywny. Z kolei zdaniem Elżbiety Neyman⁴ dotyczy ono tych ludzi, którzy z racji uznania ich przewagi przez innych posiadają możliwość wpływu na ich postawy i zachowania w warunkach wyklu-

czających bezpośrednią presję. Najbardziej ogólną, a tym samym niejako uniwersalną definicję autorytetu podaje Kazimierz Sośnicki⁵ pisząc, iż jest to stosunek między dwoma osobami, w którym jedna z nich uznaje wolę drugiej, do tej woli się dostosowuje i ulega jej. Natomiast Henryk Rowid⁶ sprowadza go do charyzmy, którą może być obdarzony dany człowiek. Dzięki niej możliwym staje się podporządkowanie jednej osoby drugiej. Autor uważa, że autorytet to swoista właściwość tkwiąca immanentnie w osobie, względnie instytucji, dzięki której to właściwości podporządkowują się jej inne osoby, instytucje, grupy społeczne – w sposób mniej lub bardziej dobrowolny.

Najbardziej adekwatną, pełną i wyczerpującą definicję autorytetu nauczyciela akademickiego sformułował Janusz Goćkowski⁷, którego zdaniem autorytet w nauce polega na tym, że pewni uczeni – ze względu na swoje osiągnięcia i zasługi – uznani są przez odpowiednie grupy i kręgi ludzi nauki za miarodajnych luminarzy

wiedzy naukowej i mistrzów pracy naukowej. Autorytetem naukowym zostaje ten, kto legitymuje się walorami pozwalającymi widzieć w nim znawcę, sędziego, twórcę i nauczyciela wiedzy naukowej. Autorytetem naukowym zostaje osoba, którą odpowiednie kręgi ludzi nauki uznają za tę, na której należy się wzorować, od której można się uczyć, której twórczość koniecznie winna być brana pod uwagę. J. Goćkowski słusznie stwierdza, iż autorytet spełnia zawsze i wszędzie, choć w rozmaity sposób, funkcję ośrodka miarodajności, który ludziom jest nieodzowny dla zaspokojenia potrzeby ładu. Tak jak nie ma szkoły bez nauczycieli, tak nie może być nauki bez autorytetów.

Definicja ta niestety nie uwzględnia odniesienia autorytetu do podmiotów oddziaływań nauczycieli akademickich, jakimi są studenci. Stąd też pragnę zaproponować własną definicję, która brzmi następująco. Autorytet to uznanie i szacunek, jakim darzą studenci swoich nauczycieli akademickich, ze względu na wewnętrzne przekonanie o nieodzowności tego wpływu na nich. Uznanie i szacunek dotyczy i odnosi się w równej mierze do wiedzy merytorycznej nauczyciela, umiejętności jej przekazu oraz do jakości relacji interpersonalnych wraz z wybranymi cechami osobowościowymi.

Wzrastające zainteresowanie zawodem nauczyciela wynika z faktu, iż w pracy dydaktyczno-wychowawczej podstawową rolę odgrywa aspekt stosunków zachodzących między nauczycielem akademickim a studentem. W tych relacjach manifestuje się cała osobowość nauczyciela, tu następuje pełne odsłonięcie jego człowieczeństwa, jego *humanitas*, tu uzewnętrznione są jego ideały i wartości. To, co mówi, czego naucza nauczyciel lubiany i ceniony, jest zawsze lepiej przyjmowane niż to, co przekazuje młodzieży człowiek im obcy i nielubiany.

Jest sprawą oczywistą i zrozumiałą, iż sam proces nauczania zakłada intelektualną dominację nauczającego nad nauczonym. Natomiast już nie jest tak oczywistym fakt, dlaczego wszelkie konsekwencje wynikające z niedostatków tego

procesu musi ponosić sam student, który jest zdany wyłącznie na życzliwość lub nieprzychylność nauczyciela.

W codziennych kontaktach nauczyciela akademickiego ze studentami chodzić będzie o rozwijanie atmosfery zaufania, wytworzenie poczucia bezpieczeństwa, sprawiedliwe ocenianie, dotrzymywanie słowa, uczciwość w postępowaniu, jednym słowem o wyeksponowanie kardynalnej cechy, którą Jan Władysław Dawid nazwał „miłością dusz ludzkich”. Prawidłowa realizacja tej cechy, cechy tak pojemnej treściowo, przepojonej głębokim humanizmem, stanowi dla współczesnego pedagoga warunek *sine qua non* jego autorytetu.

W świecie XXI w., gdzie powszechnie panuje przemoc, gdzie słabszy bywa podporządkowany silniejszemu, gdzie autorytet moralny niszczonej jest przez „autorytet” przemocy, potrzeba nam chyba jak nigdy dotąd siły autorytetu; miłości, prawdy i dobra. Tę siłę ma zaszczerpić i rozbudzić u swoich studentów właśnie nauczyciel akademicki.

Autorytet jest budowany najczęściej w wyniku określonych stosunków społecznych między osobami. Oznacza to, że autorytet występuje w ramach konkretnych relacji interpersonalnych. Im lepsze owe relacje tym większa możliwość kształtowania wysokiego autorytetu. Jak oceniają badani studenci⁸ jakość tych relacji prezentuje poniższe zestawienie.

Tabela 1. Ocena wzajemnych relacji pomiędzy studentami a wykładowcami i nauczycielami ćwiczeniowymi

L.p.	Wyszczególnienie	Wykładowcy		NN. ćwiczeniowi	
		L.	%	L.	%
	Bliskość osobowa	23	2,5	56	6,2
	Przyjazna atmosfera	140	15,4	222	24,5
	Współpartnerstwo	46	5,0	109	12,0
	Stosunek podmiotowy	83	9,2	103	11,4
	Wiarygodność i konsekwencja	128	14,1	131	14,5
	Dystans i chłód emocjonalny	457	50,4	186	20,5

Z danych zamieszczonych w tab. 1 wynikają stosunkowo mało optymistyczne refleksje. Wszystkie czynniki składowe warunkujące zaistnienie pozytywnych relacji międzyludzkich są dalekie od oczekiwań, są dalekie od założeń psy-

chopedagogicznych. Zastanawiającym jest, iż łącznie ponad 50% badanych studentów wskazało na dystans i chłód emocjonalny pomiędzy nimi a wykładowcami. Na szczęście wskaźnik ten jest znacznie mniejszy (20,5%) w odniesieniu do nauczycieli prowadzących ćwiczenia.

Studenci w swoich wypowiedziach na temat autorytetu nauczyciela akademickiego zwracali uwagę na trzy składniki stanowiące o uznaniu i szacunku do danej osoby. Stanowią je: doskonale przygotowanie merytoryczne, perfekcyjne umiejętności metodyczne i relacje interpersonalne oraz dialog ze studentami. A oto ich typowe wypowiedzi:

„Często w czasie moich dotychczasowych studiów można spotkać pracowników naukowych, którzy czytają swoje wykłady z kartek, nie próbując nawet rozwinąć tego, co wcześniej napisali. Odczytanie wykładu kojarzy mi się prawie zawsze z niewiedzą lub lenistwem danego wykładowcy, co automatycznie wpływa na obniżenie jego autorytetu”.

„Uważam, iż jednym z elementów składających autorytetu pracownika naukowego jest umiejętność przekazania wiedzy w taki sposób, by trafiła ona do odbiorcy. Wykładowca nie powinien trzymać się ściśle podręcznika, w dodatku dyktować go, ale wygłaszane treści winien wzbogacać swoim własnym dorobkiem naukowym”.

„Nauczyciel akademicki powinien tak prowadzić zajęcia, by studenci byli nimi zainteresowani. Ćwiczenia należy prowadzić metodą dyskusji, a nie schematycznie odpytywać, z tego co było do przygotowania”.

„Wydaje mi się, że u nauczyciela akademickiego szczególnie ważnym jest prezentowanie własnego zdania, własnych opinii na różne sprawy, a także odwaga w ich głoszeniu”.

„Uważam, że pracownik naukowy powinien być człowiekiem uczciwym, postępować tak, jak o tym postępowaniu mówi, a mówić powinien to, co myśli. Wśród wielu elementów składających się na autorytet według mnie najważniejszym jest stosunek pracowników do studenta, ich nastawienie do nas”.

„Nie zdobędą sobie u nas autorytetu pracownicy, którzy dysponują wiedzą, nieraz bardzo rozległą, a nie są do nas życzliwie nastawieni”.

„Niech nasi wykładowcy nie będą tak śmiertelnie poważni, niech ich twarze rozjaśni chociaż chwilowy uśmiech, niech zdobędą się na żart, niech żyją tak, aby i innym było z nimi przyjemnie”.

„Nawet dwójka na egzaminie dana z uśmiechem, bez zbędnych i złośliwych komentarzy, nie jest taka straszna i nieprzyjemna”.

„Wykładowca, który nie potrafi się uśmiechnąć przez całą godzinę wykładu — jest dla mnie straszny”.

„Autorytet wzbudzają u mnie te osoby, które, obok wiedzy, reprezentują postawę ku człowiekowi, zachowują pogodę ducha, posiadają chociaż odrobinę humoru, gdyż tym bardzo łatwo mogą sobie zjednać drugiego człowieka”.

Przechodząc do prezentacji kolejnych wyników badań pragnę zaznaczyć, że dotyczyć one będą głównie wybranych cech osobowościowych nauczycieli akademickich, otwierających drogę człowiekowi do człowieka i ułatwiających nawiązywanie bliższych relacji interpersonalnych.

Tabela 2. Wybrane cechy osobowościowe nauczycieli akademickich

L.p.	Wyszczególnienie	Wykładowcy		NN. ćwiczeniowi	
		L.	%	L.	%
1.	Cierpliwość	219	22,4	302	30,8
2.	Takt i kultura	466	47,6	432	44,1
3.	Otwarcie na dialog	162	16,5	498	50,8
4.	Partnerstwo	61	6,2	207	21,1
5.	Poczucie humoru	388	39,6	442	45,1
6.	Darzą nauczycieli akademickich uznaniem i szacunkiem	222	22,7	288	29,4

Wyniki badań zamieszczone w tabeli 2 powinny nas skłonić do głębszych refleksji nad samym sobą, naszym zachowaniem i stylem bycia. Porównując łączne zestawienia dotyczące wykładowców i nauczycieli ćwiczeniowych, trzeba przyznać, iż ci ostatni uzyskali lepsze wyniki. I tak cechę cierpliwości dostrzegło u nauczycieli prowadzących ćwiczenia 30,8% studentów,

a u wykładowców – 22,4%, otwarcie na dialog – 50,8% / 16,5%, partnerstwo – 21,1% / 6,2%, poczucie humoru – 45,1% / 39,6%. Jedynie w zakresie taktu i kultury wykładowcy uzyskali lepsze wyniki (47,6%) od nauczycieli ćwiczeniowych (44,1%).

Są to wartości procentowe dalekie od oczekiwań, dalekie od naszych wyobrażeń o postawie nauczycieli akademickich wobec studentów.

Odnosząc uzyskane wyniki badań do poszczególnych kierunków studiów⁹, pragnę zwrócić uwagę, iż najlepszą ocenę wystawili studenci nauczycielom ćwiczeniowym prowadzącym zajęcia na kierunkach humanistycznych.

Te najwyższe oceny dotyczyły: otwarcia na dialog (57,2%), poczucia humoru (51,4%) oraz taktu i kultury (48,4%). Zbliżone i równie wysokie oceny uzyskali także nauczyciele ćwiczeniowi realizujący swoje zajęcia na kierunkach przyrodniczych.

Wśród wykładowców wysokie oceny otrzymali także pracownicy z kierunków humanistycznych.

W grupie wymienionych cech najniższą wartość procentową uzyskała cecha określana jako partnerski stosunek do studentów. Za wystąpieniem tej cechy wśród wykładowców z kierunków przyrodniczych wypowiedziało się tylko 3,6% badanych osób. Z pełną satysfakcją i zadowoleniem należy przyjąć fakt, iż studenci tylko w sporadycznych przypadkach zwracali uwagę na występowanie negatywnych cech zarówno wśród wykładowców jak i nauczycieli prowadzących ćwiczenia. Przykładowo, takie cechy jak arogancja, ponizanie i upokarzanie, ośmieszanie, wytwarzanie atmosfery lęku i strachu nie osiągnęły w żadnym przypadku nawet 20% głosów. W odniesieniu do poszczególnych kierunków studiów najwyższa wartość cechy negatywnej dotyczyła dominacji i została ona przypisana wykładowcom z kierunków przyrodniczych (41,6%).

Przechodząc do syntetyzujących wyników badań nad autorytetem nauczycieli akademickich warto zwrócić uwagę na kolejne zestawienia tabelaryczne.

Tabela 3. Nauczyciele akademicy
darzeni szczególnym uznaniem i szacunkiem

L.p.	Wyszczególnienie	L.	%
1.	Większość nauczycieli	93	9,5
2.	Część nauczycieli	492	50,2
3.	Tylko sporadyczne przypadki	376	38,4
4.	Brak takich nauczycieli	18	1,8

Dane zamieszczone w tabeli 3. wskazują, iż najwięcej studentów dostrzega autorytet u części swoich nauczycieli akademickich (50,2%). Na autorytet dostrzegany u większości nauczycieli zwróciło uwagę jedynie 9,5% studentów.

Warto zauważyć, że wyniki tych opinii w odniesieniu do pracowników z poszczególnych kierunków były dosyć wyrównane. Zwróćmy teraz uwagę na cechy, jakie zostały wymienione i przypisane przez studentów tym nauczycielom akademickim, którzy pragnęliby pretendować do miana osoby z wysokim autorytetem. Nauczyciel taki winien być: „wymagający ale i sprawiedliwy, wyrozumiały, motywujący ciekawymi wiadomościami, kompetentny, miły, inteligentny, mądry, życiowy, o dużym dorobku naukowym, wierzący w to, co robi, zarażający entuzjazmem, kulturalny, życzliwy, kontaktowy, ktoś z kim można o wszystkim porozmawiać, konkretny, jasno ustalający wymagania i nie zmieniający ich, komunikatywny, o otwartej postawie, odpowiedzialny, wzbudzający zaufanie, mający szacunek dla studenta i ich zdania, będący specjalistą w swej dziedzinie, chętnie udzielający pomocy, lubiący to, co robi, mający świadomość, że jego przedmiot nie jest najważniejszy, mający poczucie humoru, zachowujący dystans, nie będący obojętnym w sprawach studenta, potrafiący przekazać wiedzę, chcący dla studenta jak najlepiej, traktujący wszystkich na równi, nie wyśmiewający, konsekwentny, uporządkowany, odcytany, nie czytający z kartki, wykorzystujący nowoczesne metody przekazywania wiedzy, przykładający się do zajęć, wymagający tego, co zadaje, rzeczowy, otwarty na dialog, posiadający wysoką kulturę osobistą, nie wywyższający się, traktujący każdego studenta indywi-

dualnie, obowiązkowy, przygotowany do zajęć, pomocny dla studentów i mający dla nich czas, zrównoważony, opanowany, jego autorytet głównie opiera się na dokonaniach zawodowych, osiągnięciach, a także na sposobie prowadzenia zajęć, zafascynowany przedmiotem, otwarty na potrzeby studentów, umożliwia prowadzenie partnerskich dyskusji, przygotowany do zajęć, prowadzący je w interesujący sposób, powołany do tego co robi, nauczyciel wymagający, a przy tym nie stresujący studentów, umiający z nimi współpracować, człowiek skromny, nie afiszujący się swoją wiedzą.”

Podsumowując, można wysunąć przypuszczenie, że istnieje prawdopodobieństwo określonego wpływu obserwowanych i doświadczanych przez studentów zachowań i postaw pracowników naukowo-dydaktycznych na przyszłe zachowania kandydatów na nauczycieli w szkołach, które niebawem staną się ich miejscami pracy. Studenci przebywający w gronie nauczycieli akademickich, których darzą szczególnym uznaniem i szacunkiem, mający na co dzień liczne przykłady prawidłowych relacji międzyludzkich, otwartych kontaktów osobowych oraz wysokiego poziomu zajęć dydaktycznych będą oczekiwać rychłej pracy w szkole, w której zapewne będą dążyć do naśladowania swoich mistrzów.

A co będzie z tymi nauczycielami, którzy w toku studiów nie mieli szczęścia spotkać mistrzów? Nie było im dane wspólne odkrywanie prawdy, a relacje interpersonalne daleko odbiegały od tych pożądaných? Jeszcze raz pragnę przy-

pomnieć, że stan nauczycielski należy do zawodów, w którego wykonywanie zaangażowana jest cała osobowość. Nauczyciel akademicki oddziałuje na studentów całym swoim postępowaniem i zachowaniem, całym swoim życiem zawodowym, społecznym, osobistym. Sam prestiż uczelni jako instytucji, nie może w sposób automatyczny przenieść się na prestiż pracujących tam osób. Każdy pracownik musi ów prestiż budować swoją tożsamością, gruntowną wiedzą merytoryczną i umiejętnościami przekazu wiedzy.

Marian Śnieżyński

¹ J. Sztumski, *Autorytet i prestiż uczonego*, [w:] P. Rybicki, J. Goćkowski (red.), *Autorytet w nauce*, Warszawa 1980, s. 57.

² K. Szaniawski, *Zasada istnienia autorytetu w środowisku naukowym*, [w:] P. Rybicki, J. Goćkowski, Op. Cit., s. 58.

³ J. Szacki, *Typy autorytetu w naukach społecznych*, [w:] P. Rybicki, J. Goćkowski, Op. Cit., s. 58.

⁴ E. Neyman, *Prestiż naukowy w amerykańskich badaniach empirycznych*, [w:] P. Rybicki, J. Goćkowski, Op. Cit., s. 59.

⁵ K. Sośnicki, *Autorytet a wychowanie*, „Nowa Szkoła” 1958, nr 10.

⁶ H. Rowid, *Podstawy i zasady wychowania*, Warszawa 1957, s. 16.

⁷ J. Goćkowski, *Autorytety świata uczonych*, Warszawa 1989, s. 39.

⁸ Badania zostały przeprowadzone w 2006 r na grupie 979 studentów lat piątych studiów dziennych na 13 kierunkach.

⁹ Szczegółowy wykaz poszczególnych wydziałów i kierunków studiów znajdzie czytelnik w II wydaniu książki. M. Śnieżyńskiego *Sztuka dialogu; teoretyczne założenia a szkolna rzeczywistość*, która ukaże się w 2008 roku.

Łukasz Tomasz Sroka

Wielcy i wielkoludy

Pamięci Piotra Kuncewicza

Punktem wyjścia do niniejszych rozważań stała się dla mnie lektura pracy profesora Kazimierza Karolczaka *Dzieduszyccy. Dzieje rodu. Linia poturzycko-zarzecka* (Kraków 2001). W pamięci zapadła mi nie tylko treść, ale także wspaniała promocja książki, która miała miejsce w Krakowie w Polskiej Akademii Umiejętności. To była prawdziwa uczta intelektualna, którą uświetnili przedstawiciele polskiej arystokracji, na czele z przedstawicielami rodu Dzieduszyckich. Już wtedy wiedziałem, że do *Dzieduszyckich* będę wracał. W tym roku sięgnąłem do nich ponownie, szukając odpowiedzi na pytania: co czyni człowieka, ród, naród, państwo – wielkim? Czy na przestrzeni wieków zaszły w tym względzie zasadnicze zmiany? Wydawać by się mogło, że odpowiedzi znamy, że są oczywiste. Tymczasem tak nie jest, wręcz przeciwnie. Na skreślone w ten sposób pytania, padały i padają różne, często wzajemnie wykluczające się odpowiedzi.

Z wielkością jest podobnie, jak ze zdrowiem. Bardzo często docenia się ją wtedy, gdy zostaje utracona. Z tego wynika (niemal zawsze) chęć jej odbudowania. Dostrzegalne są w tym względzie pewne podobieństwa pomiędzy narodami: polskim i żydowskim. Polacy w pełni docenili wielkość – przynajmniej w wymiarze geograficznym – swojej ojczyzny, po tym, jak została rozebrana przez sąsiednie mocarstwa. Zestawianie kadłubowych państwerek, takich jak Księstwo Warszawskie lub Królestwo Polskie z rozległą (niegdyś) Rzeczpospolitą dawało do myślenia.

Z powyższego wynikała niechęć zaborców do uczenia polskiej młodzieży geografii. Podobne tendencje wykazywali nasi najeźdźcy z 1939 r. Pragnienie zadośćuczynienia doznany krzywdom zostało uwiecznione w hymnie narodowym: „co nam obca przemoc wzięła szablą odbierzemy”¹. Żydzi co prawda doceniali Jerozolimę już wtedy, gdy sprawowali w niej niepodzielne rządy, niemniej utrata panowania nad miastem, zburzenie Świątyni i zmuszenie ich do opuszczenia własnej ziemi, dogłębnie wstrząsnęło tym narodem. Zrozumiał on bowiem, jak wiele utracił i nigdy nie zrezygnował z zamiaru odzyskania tego. Ich marzenia znalazły odzwierciedlenie w pozdrowieniu: „przyszłego roku w Jerozolimie” oraz w pieśni, która stała się hymnem Izraela:

Hatikwa – Nadzieja

Dopóki w głębi serca
tęskni żydowska dusza
a spoglądając na Wschód
oko wypatruje Syjonu
jeszcze nie zginęła nasza nadzieja.
Nadzieja dwóch tysięcy, że
będziemy wolnym narodem w naszej ziemi,
w kraju Syjonu i Jerozolimy².

Problem w tym, że to nie zajmowane terytorium – samo z siebie – czyni wielkim. Gdyby tak było, to niektóre, wcale niemałe państwa afrykańskie powinny odgrywać poważną rolę na arenie międzynarodowej. Nieduża Austria prowadzi nie mniej aktywną politykę zagraniczną

niż wielka Kanada. Poziom życia w Korei Południowej jest znacznie wyższy niż w większej Birnie, a w miniaturowym Luksemburgu niż na Białorusi. Izrael, który zajmuje obszar mniejszy od Mazowsza, dzielnie stawia opór tym, którzy marzą o jego „wymazaniu z mapy świata”. Już z tego krótkiego przeglądu wynika, że bycie wielkim w sensie geograficznym nie musi oznaczać wielkości w wymiarze gospodarczym, naukowym, kulturalnym oraz politycznym i nie zawsze przekłada się na zwycięstwo militarne. Inna rzecz, że bardzo przyjemnie jest posiadać obydwa atrybuty jednocześnie. Taka sytuacja jest komfortowa, lecz za komfort się płaci... Nie rozumieli tego Polacy, którzy przez cały wiek XIX oraz w okresie dwudziestolecia międzywojennego (1918–1939) *Ojczyznę swoją widzieli wielką*. Łatwo zrozumieć te aspiracje, aczkolwiek własne plany i ambicje posiadały także inne narody mieszkające na tej samej ziemi, m.in. Litwini, Ukraińcy i Żydzi. Wiele od nich oczekiwano, tak naprawdę nic nie mając im do zaoferowania. Naród polski dążył do niepodległości, lecz nie godził się, aby Ukraińcy dostali przynajmniej jej namiastkę. Liczono na to, że Żydzi będą wierni Polsce, ofiarnie pracując na jej rzecz. W tym samym czasie, co rusz dawano im do zrozumienia, iż nie są u siebie. To wszystko prowadziło do ostrych polemik a nawet aktów agresji. Tym bardziej zadziwiają idylliczne obrazy Kresów oraz współzycia Polaków i Żydów, które można spotkać w niektórych książkach. Z tego rodzaju mitami od lat konsekwentnie walczy profesor Daniel Beauvois, wskazuje przy tym na analogię występującą w Polsce i we Francji: „Masa «kresowej» literatury, powstałej po upadku komunizmu, potrafi nawet nam wmawiać – zgodnie z zapewnieniami ziemiańskich pamiętnikarzy – że wszyscy właściciele ziemscy ogarnięci byli patriarchalną miłością do biednego ludu, do «naszego ludu», „bo to Polska właśnie”. Taka postawa bardzo przypomina lanie balsamu na dusze naszych kolonistów francuskich, którzy – również przeżywszy wypędzenie ze swoich siedzib – budują teraz

wyidealizowany obraz dawnego życia i propagują nastrój tak zwanej nostalgii (czyli nostalgii za Algierią)”³.

Tylko część polskich elit wykazała się zrozumieniem dla potrzeb innych. Do chlubnych wyjątków należą Dzieduszyccy. Nie dziwi zatem fakt, że to nazwisko do dnia dzisiejszego także na Ukrainie budzi dobre skojarzenia, a książkę profesora Kazimierza Karolczaka im poświęconą możemy dostać w najlepszych lwowskich (i nie tylko) bibliotekach.

Historia rodu Dzieduszyckich uczy, że można być wielkim ciałem i duchem. Czytając pracę profesora Karolczaka rozumiałem jeszcze jedno: być wielkim, to znaczy umieć uniać się do tej rzeczywistości, w której żyje służba, biedna młodzież, wszyscy obcy, którzy wyciągają rękę po pomoc. Jest jeszcze coś, o czym współcześnie bardzo często się zapomina. Osoba, która dzisiaj potrzebuje wsparcia, jutro może okazać się zdolna do udzielania go innym, nawet jeśli „na pierwszy rzut oka” nic na to nie wskazuje. Kiedy wybitny mecenas nauki i kultury Włodzimierz Dzieduszycki wręczał stypendium Adamowi Chmielowskiemu, zapewne nawet nie przypuszczał, że ma do czynienia z przyszłym świętym bratem Albertem. Chmielowski dzięki temu stypendium, uzyskanemu w 1869 roku, mógł podjąć studia w monachijskiej Akademii Sztuk Pięknych (*Dzieduszyccy...*, s. 113).

Nic się nie zmieni na świecie, jeśli nie zerwiemy z przekleństwem, wedle którego „syty nigdy nie zrozumie głodnego”. Teoretycy niektórych systemów totalitarnych wyszli z tragicznego w skutkach założenia, że syty zrozumie głodnego dopiero wtedy, gdy sam będzie głodny, po czym przechodzili od słów do czynów. Z kolei skrajni liberałowie mówią: „zostawmy głodnego w spokoju, jego problemy załatwi niewidzialna ręka rynku”. Na skutek obydwu metod zginęło na świecie już zbyt wielu ludzi. Najwyższy czas by syty pojął, że „człowiek tyle jest wart, ile innym pomoże”. Wtedy ubogi będzie mógł dostrzec w bogatym człowieku swojego brata.

Przy tym wszystkim należy zagwarantować osobie, która jest obdarowywana, maksymalną godność i szacunek. Jeśli faktycznie jest coś takiego, jak „grzechy wołające o pomstę do nieba”, to z pewnością zalicza się do nich sztydzenie i wyśmiewanie tych, którzy znajdują się w potrzebie. W tym miejscu znów odwołam się do tradycji żydowskiej. Pamiętam, jak przed kilku laty, gościłem na uroczystym szabasie w Warszawie. Do synagogi przyszedł wówczas ze swoim ojcem mały chłopiec, który opowiedział następującą historię:

„Pewien mężczyzna obserwował Żydów modlących się w synagodze. Zaintrygowało go, a nawet rozbawiło ich niezmiernie zaangażowanie oraz fakt, iż – jak to określił – bardzo intensywnie „kiwali się” i wykonywali zamaszyste ruchy rękoma. Poprosił jednego z Żydów o wytłumaczenie tego. Ten odpowiedział mu w sposób następujący: «Wyobraź sobie, że jesteś na środku jeziora i zaczynasz tonąć. Czy nie będziesz wzywał pomocy? Czy nie wykonasz wszelkich ruchów, które pomogą ci się utrzymać na powierzchni wody? Czy ratując się będziesz zwracał uwagę na to, że twoje zachowanie jest nieeleganckie?»”.

Nie jest łatwo przejść przez życie nieskazitelnym żadnymi wpadkami, zachować wielkość w każdym calu, osiągnąć sukces nie narażając się nikomu. Zresztą życie nie polega na tym, żeby być przyjacielem wszystkich. Podejmując różnorodne przedsięwzięcia musimy liczyć się z tym, że nie wszyscy będą nam klaskać. Pierwsi do recenzowania i krytykowania innych gotowi są ci, którzy sami nic nie robią. Ponieważ tacy ludzie posiadają najwięcej czasu. Historia Dzieduszyckich, ludzi wielkich w najpełniejszym i najpiękniejszym tego słowa znaczeniu, wskazuje na kilka uniwersalnych prawidłowości. Otóż warto wytyczać wokół siebie linie, poza które nikt nie zdoła nas zepchnąć. W ramach tych linii możemy iść na różne kompromisy z władzą, kontrahentami, znajomymi itp. Wskazane jest również otaczanie się ludźmi prawymi. Powinni to być najbliżsi, którzy wzajemnie będą się pilnować,

aby nikt z ich grona nie przekroczył granic, jakimi są honor i przyzwoitość. Jeśli nawet ktoś przekroczy te granice lub niebezpiecznie się do nich zbliży, to przyjaciele powinni podać rękę w celu naprowadzenia na właściwy tor. W wielu rodzinach arystokratycznych i ziemiańskich (także u Dzieduszyckich), taki mechanizm skutecznie funkcjonował i funkcjonuje. Nie ma powodu, dla którego nie można by takiego systemu zastosować w całym narodzie. Od wieków – z mniejszym lub większym powodzeniem – czynią tak Żydzi. W rodzinie lepiej wzrasta się do wielkości niż w bezimiennej grupie, pełnej krytyków i siepaczy. Nie znaczy to, że w rodzinie wszyscy muszą się kochać, tak nie jest i nigdy nie było. Wystarczy „tylko” szacunek, solidarność i zaufanie. W tworzeniu takiej konstrukcji szczególną rolę winna odegrać inteligencja, a zwłaszcza historycy. Nie zapominajmy, że historię tworzą żyjący na przestrzeni wieków ludzie i ich dzieła. Wielcy powinni być jedni i drudzy. Wypada wierzyć, że z biegiem lat tracą swoją aktualność słowa piosenki Agnieszki Osieckiej *Orszaki, Dworaki*, której fragment przytaczam:

Historio, historio,
tyle w tobie marzeń,
często ciebie piszą
kłamcy i gówniarze.
Orszaki, dworaki,
szum pawich piór!
Orszaki, dworaki, szum!³

Póki co, wielu młodych historyków powinno te słowa poważnie rozważyć. Zbyt dużo wśród nas, a piszę w końcu o swoim pokoleniu (nie ukończyłem jeszcze trzydziestu lat), skłonności do rozliczania starszych osób, często kolegów po fachu. Tego rodzaju publikacje mają swoją rację bytu, ale na negatywnych bohaterach – domniemyanych lub rzeczywistych – jeszcze żaden naród nie zdołał wychować młodzieży, zdolnej i patriotycznie usposobionej. Tymczasem realia są niepokojące. Duża część młodzieży nie jest w stanie wymienić przynajmniej kilku zasłużonych polskich inżynierów, chemików lub matematyków

(sprzed wieków lub żyjących współcześnie). Proszeni o wskazanie swoich idoli bardzo często wymieniają aktorów, piosenkarzy, ewentualnie sportowców (niejednokrotnie zagranicznych). W takich warunkach nie wychowamy kolejnych pokoleń wielkich Polaków, na miarę Jerzego Giedroycia, Zbigniewa Herberta, Andrzeja Kapiszewskiego, Ryszarda Kapuścińskiego, Piotra Kuncewicza, Stanisława Lema, Jana Józefa Lipskiego, Czesława Miłosza, księdza profesora Józefa Tischnera...

Łukasz Tomasz Sroka

¹ Por. C.G. Kiss, *Wizerunek narodów w hymnach krajów Europy Środkowej*, [w:] „*Węgry i dookoła Węgier...*”, *Narody Europy Środkowej w walce o wolność i tożsamość w XIX i XX wieku*, Materiały z konferencji dotyczącej problematyki narodowościowej w Europie Środkowej zorganizowanej z okazji 10. rocznicy śmierci prof. Wacława Felczaka. (Kraków 12–13 grudnia 2003), pod red. A. Cetnarowicza i S. Pijaja, Kraków 2005, s. 19–39.

² Przekład własny z języka hebrajskiego.

³ D. Beauvois, *Trójkąt ukraiński 1793–1914. Szlachta, carat i lud na Podolu, Wołyniu i Kijowszczyźnie*, [w:] *Dziedzictwo kresów – nasze wspólne dziedzictwo?*, red. nauk. J. Purchla, Kraków 2006, s. 47.

Czesław Michalski

Sport wojskowy w Krakowie



Tradycje sportu wojskowego sięgają swoimi korzeniami do początków ubiegłego stulecia wiążąc się z tworzeniem paramilitarnych organizacji niepodległościowych. Narastające napięcia polityczne i zarysowujący się konflikt militarny między zaborcami stworzył nadzieje na odzyskanie niepodległości. W roku 1906 radykalni działacze krakowskiego Sokola powołali wydzielony oddział pod nazwą „Organizacja Członków Umundurowanych”. Reforma Sokola sprowadzała się do wprowadzenia ćwiczeń gimnastyczno-wojskowych realizowanych w warunkach polowych, ćwiczeń terenowych, wycieczek z akcentami musztry i praktycznej nauki strzelania z broni palnej. W październiku 1908 r. w Krakowie powstaje konspiracyjna organizacja pod nazwą Polski Związek Wojskowy, która od samego początku uważała wychowanie fizyczne za jeden z czynników wychowania narodowego.

Konflikt bałkański 1908 r. spowodował również wzmożone zainteresowanie armii austriackiej sprawnością fizyczną młodzieży. Austriackie władze wojskowe zaczęły przewidywać możliwość przyszłego konfliktu z Rosją i dlatego podjęły działania zmierzające do przysposobienia wojskowego całej ludności państwa. Ministerstwo obrony krajowej wydało w dniu 7 maja 1909 r. reskrypt, który zapewniał rozległe poparcie wojska dla wszystkich stowarzyszeń pod warunkiem, że wprowadzą do swoich zadań statutowych ćwiczenia w strzelaniu sportowym. Przyniosło to przełomowe wydarzenia dla dalszego rozwoju polskiego ruchu niepodległościowego.

W dniach 15-17 lipca 1910 r. zorganizowano w Krakowie obchody pięćsetlecia wiktoria grun-

waldzkiej połączonej z V Zlotem Sokolstwa Polskiego. Główna część zlotu odbyła się na boisku zlotowym wybudowanym na krakowskich Błoniach, na którym zorganizowano zawody lekkoatletyczne, strzeleckie, szermiercze, kolarskie, pływackie, wioślarskie, jeździeckie oraz mecze piłki nożnej i palanta. Z ćwiczeń gimnastycznych zaprezentowano ćwiczenia wolne w wielkich formacjach, ćwiczenia z maczugami, musztrę gimnastyczną z karabinami, z lancami, z kosą oraz ciupagami. Największe wrażenie na widzach wywarły zwarte szyki umundurowanych „Sokołów” oraz oddziały konne udekorowane w narodowe symbole i sztandary. Emocje jeszcze wzrosły, gdy zaśpiewano *Bogurodnicę* i odprawiono wielką mszę polową, podczas której kazanie wygłosił ksiądz biskup Władysław Bandurski. W patriotycznym kazaniu mówił o ruchu sokolim jako spadkobiercy walecznego rycerstwa polskiego i nadziei na odrodzenie wojska polskiego.

Działacze niepodległościowi skupieni wokół Józefa Piłsudskiego zarejestrowali 1 grudnia 1910 r. w Krakowie organizację pod nazwą Towarzystwo Strzeleckie, której prezesem został E. Maurizio. Statut stawiał za cel „pielęgnowanie ćwiczeń sportowych i gimnastycznych i wyrabianie za pomocą nich w członkach Towarzystwa ducha męskiej dzielności, karność i łączność”. Towarzystwo mogło realizować zadania statutowe przez organizowanie dla swych członków nauki strzelania do celu, szermierki, musztry, jazdy konnej, pływania, wioślarstwa, jazdy na kole, urządzenie wspólnych obchodów, wycieczek, zabaw towarzyskich, odczytów i koncertów. Sportowe cele statutowe były formalnością wynikają-

cą z ustawodawstwa austriackiego, dlatego nowych członków informowano, że jest to organizacja wojskowa.

Wydarzenia związane z drugim konfliktem bałkańskim w 1912 r. zdynamizowały ćwiczenia wojskowe w organizacjach strzeleckich. W ciągu tego roku liczba członków krakowskiego „Strzelca” wzrosła z 71 do 675 osób i tworzyły ją: organizacja szkolna (549 osób), koło przyjaciół sztuki wojskowej (76 osób) i koło kobiet (55 osób). W 1913 r. „Strzelec” liczył już około 800 członków. Również krakowski Sokół 10 grudnia 1912 r. z inicjatywy naczelnika Stanisława Rowińskiego powołuje Stale Drużyny Sokole, które przez właściwe szkolenie sportowe przygotowywały krakowską młodzież do czynu niepodległościowego. Swoisty pokaz umiejętności wojskowych dali sokoli w czasie zlotu w Krakowie 18 i 19 października 1913 r. w rocznicę śmierci księcia Józefa Poniatowskiego. W zlocie tym brało udział 8 tysięcy sokołów, prowadzonych przez ówczesnego szefa sztabu garnizonu twierdzy Kraków, podpułkownika Józefa Hallera, późniejszego generała Wojska Polskiego. W ćwiczeniach polowych obok sokołów wzięli udział członkowie Związku Strzeleckiego, Drużyn Strzeleckich, Drużyn Bartosзовych i skauci. Po ćwiczeniach odbył się uroczysty pochód na Wawel, będący specjalną manifestacją wszystkich organizacji wojskowych.

Od listopada 1912 r. rozbudowano oddziały konne w Krakowie. Sokoli konni, obok ćwiczeń sportowych ćwiczyli musztrę wojskową na Błoniach i w ujeżdżalniach. Pod koniec 1913 r. powstała w Krakowie stała drużyna konna. Równocześnie prowadzono szkolenie narciarskie i w zimie 1913/14 zorganizowano w Zakopanem, wspólnie z Tatrzańskim Towarzystwem Narciarzy, kurs narciarski dla członków Stałych Drużyn Sokolich.

Po wybuchu I wojny światowej skoszarowano oddziały strzelców w Parku Krakowskim, w Parku Jordana i w Parku Sportowym na Oleandrach, zaś Stale Drużyny Sokole w sali gimnastycznej Sokola przy ulicy Wolskiej. Placówki te

były zapleczem przygotowań wojskowych dla celów walki narodowowyzwoleńczej. Sport, a szczególnie piłka nożna były uprawiane w Legionach Polskich w okresie walk pozycyjnych nad Nidą w 1915 r. i kampanii wołyńskiej w 1916 r.

Po odzyskaniu niepodległości zaczęto przywiązywać wielką wagę do sportu w wojsku. Za interesowanie to opierało się na przeświadczeniu, że o wartości żołnierza w ogromnym stopniu decyduje sprawność fizyczna. Pierwsze działania, jakie podjęto w tym kierunku, zbiegły się z zasadniczym etapem organizowania sił zbrojnych. Pierwszy dokument zatytułowany *Memoriał o wprowadzeniu sportu do Armii Polskiej* został opracowany już 19 maja 1919 r. i przewidywał, że każda jednostka – począwszy od szczebla dywizji aż do kompanii – posiadać miała własnego oficera sportu, który odpowiedzialny byłby za prowadzenie wychowania fizycznego i dysponowałby obiektami sportowymi na terenie jednostki.

Okres międzywojenny to czas powstawania różnych sekcji sportowych w jednostkach wojskowych (jeździectwa, strzelectwa), które następnie przeistoczyły się w wojskowe kluby sportowe. W Polsce ogromną rolę w rozwoju sportu wojskowego odegrał Wawel Kraków. Według kroniki klubowej został on założony w roku 1919, a pierwszą sekcją była piłka nożna. Bazę sportową stanowiło boisko piłkarskie na tzw. Małych Błoniach. Pierwszy mecz drużyna Wawelu rozegrała 13 lipca 1919 r., a w roku 1920, zgłoszona została do rozgrywek krakowskiego Związku Piłki Nożnej. We wrześniu 1921 r. ukonstytuował się pierwszy zarząd klubu z przewodniczącym Kazimierzem Tekielskim i w tymże roku piłkarze odnieśli pierwsze sukcesy sportowe: w czerwcu zdobyli Srebrny Puchar i wywalczyli tytuł mistrza klasy „B” oraz awans do najwyższej wówczas klasy rozgrywek w województwie krakowskim tj. klasy „A”. Na rozegranych 20 spotkań 17 razy zespół Wawelu schodził z boiska jako zwycięzca. W latach 1923–1924 piłkarze są trzecim zespołem w Krakowie po Cracovii i Wiśle. Wiele meczów rozegrano poza Krakowem,

m.in. w Rzeszowie, Katowicach, Wilnie odnosząc sukcesy. W 1922 r. powstała druga sekcja klubu – lekka atletyka. Jedną z głównych imprez lekkoatletycznych tegoż roku był Bieg Okrężny zorganizowany z inicjatywy „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, w którym zawodnik Wawelu Rudolf Hyla wśród 55 startujących biegaczy z całej Polski zajął bardzo dobre piąte miejsce.

Kryzys ekonomiczny, który dotknął Polskę w drugiej połowie lat dwudziestych nie oszczędził również sportu. Klubowi brakowało środków finansowych, sponsorów. Dlatego też działacze KS Wawel wykorzystali szansę przetrwania przez połączenie z założonym w 1927 r. przez płk. Bertranda Monda (od 1932 r. generał brygady) Wojskowym Klubem Sportowym. Zebranie organizacyjne WKS odbyło się 23 lutego 1928 r. Po tej fuzji nastąpiła zmiana nazwy klubu na Wojskowy Klub Sportowy Wawel. Zgodnie z przyjętym statutem jego członkami mogli zostać oficerowie i szeregowcy służby czynnej oraz oficerowie emerytowani i rezerwy. Przewidywano utworzenie 12 sekcji m.in.: lekkoatletycznej, szermierczej, strzeleckiej, tenisowej, wioślarskiej i sportów zimowych. Był to wspaniały prezent dla klubu, który 12 października 1929 r. uroczystie obchodził jubileusz 10-lecia istnienia sekcji piłkarskiej. W kilka miesięcy później prezesem klubu został płk Bertrand Mond, dowódca 6 Dywizji Piechoty. Dzięki staraniom prezesa i pomocy wojska klub rozwinął szeroką działalność szkoleniową i organizacyjną. Solidna i rzetelna praca szkoleniowa przyniosła sukcesy na arenie krajowej. W roku 1929 lekkoatleta Władysław Czubak wygrał bieg na 3 km z przeszkodami o Mistrzostwo Armii oraz zdobył pierwszy (srebrny) medal na mistrzostwach Polski w biegach przełajowych. Kolejne medale zdobył bokser wagi lekkiej Mieczysław Chrostek, dwukrotnie zdobywając mistrzostwo Polski.

Mało znanym, ale godnym odnotowania jest fakt, że działalność sportową WKS Wawel kontynuował w czasie II wojny światowej. Już 20 stycznia 1940 r. w Oflagu XI B w Braunschweigu z inicjatywy kpt. Jerzego Mizerskiego powstał WKS

Wawel Kraków. W jego skład wchodził oficerowie pochodzący z województwa krakowskiego i śląskiego. W ramach działalności klubu dużo uwagi poświęcono na zajęcia z gimnastyki, powołano sekcje siatkówki, koszykówki, piłki ręcznej. W czerwcu 1940 r. jeńców przeniesiono do Oflagu II C w Woldenbergu, gdzie kontynuowali działalność klubu. Jego członkowie byli organizatorami i uczestnikami olimpiady obozowej w lipcu 1944 r. W 16 konkurencjach wystąpiło 67 zawodników krakowskiego klubu. Również w Krakowie piłkarze WKS Wawel brali udział w organizowanych tajnych rozgrywkach i turniejach o mistrzostwo Krakowa.

Po zakończeniu II wojny światowej staraniem przedwojennych działaczy i przy pomocy dowództwa 5 Okręgu Wojskowego reaktywowano działalność klubu, który przyjmuje nazwę Cywilno-Wojskowy Klub Sportowy Wawel. Jako jedna z pierwszych przystąpiła do pracy sekcja piłki nożnej, której członkowie nie przerwali swojej działalności mimo wojny. Później powstało siedem sekcji sportowych. Klub posiadał salę gimnastyczną przy ulicy Montelupich i boisko sportowe na terenie Bronowic (dawne boisko „Łobzowianki”). W 1949 r. klub na krótko przyjął nazwę WKS Legia, a następnie Okręgowy Wojskowy Klub Sportowy (1950–1953). W 1954 r. klub działał jako filia Centralnego Wojskowego Klubu Sportowego. Od 21 czerwca 1957 r. powrócił do nazwy WKS Wawel.

W latach pięćdziesiątych klub pod kierownictwem gen. dyw. Bolesława Kieniewicza przystąpił do budowy nowych obiektów sportowych. W 1953 r. oddano do użytku stadion sportowy z urządzeniami lekkoatletycznymi i boiskami do gier zespołowych oraz drewnianą trybuną przy ulicy Bronowickiej 5. W kilka lat później klub wzbogacił się o halę sportową przy ulicy Zwierzynieckiej i strzelnicę sportową na Woli Justowskiej. Sportowcy odnoszą pierwsze powojenne sukcesy. W 1950 r. piłkarze zdobyli tytuł mistrza Wojska Polskiego, a rok później awansowali do pierwszej ligi. Największy sukces osiągnęli piłkarze WKS Wawel w 1953 r. zdobywając tytuł wice-

mistrza Polski. Jednocześnie powstały nowe sekcje, z których najsilniejszą okazała się sekcja gimnastyczna. W latach istnienia sekcji (1951–1975) należała ona do czołowych w Polsce. Trudno wymienić wszystkie sukcesy gimnastyczek i gimnastyków wojkowego klubu, bowiem system zawodów krajowych ulegał ciągłym zmianom. Wymienimy tylko najważniejsze osiągnięcia. Najlepsza polska gimnastyczka w historii tej dyscypliny Helena Rakoczy (w barwach Wawelu występowała jako zawodniczka w latach 1954–1957, następnie trenerka) zdobyła sześć tytułów Mistrza Polski (1947, 1949, 1951, 1953, 1955, 1956), mistrzostwo świata w Bazylei (1950) w wieloboju, na równoważni, w skoku przez konia i w ćwiczeniach wolnych, brązowy medal w wieloboju na mistrzostwach świata w Rzymie (1954) oraz brązowy medal olimpijski w zespołowych ćwiczeniach z przyborami (Melbourne 1956). Na tej olimpiadzie również brązowy medal w tej samej konkurencji wywalczyła Danuta Stachow, która cztery lata później w Rzymie wraz z drużyną w wieloboju gimnastycznym zajęła siódme miejsce. W tym czasie drużyna Wawelu posiadała mistrzostwo Polski w gimnastyce kobiet i mężczyzn. W skład reprezentacji Polski wchodziło aż siedem zawodników i zawodniczek sekcji. Warto nadmienić, że obok wyżej wymienionych reprezentowały Polskę na Igrzyskach Olimpijskich: Zofia Kowalczyk (Helsinki 1952), Elżbieta Apostolska (Tokio 1964), Joanna Bartosz (Monachium 1972). Z drużyny męskiej na uwagę zasługuje trzykrotny mistrz Polski w wieloboju Jerzy Tomala (1953, 1954, 1956).

W koszykówce żeńskiej zawodniczki Wawelu w sezonie 1957/58 zdobyły wicemistrzostwo Polski, w 1958 r. wygrały Puchar Polski, a w roku następnym zdobyły tytuł mistrza Polski. Kadre mistrzowskiego zespołu tworzyły: Danuta Lipowska, Alina Szostak, Irena Kowalska, Irena Rospondek, Krystyna Pabiańczyk, Ewa Kubica, Elżbieta Dąbrowska, Halina Owoc, Wanda Paletko, Zofia Łysak, Wanda Pakuła, Janina Danielowska. Trzy zawodniczki z zespołu brały udział w mistrzostwach Europy w Moskwie. Były to Ali-

na Szostak, Krystyna Pabiańczyk i Irena Rospondek. Zespół ligowy koszykarek w sezonie 1960/61 zdobył tytuł wicemistrza Polski. Trenerem zespołu był Michał Mochnacki.

Od 1951 r. wielu sukcesów sportowych dostarczyli klubowi zawodnicy sekcji strzeleckiej. Startujący w okręgowych zawodach strzeleckich zawodnicy: Zdzisław Dzierżewicz, Antoni Krysiak, Edward Kochan, Władysław Salamoński i Roman Malik poprawili ówczesne rekordy Polski. Pierwszy z nich, międzynarodowy sukces osiągnął na mistrzostwach Europy w Bukareszcie (1955) zdobywając złoty medal w konkurencji kb-1a. Sekcja strzelecka wychowała wielu reprezentantów Polski. W swoim bilansie sportowym posiadała dwóch olimpijczyków: Andrzeja Tomzę (Rzym 1960 – pistolet dowolny) i Wiesława Gawlikowskiego (Meksyk 1968 i Monachium 1972 – strzelanie do rzutków „skeet”). Najlepszym strzelcem Wawelu był w latach 1969–1972 Wiesław Gawlikowski, który w swojej bogatej karierze (później jako zawodnik Sokola Piła i Śląska Wrocław) był 5-krotnym medalistą mistrzostw świata, 10-krotnym medalistą mistrzostw Europy. W roku 1989 piękny prezent na jubileusz 70-lecia klubu sprawił Dariusz Durnej zdobywając dwa brązowe medale mistrzostw Europy w pistolecie pneumatycznym.

Znaczące osiągnięcia sportowe związane są z sekcją spadochronową. W mistrzostwach Europy w Portoroz (Jugosławia) w 1975 r. Polskę reprezentowało trzech zawodników krakowskiego Wawelu: Józef Łuszczki, Roman Łupacki i Lesław Panas – w bardzo silnej konkurencji zdobyli srebrny medal na celność lądowania. Zawodnicy sekcji byli bezapelacyjnie najlepsi w drużynowych mistrzostwach Polski w spadochroniarstwie w latach 1967–1977.

Najwięcej splendoru klubowi przynieśli lekkoatleci. W barwach Wawelu występował 4-krotny złoty medalista olimpijski, mistrz świata i Europy w chodzie na 20 i 50 km Robert Korzeniowski oraz inni reprezentanci kraju, olimpijczycy: Jadwiga Klimaj (rzut dyskiem – Rzym 1960), Stanisław Ożóg (10 000 m – Rzym 1960), Henryk

Szordykowski (800 i 1500 m – Meksyk 1968, 1500 m – Monachium), Edward Stawiarz (5000 i 10000 m – Meksyk 1968, maraton – Monachium 1972).

WKS Wawel po 74 latach ścisłej współpracy z wojskiem od 1 stycznia 2002 r. przestał być klubem wojskowym i stał się cywilnym Stowarzyszeniem Kultury Fizycznej pozostając na mocy decyzji Zarządu Klubu przy historycznej nazwie WKS Wawel. Spowodowane to zostało decyzjami Sejmu w 1996 r., który ustawą o kulturze fizycznej wyeliminował z resortu Ministerstwa Obrony Narodowej sport wyczynowy. Ko-

lejne destrukcyjne pociągnięcie – to decyzja ministra obrony narodowej z sierpnia 2001 r. o likwidacji wojskowych ośrodków szkolenia wojskowego. Zarządzanie obiektami sportowymi przejęła Agencja Mienia Wojskowego. Obecnie, klub pod kierownictwem prezesa, wychowanka klubu i olimpijczyka, Edwarda Stawiarza prowadzi działalność w sekcjach: lekkiej atletyki, piłki nożnej, piłki siatkowej, biegów na orientację, strzelectwa, spadochronową i tenisa.

Czesław Michalski

Elżbieta Sionko

Narty

Jak spędzić czas miło i bezpiecznie?



Ruch na świeżym powietrzu także w zimie hartuje i uodparnia, wpływa pozytywnie nie tylko na wydolność naszego organizmu, ale i na nasze samopoczucie. Jedną z najpopularniejszych zimowych form aktywności ruchowej jest narciarstwo

Przygotowania do wyjazdu na narty należy rozpocząć odpowiednio wcześniej, obejmować one powinny tak samo przygotowanie sprzętu jak i naszego organizmu. Dobrze dobrane narty, wiązania, buty i kijki to warunek nie tylko dobrej zabawy, ale także bezpieczeństwa.

Narty – dobierając je musimy wziąć pod uwagę trzy elementy: wzrost, wagę i poziom umiejętności narciarza. Zazwyczaj im dłuższe narty tym wzrost i umiejętności narciarza większe. Przed sezonem należy narty przygotować np.: naostrzyć krawędzie, nasmarować.

Buty – dobieramy do stylu jazdy, umiejętności i cech anatomicznych. Osoby dopiero uczące się jeździć powinny wybrać buty miękkie i niskie, ułatwiające zachowanie pozycji pochylonej podczas zjazdów.

Wiązania – powinny dawać możliwość dokładnego ustawienia siły wypięcia oraz pozwalać uwolnić się od narty przy upadku na boki, w przód i w tył. Montaż wiązań i ich regulację najlepiej powierzyć specjalistom z serwisu.

Kijki – ich długość jest dobra, gdy ramie i przedramię ręki trzymającej wbity w śnieg kijek tworzą kąt prosty. Rękojeść powinna mieć dużą średnicę, co powoduje, że trzymanie ich jest wygodne i równocześnie zapobiega wbiciu w ciało lub wybiciu oka.

Pozostałe elementy wyposażenia: kombinezon, rękawiczki, czapka i gogle zapewniają ochronę w trudnych zimowych warunkach atmosferycznych. Ubranie powinno być ciepłe, najlepiej wykonane z materiału „oddychającego”, nieślizgającego się i nie krępującego ruchów. Czapka i rękawiczki chronią przed utratą ciepła i odmrożeniami. Gogle są bardzo potrzebne, gdy pada śnieg lub wieje silny wiatr, a dzięki różnym zabarwieniom szkieł pozwalają lepiej widzieć w ostrym słońcu.

W górach, ze względu na wysokość oraz odbicie promieni słonecznych od śniegu narażeni jesteśmy na większą dawkę promieniowania nadfioletowego. Pamiętajmy więc o ochronie odsłoniętych miejsc np. twarzy kremami z silnym filtrem UV, aby po zakończeniu urlopu naszą twarz zdobiła lekka zimowa opalenizna, a nie poparzenie słoneczne. Krem powinien być tłusty lub półtłusty i zawierać dodatkowo witaminy E i F, co ochroni skórę przed mrozem. Usta przed wysuszeniem i popękaniem chronimy specjalną pomadką. Przed wyjazdem warto zapoznać się z prognozą pogody i pamiętać o tym, że w górach pogoda potrafi nagle się zmienić, dlatego powinniśmy być na to odpowiednio przygotowani.

Zanim wyjedziemy na narty po letniej przerwie powinniśmy przygotować nie tylko sprzęt,

ale również nasz organizm do czekającego go wysiłku. Oszczędzi nam to złego samopoczucia i bólu mięśni po drugim, trzecim dniu jazdy na nartach. Przygotowania powinniśmy rozpocząć 2-3 miesiące wcześniej. Potrzebne będą ćwiczenia angażujące te same mięśnie, które biorą udział podczas jazdy na nartach. Codzienne lub przynajmniej trzy razy w tygodniu truchtanie lub bieganie połączone z ćwiczeniami (np. podskoki, przysiady, pajacyki, krążenia tułowia i ramion).

Góry są nie tylko piękne, ale również niebezpieczne, dlatego powinniśmy pamiętać o zagrożeniach: **lawiny** – często do ich wywołania wystarczy impuls np. przejazd narciarza lub przejście turysty. W Polsce obowiązuje 5-cio stopniowa, tzw. europejska, skala zagrożeń lawinowych, z chwilą powstania zagrożenia odpowiednie służby ustawiają w terenie znaki informujące lub okresowo zamykają zagrożone zejściem lawin szlaki lub trasy narciarskie. Kwadratowa tablica z żółto-czarną szachownicą oznacza „Terren zagrożony lawinami”, a znak w kształcie drogowego znaku stopu z napisem STOP LAWINY oznacza, że dalsze przejście lub przejazd zagraża życiu lub zdrowiu. W przypadku zasypania życie może nam uratować tzw. „Pips” – jest to urządzenie elektryczne wysyłające fale radiowe o stałej częstotliwości, pozwalające precyzyjnie namierzyć zasypanego narciarza przez ratowników lub świadków zdarzenia. W górach powinniśmy mieć „pips” włączony i przypięty pod ubraniem, by lawina go z nas nie zdarła. Daje to możliwość szybkiego wydobycia poszkodowanego z lawiny. Zagrożenia związane z pogodą: **mgła** – w zależności od gęstości mgły widoczność może spaść do kilku metrów, co bardzo utrudnia orientację w terenie. Gdy zabłądzimy należy zawrócić po własnych śladach. W przypadku poruszania się po trasie oznakowanej możemy zjeżdżać powoli, odszukując tyczki wyznaczające granice trasy; **wiatr** – gdy wieje w niskich temperaturach powoduje szybszą utratę ciepła, wzrasta możliwość odmrożeń odsłoniętych części ciała; wiatr halny ze względu na spadek ciśnienia jest niebezpieczny dla osób z dole-

gliwościami sercowymi; **niska temperatura** – gdy przez dłuższy czas jesteśmy narażeni na działanie niskich temperatur, może dojść do wychłodzenia organizmu, szczególnie gdy tym temperaturom towarzyszy wiatr i duża wilgotność powietrza. Pierwsze objawy to spowolnienie ruchów, apatia, trudności w wysławianiu się – nie należy ich lekceważyć; **intensywne słońce** – ochronę skóry zapewnią nam kremy z filtry UV, promieniowanie to jest równie niebezpieczne dla naszego wzroku dlatego powinniśmy się zaopatrzyć w okulary ze szklami posiadającymi filtry UV.

Musimy także pamiętać o zagrożeniu, jakie mogą spowodować inni użytkownicy tras zjazdowych, wynika ono głównie z nieznajomości lub nie stosowania się do zasad Kodeksu Narciarskiego.

Dekalog narciarza (FIS):

1. Względnie do innych osób – każdy narciarz powinien się tak zachowywać, aby nie stwarzać zagrożenia dla innych osób.

2. Panowanie nad szybkością i sposobem jazdy – narciarz powinien zjeżdżać z szybkością dostosowaną do swoich umiejętności, rodzaju i stanu trasy, warunków atmosferycznych i natężenia ruchu.

3. Wybór kierunku jazdy – narciarz musi wybierać taki tor jazdy, aby uniknąć zderzenia z narciarzem przed nim jadącym. Pierwszeństwo przysługuje temu, kto znajduje się „przed” lub „niżej” – powinien o tym pamiętać każdy, kto znajduje się powyżej tych osób.

4. Wyprzedzanie – wyprzedzać można z góry, z dołu, z prawej i z lewej strony, ale w takiej odległości, która zapewni wyprzedzanemu narciarzowi wystarczającą przestrzeń dla wszystkich jego manewrów.

5. Ruszanie z miejsca i wjazd na drogę zjazdu – narciarz ma obowiązek sprawdzić patrząc w górę i w dół stoku, czy ruszając z miejsca lub wjeżdżając na drogę zjazdu może to uczynić bez zagrożenia dla siebie i innych.

6. Zatrzymanie się – należy unikać zatrzymywania na trasie zjazdu, szczególnie w miej-

scu zwężen i o ograniczonej widoczności. Po upadku należy jak najszybciej usunąć się z toru jazdy.

7. Podchodzenie i schodzenie – powinno odbywać się tylko poboczem trasy, a przypadku złej widoczności narciarz powinien zupełnie zejść z trasy.

8. Przestrzeganie znaków narciarskich – każdy narciarz powinien stosować się do znaków narciarskich ustawionych na trasach. Trasy narciarskie oznaczone są w zależności od stopnia ich trudności kolorami (od najłatwiejszych do najtrudniejszych): zielonym, niebieskim, czerwonym, czarnym.

9. Wypadki – każdy, kto znajdzie się w pobliżu wypadku powinien poszkodowanemu służyć pomocą.

10. Obowiązek ujawnienia tożsamości – sprawca wypadku, poszkodowany i świadek wypadku muszą podać swoje dane osobowe.

Snowboardzistów obowiązuje przestrzeganie jeszcze dodatkowych 6 reguł: noga przednia winna być mocno połączona z deską; przed każdą zmianą kierunku jazdy, a w szczególności przy ewolucjach tyłem, sprawdzić za sobą wolną przestrzeń; zatrzymywać się tylko na brzegu trasy; nie siadać i nie kłaść się na trasie; odpiętą deskę natychmiast odwrócić i położyć na śniegu wiązaniem do dołu; na lodowcach nie odpinać deski; na wyciągach narciarskich tylna noga musi być wyjęta z wiązania.

Oprócz znajomości i przestrzegania Dekalogu Narciarza powinniśmy pamiętać o zasadzie „ograniczonego zaufania” w stosunku do innych użytkowników stoku.

W przypadku, gdy jesteśmy świadkami wypadku pamiętajmy:

Jeśli jesteś pierwszą osobą na miejscu wypadku oceń stan poszkodowanego. Wezwij pomoc. Większość stacji narciarskich objęta jest zasięgiem sieci telefonii komórkowej, dlatego dobrze jest znać numer najbliższej stacji GOPR lub

wybrać numer 112. Wezwanie o pomoc powinno zawierać następujące informacje: sprecyzowanie miejsca gdzie wydarzył się wypadek; co się wydarzyło; w jakim stanie jest poszkodowany; czy ktoś pozostał przy poszkodowanym. Ogólnie przyjęty system wzywania pomocy to sygnał dźwiękowy lub świetlny wysyłany 6 razy na minutę (co 10 sekund) przez 1 minutę, a następnie 1 minuta przerwy i ponowienie próby. Odpowiedzią jest sygnał o częstotliwości 3 razy na minutę (co 20 sekund) wysyłany w czasie 1 minuty, gdy nie woła wzywający pomocy.

Jeżeli chcesz skorzystać z pomocy śmigłowca unieś ręce do góry na kształt litery Y, gdy pomoc nie jest potrzebna jedną rękę unieś do góry a drugą opuść wzdłuż ciała na kształt litery N. Nie pozdrawiaj pilota śmigłowca machając rękami, aby nie było to odebrane jako wezwanie pomocy.

Zabezpiecz miejsce wypadku tak, aby uchronić poszkodowanego przed najechaniem go przez innych narciarzy. W tym celu, kilka metrów powyżej miejsca wypadku wbij w śnieg skrzyżowane narty – jest to znak, że coś się stało i należy zwolnić oraz zachować ostrożność.

Jeżeli rodzaj kontuzji na to pozwala przeniesź poszkodowanego na skraj nartostrady.

Jeśli to możliwe nie opuszczaj poszkodowanego i zabezpiecz go przed wyiębieniem organizmu.

W przypadku złamania lub skręcenia nie udzielaj pomocy przed przybyciem ratowników, oni dysponują odpowiednim sprzętem i zrobią to lepiej.

Elżbieta Sionko

Bibliografia

- S. Banaszak., A. Karolus, *Program nauczania narciarstwa zjazdowego*. Kraków 2005.
A. Marasek, *Bezpieczeństwo w górach*. Kraków 2002.
Narty i snowboard w Polsce, Pascal 2006.
„Wychowanie fizyczne i zdrowotne” 2005, nr 1; 2006, nr 10.

Ludmiła Suzdalska

Centrum Kultury Polskiej

Dom Polski w Tomsku

Historycznie Syberia została skolonizowana przez przybyszów różnych narodowości, również przez Polaków. Wielu znalazło się na Syberii nie z własnej woli: byli zsyłani od końca XVIII do XIX wieku za uczestnictwo w powstaniach polskich, a w połowie XX stulecia przybywali tu także represjonowani. Na terenie obwodu tomskiego mieszka obecnie znaczna liczba zarówno Polaków i osób mających polskie korzenie

Tomsk leży w Zachodniej Syberii. Ma około 600 tys. mieszkańców. Oficjalnie mieszka tu około 2 tys. Polaków, tj. ludzi mających w do-



Otwarcie pomnika rozstrzelanych Polaków

wodzie osobistym wpis, że są narodowości polskiej. Wiele jest w mieście pamiątek świadczących o działalności wybitnych postaci nauki i kultury polskiej zarówno dawniej, jak i obecnej. Wśród naukowców można wymienić Włodzimierza Obruczewa, założyciela współczesnej Politechniki (prawnuk rektora Uniwersytetu Warszawskiego F. Tymowskiego, fizyk i pisarz); Mikołaja Gutowskiego (metaloznawca, znany z „Efektu Gutowskiego”); S. Dodorzyńskiego (specjalista od górnictwa); Ferdynanda Ossendowskiego (fizyk i pisarz); oraz I. Ronczewskiego, Z. Rogaczewskiego, W. Mostowicza, Piotra Sobolewskiego – matematyka i muzyka z wyższym wykształceniem, który razem z żoną – pianistką i córką – śpiewaczką często koncertowali dla tomczan. Natomiast utalentowany architekt Wikentij Orzeszko, syn powstańca 1863 r., był projektodawcą wielu pięknych budynków. W jednym z nich „Dom Polski” bardzo chciałby mieć własną siedzibę¹.

Kościół

Nasze miasto od początku drugiej połowy XVIII stulecia stało się miejscem katorgi i zesłania ludzi niewygodnych dla państwa rosyjskiego. Po

powstaniach, które wybuchły w latach 1794-1830 i 1863, Polaków-buntowników zsyłano na Syberię, m.in. do Tomsku. Przyjechało tu wówczas kilkaset osób. Mieszkali oni w oddzielnej slobodzie (osada podmiejska), byli dobrymi rzemieślnikami, uczyli rzemiosła mieszkańców Tomsku, lecz ze względu na swój religijny światopogląd nie mogli uczęszczać do naszych świątyń prawosławnych i dlatego za swoje własne pieniądze zbudowali budynek polskiego domu modlitwy na wzgórzu Woskriesienskim. Mijał wtedy rok 1833. Żałosny los spotkał kościół w latach 30. ubiegłego stulecia. W tym czasie w Tomsku pojawiła się organizacja wojujących bezbożników. Świątynia polska została zamknięta, sprzęty spalone, organy rozbite, ksiądz rozstrzelany, wierni rozpędzeni. W pomieszczeniu kościoła najpierw urządzono psiarnię, potem budynek przekazano aeroklubowi Dobrowolnego Stowarzyszenia Pomocy Wojsku i Flocie, a następnie umieszczono tu planetarium. W zimie 1990 r. miejscowe władze zwróciły kościół jego byłym właścicielom. Obecnie świątynia jest odnawiana. Jeszcze przed rewolucją kościół sprawował opiekę nad szkołami katolickimi. Istniały trzy takie szkoły: polska, litewska i łotewska.

Polska szkoła znajdowała się w drewnianym piętrowym domu z drugiej strony kościoła, przy ulicy Jefriemowskiej, a w kamiennym cokole budynku znajdował się dom dla starszych osób. W roku 1919 szkoła polska została przemianowana na gimnazjum.

W ostatnim czasie w Tomsku znowu otworzono katolicki przytułek dla starców, w którym pracują siostry miłosierdzia zakonu Matki Terezy oraz gimnazjum katolickie dla dzieci.

Centrum Kultury Polskiej „Dom Polski” – pierwsze kroki

W roku 1990 powstała w Tomsku organizacja polonijna „Dom Polski”. Kierowniczką jej została Ludmiła Zienkina – prawnuczka znanego w Tomsku Polaka – Władysława Pruskiego, profesora i lekarza. Obecnie wśród aktywnych

członków naszej organizacji działają jej córki: Emilia Płuczevska i Zofia Zienkina, a dorastające wnuki biorą udział w dziecięcych imprezach „Domu Polskiego”.

Latem 1991 r. Polska zaprosiła na wypoczynek na Ojczystą Ziemię naszych przodków dwie grupy dzieci, tj. grupę z naszego stowarzyszenia w Tomsku oraz grupę dzieci z Białostoku i Pietrowki – wsi położonych nieopodal Tomsku. Kierowniczkami tych grup były Marina Romanowa i pisząca te słowa. W tym też roku pojawiła się możliwość udziału w pielgrzymce na Jasną Górę do Częstochowy na spotkanie młodzieży całego świata z Papieżem Janem Pawłem II. Chęć wyjazdu do Ojczyzny przodków i spotkania z Papieżem była ogromna. Dzieci i dorośli wrócili do Tomsku zachwyceni, z wieloma wrażeniami i marzeniami, by znów pojechać do Polski.

Pierwsza nauczycielka z Polski, Anna Świątkowska, przyjechała do Tomsku w 1991 r. i mieszkała tutaj półtora roku. Zgromadziła wokół siebie sporą liczbę osób polskiego pochodzenia. Prowadziła z dziećmi i dorosłymi lekcje języka polskiego. Prowadziła też telewizyjne lekcje języka polskiego, w których pomagały jej dzieci „Domu Polskiego”. Również przez nią została przeprowadzona telewizyjna olimpiada pt. „Czy znasz Polskę?”. Jedną ze zwyciężczyń tej olimpiady została 15-letnia wówczas Oksana Kuzniecowa, która do tej pory jest aktywną członkinią naszej organizacji. Polskę tak polubiła, że sama wyszukuje na stronach internetowych polskie projekty, konkursy i bierze w nich aktywny udział. Jesienią 2005 roku Oksana odbyła staż we Wrocławiu, a następnie przystąpiła w Warszawie do egzaminu z języka polskiego i otrzymała certyfikat.

Anna Świątkowska nauczyła nas polskich piosenek. Przed jej przyjazdem jedynie słuchaliśmy z niekłamany zachwytem, jak ślicznie śpiewała po polsku starsza pani naszego stowarzyszenia, Anna Repko. Anna Świątkowska zaproponowała, abyśmy również zaczęli śpiewać dla gości, którzy przyjeżdżali z Polski do Tomsku. I tak oto, w roku 1992 narodził się nasz zespół „Spotkania”, którego jestem kierowniczką.

Po raz pierwszy zespół zaśpiewał z okazji Bożego Narodzenia w auli organowej Filharmonii Tomskiej, z akompaniamentem znakomitej organistki Olgi Szyler. Po raz drugi zespół występował w Wielkiej Auli Koncertowej, tym razem już przed szanownym Gościem, Konsulem Generalnym Ambasady Polski w Federacji Rosyjskiej Michałem Żurawskim. Starsze słuchaczki w sali ocierały łzy szczęścia słuchając naszego śpiewu. W 1994 r. zespół wyjechał z koncertem do Barnaui, po raz pierwszy wziął też udział w Międzynarodowym Festiwalu Polskiej Pieśni w Koszalinie. Od tamtego czasu „Spotkania” śpiewają i są znany zespół w Tomsku.

Udział „Domu Polskiego” w życiu miasta i obwodu tomskiego

W roku 1992 „Dom Polski” był współzałożycielem „Kongresu Polaków Rosji”, obecnie jest członkiem tej organizacji.

Pomysł wprowadzenia zajęć fakultatywnych języka i folkloru polskiego z uczniami dziewiątej klasy Szkoły nr 16 powstał w 1995 r. za sprawą prezesa organizacji, Raisy Kwesko. Obecnie język polski, folklor, literatura, historia, geografia polska prowadzone są tu od piątej klasy. Oprócz

mnie, od roku 2001 pracują tutaj co roku nauczyciele z Polski. Oni także prowadzą zajęcia na kursie języka polskiego dla wszystkich chętnych oraz wykłady na Uniwersytecie Państwowym.

W 2000 r. narodził się pomysł prowadzenia w Tomsku Szkół Letnich. Jego autorką była prezes organizacji Nina Moisiejenko. Ten projekt podchwycił Tadeusz Markiewicz, przedstawiciel Fundacji „Pomoc Polakom za Wschodzie”. Rozpoczęliśmy wspólną pracę. Pierwsza Szkoła Letnia została zorganizowana latem 2001 r. w ośrodku Zapowietnoje koło Tomska. Do dnia dzisiejszego odbyło się pięć takich szkół. Korzystając naszego przykładu, podobną szkołę organizuje też od roku 2003 organizacja polonijna Ulan-Ude.

Wśród naszej młodzieży są sportowcy. W Międzynarodowych Igrzyskach w Polsce, tomczanie nie tylko uczestniczyli, ale i dostawali nagrody. Na przykład w 2003 r.: 3 złote, 3 srebrne, 3 brązowe medale oraz puchar drużynowy.

Od roku 1996 powstała filia „Domu Polskiego” we wsi Sarafonowka k. Tomska. Prezesem filii jest Anatol Kosciecki. Chętni uczą się tutaj języka polskiego, śpiewają piosenki polskie. Helena i Anatol Koscieccy są członkami zespołu „Spotkania” i brali wspólnie z zespołem udział w festiwalach w Koszalinie. W roku 2003, z ini-



L. Suzdalska z uczniami

cjatywy pana Anatola, wspólnie z „Domem Polskim” we wsi Połozowo wybudowano pomnik ofiarom politycznym.

W roku 1998 powstała idea wydania własnej gazety pod tytułem „Dom Polski”. Pierwsze dwa numery na pojedynczych arkuszach A4 składane były przez moją córkę Ninę, też aktywnego członka organizacji od początku jej działalności. Teraz gazeta wychodzi w dwóch językach: polskim, rosyjskim i liczy 12 stron.

Pomysł stworzenia konkursu Młodych Wykonawców Muzyki Polskiej podsunęłam w 1999 r. – Międzynarodowym Roku Fryderyka Chopina. W październiku odbył się w Tomsku pierwszy taki konkurs. Wsparcie finansowe otrzymaliśmy wtedy od Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie”. W zorganizowaniu konkursu wzięli udział: „Dom Polski”, Szkoła nr 16, Katedra Matematyki Stosowanej, Szkoła Muzyczna nr 1, Departament Młodzieży i Sportu Miasta Tomsk oraz przedstawiciel „Domu Polskiego” na Polskę – Piotr Hlebowicz. Dla III Konkursu Nina Albinowa, dyrektor Szkoły nr 16, przy pomocy sponsorów nabyła fortepian koncertowy. Teraz konkurs ten jest świętem muzyki polskiej w Tomsku, do którego młodzi wykonawcy przygotowują się w ciągu całego roku i na który niecierpliwie oczekują słuchacze. W przygotowaniu Konkursu biorą udział znakomici specjaliści szkół muzycznych miasta oraz Instytutu przy Uniwersytecie Państwowym. Konkurs odbywa się w Tomsku co roku, w ramach Dni Kultury Polskiej. Otrzymał certyfikat

Obwodowego Konkursu – Festiwalu, a w tym roku stał się już konkursem regionalnym.

Tradycyjnie w „Domu Polskim” odbywają się święta ludowe. Na bożonarodzeniowe i paschalne uroczystości przychodzą goście z innych centrów – Białorusini, Tatarzy, Niemcy, Ormianie, Czuwasze. Uczestniczą w polskich grach i zabawach, śpiewają polskie i własne piosenki, zapamiętują nasze obyczaje.

We wszystkich uroczystościach bierze udział zespół „Spotkania”. Naszych koncertów z przyjemnością słuchano w Domu Naukowców, w koncertowej sali Politechniki, w domach wczasowych i oczywiście w najlepszych salach Tomska na koncertach 1 Maja – Dniach Przyjaźni Narodowościowej. Przedstawiciele „Domu Polskiego” uczestniczą w miejskich i obwodowych konferencjach o problemach oświaty, którymi kierują Uniwersytet Państwowy, organizacje społeczne i szkoły. Nawet Centrum Kultury Tatarskiej używa naszych metod pedagogicznych przy nauczaniu języka tatarskiego.

Ludmiła Suzdalska

Kontakt:

mnb@am.tpu.ru

strona internetowa Domu Polskiego w Tomsku:

<http://dom-polski.tpu.ru/polski/main.htm>

¹ Historyczne dane z artykułów tomskich działaczy I. Łozowskiego, G. Sokurienko.

Jerzy Stefan Ossowski

»Polska swołocz«

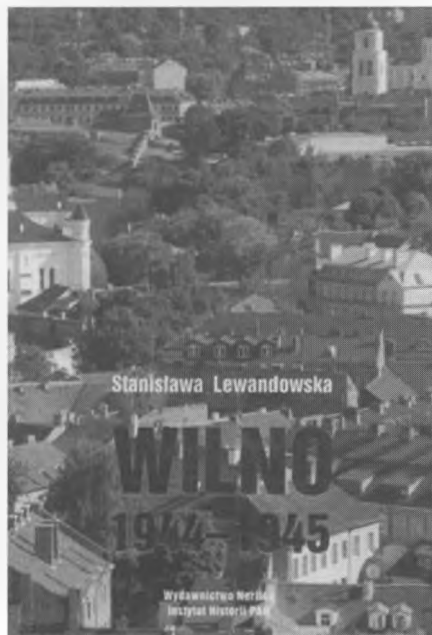
Ostatnia okupacja Wilna 1944–1945



Profesor Stanisława Lewandowska, związana zawodowo z Instytutem Historii PAN, jest badaczką powszechnie znaną i cenioną w środowisku historyków dziejów najnowszych, autorką wielu artykułów, studiów i prac źródłowych¹ oraz kilkunastu książek, wśród których bez wątpienia na miano prekursorskich zasługują monografie: *Ruch oporu na Podlasiu 1923–1944* (1976, wyd. 21982), *Polska konspiracyjna prasa informacyjno-polityczna 1939–1945* (1982), *Kryptonim „Legalizacja” 1939–1945* (1984), *Prasa okupowanej Warszawy 1939–1944* (1992), *Prasa emigracji wojennej 1939–1945*

(1992), *Okupowanego Mazowsza dzień powszedni 1939–1945* (1993), *Nadbużańskiego Podlasia okupacyjny dzień powszedni 1939–1944* (2003). Szacunek i uznanie – jakie autorka wymienionych prac zdobyła w kraju i za granicą wśród badaczy zajmujących się pokrewną problematyką oraz wśród czytelników za pozbawioną koniunkturalizmu i fascynującą poznawczo twórczość naukową – w całej rozciągłości odnoszą się do najbliższej jej (także ze względu na wileńską genealogię rodzinną) problematyki badań losów Polaków na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej w czasie II wojny światowej i po jej zakończeniu. Mam tutaj na uwadze ważne dzieła naukowe: *Życie codzienne Wilna w latach II wojny światowej 1939–1945* (1997, wyd. 2 – 2001) oraz *Losy Wilnian. Zapis rzeczywistości okupacyjnej. Ludzie, fakty, wydarzenia 1939–1945* (wyd. 3 – 2004). Do tego kanonu historiografii współczesnej prof. Lewandowska włączyła książkę, która dopełnia rezultaty wspomnianych badań społeczności wileńskiej w warunkach stwarzanych przez okupantów po 17 września 1939 roku: *Wilno 1944–1945. Oczekiwanie i nastroje* (Warszawa 2007)².

Autorka, posługując się komunikatywnym dyskursem, analizuje mechanizmy tudzież skutki działania sowieckiego aparatu represji militarnych i administracyjnych na zmiany ustrojowo-polityczne oraz społeczno-demograficzne, które w sposób decydujący zaważyły na sytuacji ludności polskiej w Wilnie i na Wileńszczyźnie w przełomowych latach 1944–1945. Aby oddać



rzeczywisty tragizm położenia, zakres zbrojnego i politycznego oporu oraz niechętną postawę wilnian wobec „wyzwolenia” ich miasta przez Armię Czerwoną w lipcu 1944 r., przedstawia dramatyczną historię Wilna i jego polskich mieszkańców w czasie wojny. Rzeczowo i obiektywnie stara się ukazać antagonistyczne postawy ludności polskiej, żydowskiej, litewskiej i białoruskiej w społeczeństwie ogarniętym działaniami wojennymi. Wszyscy polscy mieszkańcy miasta, którym udało się przeżyć pierwszą (19 IX–10 X 1939) i drugą (15 VI 1941–22 VI 1941) okupację sowiecką oraz represyjne rządy Litwy Kowieńskiej (od 28 X 1939) i martyrologię ludności podczas okupacji niemieckiej (1941–1944), mieli do Sowietów, nie licząc komunistów polskich, stosunek jednoznacznie negatywny. Losy żołnierzy Armii Krajowej, którzy w latach 1943–1944 zmuszeni byli do obrony miejscowej ludności przed grabieżami i przemocą partyzantki sowieckiej, wkrótce przypieczętowane zostały tysiącami wykonanych przez NKWD i NKGB wyroków śmierci, masowymi deportacjami w głąb Rosji stalinowskiej, cierpieniami w miejscowych więzieniach lub późniejszymi udrękami życia w opresyjnych warunkach Litewskiej Republiki Radzieckiej. Ponieważ dla społeczności polskiej czasy terroru enkawudistów gen. Sierowa oznaczały utratę niepodległości i tragedię narodową równoznaczną z klęską zaborów, nieprzypadkowo autorka nazywa je „ostatnią okupacją”. Po wkroczeniu Armii Czerwonej na terytoria II Rzeczypospolitej (styczeń 1944), po bitwie o Wilno (lipiec 1944), w której uczestniczyły też oddziały AK, rozpoczęła się operacja rozbrajania, więzienia, a także fizycznej likwidacji oficerów oraz żołnierzy podziemnego państwa polskiego. Tylko niewielkiej grupie udało się zaciągnąć do LWP lub przedostać do Polski z transportami repatriacyjnymi. Innych, wraz z cywilami, których objęto masowym poborem, przymusowo wcielono do wojska sowieckiego, pozostałych wywieziono do obozów filtracyjnych i gułagów w głąb Rosji sowieckiej, gdzie wykonywali katorżniczą pracę.

Autorce udało się stworzyć zbiorowy portret przymusowo wysiedlanych wilnian, ukazać tragizm ich walki o przetrwanie w obozowych warunkach życia codziennego „na nieludzkiej ziemi”. Autentyzm tego portretu wileńskiej diaspory dokumentują zamieszczone w *Postwoiu* fragmenty „Kroniki Wileńskiej”, podziemnej gazetki wydawanej od lutego do maja 1945 r. Na jej łamach informowano, że w ciągu siedmiu miesięcy okupacji sowieckiej w rezultacie terroru i aresztowań obejmujących Wileńszczyznę przez więzienia wileńskie przeszło ponad 60 tys. osób, w tym ok. 20 tys. mieszkańców miasta, z których większość wywieziono na zasadzoną im długoletnią katorgę w różne części ZSRR. Warto zwrócić uwagę, że – jak podaje autorka – w końcu 1944 r. według szacunków NKWD w Wilnie było 84 990 Polaków, 7 958 Litwinów na ogólną liczbę 106 500 mieszkańców. Po zdradzie Polski przez aliantów w Jaltie (4–11 II 1945), pomimo rozkazu dowództwa o rozwiązaniu oddziałów Okręgu Wileńskiego AK (18 II 1945), pomimo narastającej fali zbrodni, aresztowań, represji i przymusowych deportacji – sowieckim okupantom, wysługującym się także litewskim aparatem bezpieczeństwa, nie udało się w Wilnie i na Wileńszczyźnie rozbić do końca struktury podziemnego państwa polskiego. Łapanki uliczne, zbrodnicze bezprawie, okrucieństwo wobec więźniów, przymusowe wcielenia do Armii Czerwonej, doprowadziły do spontanicznego powstawania kolejnych oddziałów partyzanckich, które NKWD skutecznie tępiło z jeszcze większą bezwzględnością. Komunistyczny terror sprawił, że z Litewskiej SRR w latach 1945–1946 udało się – wedle różnych szacunków repatriacyjnych – wyjechać od 170 do 190 tys. obywateli polskich.

W latach powojennych Wilno stało się zsowietyzowanym miastem prowincjonalnym, za którego symbole uchodzić mogły wzniesione niebawem pomniki Lenina i „wyzwolicielem” miasta gen. Czerniachowskiego oraz zamieszczona na dziedzińcu uniwersytetu tablica pamiątkowa ku czci Feliksa Dzierżyńskiego. Dodam, że ten

twórca „czerwonego terroru” bolszewickiego urodził się w rodzinie ziemiańskiej w Oziembłowie (powiat oszmiański) i do 1896 roku uczęszczał do I Gimnazjum w Wilnie, a przez kilka ostatnich lat swojego życia kierował NKWD. Wspominam te fakty, bo stanowią one także wyraz tego, co autorka wyraziła w podtytule – „oczekiwania i nastroje” – swojej książki. W tym miejscu powiem, że w omawianej pracy zabrakło mi trochę szerszego uwzględnienia „sprawy Ponar” i szaulisów. Sądzę, że w postawach oraz pamięci społecznej polskich i żydowskich mieszkańców Wilna martyrologia Ponar odcisnęła swoje niezatarte piętno, że oddziaływała na formy okupacyjnych i powojennych stosunków polsko-litewskich.

Historiograficzny portret „polskiej swoloczy”, jak o Polakach wyrażali się żołnierze sowieccy, jest tym pełniejszy, że prof. Lewandowska w sposób rozważny korzystała z literatury wspomnieniowej oraz wielu najnowszych prac, które dotyczą przymusowych wysiedleń polskiej ludności Wileńszczyzny, dysponując przy tym znacznym zapleczem źródłowym, z którego – sięgając do archiwów litewskich, rosyjskich i białoruskich – obficie czerpała. Dzięki umiętnemu, sprawnemu warsztatowo wyzyskiwaniu różnorodnej bazy źródłowo-dokumentacyjnej do analizy tudzież opisu skutków działań w latach 1944–1945 sowieckiego aparatu terroru i represji wobec polskiej społeczności na Kreśtach wschodnich oraz odwołań do świadectw lu-

dzi tkwiących w samym środku tamtych dramatycznych wydarzeń, książka prof. Lewandowskiej posiada znaczące walory poznawczo-naukowe, godne edukacyjnej popularyzacji wśród szerokich kręgów czytelniczych, zwłaszcza studentów historii i politologii, którym przyjdzie zrozumieć niełatwe relacje polsko-litewskie oraz stosunki narodowościowe w Wilnie i Wileńszczyźnie po 1945 roku. Kiedy czytałem tę pasjonującą książkę nie mogłem uwolnić się od wrażenia, jakie kiedyś towarzyszyło mi podczas lektury *Drogi do nikąd* Józefa Mackiewicza.

Jerzy Stefan Ossowski

¹ Autorka jest edytorem źródeł, m.in. *Terror hitlerowski na wsi polskiej* (1965) oraz dokumentów o wysiedleniach – *Zamojszczyzna – Sonderlaboratorium SS* (1976, wyd. 2 – 1979).

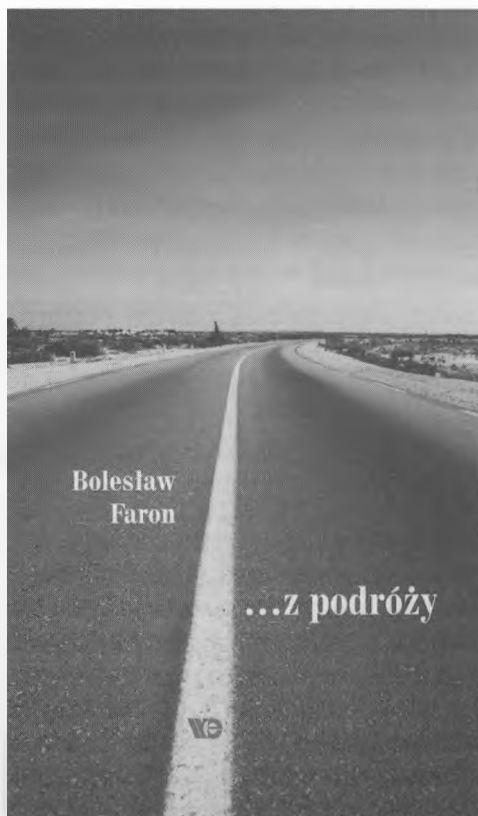
² S. Lewandowska, *Wilno 1944–1945. Oczekiwania i nastroje*. Wydawnictwo Neriton. Instytut Historii PAN. Warszawa 2007, ss. 192 + 12 nlb. [fotografie]. Książka zawiera 12. *Aneksów*, takich jak (dotychczas nie publikowane) depesze central partyzantki sowieckiej, deklaracje i oświadczenia polityków (W. Churchill, S. Mikołajczyk) odezwy stronnictw politycznych Ziemi Wschodnich, sprawozdania sytuacyjne Delegatury Rządu na Okręg Wileński, oraz inne dokumenty (również ze zbiorów własnych autorki) reprezentujące stanowisko strony polskiej w dramatycznym starciu polityczno-militarnym ze stroną sowiecką. Na uznanie zasługuje zaplecze źródłowo-archiwalne i dokumentacyjne książki, ujęte w bibliografii opracowań naukowych, pamiętników, wspomnień oraz wybranej polskojęzycznej prasy wileńskiej po roku 1989.

Magdalena Roszczyńska

...z podróży Bolesława Faron

Tytuł najnowszej książki Bolesława Faron *...z podróży* podpowiada kilka autointerpretacyjnych tropów. Przywozimy pamiątki z podróży, ożywiamy wspomnienia z podróży, piszemy listy z podróży. Czy – wreszcie – z podróży powracamy do domu.

I rzeczywiście, ten zbiór tekstów powstałych na przestrzeni dwudziestu lat, pomiędzy rokiem 1986 a 2006, zawiera wypowiedzi wpisane w różnorodne formy dokumentalizmu i autobiografizmu. Najobszerniejsza część tomu złożona jest z dokumentów-pocztówek z Wiednia, w którym od 1986 do 1990 r. Bolesław Faron mieszkał i pracował jako dyplomata i dyrektor Instytutu Polskiego. Zazwyczaj kupujemy i wysyłamy do bliskich pocztówki przedstawiające znamienite zabytki lub krajobrazy typowe dla zwiedzanego regionu. *Pocztówki z Wiednia* szkicują swoisty pejzaż kulturowy tego miasta – znajdujemy tu pisane z kronikarskim zacięciem sprawozdania z przebiegu bieżących wydarzeń kulturalnych w Austrii i jej stolicy (*Wiedeńska jesień*, *Austriackie festiwale*), ze szczególnym uwzględnieniem poloników (*Tablica Szymanowskiego*, *Kantor w Metropolu*, *Mrożek w Austrii*, „*Początek*” *Szczypiorskiego*). Pocztówki relacjonują koncerty muzyki poważnej, której Bolesław Faron jawi się koneserem, przedstawienia teatralne i operowe, wystawy malarstwa (dwa szkice poświęcone postaci i dziełom Eгона Schielego) i innych sztuk plastycznych (*Wiedeńska „Secesja”*), spotkania z pisarzami i tłumaczami. W ten sposób definiują one kształt kultury oraz – to rys autobiograficzny – włączają autora bardzo mocno w jej kontekst. Dokumentalny charakter *Pocztówek z Wiednia* jest nie tyle – czego można by oczekiwać – implikacją obowiąz-



ków dyplomaty, ale wynikiem pasji historyka oraz krytyka literatury i kultury, który galicyjskiemu życiu kulturalnemu poświęcił też przecież i inne swoje prace, jak np. znany przewodnik literacki po Jamie Michalika. Ich reportażowy charakter można podsumować słowami odnoszonymi do omawianej przez prof. Faron twórczości Aloisa Vogla: „próby udokumentowania na piśmie widzianych obrazów, przekazania świadectwa z doznanych wrażeń, ze spotkań z ludźmi i ich otoczeniem” (*U Aloisa Vogla w Pulkau*).

„Z tradycją galicyjską, ze wspomnieniami z Wiednia zetknąłem się już we wczesnym dzieciństwie w rodzinnym Czarnym Potoku na Sądecczyźnie” podkreśla autor w otwierającym zbiór szkicu *Mój Wiedeń. Garść wspomnień*. Jak się zdaje, ta ponadnarodowa i wielokulturowa formacja w centrum polityczno-kulturalnym Wiednia, to wielka mała ojczyzna prof. Faron i wielu innych, urodzonych i wychowanych w tym regionie. Nieprzypadkowo przywołuje on w *Listach z Austrii* rodzinę Rieslingów-Nemlingów, ukazując za jej sprawą w perspektywnym skrócie los galicyjskich inteligentów. Co składa się na ich typową biografię? Przodkowie wywodzący się i z polskich Kresów, i z krańców południowych CK Monarchii. Dzieciństwo pod Wawelem i studia w krakowskich uczelniach. Wreszcie, dorosłe życie pędzone w Wiedniu – nadal ogniskującym życie polityczne i kulturalne Galicji. *Last but not least*, zawiera ów biogram pracę na rzecz organizacji polonijnych, Polski i Polaków. Trudno nie dostrzec, że po części życiorys ten zbiega się z biografią samego Bolesława Faron, którego droga życia prowadzi, w parafrazie Jana Pieszczachowicza, „z Czarnego Potoku w świat”. Nawiasem mówiąc, jest to biografia dająca się opisać poprzez metaforę tytułową...*podróż*.

Przedmiotem zainteresowania Faron są zawsze są ludzie. Listy, wspomnienia, notatki dokumentują i relacjonują spotkania z artystami, naukowcami, nauczycielami i społecznikami, krzewicielami kultury polskiej poza granicami kraju. Często – a może zawsze – zapaleńcami, pasjonatami, jakimi są na przykład Marianna i Bronisław Łackowie, nauczyciele języka, historii i kultury polskiej w Australii, pełniący swą, jak pisze B. Faron, misję „ponad dwadzieścia tysięcy kilometrów od kraju” (*Nauczanie języka polskiego w Australii*). Sam autor ujawnia się jako pasjonat – tropiciel śladów polskości. Właściwie, to owi zapaleńcy są bohaterami większości szkiców: i tych z Wiednia, i z Brukseli, Grodna, Wilna, Sztokholmu i, wspomnianej już, Australii. W notatkach i listach wiedeńskich, obok

przywołanych już Danuty i Olafa Nemlingów, pojawiają się m. in. tacy promotorzy kultury polskiej, jak prezes Towarzystwa Austriacko-Polskiego i zarazem przewodniczący Międzynarodowej Federacji Towarzystw Chopinowskich, organizator licznych imprez muzycznych dr Theodor Kanitzer, czy wspomagająca działalność Instytutu Polskiego w Wiedniu dr Liliana Niesielska. Osobne szkice poświęcone są prof. Gerdzie Leber-Hagenau – tłumacze polskiej dwudziestowiecznej prozy i dramatu, popularyzatorce twórczości Romana Brandstaettera, dr Dorothei Müller-Ott, także wykładowcy Uniwersytetu Wiedeńskiego (*Fascynacja polskością*), postaciom osiadłym w Austrii Polaków: Elżbiecie Weidner-Zajac (*Fortepianowe pasje*) i księdzu dr. Kazimierzowi Wójtowiczowi (*Poeta z kościoła św. Othmara*) oraz organizacjom polonijnym, które w Galicji, dzięki – jak pisze Faron – istniejącej już od XIX w. „znacznej aktywności kulturalnej i politycznej polskiej grupy etnicznej zamieszkałej w Wiedniu i w innych miastach Austrii” (*Polonia w Austrii*), mają tak bogatą tradycję – „Strzecha” powstała w 1894 r. Organizowane przez nie okolicznościowe spotkania, na przykład te, odbywające się 13 września na Kahlenbergu, w rocznicę wiktorii wiedeńskiej, są okazją nie tylko do integracji środowiska polonijnego, ale też do rozważań nad tożsamością narodowo-etniczną, niezbędnych w dobie globalizacji, tym bardziej w kraju, który sam zmaga się z określeniem swojego miejsca w Europie i jej historii (*Pomnik Hrdlički, Betonowi świadkowie*).

Kolejni bohaterowie szkiców Bolesława Faron – dawni (np. w Belgii) i nowi (w Australii) emigranci, Polacy na Kresach, wykładowcy języka i kultury polskiej budują swoje światy życia wokół polskości. Oto urodzona w Belgii Alina Wojciechowska „entuzjastka kraju swoich rodziców” (*Na obczyźnie*), oto Edward Pomorski, absolwent polonistyki UJ, emigrant z 1932 r. do Francji i Belgii, przez kilkadziesiąt lat organizujący harcerstwo i szkolnictwo polskie dla potomków emigracji górniczej, oto Marian Pankowski, prozaik

i dramaturg, kierownik (po Claudzie Backvisie!) katedry slawistycznej Wolnego Uniwersytetu w Brukseli, oto i prof. Alain van Crugten, germanista, mający wszakże drugą, słowiańską duszę. Na Kresach – w Grodnie i Wilnie – polska przeszłość i współczesność tworzą na tyle nierozrwalną całość, że „samo obcowanie z przeszłością, z literaturą nie jest możliwe, że historia [...] ma swoje przedłużenie we współczesności, że jest nierozdzielnie związana z mieszkającymi tu dziś Polakami” (*Wśród Polaków w Grodnie*). Po Grodnie oprowadza autora Stanisław Poczobut-Odlanicki (jeden z jego przodków pojawia się w *Panu Tadeuszu*), wiceprezes tutejszego Związku Polaków. Odwiedzają polskie nekropolie, groby z lat 1919–1920 oraz 1944–48, pamiątki związane z postacią Elizy Orzeszkowej, kościół Jezuitów z mszami odprawianymi w języku polskim. Wilno, które autor zwiedza pod przewodnictwem dr. Józefa Szostakowskiego „fanatyka historii tego miasta, a zwłaszcza śladów polsko-

rektor syntetyzuje, na przykładzie własnej rodziny, polskie losy na Kresach: „Mój dziadek urodził się w carskiej Rosji ojciec w II Rzeczypospolitej, ja w ZSRR, a moje dzieci na Litwie, a wszystko to działo się w jednej wsi...”. Niepostrzeżenie stają się zapisy spotkań mikroobserwacjami życia społecznego (taki charakter noszą m.in. notatki *Z krainy kangurów*).

Podróżuje zatem Bolesław Faron śladami polskości. Niekiedy zdaje się ta podróż pielgrzymką: wszędzie tam, gdzie celem jest nekropolia (*Symboliczny cmentarz* w Słowackich Tatrach, mogiła powstańców *Nad Niemnem w Bohatyrowiczach*). Odwiedziny cmentarzy, na których spoczywają rodacy uważa autor wręcz za swój „moralny, by nie powiedzieć bardziej patetyczny – patriotyczny obowiązek”. Szlachetne to przedsięwzięcie w czasach, gdy pojęcie patriotyzmu zawłaszczono na użytek doraźnej polityki. W ogóle imponuje – to kolejny niemożliwy i wykreślony przez polityczne nadużycia ze

Bolesław Faron, ...z podróży. Wydawnictwo Edukacyjne, Kraków 2007

ści” (*Śladami polskiej kultury*), to Ostra Brama, cela Konrada, uniwersytet, domy, w których mieszkali Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Moniuszko i inni wielcy kultury polskiej. To przeszłość. A teraźniejszość? Powołanie katedry polonistyki na Uniwersytecie Grodzieńskim, wykłady Bolesława Farona dla studentów Wydziału Slawistyki Uniwersytetu Pedagogicznego w Wilnie, współczesne nagrobki na polskim cmentarzu w Grodnie, harcerze i drużyny sportowe działające w środowisku polskim tamże, Tadeusz Bohatyrowicz „z tych Bohatyrowiczów, co ich pani Orzeszkowa w powieści opisała”. W ciągu relacji Warszawa-Grodno w przedziale z autorem sami polskojęzyczni obywatele Białorusi i Litwy, nawet „dokwaterowana” przez kelnera do stolika w restauracji kobieta okazuje się Polką, co nie zdumiewa, gdyż około dwudziestu procent mieszkańców Grodna ma polskie korzenie. W Domu Kultury Polskiej w Wilnie jego dy-

słownika termin – ideowa postawa autora ...z podróży. „W starej [...] skrzyni matki, w której od lat gromadzono pamiątki rodzinne, znajdowały się zdjęcia i pocztówki nadesłane przez żołnierzy z różnych regionów Europy” – pisze Faron (*Mój Wiedeń...*). Z jednej strony można rozumieć te słowa jako wspomnienie definiującej galicyjską tożsamość Wielkiej Wojny, z drugiej zaś – mieć je za metaforę sygnalizującą własną postawę autora. Przecież kolejne relacje – z Brukseli, ze Sztokholmu, z Kresów, z Australii – przypominają żywo „frontowe” komunikaty dotyczące sytuacji kultury polskiej na obczyźnie, są też głosem na rzecz jej upowszechniania i wspierania. Nie będąc już dyplomatą, nadal jest autor ...z podróży ambasadorem kultury polskiej. Cele podróży, uwzględniające polskie akcenty i wyraźnie skorelowane z pełnionymi w dziedzinie edukacji obowiązkami obiera Faron-reportażysta nie tylko w harmonii z podejmowanymi

w życiu publicznym funkcjami, ale i zgodnie z profilem własnej osobowości. Kolejne, po wie-deńskich, szkice nabierają wymiaru coraz bar-dziej prywatnego, ewoluują od dokumentalizmu do osobistej nuty wspomnieniowej w tekstach późniejszych. W „pocztówkach” Bolesław Faron bardziej starał się wyrażać świat, by w końcu – we wspomnieniach – raczej wyrazić siebie (stąd we wstępie Agnieszki Ogonowskiej pojawia się definicja podróży jako formy autobiografizmu). Uwolnienie owej dykcji osobistej przydaje im tak walorów dokumentalnych, jak literackiej urody, sprawia, że pomiędzy wierszami prześwieca to wzruszenie – jak w świetnym opowiadaniu *Nad Niemnem w Bohatyrowiczach*, to dyskretny

humor. Imponuje także zacięcie kronikarskie: dyscyplina notatek, zapisu z podróży, z życia...

Na koniec: powrót z *podróży*. Kiedyś, w do-mu, niejako *u siebie*, we wnętrzu „starej skrzyni matki”, dzięki „zdjęciom i pocztówkom nadesła-nym przez żołnierzy z różnych regionów Euro-py” mieścił się *cały świat*. Czy zatem podróż od-bywa się w przestrzeni, skoro humanista jest za-wsze *u siebie*? Skoro Bolesław Faron Polskę za-biera ze sobą w drogę? Czy raczej „stara skrzy-nia” – kuferek pamięci, tomik szkiców – może gromadzić z biegiem lat coraz to więcej, z coraz to innej perspektywy snutych wspomnień?

Magdalena Roszczynalska

Mirela Rubin-Lorek

Rendez-vous z Poetą

Tomik poetycki Jerzego Piątkowskiego

Któż dzisiaj umawia się przy kawiarnianym stoliku? Jerzy Piątkowski. Kto lubi dyskutować, siedząc na moło? Jerzy Piątkowski. Kto chodzi do galerii albo odpoczywa u przyjaciół na tarasie? Jerzy Piątkowski.

W dzisiejszej dobie pełnej pubów, pośpiechu, partykuł, głośnego rechotania i dymu niekoniecznie nikotynowego, świat przywołany przez Autora pełen jest znanych artystów i ich dzieł, pejzaży miejskich i pozamiejskich, świata organicznego i nieorganicznego, wielkiej i małej historii:

„Zacześliśmy mówić z Joe Alexem
o Muzeum Trądu i o dzielnicy Bryggen
w norweskim miasteczku Bergen

z którego pochodził
Edward Grieg”

(Zaczeło się od muzeum)

Ten świat oparty został na obserwacji i na rozmowie – definicyjnie rozumianej jako dialog. Nieważne, z kim Autor rozmawia: z Tadeuszem Kantorem, Jerzym Pankiem czy tajemniczą panią YGREK – zawsze jest to Rozmowa Interesująca, z której wynika jakaś poetycka pointa:

„I obaj wiemy że umyka przed nami
odległe miasto
że zabiera z sobą bogaty skansen
kolorowych kamieniczek
i ciekawe muzea

[...]

Wszystko przez te Scudy paskudy”

(Zaczeło się od muzeum)

W wierszach Jerzego Piątkowskiego słychać instrumenty z orkiestry symfonicznej, widać kolorowe plamy z obrazów Witkacego, czuć aromat herbaty serwowanej w kawiarni Noworolskiego. Autor bezbłędnie porusza się po świecie europejskiej sztuki i krakowskim Magistracie, żongluje terminami, nazwiskami i cytatami... Czuje się w kreowanym przez siebie świecie jak ryba w wodzie. Raczy czytelnika egzotycznymi potrawami, przedstawia pisarzom, malarzom, filozofom... Pozwala zasmakować w podróżach w czasie, przestrzeni oraz innych wymiarach... Z nim pokonujemy zawiloci mitologii greckiej i Biblii... Nie wstydzimy się nawet rozmawiać z seksuologiem!

„Zaprawdę powiadam ci – radzi Gierdziewicz
zachowaj czujność
jak przed lambiozą jelit i wątroby”

(Nie z poczucia ważności powiada specjalista)

Zatrzymane w czasie ulotne chwile, wrażenia, wydarzenia na miarę historyczną, rozmowy w „starokrakowskim” stylu, wygląd przedmiotów i architektury – to wszystko sprawia, że tę ładnie wydaną książkę czyta się z przyjemnością (ach! gdyby nie literówki!). Zawarte w tej poezji obrazy malowane słowami pełnymi metafor, epitetów, stylizacji, symboli są bogate w treść osobistą oraz ogólnoludzką i zachęcają do lektury.

Okładka oraz dwie strony tytułowe autorstwa Janusza Janasa rozpoczynające każdą z dwóch części tego tomiku nawiązują do wielkich europejskich dzieł malarskich, a stojąca ty-

łem do widza (jak na obrazach niemieckiego romantyka Caspara Davida Friedricha) postać męska w kapeluszu, sztuczkowych spodniach i z parasolem w ręku (sam Poeta?), oswaja te dzieła, głaszcząc łasiczkę i wieszając parasol na wskazującym palcu samego Stworzyciela. To jest w stylu Piątkowskiego! Ale nie tylko to:

„Sztuka wymaga poświęceń...
poświęceń... przypominało mi się
natarczywie przez lata”

(Mój osobisty Kantor)

Czas pokaże, które ze stworzonych przez Poetę wierszy przetrwają... Dopóki jednak czytam Piątkowskiego, nie chcę, aby „sczeźli artyści”!

Mirela Rubin-Lorek

Marek Karwala

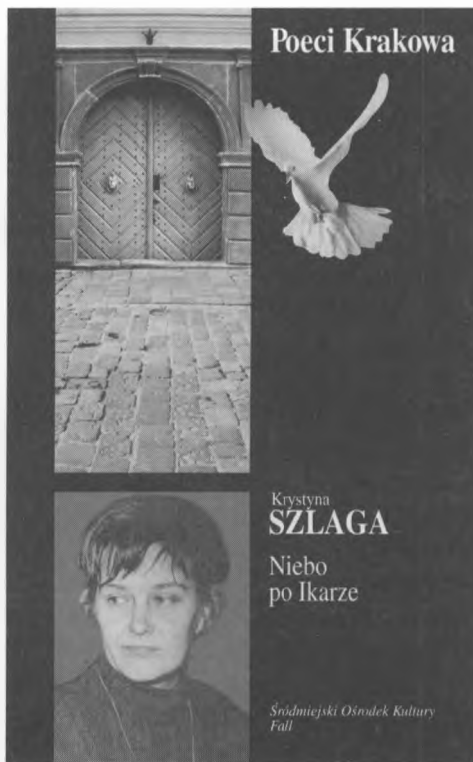
Imperatywy Krystyny Szlagi

Od ponad dekady ukazują się w bardzo starannej szacie graficznej wybory wierszy autorów związanych z podwawelskim grodem. Serię „Poeci Krakowa” otworzył w 1995 r. Stanisław Stabro, później ukazały się utwory m. in. Adama Ziemiańskiego, Krzysztofa Lisowskiego, Andrzeja Warzechy, Józefa Barana. *Niebo po Ikarze* Krystyny Szlagi dopełnia pierwszą dziesiątkę wydanych tomów. Autorka nie należy z pewnością do grona twórców powszechnie znanych i rozpoznawanych, ale jej liryki – chociaż nie narzucają się na tzw. „salonach” – posiadają przecież swój indywidualny rys, skupiają czytelniczą uwagę klimatem refleksji filozoficznej, metafizycznej, umiejętnością celnej pointy, erudycją i klarownością formy.

Na wybór złożyło się bez mała siedemdziesiąt utworów, z których pierwsze pisane były na początku lat 60., a ostatnie już w obecnym stuleciu. Ta *summa* nie została ułożona chronologicznie (każdy wiersz jest opatrzony datą powstania), lecz... Chciałoby się w tym miejscu powiedzieć „tematycznie”, ale ta sugestia nie byłaby w pełni precyzyjna. Owszem, ten klucz daje się rozpoznać, nie jest wszakże jedynym pierwiastkiem porządkującym. Drugim wydaje się próba urozmaicenia czytelnikowi lektury poprzez dyskretnie stosowaną kilkupołówkę genealogiczną. Dorobek Krystyny Szlagi jest bowiem zróżnicowany formalnie, i tak – obok rozbudowanych, wieloczęściowych poematów występują krótkie, sugestywne aforyzmy; obok wierszy opartych na założeniach oratorskich, te, które zachęcają do wspólnego, wyciszonego zamyślenia; obok prób poetyckiego „definiowania” rozwiązań światopoglądowych, te, które

składają się z serii retorycznych lub niekiedy prowokacyjnych pytań... Jedna tylko grupa wierszy wyróżnia się; została potraktowana jako autonomiczna „całość w całości”. To utwory, których bohaterem staje się Wilk. Kim jest Wilk Krystyny Szlagi?

Z pewnością nie jest to zwierzę będące postrachem stad i pasterzy, nie jest to również jeden z owych „braci mniejszych” św. Franciszka... Odpowiedź na pytanie o jego rodowód przynosi wiersz *Genesis* (s. 64):



Wylem do gwiazd
w nocie cieniście
[...]
Wyję
ja – gwiazdny więzień na ziemi

Zacytowany fragment zdaje się otwierać perspektywę metafizyczną, można go bowiem odczytać jako parafrazę słów: „wszystko mi mówi, że jestem obcy na tej ziemi”. Tak pojmowana obcość obliguje do określonych wyborów i określonych zachowań. Określonych przez co? Jaka zasada dyktuje zachowania godne? Poetka podpowiada dyskretnie, acz jednoznacznie:

Pytania stawiamy
Odpowiedzi szukamy
badając pierwiastki
konstruując systemy

Pytania jak żywioły
wieczne

Odpowiedzi
ukryte
w miękkości żdźbła trawy
w gwoździach wbitych w rękę

(inc. *Pytania...*, s. 87)

W dwu zatem wymiarach dostrzega autorka możliwość odnajdywania drogowskazów. „Miękkie żdźbła trawy”, reprezentując cały świat natury, są swoistym „listem z nieba” (metafora Jana Tomkowskiego) skierowanym do człowieka; rzecz w tym, aby istota ludzka potrafiła go czytać, aby potrafiła – wyeliminowawszy roznieconą przez siebie dysharmonię – przywrócić ład podpatrzony w przyrodzie. Drugi impuls przynosi ofiara, jaką złożył Chrystus na krzyżu. Symbol Jego „rąk przebitych gwoździami” ma przypominać o sensie i celu istnienia oraz hierarchizować wartości. Wiedza o proporcjach tego, co „tu” w odniesieniu do tego, co „tam” daje jednostce siłę, która pozwala jej na „nieprzekraczanie

nieprzekraczalnego”, na odważne mówienie Nie, podczas gdy większość mówi Tak:

Niewinne radosne
w skinieniu głowy *Tak*
Ręce klaszczą *Tak*
Buty kroczą *Tak*
Historia pisze *Tak*

Tak
wysysa drogi
zajmuje gmachy
plądruje domy
dymi zgłiszczami zamachu
żądli szańcami
coraz rozleglejszego imperium

(*Tak*, s. 81)

Czekam
Wierzę
że słowa
to wszystkie ludy
Że powtarzane z uporem *Nie*
to zbliżająca się armia

(*Nie*, s. 58)

Poetka jest zwolenniczką postawy heroicznej, stoi po stronie bezwzględnej służby wartościom, za co nie czeka żadna nagroda. Ten rodzaj myślenia odsyła bezpośrednio do poezji Zbigniewa Herberta. Krystyna Szlaga nie ukrywa tego zresztą; przeciwnie – zdaje się prowadzić intertekstualną grę z autorem *Pana Cogito*. Jak wiadomo, tom Herberta ukazał się w 1974 r. Na ten sam moment datowany jest wiersz Szlagi *Przesłanie* (s. 36). Oto jego fragmenty:

Jeżeli obcy w trwożnym milczeniu
Odstąpią ciebie Wiedza
Przyjaciele wyrok wydali

Gdy wzrok zaoczne zdrady ich zjawi
Gdy czas stanie w tobie werblem
Ofiar swych zmagają nie przeklinają

Z tą dawno zdobytą wiedzą
Mężnie godnie czekaj
[...]
Nie tłumacz się daremnie
Ty na nich patrz

Oto jest
Wyniosła szydercza bezwzględna
Obca twoja wygrana

Innym razem poetka pisze:

Pamiętaj żeś synem żebraka
Choć będą ci wmawiać
Królewski rodowód
[...]
Nie krygij się przed paszczą tłumu
w klatce metropolii
Ani nie całuj buta mocarstwu
Imperium to błąd
Które imperium przetrwało?

Pamiętaj żeś synem żebraka
W kamieniu zobacz swoje barbarzyństwo

(*Pamiętaj żeś synem żebraka*, s. 46)

Bądź wierny Idź

Krystyna Szlaga tak parafrazuje Herbertowy finał:

I trzeba iść
Nawet gdy tylko ty słyszysz wołanie

Idź sam
Idź

(*Północ*, s. 95)

Ten ostatni wiersz datowany jest na 1997 r., a więc powstał bez mała ćwierć wieku po monumentalnym (w tym określeniu nie ma chyba przesady) zbiorze Herberta. Widać, że Wilk Krystyny Szlagi chodził do dobrej szkoły, w której nauczycielem był Pan Cogito. Stara się on korzystać z nauk swego mistrza, a uczniem jest bardzo pojętnym. Twórczo podejmuje podobne problemy do tych, które nurtowały onegdaj jego mentora. W tym miejscu warto przypomnieć niektóre tytuły: *Wilk o kodeksach*, *Wilk i Palec Wskazujący*, *Wilk o nadejściu Królestwa*, *Wilk o miłości*, *Wilk o idei*, *Pytania Wilka itp.*

K. Szlaga, *Niebo po Ikarze*. Kraków 2006, 112 s.

Jakże wyraźnie korespondują te słowa z frazami Herberta:

Idź wyprostowany wśród tych co na kolanach
[...]
oglądaj w lustrze swą błazeńską twarz
powtarzaj: zostałem powołany
– czyż nie było lepszych

(*Pzesłanie Pana Cogito*)

Ten sam utwór kończy poeta imperatywem:

Jak już zostało na początku powiedziane, Krystyna Szlaga chętnie sięga po formę zdania gnomicznego. Niektóre spośród jej aforyzmów funkcjonują jako utwory autonomiczne, inne zaś zostały wplecione do dłuższych wypowiedzi poetyckich, gdzie żyją bądź jako pointy anaforycznych wyliczeń, bądź jako inicjalne tezy, które zyskują egzemplifikacje w dalszych partiach wiersza, bądź w końcu jako refleksje, którymi inkrustowane są te liryki. Warto niektóre z nich przypomnieć:

Każde poznanie materii
tego świata

dopada ciemność
innego świata

(*Poznanie*, s. 27)

Nie zdarzenia
lecz odczucia zdarzeń
są naszą rzeczywistością

Nie prawda
lecz wyobrażenie prawdy
jest naszym poznaniem

(inc. *Nie zdarzenia...*, s. 35)

Przytoczone słowa zdają się wpisywać w kontekst agnostycyzmu, a niekiedy nawet sceptycyzmu, jak wtedy, gdy poetka manifestuje niewiedzę, na którą skazany jest człowiek:

nie wiemy czym jest życie
nie wiemy czym jest idea
nie wiemy czym jest przeszłość
nie wiemy czy istnieje wino

(*Wino*, s. 43)

Innym razem autorka nieco przewrotnie opowiada się po stronie manichejczyków i nawiązuje też pośrednio do systemu św. Augustyna:

Trwale zwycięstwo dobra nad złem
zrodzi w nas podejrzenie
że dobro jest również złem

(inc. *Trwale...*, s. 42)

Występują też aforyzmy mówiące np. o działaniu „w zaślepieniu”:

W pogoni za ideałem
palimy mosty
przed sobą

(inc. *W pogoni...*, s. 48),

o pysze:

Są tacy, którzy godzą się na los najgorszy
lecz nigdy na zrównanie z innymi

(inc. *Są tacy...*, s. 62),

o mowie i milczeniu:

To o czym milczymy
określa to
co mówimy

(*To o czym*, s. 99)

Cały tom poezji Krystyny Szłagi zamykają zdania aforystyczne, nawiązujące do toposu drogi:

Drogę rozpoznają
Ci z nisko pochyloną głową

Ci z głową podniesioną
W blasku błędzą

(inc. *Drogę rozpoznają...*, s. 108)

Jakże dziś niemiennie brzmią słowa tego wiersza, gdy krzykliwość, powszechnie akceptowaną autoreklama i zwykłą pychą świat stara się zakryć swoje niedostatki - bezideowość, konsumpcjonizm, szeroko rozumiane nastawienie na „mieć” kosztem „być”. Zresztą... niejednokrotnie zapomina się o podstawowym sensie „być”, które rozumiane jest wyłącznie jako „mieć”. Mądre wiersze Krystyny Szłagi z pewnością zasługują na chwilę zastanowienia.

Marek Karwala

Marek Karwala

Prorok na skale

W naszej rodzimej mowie zachowało się jeszcze słowo „mędrzec”, ale jakże rzadko jest dzisiaj wymawiane. Owszem, przybyło ludzi wykształconych, mimo to coraz trudniej spotkać mędrca. Bo to ktoś, na kim można się oprzeć, komu się ufa, kto zna większość rozwiązań lub choćby dróg, którymi można do nich dotrzeć, a jeżeli czegoś nie wie, to nie kryje tego z lęku przed utratą autorytetu... Po lekturze *Proroka na skale* czytelnik dochodzi do wniosku, że właśnie wysłuchał zwierzeń autentycznego mędrca. Rzadko się zdarza, aby czyjeś refleksje dało się przeczytać bez chwilowego choćby zmęczenia, jednym tchem. W tym przypadku rzecz taka okazuje się czymś naturalnym, a po dotarciu do ostatniej stronicy człowiek ma wrażenie, że obcował z czymś dobrym, co go wzmocniło, ubogaciło i... żałuje, że to już koniec. Koniec? Ależ nie! Do tej książki będzie się wracać wielokrotnie, otwierać ją na dowolnej stronicy i czytać wybraną myśl, aby potem jeszcze przez czas jakiś ją kontemplować.

Jerzy Nowosielski (ur. 1923) jest nie tylko znakomitym malarzem, ale także teologiem prawosławnym i myślicielem wielkiego formatu. Jego obrazy są ozdobą wielu muzeów na świecie; wykonał też sporo monumentalnych polichromii dla świątyń rzymskokatolickich, cerkwi prawosławnych i greckokatolickich w kraju oraz poza granicami. Praktycznie przez całe życie pisał – były to m.in. refleksje o sztuce, o kondycji człowieka i jego relacjach z Bogiem. Artykuły, recenzje, wywiady, a także polemiki, w których uczestniczył profesor Nowosielski stały się podstawą wyboru, jakiego dokonali dwaj jego przyjaciele – Roman Mazurkiewicz (historyk literatu-

ry, mediewista i znawca kultury prawosławia) oraz Władysław Podrazik (były uczeń profesora, wybitny malarz, ktoś, kto odważnie podąża śladami swego mentora). W sumie myśli zostały zaczerpnięte z ponad dziewięćdziesięciu źródeł i ułożone tematycznie w dwadzieścia jeden rozdziałów. Warto przytoczyć ich tytuły dla pełniejszej orientacji, z jakimi obszarami można się spotkać w trakcie lektury: *Kadry z autobiografii; Jestem, myślę, wierzę...; Moje malarstwo; O raju, grzechu i etyce; O złu, Szatanie i piekle; O Chrystusie; O pięknie, miłości i miłosierdziu; O abstrakcji i bytach subtelnych; O twór-*



czości i sztuce; O malarstwie i obrazach; O artystach, dziełach i widzach; O sacrum, świętych i liturgii; O ikonie; O kobiecie, Erosie i pornografii; O nagości, stroju i modzie; O braciach naszych mniejszych; O religii, wierze i Kościele; O Polsce i polskiej religijności; O ekumenizmie i Oriencie; O cierpieniu, starości i śmierci; O sprawach ostatecznych.

Jak widać, diapazon tematów jest bardzo rozległy; spotkać można myśli będące już aforyzmami albo takie, które sytuują się gdzieś na ich pograniczu, na drugim zaś biegunie stoją te, które są jedynie (aż?) celnie postawionymi pytaniami, intrygującymi, kontrowersyjnymi, niekiedy – jak się zdaje – nierozwiązywalnymi, ale dotykającymi t a j e m n i c y. Każdy z rozdziałów zo-

Nie wolno rozgrzeszać się z jednej rzeczy: z obowiązku zdobywania mądrości. Jest to zasadniczy obowiązek człowieka. (s. 23)

Choć tęsknię do dobra i pragnę go, to mam świadomość istnienia zła, jestem przekonany, że idzie ku złemu, że świat zmienia się na niekorzyść. Coraz mniej wokół miłości, religii, miłosierdzia. (s. 23)

Jak każdy człowiek z krwi i kości podlegam fascynacji Erosem. Jest w tym zarazem grzeszność i świętość. I nie umiem tego sam sobie wyjaśnić, że w moim malarstwie ta równowaga zostaje zachwiana na korzyść *sacrum*. (s. 33)

Prorok na skale. Myśli Jerzego Nowosielskiego.
Wybrali i ułożyli R. Mazurkiewicz i W. Podrazik,
Wyd. „Znak”, Kraków 2007, 192 s.

stał poprzedzony reprodukcją ilustracji autorstwa Jerzego Nowosielskiego, a na pierwszej stronie okładki znalazła się kolorowa reprodukcja jego obrazu *Prorok na skale* (ten tytuł stał się inspiracją dla autorów wyboru, którzy właśnie tak zdecydowali się sygnować całość). Trzeba dodać, że renomowana oficyna „Znak” zatroszczyła się o nadanie książce wysokiego poziomu edytorskiego.

Warto przytoczyć przynajmniej kilkanaście myśli zawartych w zbiorze:

Etap ateizmu [...] traktuję w kategoriach metafizycznych. Człowiek odczuwa, że nie ma rzeczywistości metafizycznej, i wówczas w gruncie rzeczy znajduje się w stanie szaleńca metafizycznym, kiedy świadomość dotyka jakiegoś dna. (s. 14)

Od wczesnej młodości miałem ciagoty, żeby zostać mnichem... Do dziś pozostałem mnichem – nie lubię jeździć, nie lubię niepotrzebnych działań. Wolę mieć święty spokój. Ważny dla mnie jest mój klasztor wewnętrzny. (s. 17)

Zastanawianie się nad procesem postępującej satanizacji kultury to dziś najważniejsze teologiczne zagadnienie. (s. 49)

Naprawdę ufam Chrystusowi... Nie boję się Chrystusa, bo jest moim osobistym Zbawcą. Wszystkiego na świecie się boję, nie boję się tylko Chrystusa. Taki jest Chrystus mojej intuicji i wiary. (s. 55)

Żadnych roszczeń. Żadnych roszczeń wobec rzeczywistości. Miłość. Jedno, co zostaje, to miłość. (s. 65)

Sztuka to działanie duchowe. Działanie duchowe, które usiłuje wyprowadzić nas z sytuacji istot wygnanych z raju. (s. 75)

Kicz jest grzechem. Nieświadomie popełniony jest grzechem powszednim, świadomie – śmiertelnym. (s. 79)

Poeta w każdej chwili może sięgnąć po swoje wiersze. Malarz ma to szczęście, że ze swoimi płótnami traci kontakt. (s. 100)

Dla mnie ikona jest malarstwem realistycznym [...], tylko że jest to realizm eschatologiczny, realizm rzeczywistości zbawionej. (s. 112).

Kobieta to cały człowiek. Mężczyzna jest niepełnym człowiekiem, chyba że jest na tyle dojrzały, że siedzi w nim kobieta. (s. 121)

Mężczyzna się ubiera, żeby zakryć własne ciało, a kobieta się stroi, żeby pokazać własne ciało. (s. 131)

Lęk i przerażenie, żal z powodu rozstawania się z życiem u zwierzęcia jest taki sam, jak u człowieka. (s. 140)

Świat jest jeden. Kultura duchowa jest jedna. Nie ma osobno Europy Wschodniej, Zachodniej, osobno Indii i osobno chrześcijaństwa czy Tybetu. (s. 165)

Wszystko, co ma sens na tym świecie, jest ofiarą. Nasza śmierć, jeżeli ma mieć jakikolwiek sens, musi być przez nas przyjęta jako nasza osobista ofiara. (s. 173)

Trzeba się przygotować na Drugie Przyjście Chrystusa. To znaczy wyciągnąć z dotychczasowego doświadczenia ludzkiego wszystkie elementy, które będą mogły przejść przez ogień końca świata. I właśnie we wskazywaniu tych elementów widzą zadanie kultury, filozofii, sztuki. (s. 181)

Marek Karwala

Janina Sarnacka

Język polski? Nie taki trudny!

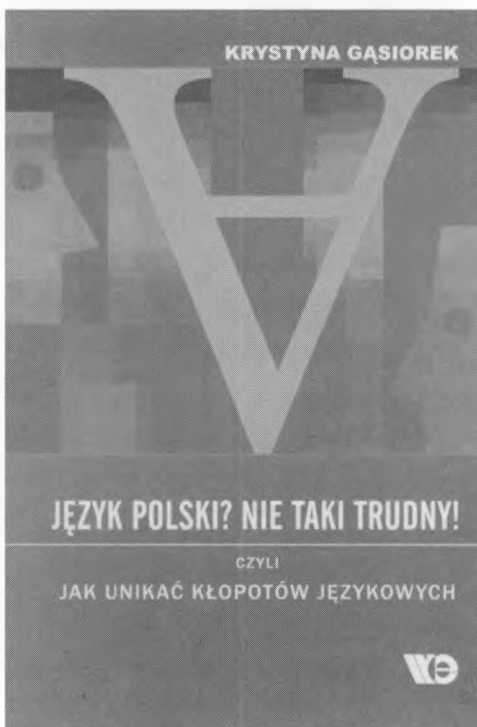
Nakładem Wydawnictwa Edukacyjnego w Krakowie ukazała się niedawno publikacja Krystyny Gąsiorek pt. *Język polski? Nie taki trudny! Czyli, jak unikać kłopotów językowych*. Jest to książka w formie poradnika poprawnej polszczyzny. Autorka radzi, jak unikać uchybień językowych w mowie i piśmie. W naszej literaturze naukowej znaleźć można wiele opracowań służących temu samemu celowi, jednak korzystanie z nich najczęściej wymaga pewnej wprawy i przygotowania merytorycznego.

Książka K. Gąsiorek różni się od tych typowych poradników, gdyż jest bardziej uniwersalna, to znaczy przeznaczona dla większej grupy czytelników, którzy posiadają zróżnicowane umiejętności językowe. Można w niej wyszczególnić kilka warstw treściowych o różnym stopniu trudności. I tak, najłatwiejsza z nich obejmuje przykłady poprawnych form wypowiedzi, skonstruowanych z najczęściej spotykanymi błędami stylistycznymi. Z treści tych korzystać może z powodzeniem np. uczeń szkoły podstawowej czy gimnazjum, nawet jeśli jego wiedza gramatyczna nie jest dobrze utrwalona. Wystarczy przeczytać przytoczone przykłady i wybrać te, które są nam potrzebne, nie wnikając w treść reguł wyjaśniających, dlaczego tak ma być. Dla ułatwienia poprawne formy wypowiedzi wyróżnione są tłustym drukiem. W ten sposób mogą korzystać z tegoż poradnika również osoby dorosłe, które nie mają dobrze wyrobionych nawyków językowych. A jest takich osób dość dużo, skoro nawet w mediach słyszymy wypowiedzi z licznymi usterkami językowymi.

Oprócz dużej liczby przykładów, Autorka podsuwa czytelnikom ciekawe a zarazem proste

sposoby radzenia sobie w różnych sytuacjach, gdy nie można sięgnąć do tekstu poradnika. I tak, omawiając często popełniane błędy w odmianie czasowników, np. „umiem”, „rozumiem”, radzi posłużyć się odmianą czasownika „czytam”, którego formy koniugacyjne są powszechnie znane i nie sprawiają kłopotów. Widoczne to jest szczególnie w l. mnogiej 3. osoby tych czasowników. Przykład: oni, one – umieją, rozumieją, czytają (s. 57–58).

Druga warstwa tekstu, mająca charakter bardziej naukowy, sięga do wiedzy gramatycznej przy objaśnianiu prawidłowości i wskazywa-



niu wyjątków od reguł. Przeznaczona jest, w moim przekonaniu, dla uczniów wszystkich typów szkół, szczególnie dla tych, którzy mają ambicje wiedzieć więcej i dokładniej oraz dla tych, którzy przygotowują się do różnego rodzaju studiów. Z całą pewnością publikację tę można polecić także studentom uczelni pedagogicznych różnych kierunków i specjalności, którzy w przyszłej pracy zawodowej muszą zwrócić szczególną uwagę na poprawność swoich wypowiedzi, by nie kształtować u dzieci złych nawyków językowych.

na (żona i córka pana Kowala)? (s. 75–77) Kto wie, co oznaczają stałe połączenia wyrazowe *fęzyczek u wagi*, *bajonńskie sumy* i in.? (s. 49–51) Co łączy wyrazy *secesja* i *scysja*, *ludowy* i *ludyczny*? (s. 14–16)

Dużo tu ciekawostek wzbudzających zainteresowanie czytelnika i zachęcających do ponownego przestudiowania całości. Jest to książka niezbyt obszerna (ok. 150 stron), mieści jednak niemal wszystkie przykłady sytuacji językowych, które rodowitym Polakom sprawiają trudności.

K. Gąsiorek, *Język polski? Nie taki trudny! Czyli, jak unikać kłopotów językowych*. Wydawnictwo Edukacyjne. Kraków 2007

Naukowa interpretacja zasad poprawnej polszczyzny wzbogacona jest o jeszcze jedną warstwę treściową, w której Autorka nawiązuje do tradycji językowej. Znajdujemy tu między innymi uwagi o wielu formach wyrazów i związkach frazeologicznych, dawniej używanych, a obecnie występujących coraz rzadziej. Np. kto dzisiaj poprawnie stosuje dawne formy niektórych nazwisk kobiet: Sapieżyna, Sapieżanka (żona i córka pana Sapiehy), Kowalowa, Kowalów-

Nawiązując do tytułu omawianego opracowania, można dyskutować z sugestią Autorki, iż język polski jest „nie taki trudny”. Taki łatwy to ten nasz język ojczysty nie jest, ale dokładne przyswojenie zebranych przez Krystynę Gąsiorek przepisów na piękną polszczyznę może niejednego z nas uchronić przed popełnianiem błędów językowych w mowie i w piśmie, a jest to ważne „bo długo się je pamięta i potem kpi z ich autorów” (s. 15).

Dominika Betka

Świat kobiet-terrorystek

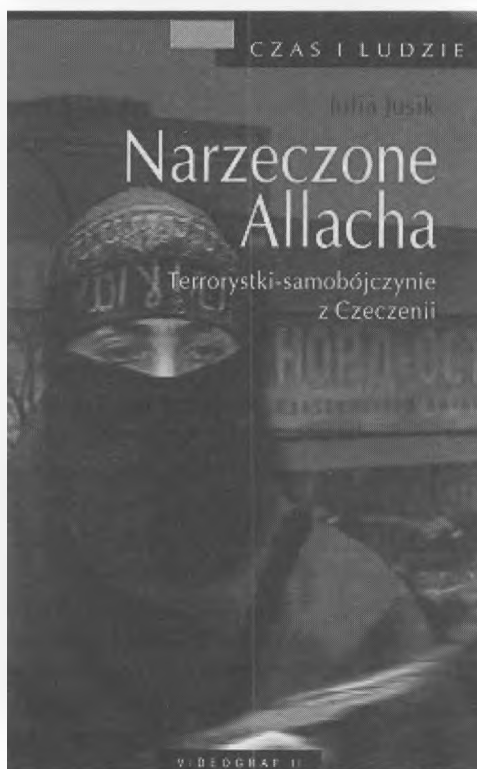
Już po przeczytaniu kilkunastu stron polskiego przekładu książki Julii Jusik pt. *Narzeczone Allacha* czytelnik wie, że nie będzie to łatwa lektura... I bynajmniej nie z powodu poruszanej tematyki, choć pozycja traktuje o przyczynach i metodach działań czeczeńskich terrorystek-samobójczyń.

Autorka, młoda rosyjska dziennikarka, po wyjeździe do Czeczenii napisała rzecz, która stanowi niewątpliwie pozycję godną dostrzeżenia, zarówno z uwagi na sam temat rozprawy, jak i jego zakulisowe ujęcie. Szczere rozmowy, jakie autorka przeprowadziła z przyszłymi bądź niedoszłymi szahidkami, mogą istotnie wywołać silne emocje. Nie mniejszą uwagę odbiorcy zwraca również sposób prowadzenia narracji, w tym dość swobodny styl książki. Podczas lektury daje się odczuć także specyficzny, bardzo emocjonalny ton dziennikarskiej wypowiedzi. Męczące bywają natomiast spontaniczne próby werbalnego spoufalenia się autorki z czytelnikiem. W dodatku w polskiej wersji językowej, pełne niedociągnięć i uchybień tłumaczenie książki (notabene wykorzystano w tym celu tekst niemiecki, nie zaś rosyjski oryginał) dodatkowo utrudnia tę – i tak przecież niełatwą – lekturę.

Pewnym problemem wydawać się może wszechobecne i wszechwiedzące autorskie JA, które czyha na czytelnika niemal w każdym fragmencie książki. *Ja, 22-letnia, dziennikarka, po dwóch miesiącach pobytu w Czeczenii dowiedziałam się, gdzie szkolili się uczestnicy akcji Nord-Ost... Ja to wiem – a służby specjalne nie wiedzą? Niemożliwe.* (s. 154). Na myśl od razu przychodzą mi inne, poświęcone tej samej problematyce pozycje. Mam na uwadze m.in. pracę

czeskiej dziennikarki Petry Prohazkowej *Ani życie, ani wojna*, a przede wszystkim – dzieło Anny Poltrowskiej pt. *Druga czeczeńska*. I tylko w książce J. Jusik zabrakło odrobiny dziennikarskiego kunsztu, pokory, zatarła się hierarchia ważności i zagubił gdzieś cel pisania o TYCH sprawach.

Należy podkreślić, że omawiana książka, wkrótce po opublikowaniu, została wpisana w Rosji na listę pozycji zakazanych i oficjalnie wycofano ją ze sprzedaży. W internecie jest ona natomiast wciąż jedną z najbardziej rozchwyty-



wanych pozycji (można zresztą nawet przeczytać kilka jej rozdziałów w wersji elektronicznej!).

Książka prezentuje podstawowe metody, jakimi posługują się werbujący szahidki terroryści, oraz konsekwencje tych działań. Czasem jednak trudno skupić uwagę na faktach, gdy dziennikarka, prowadząc rozmowę z jedną z bohatererek, nagle zwraca się bezpośrednio do czytelnika: *Proszę popatrzeć jaki zwrot następuje w jej opowiadaniu.* (s. 86). Tego rodzaju zabiegi, po pewnym czasie, mogą wyprowadzić z równowagi nawet najbardziej wyrozumiałego odbiorcę. Należy przy tym wziąć pod uwagę, że autorka, o czym wspomniano wyżej, operuje niezwykle

go „dopuszczał się” R. Niedballa. Niektóre zdania wprowadzają czytelnika w osłupienie, np.: *W akcji Nord – Ost bierze udział katastroficznie mało kobiet... Na zdjęciach zabitych terrorystek szukał tej „bandziorki” ... To, co określamy jako „żywą bombę” jest przede wszystkim kobietą. (sic!) Młodą kobietą, która z pewnością nie ma zbyt wielkiej ochoty umierać, o to można się założyć”.*

Im bardziej zagłębiałam się w życiowe koleje losu bohaterek, tym częściej zastanawiałam się, do kogo właściwie adresowana jest ta książka? Odpowiedź częściowo sugerują następujące zabiegi retoryczne: *W torebce Sury* (terrorystki-

J. Justik, *Narzczone Allacha. Samobójczynie, terrorystki z Czeczenii.* Videograf 2006, 172 s.

emocjonalnym stylem, co tłumacz – niestety – oddaje wiernie). Zasypuje ona czytelnika nie tylko zwrotami wprost, ale także niezliczonymi pytaniami. Na pytaniach zresztą nie poprzestaje. Ona pyta – i niestety – również odpowiada! *Jesteście zdziwieni? Spytacie: Jak miała się stamtąd wydostać? Odpowiem na to pytanie [...].* Prócz wszechpanującego nieoficjalnego, emocjonalnego stylu, napotkać tu można również cały szereg górnolotnych porównań, w rodzaju: *Jej kuzyn to człowiek, który skazał ją – bezbronnego płaszka – na śmierć w płomieniach materiału wybuchowego,* które w zderzeniu z dość w sumie swobodnym stylem – wywołują efekt odwrotny od zamierzonego. Podobną reakcję implikuje ton wyrażonej poufałości, który, stosowany na ogół w najmniej odpowiednich po temu momentach, kreśli sytuacje groteskowe, np. *Tę kobietę znam osobiście, a tu są jej córki – i pokazuje mi zdjęcie Aiman i Koku Chadżiejewych* (zmarłe szahidki – uzup. D.B), *które już przecież znamy, państwo i ja.*

W Polsce książka Jusik cieszy się dużą popularnością. Niestety dostępna jest tylko w cytowanym tu przekładzie z języka niemieckiego, jakie-

-samobójczynie – uzup. D.B) *znajduje się bilet powrotny Moskwa-Chassawjurt... Sura jest absolutnie pewna, że dokładnie za dziesięć dni wróci. I dlatego jest spokojna. [...] Ludzie, którzy wysłali Surę na śmierć, użyli pewnego psychologicznego chwytu: kupili jej bilet w obie strony i w ten sposób dali nadzieję na powrót.* Podobnych, wspomagających logiczne myślenie, powtórzeń jest niestety znacznie więcej

Rozczarowała mnie w tej książeczce jeszcze jedna rzecz, a mianowicie – brak odsyłaczy i odnośników. Autorka opowiada o losie jednej z terrorystek, która nie doprowadziła do ataku, stchórzyła, ale została uznana za winną. Niestety, poza zdawkową informacją, że artykuł o niej opublikowała gazeta „Izwestia” – nie znajdujemy ani numeru, ani daty wydania.

Im bardziej zbliżałam się do końca lektury, tym bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że czytelnikiem projektowanym tej książki jest ktoś, kto bynajmniej nie szuka rzetelnych informacji, ale nie bacząc na formę – zadowolony się odrobiną zakulisowych sensacji. Zresztą, aspiracje tej książki do bycia czymś więcej – byłyby tak samo złudne i bezcelowe, jak apele autorki

o zapobieganie kolejnym atakom (*Zatrzymajcie ich! Nie kobiety, lecz mężczyźni, którzy te kobiety – i nas wszystkich – zabijają. Wzywam: powstrzymajcie tych, którzy stosują terror w Czeczenii i w ten sposób dostarczają werbownikom nowego materiału – kobiet, w domach których zapanał nowy ból...*).

Niewątpliwie, jednak, wypada dostrzec tę pozycję i jej autorkę, gdyż wciąż jeszcze niewiele osób ma odwagę pisać na podobne, drażliwe tematy.

Dominika Betka

¹ Zob. Ультра.Культура, Сайт издательства „Ультра.Культура” <http://www.ultraculture.ru/uzik-passage1/>, <http://www.ultraculture.ru/uzik-passage2/> strona dostępna w czerwcu 2007.

Barbara Głogowska-Gryziecka

Problemy „pisania o sobie”

O mawiana tu książka jest owocem Konferencji Naukowej Instytutu Filologii Polskiej, która odbyła się w 2006 r., we wsi Maniowy. Wzięło w niej udział trzydziestu pracowników Instytutu Filologii Polskiej oraz Instytutu Informacji Naukowej i Bibliotekoznawstwa. Opublikowano łącznie 23 rozprawy naukowe. Redaktorem tegorocznych *Annales* jest prof. Bolesław Faron, zaś patronami teoretycznymi prac są: Philippe Lejeune, Ryszard Nycz, Michał Głowiński, Małgorzata Czermińska i Regina Lubas-Bartoszyńska. Książka ta niewątpliwie pomaga zrozumieć nurtujące teoretyków i historyków literatury problemy „pisania o sobie”.

Zamieszczone referaty skupiają się wokół tematyki dzienników, pamiętników, autobiografii, jednakże przedstawione zostały z różnych punktów widzenia, jak pisze prof. Faron we wstępie – „teoretycznego, historycznoliterackiego, językoznawczego, medioznawczego, [...] logopedycznego”¹. Zatem przedstawione artykuły możemy podzielić na pewne grupy tematyczne.

Już na początku pojawia się artykuł Reginy Lubas-Bartoszyńskiej wprowadzający do cyklu *Annałów*. Podjęte w nim zostały problemy takich form pisarskich jak: wspomnienie, dziennik, pamiętnik i autobiografia. Badaczka odwołuje się między innymi do prac Philippe’a Lejeune’a, Johna Olneya, Johna Paula Eakina, Jacquesa Derridy, Gerarda Genetta, Michaela Foucaulta, Ryszarda Nycza czy Małgorzaty Czermińskiej. Autorka zastanawia się nad kryteriami typologii tekstów „pisania o sobie”. Rozważa każdy z wyżej wymienionych gatunków, zastanawia się nad miejscem autora w tekście, sposobem pisania

(różnicuje ludzi „pióra piszących o sobie i pisanie zwyczajne ludzie nie będących pisarzami”), typologią (rozdziela „teksty autobiograficzne referencjalne” i „literackie”, dzieli autobiografię na klasyczną i nowoczesną), genologią tekstów, ich tematyką (np. teksty poświęcone tylko twórczości, podróżom itp.). Uczona, w toku swych rozważań, nawiązuje w ciekawy sposób do wspomnień Michała Głowińskiego oraz tekstu Janusza Głowackiego – *Z głowy. Autobiografia*, a także do poetyckich, zeseizowanych utworów Adama Zagajewskiego – *Dwa miasta, W cudzym pięknie*, czy wreszcie dzienników: Sławomira Mrożka czy Stefana Chwina. Ukazuje ich różnorodność, odmienną tematykę, zwraca uwagę na płynne przechodzenie autorów od pamiętnika-wspomnień, do autobiografii czy dziennika, zauważa w nich poetycką konwencję w sposobie wyrażania siebie, zwraca uwagę na rosnącą popularność dziennika, jego przewagę nad pozostałymi gatunkami; dostrzega wreszcie powstanie nowych, internetowych form biograficznych, tzw. wlogów, blogów „podszycających się pod nazwy form autobiograficznych”².

Kolejne prace skupiają się na badaniu języka pisarzy. Przykładowo – Teodozja Rittel pokazuje „ślady”³, jakie pozostawiła Elżbieta Drużbacka w swoich tekstach (wnikliwa analiza językoznawcza), Agata Pławecka przygląda się specyficznemu stylowi (homiletycznemu) Karola Połozza Antosiewicza, ilustrując jego życie jako misjonarza, społecznika i pamiętnikarza dokumentującego zbrodnie i zachowania chłopstwa po rabacji galicyjskiej, przedstawia fragmenty *Wspomnień misyjnych z roku 1846*, na które nakła-

da się poetyka kazania. Jeszcze innym cechom językowym, tym razem zarysowanym u Anny z Działyńskich Potockiej, przygląda się Joanna Iwaniec. *Mój pamiętnik* jej zdaniem posiada znamiona prozy dokumentalnej, ale styl wypowiedzi przypomina gawędę. Unikalna jest też, jak zauważa Iwaniec – frazeologia. Z pracy wynika, że Potocka stworzyła pamiętnik literacki-gawędę szlachecką, w której jest narratorem-nauczycielem. Jeszcze inaczej przedstawia się badana przez Janusza Patynę relacja XIX-wiecznych, syberyjskich zesłańców. W ich przekazie dominują opisy przyrody, dlatego mogą często przypominać relacje z podróży, zawierając portrety szanowanych i podziwianych galerników. Autor w badanej materii zauważa różnorodny sposób postrzegania krainy syberyjskiej, z jednej strony jest to miejsce otchłani, z drugiej zaś kraina arkadyjska.

są teksty, jakie zostały skomentowane przez Krystynę Latawiec. Odmienne też wydaje się być relacjonowanie przestrzeni, w jakiej znajdował się piszący. Analiza przestrzeni i czasu zajmująca przedstawiona została w pracy Grażyny Badoń, skupiającej się na pamiętnikach czasu wojny, opisanych z perspektywy Zofii Nałkowskiej i Tadeusza Dziera oraz Marii Dąbrowskiej. Pojawia się w tej pracy, wspominany już wcześniej u Krystyny Kowalik, motyw drogi, ale w tym ujęciu jest to tułaczka, przemieszczanie się, ucieczka. Przestrzeń wypełniają groby, zburzone zabytki... Nie pisze się też wówczas o sobie, uwagę skupia się raczej na codzienności.

Inną niż powyższa relacja jest ta przedstawiona przez Stanisława Burkota, który zajmując się pracami Tadeusza Konwickiego wskazuje na „łże-dzienniki”, tryptyk. Nie mogą one, w relacji autora, stać się wyrazem intymnych wyznań.

37 *Annales Academiae Paedagogicae Cracoviensis. Studia Historicolitteraria VI.* Pod red. Bolesława Farena, Wydawnictwo Naukowe Akademii Pedagogicznej. Kraków 2006

Zupełnie odmienna jest praca Krystyny Kowalik. Badaczka analizuje w niej znaczenie wyrazu droga i jego użycia w tekstach wspomnieniowych. Omówione fragmenty autorstwa intelektualistów XX w., m.in. Wincentego Burka, Jana Pawła II, Bolesława Farena, Kazimierza Wyki, Stanisława Pigonia, Juliana Kawałca wskazują na szczególną rolę tego motywu w literaturze polskiej. Z jednej strony droga funkcjonuje jako podróżowanie, z drugiej jako przemierzany szlak, wreszcie jako parabola życia.

Wspomniane prace dotyczyły w szczególności języka czasów odległych (XVIII–XIX w.), można je zestawić, na zasadzie kontrastu z pracami współczesnymi. Inaczej bowiem kreowani są bohaterowie, inny jest język, jakim się posługują kreując siebie, inna narracja. Jedne utwory posiłkują się legendą, gawędą, inne narracją typu „grafo-agrafo”. Przykładem tego ostatniego

Ostatni spośród wymienionych posiada strukturę sylwy, ujawnia się to poprzez różnego rodzaju dygresje, co w jakimś stopniu może go zbliżyć do gawędy (jaką posługiwano się w pamiętnikach XIX-wiecznych).

Osobną grupę analizowanych tekstów stanowią dzienniki, bądź quasi-dzienniki, czy –jak pisał Głowiński – „formy bez formy”. Zajmują się ich opracowaniem Jolanta Gomółka (*Miesiące* Kazimierza Brandysa) i Renata Jochymek (*Kartki z dziennika* Stefana Chwina). Autorki zastanawiają się nad popularnością tego gatunku, odwołują się do paktu autobiograficznego Małgorzaty Czermińskiej, Jerzego Jarzębskiego czy Michała Głowińskiego. Próbuje odpowiedzieć na pytanie, dlaczego zarówno Brandys, jak i Chwin sięgnęli po ten gatunek literacki. Okazuje się bowiem, że pisarz jest jednocześnie narratorem, bohaterem, jak i autorem dzieła. Może on podej-

mować różne tematy, niekoniecznie czymkolwiek ze sobą powiązane. Z dziennikiem wiąże się także pojęcie autokreacji. Podobną kreację własnej tożsamości można zauważyć u Jerzego Pilcha. Każdy z wyżej wymienionych pisarzy podejmuje grę z odbiorcą, o jakiej wspominał Lejeune.

Bardziej liryczny i zarazem „prawdziwy” wydaje się być, badany przez Bolesława Faronę, dziennik Józefa Barana. Jak zauważa badacz, tekst nosi znamiona sylwiczności, jest politematyczny, wielogatunkowy. Drugim analizowanym poetą tworzącym dziennik intymny jest, jak wskazuje Anita Jodłowska, Jacek Podsiadło, którego twórczość poznajemy pod kątem życia osobistego artysty.

Zupełnie odmienny tematycznie, spośród innych annałów, wydaje się być artykuł Bogusława Skowronka, który w swoich rozważaniach odwołuje się do tekstów audiowizualnych. Twórca filmu, czy serialu tak musi konstruować dzieło, by widz stał się uczestnikiem wyprawy, turystą. Rzeczywistość ta jednak jest w całości wygenerowana komputerowo, upozorowana, umowna. Ma ona jednak sprawić w świadomości odbiorcy złudzenie przeżywania jej na żywo.

Pojawia się też pytanie, dlaczego poszczególni autorzy zrezygnowali z pisania prozy na rzecz utworów autobiograficznych, dzienników? Z czego to wynika? Z pewnością przyczyny osobiste mają na to wpływ, ale i sytuacja wyczerpania literatury, na jaką zwracają uwagę jej badacze od kilkunastu lat. Może właśnie dlatego pojawił się blog, talk show, reality show. Tą materią zajmuje się Agnieszka Ogonowska. Porównuje ona różnego rodzaju zapisy, poczynając od pele-mele, po blog, chat, sms. Wskazuje na popularność tych sposobów wypowiadania się, ich ciągłą

ewolucję. Rozważa także motywy tworzenia takich wypowiedzi (samousprawiedliwienie, ekshibicjonizm, dążenie do nieśmiertelności itp.).

Kiedy mowa o tak różnych środkach przekazu, nie może w nich zabraknąć jeszcze jednej – zdjęcia. Klaudia Cymanow-Sosin zastanawia się, na ile pamięć i życie twórcy odzwierciedlone są w jego dziełach. Za przykład bierze życie i twórczość Ryszarda Horowitza.

Ostatnie prace zbioru dotyczą pamiętników jako form terapii dla dzieci niesłyszących. Zarówno Zdzisława Orłowska, jak i Jagoda Cieszyńska, dokumentują obserwacje osób niesłyszących, które zapoznając się z pamiętnikami rozszerzają swoje kompetencje językowe.

Autorzy artykułów rozważali sposoby wypowiadania się na łamach dzienników, pamiętników, wspomnień, autobiografii różnych twórców, zarówno pisarzy, jak i poetów, a także ludzi nie zajmujących się pisarstwem.

Praca ta daje wyobrażenie na temat różnych gatunków „pisania o sobie”. Niewątpliwym jej atutem jest różnorodność poruszonych sposobów wypowiadania się. Potwierdza ona poglądy, jakie stworzyli Philippe Lejeune, Ryszard Nycz, Michał Głowiński, Małgorzata Czermińska czy Regina Lubas-Bartoszyńska. Skłania ponadto do refleksji dotyczącej kondycji literatury, autora i bohatera.

Barbara Głogowska-Gryziecka

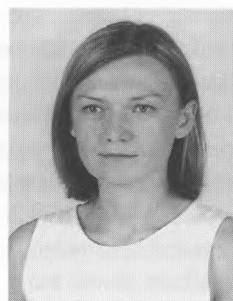
¹ 37 *Annales Academiae Paedagogicae Cracoviensis. Studia Historicolitteraria* VI. Pod red. Bolesława Farona, Kraków 2006, s. 3.

² 37 *Annales Academiae...*, s. 18.

³ *Tamże*, s. 19–30.

Nowości Wydawnictwa Naukowego Akademii Pedagogicznej

przedstawia Jolanta Grzegorek



ul. Podchorążych 2
30-084 Kraków
tel./fax (012) 662-63-83
tel. (012) 662-67-56
<http://www.wydawnictwoap.pl>
e-mail: wydawnictwo@ap.krakow.pl

KRZYSZTOF POLEK
Instytut Historii

Frankowie a ziemie nad środkowym Dunajem. Przemiany polityczne i etniczne w okresie merowińskim i wczesnokałolińskim (do początku IX w.)

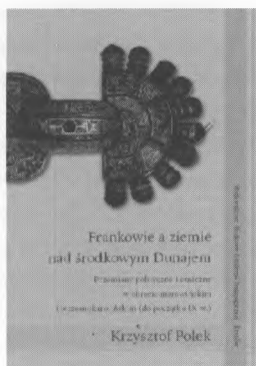
Przemyślana, dobrze skonstruowana monografia jest wartościowym wkładem w mediewistykę polską i powszechną; najobszerniejszym w polskim piśmiennictwie i nie posiadającym tak znowu wiele odpowiedników w literaturze europejskiej opracowaniem nietatwej, a ważnej problematyki.

Jerzy Strzelczyk

Monografia obejmuje szeroki zakres zagadnień od konsolidacji plemion tworzących całość Franków w czasach starożytnych do okresu poprzedzającego powstanie państwa wielkomorawskiego. Autor, na podstawie różnorodnego materiału źródłowego oraz aktualnego stanu badań historycznych i archeologicznych, przedstawił rolę państwa frankijskiego w przemianach politycznych i etnicznych terenów położonych nad środkowym Dunajem oraz kształtowanie się wschodniej granicy państwa frankijskiego za Merowingów i pierwszych królów z dynastii kałolińskiej.

ZAWARTOŚĆ: 1. Polityka Merowingów wobec plemion germańskich osiadłych na wschód od Renu; 2. Państwo frankijskie a ziemie nad górnym i środkowym Dunajem w okresie merowińskim; 3. Początek kałolińskiej ekspansji politycznej i militarnej nad Łabą i środkowym Dunajem; 4. Przemiany polityczne i etniczne w strefie środkowego Dunaju po upadku chaganatu awarskiego

Prace Monograficzne nr 469, format B5, s. 396



TEODOZJA RITTEL

Instytut Filologii Polskiej

Elżbieta Drużbacka. Język i tekst. Studium lingwistyczne

Autorka wykorzystuje do swoich badań najnowsze teorie naukowe lingwistyki europejskiej, prezentuje na wskroś nowoczesną metodologię badań, przeprowadza unikiwe, dogłębne analizy i wypowiada innowacyjne sądy o pisaniu Drużbackiej. Praca wypełnia lukę czasową językowych badań historycznych i stanowi wzorzec metodologicznych innowacji.

Halina Wiśniewska

Praca jest pierwszym tego rodzaju ujęciem autorskim, uwzględniającym badanie twórczości Elżbiety Drużbackiej, poetki czasów saskich, z punktu widzenia języka jako systemu obejmującego fonetykę, morfologię, składnię i semantykę leksykalną.

Zawartość: Część I – Płaszczyzna gramatyczna. Punkt widzenia i perspektywa językowa; Część II – Płaszczyzna stylistyczno-pragmatyczna. Punkt widzenia i perspektywa tekstologiczna

Prace Monograficzne nr 473, format B5, twarda oprawa, s. 312



BOGUSŁAW SKOWRONEK

Instytut Filologii Polskiej

Konceptualizacje filmu i jego oglądania w języku młodzieży. Studium kognitywno-kulturowe

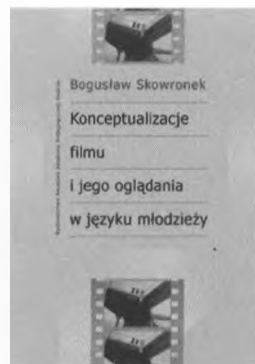
Praca dobrze wpisuje się w aktualny nurt badań nad pluralizacją kultury współczesnej i społeczeństwem informacyjnym oraz nad związonym z tymi zjawiskami kierunkiem przemian edukacji szkolnej, który uznaje znaczącą rolę kina i w ogóle audiowizualności w tych obszarach współczesności.

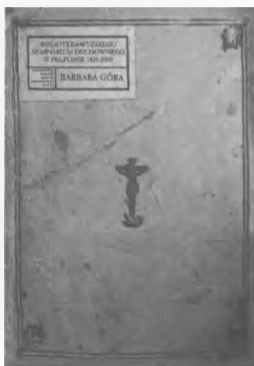
Tadeusz Miczka

Celem autora jest odpowiedź na pytania, czym dla młodych ludzi (licealistów) jest dzisiaj film, jak rozumieją to pojęcie oraz czym jest dla nich oglądanie filmu. Badane zjawisko ujęte zostało w perspektywie językoznawstwa kognitywnego.

ZAWARTOŚĆ: 1. Założenia pracy; 2. Konceptualizacje filmu w języku młodzieży; 3. Konceptualizacje oglądania filmu w języku młodzieży; 4. Model odbioru filmu przez młodzież

Prace Monograficzne nr 475, format B5, s. 260





BARBARA GÓRA

Instytut Informacji Naukowej i Bibliotekoznawstwa

Biblioteka Wyższego Seminarium Duchownego w Pelplinie 1828–2000

Prezentowaną monografię należy uznać za pionierską i odkrywczą, wnoszącą wiele do poznania polskich bibliotek kościelnych, a także nie zawsze docenianego wkładu instytucji kościelnych do narodowego skarbca kultury.

Anastazy Nadolny

Biblioteka seminaryjna w Pelplinie, poza kilkoma przyczynkami i drobnymi artykułami, dotąd nie doczekała się pełnego monograficznego opracowania swych dziejów i analizy jej zbiorów. Tego wielkiego i żmudnego zadania podjęła się Barbara Góra. Materiał faktograficzny będący wynikiem szerokiej kwerendy w zbiorach krajowych i zagranicznych może stanowić doskonale źródło dla badaczy różnych dziedzin wiedzy.

ZAWARTOŚĆ: Część pierwsza: Dzieje Biblioteki Wyższego Seminarium Duchownego w Pelplinie; Część druga: Analiza księgozbioru

Prace Monograficzne nr 460, format B5, s. 572

JANUSZ MORBITZER

Pracownia Technologii Nauczania

Edukacja wspierana komputerowo a humanistyczne wartości pedagogiki

Janusz Morbitzer stworzył dzieło mądre, erudycyjne, oryginalne i wartościowe – zarówno w aspekcie treści, jak i w sensie procesów, które ta książka może zapoczątkować i których rozwój może inspirować.

Ryszard Tadeusiewicz

Studium teoretyczne, poświęcone uzasadnieniu tezy, że dydaktycznie właściwe wykorzystanie komputera i Internetu w procesie edukacyjnym wymaga zrównoważenia strony technicznej i kulturowej kształcenia informatycznego. Ukazano złożoność zagadnienia edukacyjnych zastosowań mikrokomputera, w szczególności jego powiązania z humanistycznymi wartościami pedagogiki.

Zawartość: I. Komputer a kultura, technika i cywilizacja – wzajemne związki; II. Społeczeństwo informacyjne jako środowisko funkcjonowania współczesnej edukacji; III. Technopol jako konsekwencja rozwoju społeczeństwa informacyjnego; IV. Pedagogiczne konsekwencje tworzenia się społeczeństwa informacyjnego i technopolu; V. Wybrane zagadnienia humanizacji współczesnej edukacji wspieranej komputerowo; VI. Pedagogiczne aspekty multimediów; VII. Aksjologia Internetu; VIII. Zagrożenia ze strony mediów i technologii informacyjnej – wybrane zagadnienia

Prace Monograficzne nr 474, format B5, s. 380



RAFAŁ SOLEWSKI

Instytut Sztuki

Synteza i wypowiedź. Poezja i filozofia w sztukach wizualnych przełomu XX i XXI wieku. Wybrane zagadnienia

Praca jest tekstem z pogranicza estetyki, filozofii, językoznawstwa, historii sztuki i teorii współczesnych mediów, co już samo w sobie stanowi jej zaletę, wynikającą z przełamywania barier pomiędzy nie tylko sztukami, ale też dyscyplinami metodologicznymi.

Waldemar Okoń

Autor próbuje wskazać na możliwość odnajdywania obiektywnego piękna we współczesnej sztuce instalacji i instalacji wideo za pomocą analiz wykorzystujących metody badaczy literackiej poetyki. Na wstępie przypomina badania dotyczące zagadnienia pokrewieństwa i syntezy sztuk, w tym szczególnie stosunku sztuk wizualnych i literatury oraz słowa i obrazu. Zostają one wykorzystane w analizach przykładów wybranych spośród dzieł prezentowanych na ostatnich ekspozycjach *Documenta* i weneckich Biennale oraz na wystawach w Polsce.

Prace Monograficzne nr 461, format A5, s. 292

JAN KRUKOWSKI

Katedra Historii Oświaty i Wychowania

Nauczyciele szkół parafialnych Krakowa w XVI wieku

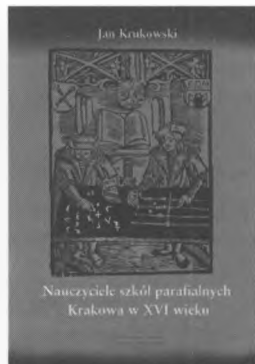
Książki Jana Krukowskiego, niezależnie od ich walorów merytorycznych, mają doniosłą wartość metodyczną i mogą służyć wykładowcom i studentom jako bardzo dobry materiał seminaryjny ilustrujący właściwe postępowanie nauczowe.

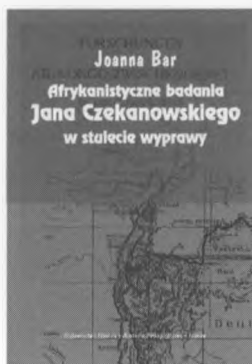
Tadeusz Bienkowski

Celem autora było ustalenie i identyfikacja środowiska nauczycieli szkół elementarnych Krakowa w XVI wieku. Praca oparta jest głównie na materiale źródłowym, rękopiśmiennym i drukowanym. Wykorzystano źródła tworzone m.in. przez władze uniwersyteckie, krakowską kurię biskupią i kapitułę katedralną, administrację samorządową, kościoły. Książka składa się z dwóch części: pierwsza jest analityczna, druga zaś to aneks, w którym zamieszczono część życiorysu nauczycieli, szczegółowo traktując okres do momentu zakończenia pracy w szkole parafialnej.

ZAWARTOŚĆ: I. Kierownicy szkół; II. Pomocnicy kierowników szkół; III. Nauczyciele śpiewu; IV. Signatorzy, wicekantory, subsignatorzy; V. Pater mendicantium i altarysta zamkowy; Aneks

Prace Monograficzne nr 463, format B5, s. 190





JOANNA BAR
Instytut Politologii

Afrykanistyczne badania Jana Czekanowskiego – w stulecie wyprawy

Jan Czekanowski, antropolog i etnolog, jako młody naukowiec wziął udział w niemieckiej wyprawie interdyscyplinarnej w głąb Afryki (1907). Wyniki swych badań opublikował w pięciotomowym dziele *Forschungen im Nil-Kongo-Zwischengebiet*, które nigdy nie doczekało się tłumaczenia na język polski. Głównym celem niniejszej pracy jest przypomnienie dorobku tego pierwszego polskiego afrykanisty etnologa, pracującego zgodnie z wymogami ówczesnych najnowszych metod badawczych, wykształconego w najwybitniejszych ośrodkach naukowych Europy.

ZAWARTOŚĆ: Afryka w nauce europejskiej do wybuchu I wojny światowej; Orientacja naukowa i założenia badawcze Jana Czekanowskiego; *Forschungen im Nil-Kongo-Zwischengebiet* Jana Czekanowskiego; Próba określenia wartości naukowej *Forschungen im Nil-Kongo-Zwischengebiet*

Prace Monograficzne nr 472, format A5, s. 172

MARTA KARAMAŃSKA
Instytut Filologii Polskiej

Słownictwo polityczne Drugiej Rzeczypospolitej Polskiej w latach 1926–1939

Praca jest ważkim głosem w opisie obszaru badawczego na styku język a kultura, dokładniej, język a formacje polityczne. Posiada duży walor językoznawczy, jest porządnym opracowaniem słownictwa tematycznego, dotyczącego najważniejszych spraw polskiej polityki międzywojennej.

Kazimierz Ożóg



Założeniem Autorki było pokazanie słownictwa i frazeologii międzywojennego dyskursu politycznego oraz określenie stopnia stabilizacji znaczeń badanych jednostek i ich modyfikacji semantycznych. Ze względu na charakter tematu, praca wykracza poza ramy językoznawstwa w kierunku historii, politologii i prasoznawstwa; daje ogłód rzeczywistości politycznej lat 1926–1939 przez pryzmat słownictwa.

ZAWARTOŚĆ: I. Sytuacja społeczno-polityczna Polski w latach 1926–1939; II. Język polityki – zagadnienia teoretyczne; III. Charakterystyka źródeł; IV. Analiza semantyczna materiału leksykalnego

Prace Monograficzne nr 465, format A5, s. 180

MARIA NOWICKA-KOZIOL (RED.)

Instytut Nauk o Wychowaniu

Człowiek – wartości – pedagogika

Praca wychodzi naprzeciw potrzebie rozwiązywania palących problemów etycznych we współczesnym świecie, a także nawiązuje do ogólnej tendencji podejmowania debaty nad wartościami, próby artykulacji świata niezbędnej w dobie pluralizmu aksjologicznego.

ZAWARTOŚĆ: M. Nowicka-Kozioł, *Mądrość i głupota – refleksja nad sposobem dochodzenia do prawdy*; S. Ruciński, *Problem wartości a ważność osoby*; H. Rotkiewicz, *Wartości i elity – perspektywa zobowiązania*; M. Szymański, *Edukacja jako wartość w warunkach gwałtownej zmiany społecznej*; S. Kowal, *Wartość wspólnoty*; J. Binczycka, *Kultura stosunków interpersonalnych najwyższą wartością*; M. Nowicka-Kozioł, *Nauczyciel jako facylitator wyborów moralnych ucznia*; A. Rumiński, *Od godności do zgodności człowieka*; A. Ryk, *Próba rozumienia pojęcia wartości w ujęciu nauk społecznych*; A. Szewczak, *Współczesne postawy wobec śmierci i ich społeczno-kulturowe uwarunkowania*; J. Maćkiewicz, *Kary cielesne w wychowaniu a wartości*; M. Lusina, A. Rojewska, *Wpływ telewizji na kształtowanie zainteresowań i systemów wartości uczniów klas gimnazjalnych*

format A5, s. 152

MIROSŁAW SZYMAŃSKI, ROMA KWIECIŃSKA, STANISŁAW KOWAL (RED.)

Instytut Nauk o Wychowaniu

Nauczyciel – tożsamość – rozwój

Jest to bardzo dobry zbiór tekstów na ważny, aktualny temat i o dużej wadze praktycznej. Ta książka może stać się przełomem w pojmowaniu zawodu nauczycielskiego i kształcenia nauczycieli.

Zbigniew Kwieciński

Zbiór prezentuje bogaty dorobek konferencji „Nauczyciel – tożsamość – rozwój”, zorganizowanej przez Instytut Nauk o Wychowaniu Akademii Pedagogicznej w Krakowie w grudniu 2005 roku. Redaktorzy dokonali przemyślanego, starannego wyboru najbardziej interesujących i twórczych wystąpień, dotyczących rozmaitych kontekstów teoretycznych i empirycznych kształtowania się oraz rozwoju nauczycielskiej tożsamości.

ZAWARTOŚĆ: Konteksty kształtowania się i rozwoju tożsamości współczesnego nauczyciela; Tożsamość współczesnego nauczyciela – pomiędzy podmiotowością a upodmiotowieniem; Nauczyciel wobec siebie samego i pełnionej przez siebie roli; Nauczyciel wobec świata zewnętrznego i jego przemian; Pedagogika akademicka w przestrzeni rozwoju nauczycieli – ich tożsamości

format B5, s. 280





JOLANTA BARAN, ADAM MIKRUT (RED.)

Katedra Pedagogiki Specjalnej

Umiejętności komunikacyjne osób z niepełnosprawnością – teoria, diagnoza, wspomaganie

Zbiór artykułów, którego zamierzeniem jest przedstawienie wybranych zagadnień z zakresu teorii, diagnozowania oraz wspomagania rozwoju kompetencji komunikacyjnych osób z niepełnosprawnością. Uczenie się właściwego interpretowania zachowań komunikacyjnych, adekwatnego odpowiadania na nie, a jeszcze wcześniej – odpowiedniego stymulowania do komunikacji intencjonalnej wynika z podstawowych zadań kształcenia przyszłych nauczycieli i terapeutów osób z niepełnosprawnością różnego rodzaju oraz stopnia.

ZAWARTOŚĆ: J. Baran, *Modelowanie umiejętności komunikacyjnych dzieci z niepełnosprawnością*; M. Kościółek, *Komunikacja niewerbalna w relacjach interpersonalnych*; J. Konarska, *Komunikacja interpersonalna osób z niesprawnością wzroku i narządu ruchu*; A. Korzon, *Rola matki w rozwoju kompetencji językowej dziecka z wadą słuchu*; T. Cierpiałowska, *Udział rodziców w stymulowaniu rozwoju umiejętności komunikacyjnych małego dziecka z wadą słuchu*; K. Plutecka, *Kompetencja komunikacyjna uzdolnionego ucznia z wadą słuchu*; I. Sosnowska-Wieczorek, *Badanie kompetencji językowych u dzieci*; G. Gunia, *Kształtowanie umiejętności komunikacyjnych uczniów niesłyszących*; K. Wanat-Zołądek, *Umiejętności formułowania pytań przez uczniów z wadą słuchu*; B. Oszustowicz, *Wykorzystanie metody Felicji Affolter w stymulacji osób z zaburzonymi procesami spostrzegania i komunikacji*; D. i A. Wolscy, *Rozwijanie kompetencji komunikacyjnej u dzieci z autyzmem*; D. Baraniewicz, M. Baraniewicz, *Możliwości komunikacyjne uczniów z głębokim upośledzeniem umysłowym*

format B5, s. 208

GRZEGORZ HACZEWSKI, JÓZEF KUKULAK, KRZYSZTOF BĄK

Instytut Geografii

Budowa geologiczna i rzeźba Bieszczadzkiego Parku Narodowego

Intencją autorów było pokazanie, jak niepowtarzalne cechy krajobrazu, wyróżniające Bieszczady wśród polskich gór, wynikają z budowy geologicznej i historii rozwoju rzeźby. Książka ma ułatwić miłośnikom Bieszczadów czytanie ich krajobrazu. Opisane zostały skały i minerały odsłaniające się w potokach i grzbietach, różnorodne struktury skał i formy rzeźby terenu. Oprócz zjawisk pospolitych, typowych, są też objaśnienia zjawisk i form osobliwych, takich jak skały egzotyczne, ślady wulkanizmu, wyziewy palnego metanu i wypływy ropy naftowej, kryształy zwane diamentami marmaroskimi, ślady jeziora, które wypełniało kiedyś dolinę Mucznego, jaskinie i wiele innych.

Prace Monograficzne nr 468, format A5, s. 160



MARIAN ZAKRZEWSKI
Instytut Biologii

Salamandra płamista. Rozmieszczenie, biologia i zagrożenia

Autor, najlepszy w Polsce znawca salamandry, koncentruje się głównie na rozwoju tego płaza w naszym kraju. Liczne ryciny i fotografie stanowią bardzo dobre uzupełnienie tekstu. Praca adresowana jest do biologów, którzy pragną bliżej poznać obszar występowania i biologię salamandry, do uczniów szkół średnich i studentów, by zachęcić ich do dalszych obserwacji tego osobliwego płaza, a także do leśników i strażników przyrody.

Prace Monograficzne nr 459, format A5, s. 134





Jerzy Kędziora

Rzeźba balansująca

Jerzy Kędziora



Woj wschodni, rzeźba



Woj wschodni 3, rzeźba